LINDSEY DAVIS

MIEDZIANA WENUS

PODZIĘKOWANIA

Działowi z żywnością w Selfridges
- za dostarczenie turbota

RZYM

SIERPIEŃ -WRZESIEŃ A.D. 71

„Im większy turbot i półmisek, tym większy skandal, nie mówiąc o marnotrawstwie pieniędzy..."

Horacy, *Satyra* II, 95

„Uważam tak: Ciesz się tym, co masz, choć nie mogę żywić moich domowników turbotem..."

Persjusz, *Satyra* VI

„Nie mam czasu, by pozwolić sobie na luksus myślenia o turbotach: papuga pożera mój dom..."

Falko, *Satyra* I, 1

DRAMATIS PERSONAE

PRZYJACIELE, WROGOWIE I RODZINA

M. Dydiusz Falko Detektyw; stara się zarobić uczciwie parę denarów, w bardzo poślednim zawodzie

Helena Justyna Jego stojąca zdecydowanie wyżej przyjaciółka

Matka Falkona (dość już o niej powiedziano)

Maja i Junia Dwie z sióstr Falkona (jedna ekscentryczna, druga wyrafinowana)

Famia i Gajusz Jego szwagrowie, o których najlepiej nie mówić (skoro i tak nic dobrego nie da się powiedzieć)

D. Kamil Werus i Julia Justa Szlachetnie urodzeni rodzice Heleny, którzy uważają, że Falko ma sporo na sumieniu

L. Petroniusz Wierny przyjaciel Falkona; dowódca patrolu straży awentyńskiej

Smaraktus Właściciel kamienicy czynszowej, wynajmujący Falkonowi mieszkanie; nasz bohater stara się go za wszelką cenę unikać

Lenia Właścicielka pralni Pod Orłem, która ugania się za właścicielem kamienicy (a raczej za jego pieniędzmi)

Rodan i Azjakus Zbiry Smaraktusa; najbardziej podejrzane typy wśród rzymskich gladiatorów

Tytus Starszy syn cesarza Wespazjana i współrządca imperium; protektor Falkona, jeśli mu w tym nie przeszkodzi:

Anakrytes Naczelny szpieg pałacu, w żadnym razie nie będący przyjacielem Falkona *Nózia, Karzeł i Człowiek na Beczce* Członkowie personelu

Anakrytesa *Więzienny szczur Jak* wyżej zapewne

PODEJRZANI I ŚWIADKOWIE *Seweryna*

Zotyka Zawodowa panna młoda (domatorka)

Sewerus Moskus (Nawlekacz paciorków) Jej pierwszy mąż (nieżyjący)

Epriusz (Aptekarz) Jej drugi mąż (nieżyjący)

Grycjusz Fronto (Dostawca dzikich zwierząt) Jej trzeci mąż (nieżyjący)

Chloe Jej papuga, feministycznie nastawiona

Hortensjusz Nowus Wyzwoleniec, obecnie człowiek wielkich interesów; narzeczony Seweryny (jak długo pociągnie?)

Hortensjusz Feliks i Hortensjusz Krepito Wspólnicy w interesach Nowusa (naturalnie wszyscy ze sobą zaprzyjaźnieni) *Sabina Pollia i Hortensja Atylia* Ich małżonki, które są zdania, że Hortensjusz Nowus ma zmartwienie. (Można by rzec, że ich troska to już powód do zmartwienia).

Hiacynt Chłopiec na posyłki Hortensjuszy

Wirydowyks Galijski szef kuchni, rzekomo zrujnowany książę

Antea Służąca

Kossus Pośrednik handlu nieruchomościami, znajomy Hiacynta

Minniusz Dostawca podejrzanie smakowitych łakoci *Luzjusz* Urzędnik pretora, podejrzliwy wobec wszystkich (bystrzak)

Tyche Mówiąca zagadkami wróżka

Talia Tancerka wyczyniająca dziwne rzeczy z wężami

Ciekawski wąż

Skaurus Kamieniarz z mnóstwem zleceń

Appiusz Pryscyl Krezus rynku nieruchomości (jeszcze jeden szczur)

Gajusz Ceryntus Jakiś znajomy papugi; podejrzanie nieobecny

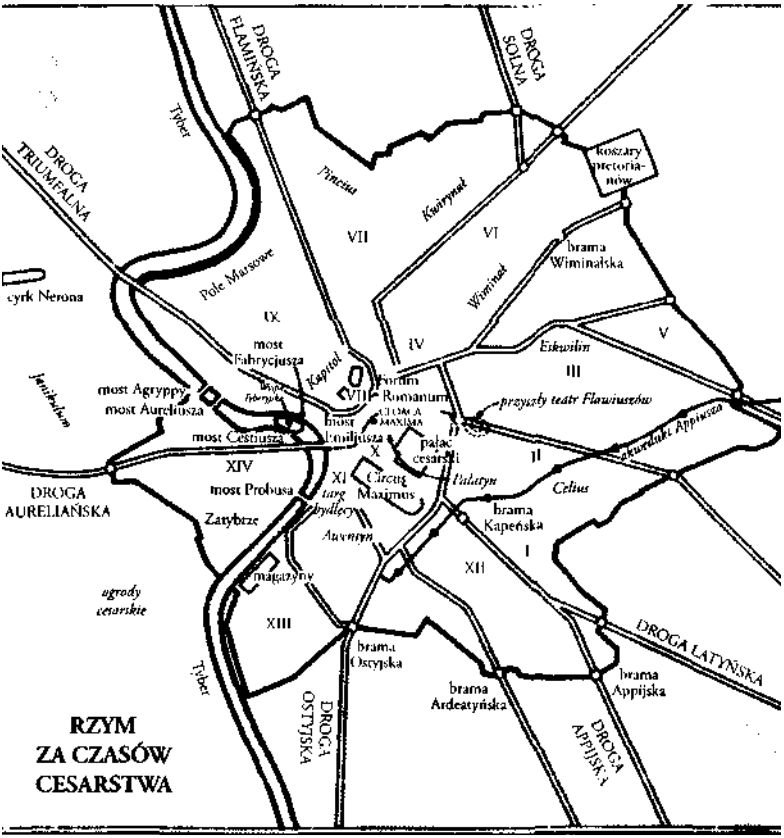
DROGA FLAMIŃSKA
DROGA SOLNA
Tyber
DROGA TRIUMFALNA
Pincius
Kwirynał
Koszary pretoriańskie
VII
VI
brama Wiminalska
cyrk Nerona
Pole Marsowe
Wiminał
IX
most Fabrycjusza
Kapitol
IV
Eskwilin
V
most Agryppy
most Aureliusza
Forum Romanum
III
przyszły teatr Flawiuszów
most Cestiusza
most Emiljusza
X
pałac cesarski
II
Via Appia
XIV
Palatyn
Celius
DROGA AURELIAŃSKA
most Probusa
XI
Circus Maximus
brama Kapeńska
Zatybrze
Awentyn
I
magazyny
XII
ogrody cesarskie
XIII
brama Oscyńska
DROGA LATYŃSKA
brama Ardeatyńska
brama Appijska
DROGA OSTYJSKA
DROGA APPIJSKA
RZYM ZA CZASÓW CESARSTWA

I

Szczury są zawsze większe, niż się człowiek spodziewa.

Najpierw go usłyszałem: złowieszcze kroczki nieproszonego gościa, na tyle bliskie, bym poczuł się nieswojo w ciasnej celi więziennej. Podniosłem głowę.

Moje oczy zdążyły przywyknąć do półmroku. Kiedy tylko znów się poruszył, dostrzegłem go: samiec w kolorze kurzu, z niepokojąco podobnymi do dziecięcych różowymi łapkami. Był duży jak królik. Bez trudu mógłbym wymienić kilka rzymskich garkuchni, gdzie nie zawahano by się wrzucić tego tłustego żżeracza odpadków do garnka. Przyprawić go czosnkiem i kto będzie wiedział? W szynku odwiedzanym przez palaczy w podziemnych piecach łaźni, w jakiejś nędzniejszej dzielnicy w pobliżu Circus Maxi-mus, każda kosteczka z odrobiną mięsa dodałaby smaku zupie...

Niedola spowodowała, że poczułem się głodny jak wilk; tymczasem mogłem jedynie przeżuwać swoją wściekłość na zaistniałą sytuację.

Szczur grzebał niefrasobliwie w kącie, pośród leżących tam od miesiąca śmieci, pozostawionych przez poprzednich więźniów, które jako zbyt obrzydliwe starannie omijałem. Chyba mnie zauważył, kiedy podniosłem wzrok, ale najwyraźniej interesowało go coś innego. Pomyślałem, że jeśli będę leżał nieruchomo, to dojdzie do wniosku, że

jestem wartą zbadania kupą łachów. Jeśli podciągnę nogi, ten ruch go przestraszy.

Tak czy inaczej, szczur natknie się na moje stopy.

Znajdowałem się w więzieniu Lautumie, razem z przeróżnymi drobnymi przestępcami, których nie było stać na obrońcę, i ze wszystkimi złodziejaszkami z Forum, którzy chcieli odpocząć od swoich małżonek. Mogło być gorzej. Mogło to być więzienie mamertyńskie: cela dla przetrzymywanych krótko politycznych więźniów, z głębokim na dwanaście stóp lochem, skąd jedyne wyjście, dla człowieka bez wpływów, prowadziło wprost do Hadesu. Tutaj przynajmniej mieliśmy nieustającą rozrywkę: starzy kryminaliści rzucali pikantnymi przekleństwami, typowymi dla Subury, żałosne pijaczyny dawały popisy napadów szaleństwa. W więzieniu mamertyńskim nic nie przerywa monotonii, dopóki nie zjawi się publiczny dusiciel, żeby zmierzyć ci szyję.

W mamertyńskim nie byłoby szczurów. Żaden strażnik nie będzie przecież zawracał sobie głowy karmieniem skazanego na śmierć, dlatego odpadki są rzadkością. Szczury szybko się uczą. Poza tym, tam przecież musi panować porządek, na wypadek gdyby jakiś wpływowy senator wpadł z wiadomościami z Forum do przyjaciela, który był na tyle nierozgarnięty, żeby obrazić cesarza. Jedynie tutaj, w Lautumiach, pośród wyrzutków społecznych, więźniowi dane jest doświadczać emocji oczekiwania, kiedy ten jego wąsaty współlokator odwróci się i zatopi mu zęby w łydce...

Lautumie były wielkie; zbudowano je dla setek więźniów z niespokojnych prowincji. Większość stanowili cu-

dzoziemcy, ale mógł tutaj wylądować każdy, kto tak jak ja naraził się jakiemuś urzędnikowi, a potem już pozostawało tylko przyglądać się swoim rosnącym paznokciom palców u nóg i snuć złe myśli na temat władzy. Moja wina - jeśli w ogóle można to nazwać winą - była charakterystyczna: popełniłem zasadniczy błąd, ośmieszając naczelnego szpiega cesarza, mściwego manipulanta, niejakiego Anakrytesa. Na początku lata wysłano go z misją do Kampanii; kiedy spaprał robotę, Wespazjan polecił mi, żebym sprawę dokończył, z czego się inteligentnie wywiązałem. Anakrytes zareagował w sposób typowy dla miernego urzędniczyny, kiedy ktoś niższy rangą wykazuje nieustępliwość: publicznie pogratulował mi sukcesu... po czym, przy pierwszej okazji, wymierzył kopniaka.

Dopadł mnie na drobnym błędzie rachunkowym: twierdził, że dopuściłem się kradzieży cesarskiego ołowiu... podczas gdy ja pożyczyłem go sobie tylko, by użyć jako kamuflażu mojej prawdziwej działalności. Byłem gotów zwrócić pieniądze, które wziąłem za ten metal, gdyby tego ode mnie zażądano. Anakrytes nie dał mi takiej szansy; wrzucono mnie tutaj i jak dotąd, nikomu nie chciało się fatygować sędziego, żeby wysłuchał, co mam do powiedzenia. Nadchodził wrzesień, kiedy to większość sądów ma przerwę i wszystkie sprawy czekają aż do Nowego Roku...

Dobrze mi tak. Kiedyś miałem więcej rozumu i nie mieszałem się do polityki. Byłem prywatnym detektywem i nie parałem się niczym bardziej niebezpiecznym od wykrywania zdrad małżeńskich czy oszustw. Cóż to były za czasy... przechadzając się w słońcu, pomagałem sklepikarzom zażegnać rodzinne sprzeczki. Miewałem też klientki, niektóre całkiem atrakcyjne. Co ważne, oni wszyscy płacili rachunki. (W przeciwieństwie do cesarza, któremu szko-

da każdej sestercji.) Gdyby udało mi się kiedyś odzyskać wolność, znowu chętnie popracowałbym dla siebie.

Trzy dni spędzone w więzieniu wystarczyły, żebym się wyzbył niefrasobliwości. Sposępniałem. Odczuwałem ból fizyczny. Rana w boku od cięcia mieczem nie była głęboka, ale za to zachciało jej się jątrzyć. Matka przysyłała mi na pociechę gorące potrawy, ale strażnik wybierał z nich sobie całe mięso. Dwóch ludzi próbowało mnie wyciągnąć z opresji, ale bez powodzenia. Jednym był przyjazny senator, który chciał się wstawić za mną u Wespazjana, mściwy Anakrytes postarał się jednak, by odmówiono mu posłuchania. Drugim był mój przyjaciel, Petroniusz Lon-gus, dowódca straży awentyńskiej. Przyszedł do więzienia z dzbanem wina i próbował starej metody skumplowa-nia się ze strażnikiem... by po chwili wylądować razem z amforą z powrotem na ulicy. Okazuje się, że Anakrytes zdołał nawet rozbić naszą lokalną solidarność. Wyglądało na to, że z powodu zawiści naczelnego szpiega już nigdy nie będę wolnym obywatelem...

Otworzyły się drzwi i usłyszałem zgrzytliwy głos:

- Dydiuszu Falkonie, jednak ktoś cię kocha! Rusz zadek i wyłaź...

Kiedy ciężko podnosiłem się z miejsca, szczur przebiegł mi po stopie.

II

Moje kłopoty się skończyły... no, może nie całkiem.

Kiedy wytoczyłem się do pomieszczenia, które miało uchodzić za poczekalnię, strażnik zaciągał sznurek worka, szczerząc się przy tym, jakby miał właśnie urodziny. Nawet jego brudni pomagierzy byli pod wrażeniem rozmiarów łapówki. Zmrużyłem oczy w świetle dnia. Stojąca naprzeciwko drobna, wyprostowana osoba powitała mnie pociąganiem nosa.

Rzym to społeczność ludzi sprawiedliwych. Na prowincji jest mnóstwo takich miejsc, gdzie prefekci trzymają przestępców w łańcuchach, żeby poddać ich torturom, kiedy zabraknie rozrywki. W Rzymie, jeśli nie dopuścisz się jakiejś strasznej zbrodni - albo głupio się do niej nie przyznasz - masz prawo, jak każdy podejrzany, znaleźć sobie poręczyciela.

-Witaj, matko! - Byłbym niewątpliwie niewdzięcznikiem, gdybym zapragnął znaleźć się z powrotem w celi ze szczurem.

Jej mina wskazywała, że uważa mnie za takiego samego zwyrodnialca, jakim był ojciec - choć trzeba przyznać, że ten człowiek, który uciekł z jakąś rudowłosą i zostawił biedną mamę z siedmiorgiem dzieci, nigdy nie wylądował w więzieniu... Na szczęście matka była zbyt lojalna wobec rodziny, by dokonywać tego porównania w obecności

obcych, wolała podziękować strażnikowi za opiekę nade mną.

- Zdaje się, że Anakrytes całkiem o tobie zapomniał, Falkonie! - zadrwił mężczyzna.

- Najwyraźniej taki miał właśnie zamiar.

- Nie wspomniał nic na temat kaucji przed procesem...

- O procesie też nic nie powiedział - warknąłem. - Przetrzymywanie mnie bez postawienia przed obliczem sądu jest tak samo bezprawne jak odmowa wypuszczenia za kaucją!

- A jeśli zdecyduje się na wniesienie oskarżenia...

-Wystarczy, że zagwiżdżesz! - zapewniłem go. - W mgnieniu oka zjawię się w swojej celi z niewinną miną.

- Na pewno, Falkonie?

- Och, na pewno! - skłamałem skwapliwie.

Na dworze odetchnąłem głęboko powietrzem wolności i natychmiast tego pożałowałem. Był sierpień. Przed sobą mieliśmy Forum. Wokół rostry było prawie tak samo duszno jak w trzewiach Lautumiów. Większość patry-cjuszy umknęła do swoich owiewanych wiatrem letnich posiadłości, jednak dla tych z nas, którzy mieli mniej szczęścia, życie w Rzymie uległo zdecydowanemu spowolnieniu. Każdy ruch w tym upale był nieznośny.

Matka przyjrzała się swojemu kryminaliście; nie zrobił na niej szczególnego wrażenia.

-To zwykłe nieporozumienie, mamo... - Starałem się, by moja twarz nie ujawniła, że dla detektywa o reputacji twardziela wyciąganie z tarapatów przez matkę jest poniżające. - Kto wyłożył ten imponujący okup? Helena? - spytałem, mając na myśli moją niezwykłą przyjaciółkę, którą udało mi się zdobyć pół roku wcześniej, kiedy da-

łem sobie spokój z niechlujnymi cyrkówkami i kwiaciarkami.

- Nie, to ja wpłaciłam kaucję. Helena uregulowała twój czynsz... - wyjaśniła. Kobiety zawsze spieszyły mi z pomocą. Wiedziałem, że będę musiał spłacić swój dług, choć pewnie nie w gotówce. - Nie mówmy o pieniądzach. - Ton głosu matki świadczył o tym, że mając takiego syna, na wszelki wypadek trzyma oszczędności życia nieustannie pod ręką. - Chodź do domu na dobrą kolację...

Zapewne chciała przejąć nade mną ścisły nadzór; ja natomiast chciałem znowu być wolnym, niczym nie skrępowanym ptaszkiem.

- Muszę się zobaczyć z Heleną, ma...

W normalnej sytuacji byłoby niemądrze ze strony kawalera, któremu dopiero co własna matka kupiła wolność, wyrywać się do jakichś innych kobiet. Tymczasem ona tylko skinęła głową. Po pierwsze, Helena była córką senatora, więc wizyta u tak dobrze urodzonej damy mogła być uważana tylko za przywilej, a nie za zwykłą nieprzyzwo-itość, potępianą przez matki. Poza tym, częściowo za sprawą wypadku na schodach, Helena niedawno poroniła nasze dziecko. Wszystkie kobiety z mojej rodziny uważały mnie za lekkomyślnego nicponia, jednak w obecnej sytuacji, ze względu na Helenę, większość przyznałaby, że powinienem ją odwiedzać jak najczęściej.

- Chodź ze mną! - zaproponowałem.

- Nie bądź niemądry! - roześmiała się matka. - To z tobą Helena chce się widzieć!

Jakoś ta wiadomość nie dodała mi otuchy.

Mama mieszkała blisko rzeki, za magazynami. Przeszliśmy przez Forum wolnym krokiem (by wszystkim unaocznić, jak mamę przygięły do ziemi troski, których jej przy-

sparzałem). Uwolniła mnie przy mojej ulubionej łaźni, tuż za świątynią Kastora i Polluksa. Tam zmyłem z siebie odór więzienia, przebrałem się w zapasową tunikę, zostawioną na przechowanie w gimnazjonie, i znalazłem golarza, któremu udało się poprawić mój wygląd, mimo że pozacinał mnie w wielu miejscach.

Wyszedłem stamtąd, nie pozbywszy się szarości z twarzy, ale na pewno odprężony. Szedłem w stronę Awentynu, przeczesując palcami wilgotne kędziory, na próżno starając się przeobrazić w czarującego młodzieńca, który mógłby wzbudzić zapał kobiety. A potem nastąpiła katastrofa. Za późno dostrzegłem dwóch podejrzanych zbirów, podpierających portyk i popisujących się napiętymi muskułami. Mieli przepaski na biodrach, a na nadgarstkach, kolanach i kostkach nóg skórzane paski, które miały z nich robić twardzieli. Ich arogancki sposób bycia wydawał mi się przeraźliwie znajomy.

- O, zobacz... to Falko! - usłyszałem.

O, niech to licho... Rodan i Azjakus, pomyślałem.

Już po chwili jeden stał za mną, łokciami ściskając mi ramiona, podczas gdy ten drugi mało sympatycznie potrząsał moją dłonią... skręcając mi nadgarstek w taki sposób, że stawy trzeszczały jak napięte liny galery podczas sztormu. Smród potu i trawionego czosnku wyciskał mi łzy z oczu.

- Och, daj spokój, Rodanie, już i tak mam dość długie ręce...

Nazwanie tych dwóch gladiatorami obraziłoby nawet najstarszych i najbardziej wyeksploatowanych siłaczy trudniących się tym rzemiosłem. Rodan i Azjakus trenowali w szkole prowadzonej przez mojego gospodarza Smarak-tusa i jeśli akurat nie okładali się wzajemnie ćwiczebnymi

mieczami, wysyłał ich na ulice, żeby były jeszcze bardziej niebezpieczne niż zwykle. Nie pokazywali się za wiele na arenie; występowali publicznie, zastraszając nieszczęsnych lokatorów, którzy wynajmowali u niego mieszkania. Pobyt w więzieniu miał jedną wielką zaletę: pozwalał unikać gospodarza i jego ulubionych oprychów.

Azjakus podniósł mnie do góry i potrząsał energicznie. Pozwoliłem mu poprzesuwać mi wnętrzności. Poczekałem cierpliwie, aż się znudzi i opuści mnie z powrotem na kamienne płyty... wtedy schyliłem się, przez co stracił równowagę, a ja przerzuciłem go sobie nad głową, aż wylądował pod nogami Rodana.

- Na Olimp! Czy Smaraktus naprawdę n i c z e g o nie potrafi was nauczyć? - wołałem, sprytnie odskoczywszy poza zasięg ich rąk. - Nie jesteście na bieżąco, mój czynsz został opłacony!

- A więc te pogłoski są prawdziwe! - drwił sobie Rodan. - Słyszeliśmy, że jesteś teraz utrzymankiem!

- Dostałeś paskudnego zeza z zazdrości, Rodanie! Matka powinna cię była ostrzec, że to odstraszy dziewczęta! - odgryzłem się. Powszechnie wiadomo, że za gladiatorami ciągną sznurem zadurzone kobiety; Rodan i Azjakus byli zapewne jedyną dwójką w całym Rzymie, której wyjątkowe niechlujstwo pozbawiło jakichkolwiek wielbicielek. Azjakus wstał i wytarł nos. Pokręciłem głową. - Przepraszam, zupełnie zapomniałem... żaden z was nie wzbudziłby zainteresowania pięćdziesięcioletniej przekupki, nawet gdyby była całkiem ślepa i pozbawiona rozumu...

Azjakus ruszył i po chwili obaj zajęli się przypominaniem mi, dlaczego tak bardzo nienawidzę Smaraktusa.

- To za ten o s t a t n i raz, kiedy spóźniłeś się z czyn szem! - wymamrotał Rodan, który miał dobrą pamięć.

-A to za n a s t ę p n y ! - dodał Azjakus... bezbłędnie przewidując przyszłość.

Ćwiczyliśmy ten bolesny taniec tyle razy, że już wkrótce udało mi się wyślizgnąć z ich uścisków. Rzucając przez ramię parę obelg, pomknąłem dalej. Nie chciało im się mnie gonić.

Byłem wolny od godziny. A już mnie obito i zaczynałem odczuwać zniechęcenie. W Rzymie, mieście czynszowych kamienic i ich właścicieli, wolność przynosi mieszane uczucia.

III

Ojciec Heleny Justyny, senator Kamil Werus, mieszkał w pobliżu bramy Kapeńskiej. Miejsce jest godne zazdrości, tuż obok drogi Appijskiej, wyłaniającej się z republikańskich murów miasta. Po drodze wpadłem do kolejnej łaźni, żeby przynieść sobie ulgę po najświeższych obrażeniach. Na szczęście Rodan i Azjakus zawsze obijają ofiarę po żebrach, więc twarz miałem nienaruszoną; jeśli powstrzymam się od grymasów bólu, Helena się nie zorientuje. Rachityczny, syryjski pigularz sprzedał mi balsam na ranę po cięciu mieczem. Smarowidło szybko przesiąkło przez tunikę, zdobiąc ją tłustą plamą, sinawą, jak pleśń na tynku. Na pewno nie wyglądało to estetycznie dla modnie ubranych mieszkańców dzielnicy bramy Kapeńskiej.

Odźwierny Kamila rozpoznał mnie i jak zwykle zamierzał wyrzucić. Nie dałem mu się powstrzymać. Poszedłem za róg, pożyczyłem kapelusz od robotnika drogowego i ustawiwszy się plecami do wejścia, zapukałem ponownie, a kiedy ten kretyn otworzył drzwi przed wędrownym, jak mu się zdawało, sprzedawcą łubinu, wbiegłem do środka, nie zapominając wymierzyć mu kopniaka w kostkę, kiedy znalazł się na mojej drodze.

- Najchętniej ciebie wyrzuciłbym za drzwi! Jestem Falko, ty baranio głowo! Zapowiedz mnie Helenie Justy-

nie, bo jak nie, to twoi spadkobiercy już zaczną się kłócić o twoje najlepsze sandały!

Kiedy już byłem w środku, okazał mi posępny szacunek. To znaczy wrócił do swojej klitki, żeby dokończyć jabłko, podczas gdy ja ruszyłem na poszukiwanie swojej wybranki.

Helena była w tablinum, blada i skupiona, z trzcinowym piórem w ręku. Miała dwadzieścia trzy lata, a może już dwadzieścia cztery, bo przecież nie miałem pojęcia kiedy przypadają jej urodziny. Rodzice Heleny dobrze wiedzieli, że byłem w łóżku z ich skarbem, ale i tak nie zapraszali mnie na rodzinne uroczystości. Pozwalali mi się z nią widywać jedynie dlatego, że ustępowali przed jej wolą. Nim mnie poznała, była już zamężna, ale postanowiła się rozwieść (powód był dziwaczny; nie podobało jej się, że mąż z nią nigdy nie rozmawia), zatem rodzice zdawali sobie sprawę, że ich latorośl nie jest osóbką łatwą.

Helena Justyna była wysoka i majestatyczna. Jej proste, ciemne włosy torturowano, zakręcając w loki szczypcami, choć mocno się przed tym broniły i szybko prostowały. Miała piękne brązowe oczy, którym żadne malowanie nie było potrzebne, choć jej pokojówki dla zasady to robiły. W domu nosiła niewiele biżuterii i w żadnym razie nie pogarszało to jej wyglądu. W towarzystwie była nieśmiała; nawet sam na sam z bliskim przyjacielem, takim jak ja, mogłaby wydawać się skromna, dopóki nie wygłaszała swoich opinii... bo wtedy nawet bezpańskie psy na całej ulicy rozbiegały się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Wydawało mi się, że umiem sobie z nią radzić... jednak nigdy nie przeciągałem struny.

Stanąłem w drzwiach ze zwykłym bezczelnym uśmieszkiem. Słodki, niewymuszony powitalny uśmiech Heleny był najlepszą rzeczą, jaką widziałem od tygodnia.

- Dlaczego taka piękna dziewczyna siedzi samotnie i skrobie przepisy?

- Przekładam historię Grecji - oznajmiła wyniośle.

Zajrzałem jej przez ramię. Był to przepis na nadziewane figi.

Pocałowałem ją w policzek. Strata naszego nienarodzonego dziecka, o której nie mogliśmy zapomnieć, narzuciła nam zachowanie pewnego rodzaju bolesnej cere-monialności. Nasze dłonie spotkały się jednak i zacisnęły z zapałem, który niejednego mógłby zgorszyć.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - wyszeptała Helena.

- Więzienne kraty to za mało, by mnie powstrzymać - odrzekłem. Rozwarłem jej dłoń i przyłożyłem sobie do po liczka. Szlachetne paluszki oryginalnie pachniały wykwint nymi indyjskimi olejkami i atramentem z galasówki... w niczym to nie przypominało stęchłych woni roztacza nych przez zdziry, z którymi wcześniej się zadawałem. - Och, pani, kocham cię - przyznałem (nadal unoszony falą euforii po niedawnym uwolnieniu). - I nie tylko dlatego, że, jak się dowiedziałem, opłaciłaś mój czynsz!

Zsunęła się z krzesełka i przyklękła na podłodze, chowając przede mną głowę. Było mało prawdopodobne, by senatorska córka chciała pokazywać się niewolnikom, gdy wypłakuje się na podołku byłego więźnia... na wszelki wypadek jednak gładziłem ją uspokajająco po karku. Zresztą, atrakcyjny karczek Heleny aż się prosił o położenie na nim ręki.

- Nie wiem, dlaczego zawracasz sobie mną głowę - oświadczyłem po chwili. - Jestem wrakiem. Mieszkam w no rze. Nie mam pieniędzy. Nawet szczur w mojej celi zerkał na mnie szyderczo. Zawsze, kiedy jestem ci potrzebny, zo stawiam cię samą...

- Przestań zrzędzić, Falkonie! - prychnęła Helena, podnosząc głowę. Miała odciśnięty na policzku ślad klamry mojego paska, ale poza tym była to ta sama Helena, z dawnych dobrych czasów.

- Wykonuję robotę, której większość ludzi by nie tknęła - ciągnąłem niezrażony. - Mój własny pracodawca wrzuca mnie do więzienia i zapomina o moim istnieniu...

- Przecież cię uwolniono...

- Niezupełnie! - wyznałem.

Helena nigdy nie zawracała sobie głowy sprawami, które według niej powinienem sam uporządkować.

- Co teraz zamierzasz?

- Znowu pracować dla siebie - oznajmiłem. Milczała; nie miała co pytać o powód mojego niezadowolenia. Niestety, mój wspaniały plan miał jedną wielką wadę: pracując na własną rękę, zarobię mniej, niż wynosi moja przypuszczalna państwowa pensja, nawet jeżeli urzędnicy Wespa-zjana miesiącami zalegają z płatnościami. - Myślisz, że to głupi pomysł? - zaniepokoiłem się.

- Nie, masz rację! - zgodziła się bez chwili wahania Helena, choć na pewno dobrze wiedziała, że taka praca niweczy jakąkolwiek szansę, by stać mnie było na wżenienie się w ród patrycjuszy. - Ryzykowałeś życie dla państwa -ciągnęła. - Wespazjan cię zatrudnił, bo wiedział, ile jesteś wart. Jednak, Marku, jesteś za dobry, by znosić nędzne wynagrodzenie od skąpego pracodawcy i małostkowe pałacowe zawiści...

- Skarbie, wiesz, co to znaczy...

- Powiedziałam, że poczekam.

- Powiedziałem, że ci nie pozwolę.

- Dydiuszu Falkonie, nigdy nie zwracam uwagi na to, co mówisz.

Uśmiechnąłem się, a potem siedzieliśmy czas jakiś pogrążeni w milczeniu.

Po paru dniach w więzieniu pokój w domu jej ojca jawił się jako wspaniała oaza spokoju. Dywany i poduszki z falbankami dodawały przytulności. Grube mury odgradzały nas od dźwięków ulicy, a światło wpadające przez wąskie okna od strony wewnętrznego ogrodu złociście rozświetlało ściany pomalowane we wzór naśladujący marmur. Wrażenie było miłe... choć wyczuwało się atmosferę pewnej stagnacji. Ojciec Heleny był bogaty (do wiedzy tej musiałem dochodzić w trakcie żmudnego śledztwa; aby zakwalifikować się do senatu, trzeba było przekroczyć pewien próg finansowy), a przecież nawet on uważał, że nie jest mu łatwo w tym mieście, gdzie tylko krezusi przyciągają wyborców.

Moja sytuacja była znacznie gorsza. Nie miałem ani pieniędzy, ani statusu. Chcąc spełnić najbardziej podstawowe warunki, musiałbym zgromadzić czterysta tysięcy sestercji, a potem przekonać cesarza, żeby dopisał mnie do listy żałosnych miernot tworzących warstwę ekwitów. Nawet gdyby mi się to jakimś cudem udało, pozostałbym w oczach świata podejrzanym kandydatem na męża Heleny.

- Marku, słyszałam, że twój koń wygrał wyścigi w Cir-cus Maximus. - Odczytała moje myśli. Zycie niesie czasem zaskakująco miłe niespodzianki: koń o imieniu Cza-ruś okazał się dobrym spadkiem. Nie stać mnie było na opłacenie mu stajni, zanim jednak wylądował na targu, wystawiłem go do jednego biegu... i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wygrał.

- Masz rację, Heleno, zarobiłem trochę na tym wyścigu. Mógłbym zainwestować w przyzwoitsze mieszkanie, żeby przyciągnąć lepszą klientelę.

Skinęła z aprobatą głową, wciąż tkwiąc na podłodze. Jej spiętrzone włosy przytrzymywały niezliczone szpilki z kości słoniowej, o łebkach wyrzeźbionych w wizerunki surowo wyglądających bogiń. Nie przestając rozmyślać o braku pieniędzy, wyciągnąłem jedną z nich i wetknąłem sobie za pasek niczym nóż myśliwski, a potem, niby to przekomarzając się z nią, zabrałem się do pozostałych. Helena wykręcała się z lekką irytacją, łapiąc mnie za nadgarstki. Kiedy wytrąciła mi wszystkie szpilki z garści, pozwoliłem jej szukać ich na podłodze, a sam robiłem swoje.

Kiedy rozpuściłem do końca jej włosy, ona zdążyła odzyskać wszystkie szpile... choć nie odebrała mi tej, która tkwiła za moim paskiem. Mam ją do dziś: Flora w różanej koronie; natykam się czasem na nią, kiedy grzebię w skrzyneczce z przyborami piśmiennymi, szukając jakiegoś pióra.

Wreszcie włosy Heleny wyglądały tak, jak lubiłem.

- Tak jest znacznie lepiej! Teraz wyglądasz na dziewczy nę, która być może pozwoli się pocałować... prawdę mó wiąc, wyglądasz na taką, która może miałaby ochotę sama mnie pocałować... - Pochyliłem się i zarzuciłem sobie jej ramiona na szyję.

Pocałunek był długi i gorący. Tylko dlatego, że bardzo dobrze znałem Helenę, zauważyłem, kiedy mój zapał napotkał jej nietypową powściągliwość.

- O co chodzi? Zbrzydłem ci, wisienko?

- Marku, nie mogę...

Zrozumiałem. Niedawno przeżyta strata pozostawiła uraz. Zarazem bała się, że może i mnie utracić. Niejeden facet pozornie w porządku bez chwili wahania porzuciłby dziewczynę w kłopotach.

- Przepraszam... - Była zażenowana i próbowała mi się

wyrwać, ale pozostała moją dawną Heleną. Tak naprawdę nie chciała, żebym wypuszczał ją z objęć. Potrzebowała pociechy... mimo że tym razem starała się do niczego mnie nie zachęcać.

- Skarbie, to całkiem naturalne. - Rozluźniłem uścisk. - Wszystko się ułoży... - mówiłem. Wiedziałem, że muszę jej dodać otuchy, więc nie szczędziłem czułości, choć trudno mi było przełknąć rozczarowanie. Klątem w duchu i Helena na pewno to wiedziała.

Przeszliśmy na tematy rodzinne (kiepski pomysł, jak zwykle), a zaraz potem powiedziałem, że muszę już iść.

Helena odprowadziła mnie do drzwi. Teraz z kolei odźwierny gdzieś zniknął, więc sam odsunąłem rygle. Objęła mnie i przytuliła twarz do mojej szyi.

- Pewnie zaczniesz się uganiać za innymi kobietami!

- Jasne! - udało mi się zażartować.

Patrzyła na mnie wielkimi, pełnymi bólu oczyma. Ucałowałem jej powieki, po czym sprawiłem sobie odrobinę tortury, unosząc ją i przyciskając mocno do siebie.

- Zamieszkaj ze mną - oświadczyłem nagle. - Tylko bogowie wiedzą, ile czasu zajmie mi zarobienie takich pieniędzy, żeby można było uznać nas za szacowną parę. Boję się, że cię stracę. Chcę cię mieć przy sobie. Jeśli wynajmę większe mieszkanie...

- Marku, wydaje mi się...

- Zaufaj mi.

Helena uśmiechnęła się i pociągnęła mnie za ucho, jakby uważała, że to najlepszy sposób, by utrwalić te nasze kłopoty. Obiecała jednak zastanowić się nad tym, co powiedziałem.

Lżejszym już krokiem wracałem na Awentyn. Nawet jeśli moja pani nie była skłonna ze mną zamieszkać, nic nie stało na przeszkodzie, bym wykorzystując wygraną na wyścigach, wynajął sobie coś bardziej eleganckiego... Ponieważ wiedziałem, do czego wracam, myśl o innym mieszkaniu musiała mnie radować.

I wtedy sobie przypomniałem, że zanim zamknięto mnie w więzieniu, dowiedziałem się, że moja trzyletnia bratanica połknęła nie zamienione na gotówkę żetony z zakładów.

IV

Pralnia Pod Orłem, Dziedziniec Fontanny.

Spośród wszystkich nędznych kamienic czynszowych, we wszystkich obskurnych zaułkach tego miasta, domy przy Dziedzińcu Fontanny na pewno są najpodlejsze. Tuż obok jednej z najważniejszych arterii cesarstwa, wspaniałej drogi Ostyjskiej, ten wrzód pod pachą Awentynu to zupełnie inny świat. Wysoko nad nami, na podwójnym szczycie wzgórza, pyszniły się wspaniałe świątynie Mi-nerwy i Wenus, my jednak mieszkaliśmy zbyt blisko, by z labiryntu ciemnych, ślepych, często nie nazwanych uliczek i zaułków widzieć ich wyniosłą architekturę. Było tu tanio (jak na Rzym), ale czasami wydawało mi się, że lepiej byłoby zamieszkać pod gołym niebem w jakiejś lepszej dzielnicy.

Mieszkałem na najwyższym piętrze wielkiej, rozpadającej się czynszówki. Cały parter zajmowała pralnia; wełniane tuniki czekające na odebranie były jedynymi czystymi rzeczami w tej okolicy. Po nałożeniu mogły natychmiast utracić swoją nieskazitelność. Wystarczyło przejść parę kroków naszą błotnistą, ciągnącą się wzdłuż ścfeku uliczką, pośród wyziewów z paleniska do wytwarzania barwnika sadzowego, gdzie jednooki dostawca materiałów piśmiennych warzył domowym sposobem śmierdzący atrament, w kłębach dymu z przypominających ule pie-

ców, w których Kasjusz, nasz miejscowy piekarz, jak chyba żaden inny w całym Rzymie potrafił spalić chleb niemal na węgiel.

Pełno tam było niebezpiecznych pułapek: w chwili dekoncentracji wdepnąłem po kostkę w lepkie, brązowe łajno. Kiedy burcząc pod nosem, wycierałem but o kamień krawężnika, Lenia, właścicielka pralni, wystawiła głowę zza rzędu wiszących na sznurku tunik. Na mój widok była jak zwykle gotowa do kpin. Zaniedbana i niechlujna, sunęła z wdziękiem lądującego na wodzie łabędzia. Włosy miała rozczochrane i ufarbowane na jaskrawy kolor, oczy wodniste i głos ochrypły od nadmiaru kwaśnego wina.

- Falko! Gdzieżeś się podziewał przez cały tydzień?

- Poza miastem.

Nie było dla mnie jasne, czy wie, że mam na myśli więzienie. Nie żeby to miało jakiekolwiek znaczenie. Lenia była zbyt leniwa, by cokolwiek ją obchodziło, chyba że miało związek z konkretnymi dziedzinami. Koniecznie chciała wiedzieć, czy mój szemrany gospodarz, Smaraktus, dostaje to, co mu się należy - a tę ciekawość tak naprawdę zaczęła przejawiać dopiero wtedy, kiedy postanowiła się za niego wydać. Decyzję tę podjęła z czysto finansowych powodów, bo po kilku dekadach wyciskania pieniędzy z awentyńskiej biedoty Smaraktus był bogaty jak Krassus i teraz Lenia przygotowywała się do ślubu z żelazną wolą chirurga. (Dobrze wiedziała, że delikwent zapłaci wysoką cenę za jej usługi, kiedy już go sobie pokroi...)

- Rozumiem, że mam dodatnie saldo - powiedziałem, szczerząc do niej zęby.

- Wreszcie wymyśliłeś, jak sobie wybierać kobiety!

- To prawda, polegam na posągowej doskonałości rysów mojej twarzy...

Lenia, która była surowym krytykiem sztuk pięknych, zachichotała cynicznie.

- Falko, jesteś ledwie tandetną podróbą!

- W żadnym razie... mam świadectwo jakości od damy z doskonałą reputacją! Lubi mi dogadzać. Cóż, oczywiście zasługuję na to... Ile wyniósł jej wkład?

Widziałem, jak Lenia otwiera usta, żeby skłamać; szybko jednak doszła do wniosku, że Helena na pewno mi to powie, jeśli wykażę się kiedyś dobrymi manierami, żeby omówić sprawę mojego długu.

- Za trzy miesiące.

- Na Jowisza! - zawołałem ze zdumieniem. Największą wpłatą na fundusz emerytalny mojego gospodarza, jaką kiedykolwiek uiściłem, był czynsz za trzy tygodnie (zaległy). - Smaraktusowi musi się wydawać, że na tęczy uniesiono go na Olimp!

Z niewyraźnej miny Lenii wywnioskowałem, że jeszcze się nie dowiedział, jakie spotkało go szczęście. Zmieniła raptownie temat.

- Ciągle ktoś o ciebie wypytuje.

- Klient? - zapytałem. Nerwowo przemyśliwałem, czy naczelny szpieg zdążył już odkryć, że zniknąłem z więzienia. - Spytałaś go?

- Och, mam ważniejsze sprawy na głowie! Zjawia się tutaj codziennie, a ja mu w kółko powtarzam, że cię nie ma... - mówiła zniecierpliwiona.

Odprężyłem się. Anakrytes nie miał powodu, żeby mnie szukać, aż do dzisiejszego popołudnia.

- No cóż, już jestem! - Byłem zbyt zmęczony, żeby zaprzątać sobie głowę zagadkami.

Ruszyłem na górę. Mieszkałem na szóstym piętrze, najtańszym. Dawało mi to dość czasu, żeby po drodze

poczuć znajomy, niepowtarzalny zapach uryny i gnijących odpadków. Każdy stopień znaczyło zaschnięte gołębie łajno; rysunki i napisy wydrapane na ścianach nie wszystkie były dziełem dziecięcych rąk. Ich różnorodność rzucała się w oczy; podobizny woźniców rydwanów sąsiadowały z obelżywymi tekstami wymierzonymi w osoby przyjmujące zakłady i z wyuzdanymi ofertami. Właściwie prawie nie znałem swoich współlokatorów, ale mijając kolejne drzwi, rozpoznawałem ich podniesione podczas kłótni głosy. Niektóre z tych drzwi zawsze były zatrzaśnięte na głucho, jakby mieszkańcy mieli coś do ukrycia, innym rodzinom wystarczały zasłonki w wejściach, co zmuszało sąsiadów do uczestniczenia w ich nędznym codziennym życiu. Z jednego mieszkania wybiegł nagi berbeć, zobaczył mnie i z wrzaskiem wpadł z powrotem. Otępiała umysłowo staruszka zawsze siedziała w drzwiach na trzecim piętrze i zagadywała do każdego, kto przechodził; pozdrowiłem ją uprzejmie, na co odpowiedziała gwałtownym strumieniem zjadliwych obelg.

Wyszedłem z wprawy; potykałem się o własne nogi, kiedy dobrnąłem wreszcie na najwyższe piętro. Zawodowy nawyk kazał mi nasłuchiwać przez chwilę. Potem podniosłem prosty skobelek i pchnąłem drzwi.

Moje lokum było norą, do której się przychodzi, zmienia tunikę, czyta liścik od przyjaciół, po czym znajduje pretekst, by ponownie wybiec na ulicę. Dzisiaj jednak nie byłem w stanie znieść po raz drugi koszmaru, jakim było wdrapywanie się na te schody, wobec czego zostałem.

Cztery kroki wystarczyły, bym dokonał przeglądu kwatery: biuro z tandetną ławą i stołem, a za nim sypialnia

z przekrzywionym gratem służącym mi za łoże. W obu pomieszczeniach panował niepokojący ład, który trwał przez chwilę po tym, jak moja matka spędziła tu trzy dni na sprzątaniu. Rozejrzałem się podejrzliwie i doszedłem do wniosku, że nikt poza nią się tu nie pojawiał. Bezzwłocznie zająłem się doprowadzaniem tego miejsca do normalnego stanu. W chwilę poprzestawiałem krzywo te parę gratów, zmiąłem pościel, porozlewałem wodę, kiedy ratowałem uschnięte rośliny na balkonie, i zrzuciłem na kupę całe ubranie, jakie miałem na sobie.

Od razu było lepiej. Teraz dopiero poczułem, że jestem u siebie.

Pośrodku stołu, tak że nawet ja nie mogłem tego przegapić, królowała grecka ceramiczna misa, którą kupiłem na straganie ze starociami za dwa miedziaki i zawadiacki uśmieszek; do połowy wypełniały ją podrapane kościane żetony, niektóre dziwnie zabarwione. Zarechotałem. Ostatni raz widziałem je na tamtym upiornym rodzinnym spotkaniu, kiedy moja mała bratanica złapała je do zabawy i większość połknęła. Miałem swoje żetony z zakładów.

Kiedy dziecko zje coś, czego wolelibyście nie stracić, istnieje tylko jeden sposób - jeśli je kochacie - żeby zgubę odzyskać. Znałem tę odrażającą procedurę od czasu, kiedy mój brat Festus połknął obrączkę ślubną naszej matki i zmusił mnie, żebym pomógł mu ją odzyskać. (Do jego śmierci w Judei, która położyła nagły kres moim braterskim obowiązkom, w naszej rodzinie panowało przekonanie, że to Festus ciągle wpada w kłopoty, a ja jestem tym głupcem, który zawsze da się namówić, by go z nich wyciągać). Połykanie cennych rodzinnych przedmiotów

jest najwyraźniej dziedziczne; spędziłem w więzieniu trzy dni, życząc zaparcia rozkosznej, lecz nieodpowiedzialnej córeczce mojego brata...

Niepotrzebnie się martwiłem. Któreś z trzeźwo myślących krewnych - zapewne moja siostra Maja, jedyna z nas, która potrafiła coś zorganizować - mężnie odzyskała żetony. Żeby to uczcić, podniosłem deskę w podłodze, wyciągnąłem ukrytą przed gośćmi amforę z winem, i zasiadłszy na balkonie, z nogami na balustradzie, poświęciłem całą swoją uwagę wzmacniającemu trunkowi.

Ledwie poczułem się naprawdę dobrze, zjawił się gość.

Słyszałem, jak wchodzi, oddychając głęboko po długiej wspinaczce. Siedziałem bez ruchu, ale i tak mnie znalazł. Wychynął na balkon i zagadnął mnie wesolutko.

- Jesteś Falko?

- Może.

Miał ręce cienkie jak tyczki do grochu. Trójkątna twarz kończyła się spiczastym podbródkiem. Wąski czarny wąsik ciągnął się niemal od ucha do ucha. Rzucał się w oczy. Przecinał na dwoje twarz, za starą jak na to niedojrzałe ciało, zupełnie jakby był uchodźcą z prowincji spustoszonej dwudziestoma latami głodu i walk plemiennych. Prawda nie była aż tak dramatyczna. Był po prostu niewolnikiem.

- A kto pyta? - rzuciłem leniwie. Popołudniowe słońce zdążyło już rozgrzać mnie na tyle, że było mi to obojętne.

- Posłaniec z domu Hortensjusza Nowusa.

Miał delikatny obcy akcent, ukryty gdzieś głęboko pod intonacją, jaką jeńcy wojenni przyswajają na targach niewolników. Sądziłem, że nauczył się łaciny jako dziecko;

prawdopodobnie teraz nie pamiętał już swojego rodzinnego języka. Oczy miał niebieskie; wyglądał mi na Celta.

- Masz jakieś imię? - spytałem zachęcająco.

- Hiacynt!

Patrzył mi spokojnie w oczy i czekał na kpiny. Będąc niewolnikiem, miał dość problemów, by znosić jeszcze dowcipy od każdego nowego znajomka tylko dlatego, że jakiś nadzorca po ciężkim przepiciu obdarzył go imieniem będącym nazwą greckiego kwiatu.

- Miło cię poznać, Hiacyncie - powiedziałem. Nie miałem zamiaru prowokować agresywnej reakcji, do której na pewno się szykował. - Nigdy nie słyszałem o twoim panu. Jaki ma problem?

- Gdybyś go spytał, nic byś nie usłyszał.

Ludzie często mówią zagadkami, kiedy chcą skorzystać z usług detektywa. Bardzo niewielu klientów potrafi spytać wprost: Jakie masz stawki za udowodnienie, że moja małżonka sypia z woźnicą?

- Zatem, dlaczego cię tu przysłał? - drążyłem cierpliwie.

- Przysłali mnie jego k r e w n i - uściślił Hiacynt. - Hortensjusz Nowus nie ma pojęcia, że tutaj jestem.

To mnie przekonało, że sprawa dotyczy pieniędzy, wobec czego gestem zaprosiłem go na ławkę: podejrzenie, że w grę wchodzą jakieś owiane tajemnicą pieniądze, zawsze mnie ożywia.

- Dzięki, Falkonie, prawdziwy z ciebie dobrodziej! - Hiacynt założył, że zapraszam go również do częstowania się winem; ku mojej irytacji dał nura za drzwi, wrócił z kubkiem i rozsiadł się pod różaną pergolą.

-To tak sobie wyobrażasz wytworną scenerię na rozmowy z klientami? - zapytał powątpiewająco.

- Na moich klientach nietrudno zrobić wrażenie.

- Beznadzieja! A może to tylko jedno z wielu miejsc, które w tym celu trzymasz w różnych punktach Rzymu?

- Coś w tym rodzaju.

- Mieliśmy tylko ten adres - oznajmił.

Ja też miałem tylko ten adres.

-Na miły P a r n a s ! - wycharczał, spróbowawszy wina.

- Dar od wdzięcznego klienta - wyjaśniłem uprzejmie. Nie dość wdzięcznego.

Nalałem sobie znowu, co było pretekstem, żeby zabrać dzban z zasięgu jego rąk. Przyglądał mi się bacznie. Mój nieskrępowany sposób bycia budził jego wątpliwości. Świat jest pełen głupców o prostych włosach, którzy uważają, że ci uśmiechnięci z kędziorami w żadnym razie nie mogą być ludźmi interesu.

- Tutaj mam wszystko, czego mi trzeba - oświadczyłem, dając do zrozumienia, że skoro żyję w takim brudzie i nędzy, to na pewno jestem większym twardzielem, niż wyglądam. - Ludzie, z którymi chcę się spotkać, wiedzą, gdzie mnie znaleźć... - ciągnąłem - a tych, których wolę unikać, zniechęcają te schody... W porządku, Hiacyncie, rzeczywiście nie reklamuję nigdzie swoich usług, ale mogę ci powiedzieć, czym się zajmuję. Zbieram informacje głównie dotyczące spraw rodzinnych...

- Rozwody? - podpowiedział, szczerząc zęby.

- Zgadza się. Także sprawdzanie potencjalnych zięciów albo wykrywanie, czy zapisane spadki nie są obciążone długami. Zbieram też dowody dla prawników... w razie potrzeby stawiam się przed sądem. Mam kontakty z licytatorami i specjalizuję się w odzyskiwaniu skradzionych cennych dzieł sztuki. Nie zajmuję się tropieniem dekowni-

ków ani ściąganiem podatków. I nigdy nie ustawiam walk gladiatorów.

- Zbyt delikatny?

- Zbyt rozsądny na takie rzeczy.

- Będą nam potrzebne referencje.

- Mnie też! Prowadzę tylko legalne interesy. -

Jakie są twoje stawki, Falko?

- Zależy od stopnia złożoności sprawy. Honorarium za rozwiązanie problemu i stawka dzienna. I nie udzielam żadnych gwarancji poza obietnicą, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Co robisz dla Pałacu? - rzucił niespodziewanie Hiacynt.

- W tej chwili nie pracuję dla Pałacu - oświadczyłem. Zabrzmiało to jak tajemnica urzędowa i miało sympatyczny wydźwięk. - Dlatego tu jesteś?

- Moi ludzie uważają, że właśnie ci, którzy pracują dla Pałacu, są najbardziej godni polecenia.

- To się mylą! Jeśli mnie wynajmą, wykonam przyzwoitą robotę i zachowam dyskrecję. To jak, Hiacyncie, robimy interes?

- Muszę zaprosić cię do domu. Tam się dowiesz, o co chodzi.

I tak zamierzałem się tam wybrać. Lubię wiedzieć, kim są ludzie, którzy mi mają płacić.

- Więc dokąd mam się udać?

- Na via Lata. Na wzgórzu Pincius.

Gwizdnąłem.

- Niezła okolica! Czy Hortensjusz i jego krewni to ludzie na stanowiskach?

- Wyzwoleńcy.

Byli niewolnicy! To dla mnie coś nowego i odmienne-

go od mściwych urzędników i hipokrytów z warstwy se* natorskiej.

- Jakieś zastrzeżenia? - zainteresował się Hiacynt.

- Niby dlaczego, skoro przyzwoicie płacą?

- Och... tak tylko spytałem - rzucił od niechcenia. Wysączył wino i czekał na napełnienie kubka, ale na próżno.

- Mieszkamy od strony drogi Flamińskiej. Każdy w tej dzielnicy wskaże ci dom.

- To kiedy mam przyjść, żeby nie trafić na Hortensjusza?

- Za dnia. On jest człowiekiem interesów. Zazwyczaj wychodzi z domu po śniadaniu.

- Czym się zajmuje? - zadałem rutynowe pytanie, ale Hiacynt wzruszył ramionami, wyraźnie wykręcając się od odpowiedzi.

- O kogo więc mam pytać?

- O Sabinę Pollię... a jeśli jej nie będzie, to o Hortensję Atylię... ale to Pollia podejmuje inicjatywę.

- Małżonka?

- Nowus nie jest żonaty - oświadczył z chytrym uśmieszkiem.

- Nie musisz mówić nic więcej. Zatem kobiety z tego domu wynajmują mnie, bym odstraszył jakąś naciągaczkę wykorzystującą bogatych mężczyzn? - domyśliłem się. Widziałem, że jest pod wrażeniem. - Kiedy kawaler ma dom pełen groźnych kobiet... - ciągnąłem - i nie wmawiaj mi, że w wypadku Hortensjusza Nowusa tak nie jest -ostrzegłem - bo działasz za jego plecami w ich imieniu... dlaczego uważa zawsze, że rozwiązaniem jego kłopotów będzie wzięcie sobie kolejnej?

-A teraz może powiesz, że nie zajmujesz się naciągaczkami! - rzucił mi w odwecie posłaniec.

- Nie powiem - zapewniłem go ponuro - ponieważ te naciągaczki to właśnie wspaniałe kobiety. Są podstawą mojej działalności!

- Jeśli kiedyś będziesz rozważał wynajęcie przyzwoitsze-go mieszkania... - powiedział na odchodnym.

- Możliwe, że pojawię się na tym rynku. - Odprowadziłem go do drzwi balkonu.

- Spróbuj u Kossusa - poradził Hiacynt. - Ma agencję wynajmu przy vicus Longus... tępawy, niezbyt rozgarnięty, ale można na nim polegać. Ma mnóstwo propozycji dla ludzi interesu. Powołaj się na mnie, a na pewno wynajdzie ci coś odpowiedniego...

- Dzięki. Może tak zrobię. - Doszedłem do wniosku, że Hiacynt spodziewa się nagrody za swoją radę. Trzymam pół aureusa wszytego w rąbek tuniki, ale za nic nie rozstałbym się z nim dla niewolnika. Znalazłem jedynie marnego miedziaka, za którego żaden latryniarz nie wpuściłby cię do swojego przybytku.

- Wielkie dzięki, Falko. To niesłychanie wzbogaci mój fundusz wyzwoleńczy!

- Przykro mi. Nie widziałem się ostatnio z moim bankierem!

Starałem się sprawić wrażenie, jakbym właśnie wrócił z tajnej misji w Partii Dolnej, żeby mógł złożyć odpowiednie sprawozdanie moim potencjalnym klientkom.

V

Wyzwoleniec Hortensjusz Nowus mieszkał w północnej części miasta, na słodko pachnącym zboczu Pincius. Jego dom otaczało zupełnie proste ogrodzenie, na tyle jednak wysokie, by żaden z ciekawskich sąsiadów nie mógł zajrzeć. Nic takiego nie mogło się zdarzyć, ponieważ działki, na których stały prywatne wille, były nawet większe niż oddzielające je publiczne ogrody. Wystarczy powiedzieć, że jednym z nich był ogród Lukullusa, który uwielbiała cesarzowa Messalina, każąc uśmiercić jego właściciela, kiedy odmówił sprzedaży. Daje to jakieś pojęcie o charakterze tych prywatnych posiadłości.

Korzystając ze swojego daru wymowy, pokonałem stróżówkę przy bramie i ruszyłem szeroką żwirowaną drogą. Nie mogłem oderwać wzroku od krajobrazu. Na szczęście zatrzymałem się wcześniej przy straganie ze słodyczami, zasięgnąłem języka, co przygotowało mnie na przepych posiadłości wyzwoleńców. Bukszpany uformowane na kształt skrzydlatych gryfów, blade posągi bogiń o szerokich czołach, wymyślne pergole obwieszone różami i winną latoroślą, potężne, różowo żyłkowane alabastrowe donice, gołębniki, oczka wodne z rybami, marmurowe ławki w zacisznych altankach, otoczonych porządnie skoszonymi trawnikami - wszystko to było prawdziwą radością dla oczu.

Przeszedłem między sfinksami z brązu, które strzegły białych marmurowych schodów prowadzących do oficjalnego westybulu z masywnymi czarnymi kolumnami. Tam delikatnie postukałem obutą stopą w biało-szarą geometryczną mozaikę posadzki, aż pojawił się jakiś znużony sługa. Powiedziałem mu, jak się nazywam, a on poprowadził mnie między pierzastymi paprociami i fontannami do eleganckiego atrium, gdzie jeden z wyzwoleńców, zwących się Hortensjuszami, ustawił niedawno swój posąg, przedstawiający go w najlepszej todze, z miną ważniaka i zwojem w ręku. Doszedłem do wniosku, że coś podobnego będzie się znakomicie prezentować na podeście w rezydencji Falkona: ja uwieczniony w marmurze kararyjskim, z miną opływającego w bogactwa, zadowolonego z życia zarozumialca. Zakonotowałem sobie w pamięci, że mam coś takiego zamówić... kiedyś.

Wylądowałem w gabinecie, sam. W całym domu widziałem wypalone świece i pochodnie. W korytarzach unosił się zapach zwiędłych wieńców, a kiedy od czasu do czasu otwierały się jakieś drzwi, słyszałem brzęk porządkowanych po uczcie z ubiegłego wieczoru naczyń. Przekazano mi, że Sabina Pollia prosi, bym poczekał. Domyśliłem się, że dama nie zdążyła jeszcze wstać i się ubrać. Postanowiłem nie brać tej sprawy, jeśli kobieta okaże się bogatą, w kółko wydającą przyjęcia zdzirą.

Po półgodzinie znudziłem się i ruszyłem korytarzem. Liczne kotary w intensywnych kolorach były lekko zmięte; najwyższej jakości meble ustawiono w pokojach w całkiem przypadkowy sposób. Wystrój domu był dziwną mieszanką, nawet białe sufity, ozdobione rozkosznie deli-

katnymi stiukami, kłóciły się ze ścianami, które pokrywały malowidła ukazujące rażąco erotyczne sceny. Wyglądało to tak, jakby kupowali co popadnie od każdego handlarza, który się nawinął, nie mając pomysłu, by już nie wspominać o guście. Wszystko to pasowało do siebie pod jednym względem; każda rzecz kosztowała majątek.

Zabawiałem się, obmyślając sobie cenę aukcyjną *Afrodyty poprawiającej sandał* dłuta Fidiasza (rzeźba wyglądała na oryginał, czego nie można było powiedzieć o większości Fidiaszy, na jakie można się natknąć w Rzymie). Nagle drzwi za moimi plecami otworzyły się i usłyszałem kobiecy głos:

- Tutaj jesteś!

Odwróciłem się z miną winowajcy. Kiedy ją zobaczyłem, zrezygnowałem z przeprosin.

Była świetna. Na pewno pożegnała się już z czterdziestką, ale gdyby poszła do teatru, przyciągnęłaby większą uwagę niż wystawiana sztuka. Rozbrajające brązowe oczy, podkreślone proszkiem antymonowym, i bez tego dodatku mogły rozchwiać wewnętrzną równowagę tak wrażliwego mężczyzny jak ja. Spoglądały z niemal idealnej twarzy wieńczącej ciało, przy którym Afrodyta Fidiasza wyglądała niczym zmęczona staniem przez cały dzień na nogach handlarka jaj. Doskonale wiedziała, jakie robi wrażenie, a ja oblewałem się potem, patrząc na nią.

Ponieważ chciałem się widzieć z Sabiną Pollią, założyłem, że to właśnie ona. Zza jej pleców dwóch krzepkich chłopców w jaskrawoniebieskich strojach ruszyło w moją stronę.

- Odwołaj swoje psy! - zażądałem. - Zaprosiła mnie tu pani domu.

-Jesteś detektywem? - rzuciła. Bezpośredni sposób,

w jaki się do mnie zwróciła, wskazywał na to, że gdyby miała ochotę, mogłaby przestać być damą.

Skinąłem głową. Gestem zatrzymała fagasów. Cofnęli się, jednak zatrzymali na tyle blisko, by móc natychmiast się na mnie rzucić, gdybym zachował się nieodpowiednio. Nie miałem takiego zamiaru... chyba że ktoś obraziłby mnie pierwszy.

- Gdyby mnie ktoś pytał, to moim skromnym zda niem damie niepotrzebna jest ochrona we własnym do mu - oznajmiłem szczerze.

Wyraz twarzy zachowywałeni całkiem obojętny, podczas gdy piękność zastanawiała się, czy przypadkiem nie zarzuciłem jej, że jest prostaczką.

- Jestem Dydiusz Falko. Sabina Pollia, prawda?

Zupełnie niekonwencjonalnie wyciągnąłem do niej rękę. Nie wyglądała na zachwyconą, ale ją uścisnęła. Miała małe dłonie, upierścienione palce były krótkie, z bladymi owalnymi paznokciami, jak u dziewczynki.

Sabina Pollia namyśliła się i odesłała chłopców wystrojonych w błękit Adriatyku. Dama powinna była posłać po przyzwoitkę; najwyraźniej zapomniała. Opadła na kanapę, przyjmując niedbałą pozę, i posągowa Afrodyta miała zdecydowanie więcej wdzięku.

- Opowiedz mi o sobie, Falkonie! - zażądała. Znając moją profesję, chciała się zabawić w przesłuchiwanie. -Jesteś detektywem... od jak dawna w tym zawodzie?

- Pięć lat. Odkąd ze względów zdrowotnych odszedłem z legionów.

- Nic poważnego?

Obdarzyłem ją cierpkim, leniwym uśmiechem.

- Nic, co by mi przeszkadzało robić to, na co mam ochotę.

Nasze spojrzenia przelotnie się spotkały. Zmuszenie tej piękności do omówienia zlecenia będzie ciężką pracą.

Miała klasyczną urodę, regularne rysy twarzy, gładką cerę i wyjątkowo równe zęby Jej profil był idealny choć odrobinę bez wyrazu, jako że właścicielki bardzo pięknych twarzy nie muszą wykazywać się charakterem, żeby postawić na swoim; poza tym nadmierna mimika mogłaby doprowadzić do popękania skorupy mazideł, którymi niepotrzebnie pacykują sobie twarze. Była drobnej budowy i potrafiła to wykorzystać - nosiła krzykliwe bransoletki w kształcie węży, podkreślające kruchość ramion, i spoglądała na mnie z miną bezbronnego dziewczęcia. Wszystko to miało na celu zmiękczenie mężczyzny. Będąc człowiekiem, który docenia, kiedy kobieta się stara, posłusznie zmiękłem.

- Z tego, co słyszę, pracujesz dla Pałacu, Falkonie... choć mój sługa mówi, że nie wolno ci na ten temat rozmawiać... - zaczęła znowu.

- Zgadza się.

- Praca detektywa na pewno jest fascynująca, prawda? - spytała zachęcająco. Najwyraźniej liczyła na jakieś gorszące rewelacje o moich byłych klientach.

- Czasami - odpowiedziałem oględnie. Większości moich byłych klientów wolałem nie pamiętać.

- Wiem też, że twój brat był bohaterem wojennym.

- Dydiusz Festus. *Corona muralis* w Judei. - Mój brat szczerze by się uśmiał, gdyby wiedział, że zyskałem pewien status dzięki pokrewieństwu z nim. - Znałaś go?

- Nie... a powinnam?

- Wiele kobiet go znało. - Uśmiechnąłem się. - Sabino Pollio, rozumiem, że jest coś, w czym mógłbym ci pomóc?

-Owszem, Falkonie... a w czym jesteś dobry? - zainteresowała się. Te przypominające lalki istoty potrafią trafiać w cel jak pociski z balisty.

Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas przejąć kontrolę.

- Pani, dobry to ja jestem w swojej robocie! Możemy już przejść do sedna?

- Wszystko w swoim czasie! - odparła Sabina Pollia.

Dlaczego zawsze wina spada na mnie?

- Jeśli dobrze zrozumiałem Hiacynta, to problem rodzinny? - zapytałem, starając się, żeby zabrzmiało to surowo.

- Niezupełnie! - roześmiała się Pollia. Znowu przybrała niewinną minę bezbronnej kobietki, ale nie dałem się nabrać; ta dama była twarda jak kamień. - Musimy utrzymać ten problem z d a l a od rodziny!

- Zatem określmy najpierw, kto należy do rodziny. Mieszka tutaj Hortensjusz Nowus. Kto jeszcze?

- W s z y s c y tutaj mieszkamy. Ja jestem żoną Hortensjusza Feliksa. Hortensja Atylia jest małżonką Hortensjusza Krepitona... - wyjaśniała.

Niewolnicy często zawierali małżeństwa w obrębie rodziny, to nic nowego.

- A Nowus wciąż tkwi pośród tego braterskiego triumwiratu jako szczęśliwy kawaler?

- Jak dotąd - odparła, z wyraźnym napięciem w głosie. - Tyle że oni nie są braćmi! Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

Trochę mnie to zbiło z pantałyku.

- Wszystko razem. Te same imiona, nazywacie siebie rodziną...

-W ogóle nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Choć j e s t e ś m y jedną rodziną. Nasz patron nazywał się Hortensjusz Paulus.

Zatem, żeby jeszcze skomplikować to, co już i tak jest kłopotliwe, przez to że każdy Rzymianin nosi imię ojca, tutaj miałem całą gromadę byłych niewolników, którzy przyjęli imię swojego byłego pana. Dotyczyło to również kobiet.

- Więc Hortensja Atylia musi być wyzwolenicą z tego samego domu? - domyśliłem się.

-Tak.

- Ale ty nie?

- Ja też.

- Nazywasz się przecież inaczej... - zauważyłem. Sabina Pollia uniosła dumne półksiężyce brwi, zabawiając się moim kosztem. - Nie rozumiem! - przyznałem beztrosko.

- Pracowałam dla pani tego domu - oznajmiła. Takie słowa, jak „należałam" i „wyzwolona", nie zostały wypowiedziane. - Przejęłam jej imię rodowe... Falkonie, czy to istotne?

- Całkiem pomocne - rzuciłem. Przede wszystkim pomagało mi uniknąć urażenia jej jakąś przypadkową uwagą; wolałem nie obrażać klientów, bo mogliby zapłacić mniej. - Podsumowując: pięcioro z was zostało wyzwolonych za dobrą służbę... - ciągnąłem. Na pewno zgodnie z ostatnią wolą Paulusa, pomyślałem sobie. - Mieszkaliście razem, zawarliście małżeństwa między sobą, odkąd pamiętacie, pracowaliście razem - stwierdziłem. Ponieważ trzeba mieć przynajmniej trzydzieści lat, by zostać wyzwolonym, wystarczyło przyjrzeć się Pollii, by dojść do wniosku, że jest wolną kobietą od jakichś dziesięciu lat. A pewnie

dłużej, pomyślałem, zapominając o takcie, z jakim powinno się oceniać wiek kobiety. - Macie świetnie prowadzony dom - mówiłem - najwyraźniej dobrze wam się powodzi. Reszty mogę się domyślać. Pojawia się ktoś z zewnątrz, być może jakaś zdzira, ale do tego dojdziemy za chwilę, i osacza tego jedynego samotnego wśród was. Chcecie, bym ją odstraszył, tak? - upewniłem się.

- Bystrzak z ciebie, Falkonie.

- Muszę się starać, żeby jeść, a mam duży apetyt... Jak daleko zaszły sprawy?

- Hortensjusz Nowus oficjalnie się zaręczył.

- Cóż za lekkomyślność! Zanim wezmę tę sprawę - powiedziałem z namysłem - wyjaśnij mi, czy ty i Atylia nie jesteście po prostu wyprowadzone z równowagi faktem, że ta sprytna kobieta burzy ustalony przez was porządek.

Pollia najwyraźniej uznała moje pytanie za uprawnione.

-Jest oczywiste, że zależy nam na szczęściu starego przyjaciela.

- Jakże oczywiste! - wykrzyknąłem. - Choć domyślam się, że chodzi też o dużą ilość gotówki.

-Jeśli Hortensjusz Nowus wprowadzi do tego domu pannę młodą, której motywy są czyste, przyjmiemy ją z otwartymi ramionami - wyznała.

Uważałem to za istny cud, że dwie kobiety potrafią dzielić ten dom, a co dopiero mówić o trzech. Kiedy jej to powiedziałem, opisała mi cały dopracowany przez nich harmonijny układ:

- Feliks i ja zajmujemy to skrzydło, Krepito i Atylia tamto po drugiej stronie. W interesach i kiedy mamy ochotę na rozrywkę, spotykamy się w pokojach oficjal nych, położonych w centralnej części domu...

- Gdzie mieszka Nowus?

- Ma pokoje na piętrze... więcej, niż potrzebuje.

- My, kawalerowie, mamy ograniczone wymagania. Ale jeśli on się ożeni, czy znajdzie się tu miejsce dla trzeciej pary małżeńskiej? - spytałem, zastanawiając się, czy w sprawie, którą mam się zająć, nie chodzi przypadkiem o rozwiązanie zwyczajnego problemu mieszkaniowego, jaki zatruwa życie wielu rodzinom w Rzymie.

- Bez trudu. - Sabina Pollia wzruszyła ramionami. -Nasz architekt dobuduje nowe skrzydło.

- Dochodzimy więc do zasadniczego pytania. Skoro wzięcie sobie małżonki przez Nowusa w żaden sposób nie komplikuje wam życia, to co tak bardzo niepokoi ciebie i Atylię w jego przyjaciółce?

- Podejrzewamy, że ona chce go zabić - oświadczyła Sabina Pollia.

VI

Detektywi to ludzie prości. Dać nam denata, a zabieramy się do poszukiwania mordercy... ale lubimy najpierw mieć ciało; tak się wydaje logicznie.

- Pani, w porządnym towarzystwie mówienie o morderstwie, zanim się ono wydarzy, uważane jest za niegrzeczne.

- Myślisz, że zmyślam! - Pollia przewróciła wspaniałymi oczyma.

- Brzmi to tak niedorzecznie, że biorę twoje słowa poważnie! Kiedy ludzie zmyślają, na ogół wybierają sobie bardziej prawdopodobną historyjkę.

- Mówię prawdę, Falkonie.

- Przekonaj mnie.

-Ta kobieta miała już przedtem mężów... trzech!

- Och, żyjemy w czasach wyrozumiałości. Obecnie pięć małżeństw to minimum, które można byłoby uznać za naganne...

- Żaden z jej mężów nie pożył długo... - oświadczyła z naciskiem Pollia, a ja nie przestawałem się perfidnie szczerzyć. - I za każdym razem wracała z uroczystości żałobnych o wiele zamożniejsza! - dodała.

Mój uśmiech zgasł.

- Aha! Pieniądze przydają tej opowieści szlachetnej pa tyny... A tak przy okazji, jak ona ma na imię?

Pollia wzruszyła ramionami (beztrosko ukazując piękne białe ramiona pomiędzy iskrzącymi się zapinkami sukni).

- Mówi o sobie Seweryna. Innych imion nie pamię tam.

Zapisałem to sobie rysikiem na tabliczce.

- *Pierwsze imię Seweryna; imię rodzinne nieznane...* czy jest atrakcyjna?

- Na Junonę, skąd niby mam wiedzieć? Musi mieć coś, skoro potrafiła przekonać czterech mężczyzn, i to zamożnych, by ją poślubili.

Zakonotowałem sobie, tym razem w pamięci: *nieprzeciętna osobowość.* (To mogło okazać się trudne). *I zapewne inteligentna.* (Jeszcze gorzej!)

- Utrzymuje swoją przeszłość w tajemnicy? -Nie.

- Obnosi się z nią?

-Tu też odpowiedź brzmi nie. Zachowuje się tak, jakby pochowanie trzech krótko żyjących mężów, którzy przypadkowo zostawiają jej wszystko, było czymś zwyczajnym.

- Zmyślne.

- Przecież powiedziałam, że jest niebezpieczna! - krzyk nęła.

Sprawy zaczynały przybierać intrygujący obrót (byłem mężczyzną normalnym i niebezpieczne kobiety zawsze mnie fascynowały).

- Pollio, muszę dokładnie wiedzieć, czego ode mnie oczekujesz. Mogę sprawdzić Sewerynę z nadzieją, że przygwożdżę ją jakimiś grzeszkami z przeszłości...

- Nie znajdziesz żadnych dowodów. Było śledztwo pretorskie po śmierci jej trzeciego męża - pożaliła się Pollia. -Nic z niego nie wynikło.

- Pretorom zdarza się przegapiać różne rzeczy. Ale nam może to pomóc. Nawet naciągacze są jedynie ludźmi, więc popełniają błędy. Po trzech sukcesach ludzie tego rodzaju zaczynają uważać się za półbogów. Właśnie wtedy można ich złapać w pułapkę. Powiedz mi, czy Hortensjusz Nowus zna jej historię?

- Zmusiliśmy go, by ją o to zapytał. Miała gotową odpowiedź na wszystko.

- Zawodowa panna młoda byłaby oczywiście na coś takiego przygotowana. W każdym razie spróbuję ją odstraszyć. Czasami wystarczy zacząć się komuś baczniej przyglądać... zmykają wtedy, żeby znaleźć sobie łatwiejszą ofiarę. Rozważaliście zaproponowanie jej pieniędzy?

- Gdyby tylko to coś dało. Mamy ich mnóstwo.

Uśmiechnąłem się na myśl o swoim przyszłym rachunku. Znałem zamożnych ludzi, którzy nie obnosili się ze swoim bogactwem, a także takich, którzy posiadali ogromne majątki i traktowali je jak rzecz oczywistą. Prostackie przechwalanie się Sabiny Pollii uświadomiło mi, że wkroczyłem w świat arogancji.

- Wobec tego dowiem się, jaka jest jej cena...

-Jeśli ją ma!

- Będzie miała! I to niższą, niż Nowus myśli. A uświadomienie sobie, jak niewielką wartość przedstawia się dla ukochanej, niejednemu zadurzonemu kochankowi pomogło ujrzeć wybrankę serca w całkowicie nowym świetle.

- Jesteś cyniczny, Falko!

- Wykonałem sporo roboty dla mężczyzn, którym się wydawało, że są zakochani.

Spoglądała na mnie przebiegle spod półprzymkniętych powiek. Znowu nasza rozmowa przybrała dwuznaczny charakter.

- Czy ty, Falkonie, nie lubisz kobiet?

- Uwielbiam je.

- Jakąś konkretną?

- Jestem b a r d z o konkretny - palnąłem.

- Mieliśmy inne informacje - oznajmiła. Mieli przedawnione informacje. - Pytam - usprawiedliwiała swoją dociekliwość Pollia z niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu - bo zastanawiałam się, czy będziesz bezpieczny przed sztuczkami Seweryny...

- Seweryna będzie trzymała się ode mnie z daleka... Od momentu, w którym się dowie, że skrytka bankowa Fal-kona zawiera jedynie świadectwo urodzenia, zwolnienie z wojska i kilka zasuszonych ciem!

Ponownie naprowadziłem rozmowę na temat interesów, dowiedziałem się kilku przydatnych rzeczy, takich jak adres oraz imię pretora, a co najważniejsze, uzyskałem zgodę na wysokość honorarium, jaką podałem, po czym odszedłem.

Kiedy zbiegałem po szerokich, białych stopniach z marmuru, tak śliskich jak mieszkańcy tego domu, zauważyłem, że u stóp schodów zatrzymuje się lektyka.

Tragarzy było sześciu, odzianych w kobaltowe płaszcze. Barczyści Numidyjczycy o lśniącej, czarnej skórze mogli przepchnąć się przez tłumy na Forum Romanum, ani razu nie zwalniając kroku. Inkrustowane szylkretem drewno lektyki błyszczało, zasłonki były szkarłatne, wykonany z laki wizerunek Gorgony zdobił bok, a srebrne kwia-tony drążki. Udałem, że skręciłem sobie nogę w kostce, i zerkałem, kto wysiądzie.

Warto było poczekać.

Domyśliłem się, że to Atylia.

Dół twarzy kryła za zasłoną, bo dodawało jej to uroku; nad haftowanym brzegiem półwoalki płonęły ciemne, poważne orientalne oczy. Zarówno ona, jak i Pollia miały do dyspozycji wielkie sumy pieniędzy i najwyraźniej wydawały na siebie, ile chciały. Atylia dzwoniła kosztowną misterną biżuterią. Zdobiło ją tyle złota, że dźwiganie takiego ciężaru przez jedną kobietę na pewno było sprzeczne z prawem. Szata miała odcień ametystu, który sprawia wrażenie, jakby do wyrobu farby posłużyły zmielone szlachetne kamienie. Kiedy wchodziła po schodach, pozdrowiłem ją uprzejmie i odsunąłem się na bok.

Opuściła woalkę.

- Dzień dobry! - wykrztusiłem. Tylko na tyle było mnie stać; oddech uwiązł mi w gardle.

Prawdziwe uosobienie spokoju. Sabina Pollia była świetna, ale ta zjawiskowa istota musiała wziąć się z mrocznej tajemnicy jakiejś egzotycznej prowincji, której jeszcze nie odwiedziłem.

- Na pewno jesteś tym detektywem - zauważyła prze jęta. Wyraz jej twarzy świadczył o dużej inteligencji. Nie miałem złudzeń; w domu dawnych Hortensj uszów była prawdopodobnie pomocą kuchenną... co nie przeszkadzało, że miała wymowne spojrzenie wschodniej księżniczki. Jeśli Kleopatra potrafiła tak patrzeć, nie dziwota, że szacowni rzymscy dowódcy ustawiali się w kolejce, by stracić swoją reputację na błotnistych brzegach Nilu.

-Nazywam się Dydiusz Falko... Hortensja Atylia? - odezwałem się. Skinęła głową. - Cieszę się, że mam sposobność złożyć uszanowanie...

Jej zachwycająca twarz spoważniała. Ten nastrój pasował do jej urody; zresztą każdy by pasował.

-Wybacz, że nie było mnie przy tej rozmowie. Odprowadzałam syna do szkoły - wyjaśniła. Oddana matka, jak miło!

- Myślisz, że będziesz nam mógł pomóc, Falkonie? - zapytała.

-Jeszcze za wcześnie na odpowiedź. Mam taką nadzieję.

- Dziękuję - wyszeptała. - Nie będę ci teraz zabierać czasu...

Hortensja Atylia podała mi rękę, gestem tak eleganckim, że przy wytworności jej manier sam sobie wydałem się nieokrzesany.

- Proszę jednak mnie odwiedzić i poinformować, jak sprawy się mają - dodała zachęcająco.

Uśmiechnąłem się. Taka kobieta jak ona oczekuje od mężczyzny uśmiechu; myślę, że większość mężczyzn stara się nie rozczarowywać takich kobiet. Odpowiedziała mi uśmiechem, ponieważ wiedziała, że wcześniej czy później znajdę pretekst do wizyty. Dla takich kobiet mężczyźni zawsze znajdą pretekst.

W połowie zbocza zatrzymałem się na chwilę, by podziwiać z góry miasto skąpane w złocistych płomieniach przedpołudniowego słońca. Poluźniłem pas, pod którym tunika zaczęła wilgotnieć, i uspokajając przyspieszony oddech, zacząłem rozważać sytuację. Te dwie kobiety, Pollia i Atylia, wywołały we mnie uczucie radości, że szczęśliwie udało mi się żywym wydostać z ich domu.

Zapowiadało się ciekawie: dwie niezwykle urodziwe klientki, których prostacki styl na pewno mnie ubawi; kobieta polująca na bogatego męża, której przeszłość była tak

bogata, że musi znaleźć się jakaś możliwość jej zdemaskowania, choć nie udało się to wymiarowi sprawiedliwości (uwielbiam udowadniać, że pretor się myli); solidne honorarium... i wszystko to, przy odrobinie szczęścia, bez wielkiego wysiłku... Idealna sprawa.

VII

Przed zapolowaniem na łowczynię majątków chciałem się więcej dowiedzieć o tej gromadzie Hortensj uszów. Ludzie wyjawiają więcej, niż im się wydaje, pokazując, gdzie i jak mieszkają, i zadając konkretne pytania; ich sąsiedzi bywają jeszcze bardziej przydatni. Teraz, kiedy już miałem ogólne pojęcie, uznałem, że czas najwyższy ponownie odwiedzić tamten stragan ze słodyczami.

Kiedy do niego podchodziłem, jakaś światowa kura wydziobywała okruchy. Sklepik był zwyczajną budą stojącą na wprost pinii. Od przodu miał rozstawiony kontuar i składany daszek, a z tyłu upchnięty niewielki piecyk. Miejsca dla klientów było tak mało, że straganiarz spędzał mnóstwo czasu na stołku w cieniu pinii, po drugiej stronie drogi, grając sam ze sobą w żołnierzyki. Kiedy zjawiał się klient, zwlekał, żeby ten zdążył nabrać apetytu na jego specjały, i dopiero wtedy podchodził.

Posiadacze rezydencji na stoku niechętnie widzieli tu kramarzy; lubili jednak sobie dogodzić. Mogłem się domyślić, dlaczego pozwolili temu sklepikarzowi napuścić tu korzenie. On bowiem architektoniczne braki swojego przybytku z powodzeniem nadrabiał bogactwem specjałów przyrządzanych z prawdziwą fantazją.

Honorowe miejsce zajmował ogromny półmisek, na którym wielkie figi kąpały się w gęstym miodzie. Dookoła

poukładano w zawijasy i spirale przeróżne smakołyki; tu i ówdzie brakowało jakiegoś, żeby zachęcić klientów do dalszego naruszania tej ekspozycji. Były tam daktyle nadziewane całymi migdałami w ciepłym kolorze kości słoniowej i inne wypełnione intrygującymi farszami w pastelowych odcieniach; kruche ciasteczka, wygięte w półksiężyce albo pocięte w prostokąty, przekładane soczystymi owocami i posypane cynamonem; świeże śliwki damaszki, pigwy i obrane kandyzowane gruszki; blade kopczyki kremu budyniowego, posypane startą gałką muszkatołową; jedne w całości, inne przekrojone, by pokazać, że wewnątrz są jagody dzikiego bzu i owoce dzikiej róży. Na półce po jednej stronie stały garnki z wybornym miodem, jak wskazywały napisy na etykietkach, pochodzącym z attyckiego Hymettos i sycylijskiej Hybli; oraz całe plastry, gdyby ktoś miał ochotę wziąć na przyjęcie jakiś bardziej spektakularny podarek. Po drugiej stronie ciemne tafle afrykańskiego ciasta moszczowego drzemały obok ciasteczek wykonanych własnoręcznie przez sklepikarza z mąki pszennej namoczonej w mleku, nakłutych i nasączonych miodem przed udekorowaniem siekanymi orzechami laskowymi.

Pożerałem wzrokiem nadziewane rodzynkami i orzeszkami lukrowane ciastka, które ulepiono w kształt gołębi, kiedy właściciel pojawił się u mojego boku.

-Wróciłeś! Znalazłeś dom, o który ci chodziło? -spytał.

- Tak, dzięki. Znasz jego mieszkańców?

- No myślę! - pochwalił się. Mężczyzna był pomarszczony i tyczkowaty, poruszał się ostrożnie, jak człowiek, którego interes opiera się na kruchych dziełach sztuki. Na jednym słupku wisiała tabliczka z napisem SŁODYCZE, na drugim z imieniem MINNIUSZ.

Zaryzykowałem postawienie szczerego pytania.

- Jacy oni są?

- Nie najgorsi.

- Długo się znacie?

- Ponad dwadzieścia lat! Kiedy pierwszy raz zobaczyłem to stadko nastroszonych kogucików, jeden z nich zamiatał w kuchni, drugi poganiał muły, a trzeci przycinał knoty lampek w całym domu!

- Daleko zaszli od tamtej pory! Dostałem zlecenie od tych kobiet. Znasz też Sabinę Pollię?

Minniusz się roześmiał.

-Tę pamiętam jeszcze z czasów, kiedy była fryzjerką o imieniu Iris!

- O! A Atylia?

- Intelektualistka! Powie ci, że pełniła rolę sekretarza, ale nie sądź, że to mól książkowy w greckim stylu. Atylia sporządzała listy bielizny do prania! - Zachichotał z własnego dowcipu. - W tych czasach sprzedawałem na największym bazarze Rzymu pistacje prosto z tacy. Teraz wciąż handluję łakociami... w kramiku, którego właścicielem jest tamten chłopiec od lampek. Dla mnie oznacza to krok wstecz, klienci są mniej uprzejmi, płacę temu draniowi wygórowany czynsz i brakuje mi ruchu...

Ukroił kawałek ociekającej miodem babki ponczowej z kandyzowanymi owocami i dał mi do spróbowania. Wiele osób, ujrzawszy moje przyjazne oblicze, natychmiast czuje do mnie niezrozumiałą antypatię. Na szczęście druga połowa społeczeństwa potrafi docenić szczery uśmiech.

- Spytaj, jak im się to udało! - zachęcił mnie. Zrobiłbym to, ale miałem usta pełne pysznych okruchów. - Jeszcze kiedy należeli do starego Paulusa, umieli robić interesy. Każdy trzymał pod łóżkiem garniec, który napełniał zaro-

bionymi prywatnie miedziakami. Wszyscy mieli smykałkę do wypełniania specjalnych poleceń za dodatkowe napiwki. Jeśli twojej Pollii...

- Iris! - powiedziałem, rozciągając w uśmiechu zlepione wargi.

- Jeśli Pollii ktoś coś dał... szpilkę do włosów czy choćby kawałek lamówki od sukni... natychmiast zamieniała to na denary.

- Czy Paulus do tego zachęcał?

- Nie wiem. Ale na to pozwalał. Był całkiem sympatyczny. Dobry pan pozwala, by jego niewolnicy odkładali pieniądze w miarę swoich możliwości.

- Czy sami kupili sobie wolność?

- Paulus oszczędził im tego kłopotu.

- Umarł?

Minniusz skinął głową.

- Zawodowo zajmował się polerowaniem marmuru. Miał mnóstwo roboty, nawet jeśli zarobek nie był wielki, w testamencie okazał się bardzo szczodry dla swoich lu dzi - opowiadał dalej.

Paulus mógł wyzwolić pewną liczbę niewolników zapisem testamentowym, a moi klienci robili wrażenie śmiałków, którzy potrafią dopilnować swoich spraw, pomyślałem. - Bardzo szybko zrobili dobry użytek ze swoich oszczędności - oświadczył z zadumaną miną Minnius. -Czy istnieją jakieś szczególne ułatwienia dla statków transportowych? - zapytał znienacka.

Skinąłem głową.

- Specjalne zachęty dla tych, którzy przeznaczą statki do transportu zboża - wyjaśniłem. Akurat całkiem nie dawno miałem okazję przyjrzeć się bliżej kwestii importu zboża i zobaczyłem, jakie są możliwości machlojek. - Cały

ten plan pochodzi od cesarza Klaudiusza, który chciał stworzyć zachętę do rejsów zimowych. Dawał nagrodę, proporcjonalną do tonażu, każdemu, kto wybudował nowy statek. Dołączał ubezpieczenie, wypłacał odszkodowanie za każdy statek, który zatonął. Nigdy nie zmieniono tego prawa. Każdy, kto o tym wie, wciąż może czerpać z niego korzyści.

- Pollia miała statek, który zatonął - oświadczył Minniusz z kwaśną miną. - Bardzo szybko kupiła nowy...

W sposób oczywisty dawał mi do zrozumienia, że był to ten sam statek, tyle że pod inną nazwą... ciekawa sugestia, wiele mówiąca o krętactwach, do jakich posuwali się Hortensjusze.

- Czy sama wyposażyła statek? - spytałem. Zgodnie z prawem ustanowionym przez Klaudiusza, kobieta, która tego dokonała, cieszyła się takim przywilejem jak matka czworga dzieci. Moja matka nazywała to prawem do rwania sobie publicznie włosów z głowy i prawem do nieustannego nękania.

- Kto to wie? W każdym razie bardzo szybko nabawiła się rubinów w uszach i sandałów ze srebrnymi podeszwami.

- A jak do majątku doszli mężczyźni? Czym się teraz zajmują?

- Tym i owym. Praktycznie wszystkim, co tylko przyjdzie ci do głowy...

Wyczułem w nim pewną rezerwę i uznałem, że wystarczy tego drążenia. Kupiłem dwa nadziewane ciasteczka w kształcie gołąbków dla Heleny i kilka kawałków mosz-czowego ciasta dla mojej siostry Mai... żeby wynagrodzić jej ten bezinteresowny gest, jakim było odzyskanie moich żetonów.

Cena była niebotyczna, czego się należało spodziewać po tej okolicy. Dostałem jednak porządny koszyczek, wyłożony liśćmi winorośli, i mogłem ponieść swoje smakołyki, nie brudząc sobie rąk. Była to jakaś odmiana od pokrytych atramentem kawałków papieru, oderwanych ze starych zwojów z filozoficznymi tekstami, w jakie zawijano słodycze na Awentynie, tam, gdzie mieszkałem.

Z drugiej wszakże strony, na takim liściu, kiedy już się go do czysta wyliże, nie ma absolutnie nic do czytania.

VIII

Teraz, chociaż nie myślałem o tym z przyjemnością, musiałem wybrać się do pretora.

Za czasów republiki wybierano corocznie dwóch sędziów, a mówiąc ściślej, dobierano, bo skoro wyznaczano ich spośród senatorów, trudno tu mówić o wolnych wyborach, ale w moich czasach sprawy się tak mnożyły, że dawały zajęcie osiemnastu prawnikom, z których dwóch zajmowało się wyłącznie oszustwami. Ten, który rozpatrywał przypadek naciągaczki, miał na imię Korwin. Gazeta z Forum zapoznała mnie z absurdalnymi orzeczeniami obecnej ekipy sądowniczej, stąd wiedziałem, że Korwin jest zadufanym w sobie, pompatycznym błaznem. Pretorzy zawsze są tacy. Na skali wyznaczanych funkcji publicznych jest to ostatnie ze stanowisk przed konsulatem i jeśli ktoś koniecznie musi demonstrować swoją ignorancję w dziedzinie współczesnej moralności, to stanowisko pretora daje mu pole do popisu, co bywa niebezpieczne. Korwin nastał jeszcze przed kampanią obecnego cesarza, mającą na celu oczyszczenie sądów, i jak się domyślałem -teraz, za panowania Wespazjana, nie miał co liczyć na kolejne publiczne stanowisko.

Na nieszczęście dla moich klientów, zanim Korwin przeszedł na emeryturę i udał się do swojego gospodarstwa poza Rzymem, miał dość czasu, by zawyrokować, że

biedna Seweryna w krótkim czasie straciła kolejno trzech zamożnych małżonków wyłącznie za sprawą nieszczęśliwego przypadku. No cóż. Już po tym widać, dlaczego moja opinia o sędziach nie jest najlepsza.

Nie spotkałem go wcześniej i szczerze mówiąc, wcale mi na tym nie zależało, teraz jednak udałem się wprost do jego domu. Była to spokojna rezydencja na Eskwilinie. Nad wejściem wisiało wyblakłe trofeum upamiętniające jakieś zamierzchłe militarne widowisko, w którym jego przodek wykazał się odwagą, nie umykając z miejsca starcia. Wewnątrz przywitały mnie dwa ponure posągi republikańskich oratorów, nijakie popiersie Augusta i potężny łańcuch psa obronnego (bez psa): typowe znamiona rodziny, która nigdy nie była taka ważna, jak jej się wydawało, a teraz odchodziła w nicość.

Miałem nadzieję, że Korwin spędza lato w Kurne, jednakże był to tego rodzaju skrupulatny dureń, który zapewne zasiada w sądzie nawet we własne urodziny; narzeka na nadmiar zajęć... i zarazem dowartościowuje się, partacząc kolejne sprawy w sierpniowym upale. Wpuścił mnie znudzony odźwierny. W atrium wisiały wiązki ceremonialnych rózeg z wystającym toporem, a z bocznego pokoju, gdzie pożywiali się liktorowie sędziego, dochodził szmer głosów. W bocznym korytarzu stały ławki, na których mogli przesiadywać klienci i poszkodowani, z nieszczęśliwymi minami czekając, aż pretor skończy poobiednią drzemkę. Przez prostokąty wysokich okien wpadały ukosem promienie słońca, a kiedy moje oczy oswoiły się z kontrastem jasności z ciemnością, zobaczyłem znajomy widok. Tłum

żałośnie wzdychających petentów, jaki zawsze wypełnia korytarze biur sławnych ludzi. Ukradkiem obserwowali się wzajemnie, omijając wzrokiem mądralę o szalonym spojrzeniu, który rwał się do rozmowy; wszyscy byli przygotowani na długie i prawdopodobnie bezowocne popołudnie.

Staram się unikać przesiadywania w tłumie i zarażania się rozmaitymi chorobami, więc energicznym krokiem przeszedłem obok nich. Kilka osób o przygnębionych twarzach wyprostowało się, większość jednak uznała, że widocznie wiem, co robię. Nie miałem wyrzutów sumienia, że wpycham się poza kolejnością. Oni mieli interes do pretora. Ja natomiast nie miałem najmniejszej ochoty na bezcelowe spotkanie z jakimś męczącym prawniczym matołem. Pretorzy zawsze mają jakiegoś sekretarza. A ponieważ osoby procesujące się sprawiają kłopoty, kancelista pretora jest zwykle bystrzakiem. Przyszedłem zobaczyć się z tym właśnie urzędnikiem.

Znalazłem go w głębokim cieniu wewnętrznego ogrodu. Dzień był ciepły, więc wystawił sobie składany stołek. Był bardzo opalony, jak pomalowany... może przez tydzień gorliwie przycinał winorośle. Nosił duży sygnet, służący jako pieczęć, spiczaste czerwone buty i olśniewająco białą tunikę; wyglądał równie elegancko jak palacz z łaźni w świąteczny dzień.

Jak się spodziewałem, po długim, nudnym przedpołudniu, poświęconym senatorskim synalkom, których przyłapano na zaglądaniu do szatni łaźni przeznaczonych dla kobiet, oraz rozkojarzonym babciom, które musiały przedstawić historię trzech pokoleń swojej rodziny, wyjaśniając, dlaczego ukradły cztery kacze jaja, urzędnik z ulgą odsunął

piramidę zwojów z pozwami, żeby ze mną pogadać. Od razu mu się przedstawiłem, a on powiedział, że ma na imię Luzjusz.

- Luzjuszu, moich klientów niepokoi pewna zawodowa panna młoda o imieniu Seweryna. Nie znam jej drugiego imienia.

- Zotyka - rzucił natychmiast. Może uważał mnie za takiego, co to niepotrzebnie marnują innym czas.

-Więc ją pamiętasz! Dzięki bogom za kompetencję...

-Trudno nie pamiętać - burknął urzędnik, bardziej rozmowny, kiedy miał możliwość wyrazić swoją gorycz. - Miała trzech małżonków, którzy mieszkali w różnych dzielnicach miasta, więc musiałem mieć do czynienia z trzema bałaganiarskimi edylami, przesyłającymi mi niepełne dane, cztery tygodnie po tym, jak o nie poprosiłem... i jeszcze z listem z biura cenzora, w którym wszystkie imiona były poprzekręcane. Skończyło się na tym, że sam kompletowałem dokumenty dla Korwina.

- A to przecież rutynowe procedury! - rzuciłem współczująco. - Więc co możesz mi powiedzieć?

- A co chcesz wiedzieć?

- Mówiąc ogólnie, czy to zrobiła.

- Ależ oczywiście.

- Nie tak zawyrokował twój przełożony.

Luzjusz określił swojego przełożonego dwoma krótkimi słowami. Była to typowa opinia o pretorze, wychodząca z ust jego kancelisty.

- Szlachetny Korwin - dorzucił jeszcze - nie zauważyłby czyraka na własnym tyłku.

Zaczynałem doceniać Luzjusza; wydawał się człowiekiem światowym... należał do tego samego ciemnego światka, który ja zamieszkiwałem.

- To też normalka! Opowiesz mi całą tę historię?

- Czemu nie? - Wyciągnął przed siebie nogi, założył ręce za głowę i zaczął mówić z miną człowieka, który pracuje tak ciężko, że ma prawo do chwili odpoczynku. - Co mi szkodzi? Seweryna Zotyka...

- Jaka ona jest?

- Nic szczególnego. Ale te panie, które przysparzają najwięcej kłopotów, nigdy nie robią większego wrażenia na osobach postronnych, nie mających z nimi bezpośrednio do czynienia - stwierdził. Skinąłem głową. - Jest ruda -dodał.

- Mogłem się domyślić!

- Kiedy miała kilkanaście lat, kupiono ją na wielkim targu niewolników w Delos, ale dotarła tutaj drogą okrężną. Pochodzi z Tracji... stąd te włosy... i miała wielu właścicieli, na Cyprze, w Egipcie, a przed Delos chyba w Mauretanii.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Musiałem przeprowadzić z nią rozmowę. Niezgorsze doświadczenie! - wspominał, choć jak zauważyłem, nie rozwinął tego tematu. Co więcej, minę miał ostrożniejszą, niczym człowiek, który chce zachować powściągliwość, mówiąc o dziewczęciu, którego nie zamierza zapomnieć. - Kiedy dotarła do Italii, kupił ją wytwórca naszyjników z paciorków; miał warsztat w Suburze, który zresztą wciąż tam jest. Nazywał się Sewerus Moskus. Był z niego przyzwoity stary drań, który ostatecznie się z nią ożenił.

- Mąż numer jeden. Małżeństwo trwało chwilę?

- Nie; rok czy dwa.

- Zgodne?

- Z tego, co wiem, tak.

- Co się przytrafiło mężowi?

- Zmarł na atak serca, oglądając popisy gladiatorów. Podejrzewam, że siedział w miejscu, gdzie nie było zadaszenia, po prostu serce nie wytrzymało. - Luzjusz był najwyraźniej człowiekiem bezstronnym (a przynajmniej chciał taki być, kiedy oceniał rudowłosą).

- Może był lekkomyślny albo uparty i nie chciał usiąść w cieniu - dodałem. Sam też potrafiłem być bezstronny. -Czy to Seweryna kupiła mu bilet?

- Nie, jeden z jego niewolników.

- Czy Seweryna głośno opłakiwała stratę?

- Nie... - Luzjusz zamyślił się głęboko. - Choć to akurat zgadza się z jej charakterem. Nie jest typem komediantki.

- Eleganckie maniery, co? I Moskus tak był do niej przywiązany, że jej wszystko zostawił?

- Starcowi ruda szesnastoletnia dziewczyna nie może się nie podobać.

- W porządku. Jak dotąd nie widać tu nic podejrzanego. Ale czy ten niespodziewany spadek nie zachęcił jej do dalszego polepszania sobie losu?

- Być może. Nie udało mi się ustalić, czy wyszła za swojego pana z rozpaczy czy ze szczerej wdzięczności. Może go lubiła... a może zachowała się dyplomatycznie. On mógł nią poniewierać... a może to ona stosowała przymus wobec niego. Z drugiej strony - ciągnął Luzjusz, równoważąc argumenty jak przystało na prawdziwego urzędnika - kiedy Seweryna uświadomiła sobie, co zostawił jej zmarły małżonek, natychmiast zabrała się do powiększania majątku.

- A tak właściwie, jak majętny był Moskus?

- Sprowadzał agaty, szlifował je i robił z nich naszyjniki, ładne. Cóż, dość ładne, by spadkobiercy senatorów kupowali je dla prostytutek.

- Chłonny rynek!

- Szczególnie, kiedy zaczął się specjalizować w kame ach. No wiesz... głowy członków cesarskiej rodziny pod patriotycznymi napisami. *Pokój, Szczęście* i wylewające się z rogu obfitości dobra...

-Wszystko to, czego człowiekowi brakuje! - oświadczyłem z uśmiechem. - Portrety cesarzy zawsze są w modzie u dworskich lizusów. Jego wyroby miały wzięcie, więc była niewolnica odziedziczyła kwitnący interes. Co dalej?

- Aptekarz. Niejaki Epriusz.

- Jak umarł?

- Udławił się jedną ze swoich pigułek na kaszel.

- Jak długo byli małżeństwem?

- Cóż, niemal rok zajęło mu doprowadzenie jej do kapłana, a ona zrobiła niezłe przedstawienie ze swojego niezdecydowania. Potem przeżył jeszcze całe dziesięć miesięcy. Widocznie musiała uspokoić nerwy.

- Możliwe też, że aptekarz przetrwał dłużej, bo Seweryna chciała zdobyć wiedzę na temat leków... Czy była przy nim, kiedy się dławił? Próbowała go odratować?

- Rozpaczliwie - potwierdził. Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, pewni, że się rozumiemy. - Jej poświęcenie zostało wynagrodzone trzema aptekami i jego rodzinnym gospodarstwem rolnym.

- Kto następny?

- Grycjusz Fronto. Sprowadzał dzikie zwierzęta do cyrku Nerona. Tym razem była odważniejsza. Zapewne kręciła się już wokół Frontona, kiedy wykonawcy ostatniej woli przecinali sznurki zwoju z testamentem Epriusza. Dostawcy cyrkowemu udało się przetrwać cztery tygodnie...

- Zjadł go lew?

- Pantera - poprawił mnie bezzwłocznie. Był tak samo cyniczny jak ja; gość mi się naprawdę bardzo podobał. -

Wymaszerowała z otwartej klatki pod sceną w cyrku Nerona i przyparła biednego Grycjusza do jakichś podnośników. Mówią, że było mnóstwo krwi. Zwierzę poturbowało też linoskoczka, co było raczej zbędne, ale przez to „nieszczęśliwy wypadek" wyglądał bardziej naturalnie. Grycjusz zarabiał mnóstwo pieniędzy... organizował również szczególnego rodzaju występy urozmaicające rozwiązłe uczty. No wiesz... nagie kobiety wykonujące dziwaczne sztuczki z pytonami... Zamówienia na obsługiwanie orgii to jak posiadanie kopalni złota. Oceniam, że Seweryna odmaszerowała od stosu pogrzebowego Frontona z pół milionem w złocie. Aha, i z papugą, której słownictwo wprawiłoby w zakłopotanie nadzorcę galerników.

- Był jakiś raport medyka na temat któregoś z nieboszczyków?

- Atak serca wytwórcy naszyjników wyglądał jak najbardziej naturalnie, nie było też po co wzywać medyka, by zbadał efekt gorliwości pantery... za mało zostało do oglądania! - Luzjusz wzdrygnął się spektakularnie. -Jednak pigularza medyk obejrzał - stwierdził. Uniosłem pytająco brew, a on podał mi z głowy jego imię i adres. -Nie doszukał się niczego szczególnego - dodał.

- Zatem, co zwróciło uwagę organów sprawiedliwości na Sewerynę?

- Wnuk stryjeczny Grycjusza organizował mu transport zwierząt z Egiptu i liczył na to, że odziedziczy pieniądze zarobione na lwach. Pożeglował szybko do domu i próbował wnieść sprawę. Przeprowadziliśmy zwyczajowe śledztwo, ale do rozprawy sądowej nie doszło. Korwin odrzucił powództwo po wstępnym przesłuchaniu.

- Na jakiej podstawie?

Oczy urzędnika rzucały złe błyski.

- Z braku dowodów.

- A były jakieś?

- Absolutnie żadnych.

- Skąd zatem wątpliwości?

- A odkąd to brak dowodu wstrzymuje proces? - zaśmiał się szyderczo.

Mogłem zgadnąć, co się wydarzyło. Luzjusz zapewne wykonał całą robotę za miejscowych edylów (młodych urzędników odpowiedzialnych za śledztwo, w rzeczywistości skupionych wyłącznie na sprawach związanych z własną karierą polityczną). Zaangażował się mocno w sprawę, po czym, kiedy jego wysiłki spełzły na niczym z powodu głupoty pretora, odczuł to boleśnie.

- Była sprytna - mówił zadumany. - Nigdy nie posunęła się za daleko. Ci, których wybierała, mieli mnóstwo gotów ki, ale byli nikim... takimi zerami, że nikt się nie przejął, gdy spotykał ich marny koniec. Cóż, nikt oprócz krewnego jednego z mężów, który zgłaszał pretensje do odziedziczo nego przez nią majątku. Najwyraźniej Grycjusz zapomniał wspomnieć o jego istnieniu, a może zrobił to celowo. Tak czy owak, poza tym drobnym potknięciem wykazała się niezwykłą ostrożnością, Falkonie. Naprawdę nie było żad nych dowodów.

-Jedynie logiczne wnioski! - oświadczyłem z uśmiechem.

-Albo wniosek, jaki wysnuł Korwin: tragiczna ofiara zadziwiającego łańcucha zbiegów okoliczności...

Cóż za znawca prawa.

Potężne beknięcie zza drzwi oznajmiło nam, że za chwilę wynurzy się pretor we własnej osobie. Otworzyły

się drzwi. Młody ciemnooki niewolnik, będący zapewne smakowitym deserem Korwina na zakończenie posiłku, wyszedł do ogrodu z dzbanem będącym pretekstem dla jego obecności. Luzjusz zrobił do mnie oko i zebrał zwoje, niespiesznie, z godnością urzędnika, który już dawno temu nauczył się, jak robić wrażenie bardzo zajętego.

Nie miałem ochoty obserwować, jak pretor się zabawia, odrzucając skargi; skinąłem więc uprzejmie głową jego sekretarzowi i ulotniłem się stamtąd.

IX

Przekonałem sam siebie, że najwyższa pora dać sobie spokój z pracą i zająć się życiem osobistym.

Helena, która moje lekkie podejście do zarabiania na życie uważała za naganne, była zaskoczona, widząc mnie tak wcześnie, jednak łakocie, jakie przyniosłem, zdecydowanie nastroiły ją do mnie łaskawiej. Myślę, że cieszyła ją moja obecność, ale jeśli nawet tak było, to nie pokazała tego po sobie.

Siedzieliśmy w ogrodzie domu jej rodziców, racząc się ciastkami w kształcie gołębi, podczas gdy ja opowiadałem o swojej nowej sprawie. Zauważyła, że w tym śledztwie roi się od kobiet.

Ponieważ zawsze mnie przyłapywała, kiedy próbowałem coś pominąć, opisałem dzień szczegółowo, ze wszystkimi jego urokami. Kiedy doszedłem do Hortensji Atylii i jej wyglądu, przywodzącego na myśl jakiś ciemny orientalny owoc, zawołała ponuro:

- Bityńska śliwka!
- Nie tak pomarszczona! - zaprotestowałem.
- Czy to ta, która gadała przez cały czas?
- Nie, to była Pollia, pierwszy łakomy kąsek.
- Jak one ci się nie pomylą?

-To nietrudne... dla konesera! - rzuciłem beztrosko. Kiedy się nachmurzyła, przestałem żartować. - Wiesz, że

możesz mi zaufać! - oświadczyłem z nieszczerym uśmiechem. Lubię, kiedy moja kobieta snuje domysły, szczególnie jak nie mam nic do ukrycia.

-Wiem tylko, że polecisz za każdą parą żałosnych sandałków i sznurem tandetnych paciorków!

Dotknąłem palcem jej policzka.

- Zjadaj to swoje lepkie ciastko, moja śliczna.

Helena nie ufała komplementom; spojrzała na mnie, jakbym był jakimś łachudrą z Forum, który próbuje zadrzeć jej suknię. Nagle złapałem się na tym, że mówię o czymś, czego w ogóle nie zamierzałem poruszać:

- Myślałaś o mojej wczorajszej propozycji?
- Myślałam.
- Myślisz, że kiedyś to zrobisz?
- Prawdopodobnie.
- To brzmi mi jak p r a w d o p o d o b n i e nie.
- Powiedziałam to szczerze! Zawsze mówię to, co myślę!
- A może się zastanawiasz, czy j a jestem szczery?

Nagle jej twarz rozjaśniła się pełnym czułości uśmie chem.

- Nie, Marku! - odpowiedziała.

Kiedy Helena Justyna tak się uśmiechała, istniało niebezpieczeństwo zbyt emocjonalnej reakcji z mojej strony...

Na szczęście pojawił się jej ojciec. Ze strzechą niesfornie sterczących włosów robił wrażenie niepewnego i zagubionego... przekonałem się już jednak, że wcale taki nie jest. Usiadłem prosto. Kamil z ulgą pozbył się togi, którą niewolnik natychmiast zabrał. Były nony i trwała sesja senatu. Wspomniał coś o sprawach bieżących, zwyczajowych już sporach o drobiazgi; był bardzo uprzejmy, jak zawsze, ale wyraźnie zerkał ku mojemu koszykowi. Połamałem na

kawałki ciasto moszczowe, które miało być dla mojej siostry, i puściłem koszyk w obieg. Cóż szkodzi odwiedzić znowu Minniusza i kupić coś dla Mai.

Kiedy koszyczek się opróżnił, Helena zaczęła się zastanawiać, do czego może się przydać. Wpadła na pomysł, żeby wypełnić go fiołkami z Kampanii i podarować mojej matce.

- Będzie zachwycona - oświadczyłem. - Wszystkie bezużyteczne rzeczy w domu, które tylko obrastają kurzem, przywodzą jej na myśl mojego ojca...

- I kogoś jeszcze! - rzuciła moja ukochana.

- Podoba mi się dziewczę, które mówi otwarcie, co myśli - powiedziałem do senatora. - Czy twoja córka, panie, zawsze była taka swarliwa?

- Wychowaliśmy ją, jak sam widzisz, na stworzenie łagodne, rodzinne - powiedział, pogryzając ciasto.

Uważałem go za miłego człowieka, któremu nieobca jest ironia. Miał dwóch synów (obaj służyli w legionach na prowincji), ale gdyby nie nieugiętość Heleny, ona byłaby zapewne jego ulubienicą. Na pozór traktował ją powściągliwie, domyślałem się jednak, że musieli być sobie bliscy, skoro nigdy mnie nie przegonił. Najwyraźniej uważał za swój obowiązek tolerować każdego, kto darzył uczuciem jego córkę.

- Nad czym teraz pracujesz, Falkonie? - chciał wie dzieć.

Opisałem sprawę i scharakteryzowałem wyzwoleńców.

- To typowa historia o ludziach bogatych i trzeźwo pa trzących, którzy starają się odstraszyć zuchwałą naciągaczkę. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że oni sami są nowobogac kimi. Wezmę to zlecenie, panie, muszę jednak przyznać, że ich snobizm jest nieznośny.

- To jest Rzym, Marku! - Kamil się uśmiechnął. - Nie zapominaj, że niewolnicy z domów znaczących rodów uważają się za istoty stojące wyżej od wolno urodzonych biedaków.

- Takich jak ty! - dodała z uśmiechem Helena. Dawała mi do zrozumienia, że Sabina Pollia i Hortensja Atylia są zbyt wybredne, by się ze mną zadawać.

Rzuciłem jej wymowne spojrzenie spod wpół przymkniętych powiek, żeby poczuła niepokój. Jak zwykle, nic z tego nie wyszło.

- Co ciekawe - powiedziałem do senatora - ci ludzie prawdopodobnie nie zaprzeczą, że doszli do wszystkie go niemal od zera. Człowiek, który był ich właścicielem, zajmował się polerowaniem marmuru. To bardzo specjali styczna praca, wymagająca umiejętności... co oznacza, że zarobek lichy i zależny od liczby zamówień. Tymczasem teraz nieskrywany przepych rezydencji jego wyzwoleńców sugeruje, że ich majątki muszą być większe niż to, co przysługuje z racji urodzenia konsulowi. Co się dziwić, to przecież Rzym!

-Jak udało im się tego wszystkiego dokonać mimo mało obiecującego pochodzenia? - zainteresował się.

- Na razie pozostaje to zagadką...

Podczas tej rozmowy beztrosko zlizywałem miód z liści winorośli, którymi wyłożono koszyk, kiedy nagle przyszło mi do głowy, że córka senatora może nie mieć ochoty zadawać się z prostakiem z Awentynu, który się nie krępuje i w towarzystwie wylizuje resztki. Takie zachowanie nie przystoi komuś siedzącemu w ogrodzie miejskiej rezydencji, pośród nimf z brązu i wdzięcznych cebulkowych kaukaskich roślin, szczególnie kiedy jej szlachetny ojciec jest tego świadkiem...

Mogłem sobie darować te obawy. Helena właśnie zapamiętale szperała w koszyku, nie pozwalając, by choć jedna jagoda z ciasta moszczowego zawieruszyła się na dnie. Wydostała nawet najmniejsze okruszki ciasta spomiędzy splecionych wiklinowych gałązek.

Senator pochwycił moje spojrzenie. Wiedzieliśmy obaj, że Helena wciąż boleje nad utraconym dzieckiem, ale obaj też zauważyliśmy, że zaczyna nabierać zdrowszego wyglądu.

Podniosła nagle wzrok. Jej ojciec spojrzał w bok. Ja nie miałem zamiaru czuć się zażenowany, wobec czego nie odwróciłem spojrzenia i wciąż wpatrywałem się w nią zadumany, podczas gdy ona wpatrzyła się we mnie i tak trwaliśmy w tym milczącym, głębokim porozumieniu ludzi znających nawzajem swoje myśli.

Kamil Werus nagle zmarszczył brwi i popatrzył na mnie z zaciekawieniem, jak mi się wydawało.

X

Choć ja sam zrobiłem już sobie wolne na resztę dnia, inni wciąż jeszcze się trudzili, wobec czego ruszyłem na vicus Longus, żeby sprawdzić, czy biuro pośrednika handlu nieruchomościami, o którym wspomniał Hiacynt, jest jeszcze otwarte. Było.

Kossus okazał się osobnikiem o bladej twarzy i długim nosie, który teraz siedział sobie rozkraczony na stołku; na szczęście jego zielono-brązowa pasiasta tunika była wystarczająco luźna, by nie dochodziło do obrazy moralności. Wyglądał na człowieka, który spędza większość dnia na pogaduszkach ze znajomkami. Kiedy przyszedłem, dwóch ochoczo dotrzymywało mu towarzystwa. Ponieważ zależało mi na przysłudze, stanąłem potulnie z boku, a oni rozprawili się bezlitośnie z różnymi dziwolągami stającymi do najbliższych wyborów, przedyskutowali zalety jakiegoś konia, potem zażarcie się spierali, czy znajoma dziewczyna (kolejny pewniak) jest rzeczywiście w ciąży czy tylko udaje. Kiedy poczułem, że za chwilę zapuszczę korzenie, zakasłałem. Nie zawracając sobie głowy zbędnymi przeprosinami, towarzystwo się rozeszło.

Pozostawszy sam na sam z pośrednikiem, najpierw znalazłem pretekst, by napomknąć o Hiacyncie, tak jakbym znał go od małego, potem wspomniałem o swoim zainteresowaniu rynkiem nieruchomości. Kossus westchnął głęboko.

- Sierpień, Falkonie... mały ruch. Wszyscy wyjechali...

- Jest mnóstwo przypadków śmierci, rozwodów i niewywiązywania się z płatności! - wtrąciłem. Ponieważ mój ojciec był licytatorem, wiedziałem, co się dzieje na rynku nieruchomości o każdej porze roku. Prawdę mówiąc, gdybym chciał kupić coś od ręki, mój własny tata znalazłby mi jakąś ruderę za okazyjną cenę; jednak nawet on trzymał się z daleka od rynku wynajmu. - No, ale skoro nie możesz mi pomóc, Kossusie...

Najłatwiej zmusić pośrednika do działania, dając mu do zrozumienia, że pójdzie się do kogoś innego.

- Jaką okolicę masz na oku? - spytał.

Moje wymagania były niewielkie. Potrzebowałem dużej przestrzeni za niski czynsz, gdzieś w środku miasta. Pierwszym, co mi zaoferował, była klitka za granicznym kamieniem Rzymu, przy drodze Flamińskiej, godzinę drogi od miasta.

- Daj spokój! Muszę być blisko Forum.

- Co powiesz na porządne mieszkanie, żadnych kruczków, małe opłaty, atrakcyjne widoki, pod szczytem Jani-kulum?

- Niewłaściwa strona rzeki.

- W cenę wchodzi jeszcze wspólny taras na dachu.

- Nie rozumiesz, co mówię? Nawet jeśli mógłbym korzystać z ogrodów Juliusza Cezara, Kossusie, to nie jest okolica dla mnie! Nie jestem jakimś cholernym wędrownym handlarzem. Co masz jeszcze?

- Z widokiem na dziedziniec, w cieniu pinii, naprzeciwko obozu pretorianów...

- Też coś! Znajdź sobie głuchego lokatora!

- Parter, przy moście Probusa?

- To dla kogoś, kto lubi taplać się w wodzie, kiedy rzeka wylewa na wiosnę...

Omówiliśmy wszystkie ponure nory, jakie miał na liście od wieków i w końcu Kossus doszedł do słusznego wniosku, że będzie musiał je wcisnąć jakiemuś naiwniakowi, świeżo przybyłemu z prowincji.

- O, tutaj jest coś w sam raz... krótkotrwała dzierżawa w Piscina Publica. Ktoś inny wyraził już zainteresowanie, ale dla ciebie, Falkonie...

- Daruj sobie to przedstawienie. Powiedz, co jest w ofercie?

- Cztery porządne pokoje, dobry rozkład, trzecie piętro...

- Wychodzące na dziedziniec?

- Na ulicę... ale spokojną. Bardzo atrakcyjna okolica, z dala od magazynów Awentynu i lubiana przez lepszą klientelę - rozpływał się. Jaki to wesołek pisze im te teksty? Sens był oczywiście taki, że daleko stamtąd do targowisk, a mieszkańcami są zadufani w sobie inżynierowie wodni. - Umowa jest sześciomiesięczna, ponieważ właściciel nie jest jeszcze pewien swoich planów co do przyszłości tej kamienicy - dodał. To mi odpowiadało, bo sam nie byłem pewien własnych planów co do mojej wypłacalności.

- Ile?

- Pięć tysięcy?

- Rocznie?

- Za p ó ł r o k u ! - Kossus obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem. - To rynek dla ludzi zamożnych, Falkonie.

- Raczej dla głupców.

-Twoja sprawa, twój wybór. Takie są aktualne stawki - zakomunikował sztywno. Obdarzyłem go spojrze-

niem, które mówiło, że wobec tego rezygnuję. - Cóż, dla przyjaciela mógłbym zapewne zejść do trzech tysięcy - powiedział z wahaniem. Jego prowizja wynosiła połowę ceny, jeśli prawidłowo to odczytywałem... co nie czyniło go moim przyjacielem. - Ze względu na krótki okres wynajmu - dodał, całkiem nieprzekonująco.

Siedziałem, milcząc, ze zmarszczonym czołem, mając nadzieję, że w ten sposób go zmogę; nic z tego. Dwunasta to rzeczywiście znośna dzielnica. Położona na wschód od Awentynu, po drugiej stronie drogi Ostyjskiej... dla mnie niemalże dom. Publiczne stawy rybne, od których wzięła nazwę, wyschły wiele lat temu, wiedziałem więc, że komary się stamtąd wyprowadziły... Umówiłem się, że nazajutrz pójdziemy tam i obejrzę sobie to lokum.

Zanim jeszcze tego samego wieczoru dotarłem do Dziedzińca Fontanny, byłem zdecydowany wziąć to mieszkanie w Piscina Publica, nieważne jak wyglądało. Znużyło mnie to ciągłe wspinanie się po schodach. Miałem dość brudu i hałasu, i cudzych kłopotów wdzierających się w moje życie. Dziś wieczór, przemierzając plątaninę uliczek Awentynu, wrastających jedna w drugą niczym włókna jakiegoś obrzydliwego podziemnego grzyba, powiedziałem sobie, że każde czteropokojowe mieszkanie o niezłym rozkładzie, gdziekolwiek by się znajdowało, musi być lepsze od tego.

Wciąż snując marzenia, wyszedłem zza rogu, skąd już widziałem pralnię Lenii. Jutro podpiszę umowę wynajmu, która pozwoli mi przestać się wstydzić za każdym razem, kiedy podaję nieznajomemu swój adres...

Widok stóp kazał mi przerwać miłe dla ducha rozważania.

Stopy, ogromnych zresztą rozmiarów, przebierały niespokojnie w portyku sklepiku wyplatacza koszyków, jakieś dziesięć kroków ode mnie. Rzuciły mi się w oczy nie tylko ze względu na rozmiar, ale również dlatego, że zajmowały miejsce, w którym ja sam się zawsze ustawiałem, kiedy chciałem dyskretnie poobserwować z zewnątrz swoje mieszkanie, zanim się do niego wdrapałem.

Właściciel stóp wyraźnie na coś czekał. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania wyrobami plecionkarza, chociaż tkwił przed gigantycznym stosem wiklinowych koszy, które byłyby prawdziwym skarbem w każdym domu. Tuż przed nim stał piękny kosz na prowiant, w sam raz na wyprawę za miasto, prawdziwa okazja dla amatora... Wciśnięty za pilaster starałem się przyjrzeć mężczyźnie dokładniej. Wiedziałem, że nie jest włamywaczem; włamywacze lubią coś ukraść. Nawet ci ofermowaci nie zawracają sobie głowy Dziedzińcem Fontanny.

Klient lub wierzyciel wszedłby pogadać z Lenią. Wielkostopy musiał pojawić się tutaj na polecenie naczelnego szpiega.

Wycofałem się ostrożnie i bocznym zaułkiem dotarłem do uliczki na tyłach. Teren za pralnią wyglądał normalnie. W taki duszny letni wieczór odór płynących środkiem ulicy ścieków gryzł nozdrza niemiłosiernie. W cieniu spały dwa czarne, wychudzone psy. Zza popękanej okiennicy nad moją głową dochodził jazgot małżeńskiej wymiany zdań. Kłóciły się też, albo głośno plotkowały, dwie skubiące kury kobiety, przy zagrodzie z osowiałymi kapłonami. A na beczce siedział bezczynnie jakiś mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

To musiał być drugi szpieg. Tkwił w pełnym słońcu. Nikt o zdrowych zmysłach nie wybrałby tego miejsca dla

odpoczynku. Było natomiast idealne, jeśli chciało się mieć na oku krzątaninę pośród suszącego się prania. Jeśli nie był zakochanym w którejś z pomocnic Lenii, to musiał mieć złe zamiary.

Zdecydowałem się na strategiczny odwrót.

Posiadanie licznej rodziny bywa użyteczne. Miałem mnóstwo krewnych, a wszyscy oni uważali mnie za swoją własność. Większość chętnie by mnie przenocowała w zamian za możność ponarzekania na moje obyczaje. Siostry rozwodziłyby się nad tym, jak to matka musiała wyciągnąć mnie z więzienia, więc wolałem już iść do matki. Wiedziałem, że wiąże się to z okazaniem uległości, ale pomyślałem, że mogę sobie pozwolić na mały pokaz uprzejmości. Udało mi się odgrywać wdzięcznego, dopóki byłem zajęty pałaszowaniem pierogów z krewetkami, ale kiedy wysiłek związany z utrzymywaniem pokornej miny stał się nie do zniesienia, postanowiłem wrócić do siebie.

Obserwator z zaułka na tyłach domu musiał być człowiekiem dobrze zorganizowanym; załatwił sobie zastępcę. Zmiennik siedział na beczce i starał się nie rzucać w oczy. Mógł się nie wysilać, bo trudno było nie zauważyć łysego jak kolano kurdupla z haczykowatym nosem i opadającą powieką lewego oka.

Posiadacz wielkich stóp uparcie tkwił przed sklepikiem z wikliną... co było absurdalne, bo właściciel wniósł już swoje wyroby do środka, zasunął i zamknął kratę. Wślizgnąłem się do miejscowego fryzjera, zapłaciłem jednemu z jego potomków i kazałem powiedzieć uparciuchowi na zewnątrz, że jakiś człeczyna chce z nim pogadać

w zaułku. Mój plan był prosty. On poczłapie na bezowocną rozmowę z kurduplem, a ja będę się raczyć kielichem przed snem na swoim balkonie sześć pięter wyżej.

Tak też się stało. Bywają dni, kiedy wszystko układa się dobrze.

XI

Nazajutrz wstałem wcześnie. Miałem nadzieję, że zanim łachmyty Anakrytesa rozpoczną obserwację mojej nory, zdążę się wymknąć do jakiejś garkuchni na świeżym powietrzu dwie dzielnice dalej. W rezultacie delektowałem się śniadaniem (chleb i daktyle, miód i grzane wino... nic specjalnego jak dla człowieka prowadzącego obserwację) i nie spuszczałem oka z domu zawodowej panny młodej.

Seweryna Zotyka mieszkała w drugiej dzielnicy, Celimontium, przy ulicy ciągnącej się kawałek za portykiem Klaudii (w tym czasie w ruinie, ale ujętym przez Wespa-zjana w programie odbudowy budynków publicznych); w spokojnym trójkącie utworzonym przez akwedukty i dwie drogi główne, spotykające się przy miejskiej Porta Asina-ria. Kossus musiał dobrze wiedzieć, że okolica wzgórza Ce-lius jest dla mnie zbyt wytworna. Po pierwsze, ulice miały tu nazwy. Założył, że może się to okazać kłopotliwe; drań myślał, że nie potrafię czytać.

Ulica Seweryny, Abacus, wzięła nazwę od liczydła. Była elegancka, z jezdnią szeroką na pojedynczy wóz. Na jednym końcu znajdowała się dobrze utrzymana fontanna publiczna; na drugim był mały ryneczek, a na nim stragany z ceramiką kuchenną i warzywami. Po obu stronach

ulicy na parterach domów mieściły się jeden za drugim kramiki rzemieślnicze i sklepiki handlarzy, i magazyny kupców. Można tam było kupić wiele towarów, od wyrobów metalowych, poprzez sery i marynaty, do tkanin. Sklepikarze pracowicie pucowali fasady, co robiło bardzo dobre wrażenie. Szerokie, sklepione wejścia oddzielały od siebie schody prowadzące do znajdujących się wyżej mieszkań oraz przejścia do tych mieszczących się z tyłu parteru. W rogach sklepików i warsztatów było kilka stopni przedłużonych drabiną, po której można się było dostać na antresole, służące dzierżawcom tabern za pomieszczenia mieszkalne. Domy były przeważnie trzykondygnacyjne, obłożone cegłą, bez balkonów, choć wiele okien ozdobiono skrzynkami z roślinami albo wietrzyły się w nich dywany i narzuty.

Panował tu ożywiony ruch. Widziałem wyprostowaną starszą panią, spokojnych ludzi interesów, niewolnika wyprowadzającego na spacer pokojowego pieska, dzieci z tabliczkami do pisania. Rzadko się do siebie odzywali, wymieniali jednak ukłony. Ich zachowanie pozwalało sądzić, że większość z nich mieszka tutaj od dawna. Znali się, ale nie mieli zwyczaju spoufalać ze sobą.

Cztery wejścia dalej znajdował się lupanar. Nie był w żaden sposób oznaczony, ale wystarczyło tu chwilę pobyć, żeby go rozpoznać. Klienci wchodzili tam ze zmęczonymi minami, a pół godziny później wymaszerowywali bardzo zadowoleni.

Skupiłem uwagę na śniadaniu, choć właśnie przypominały mi się te poranki, kiedy budziłem się obok jakiejś osóbki, którą zwabiłem do siebie poprzedniego wieczoru, i baraszkowałem z nią jeszcze przez jakąś godzinkę... Bardzo szybko zatęskniłem za jedną, szczególną. Pomyślałem

sobie, że nie ma w tym przybytku takiej, która mogłaby ją zastąpić.

A już na pewno takiej, która opłaciłaby mi czynsz.

Wciąż było dość wcześnie, kiedy nieco poobijana lektyka wynurzyła się z wejścia pomiędzy sklepikiem z serami a bławatnym. Tam właśnie, jak mi powiedziano, mieszkała Seweryna. Zasłonki nie pozwalały zobaczyć, kto siedzi w środku. Tragarzami było dwóch niskich, krępych niewolników, wybranych ze względu na szerokość barów, a nie na szybkość, jaką mogliby osiągnąć na Świętej Drodze; mieli wielkie łapy i paskudne gęby; wyglądali na takich, co zajmują się wszystkim, od noszenia wody do łatania butów.

Za posiłek zapłaciłem już wcześniej. Teraz wystarczyło wstać i strzepnąć z siebie okruchy. Ci dwaj z lektyką przemaszerowali obok mnie, kierując się w stronę miasta. Ruszyłem za nimi leniwym krokiem.

Kiedy dotarliśmy do pierwszego akweduktu, skręcili w lewo, zagłębili się w zaułki i wyłonili na Drodze Appij-skiej. Obeszli Circus Maximus i skierowali się ku Awentynowi. Poczułem się dziwnie: naciągaczka najwyraźniej zmierzała wprost do rezydencji Falkona...

Jak się okazało, wybrała bardziej cywilizowane miejsce. Tragarze zatrzymali się przy Atrium Libertatis. Z lektyki wynurzyła się kobieta średniego wzrostu, tak szczelnie otulona w rdzawą pallę, że widać było jedynie poruszającą się z wdziękiem, drobną wyprostowaną postać. Weszła do biblioteki Azyniusza Polliona, gdzie wymieniła uprzejmości z bibliotekarzem, oddając kilka zwojów i wypożyczając kolejne, które już na nią czekały. Wszystkiego bym się

spodziewał, ale nie tego, że kobieta wybrała się z domu po to, by wymienić książki w publicznej bibliotece.

Wychodząc, minęła mnie bardzo blisko. Udawałem, że szperam na półkach z dziełami filozofów, zdążyłem jednak zauważyć ściskającą zwoje białą rączkę, a na środkowym palcu pierścionek z jakimś czerwonym kamieniem. Szata miała skromny odcień przygaszonej umbry, choć jej fałdy połyskiwały kosztownie. Rąbek palli, który osłaniał jej głowę, był haftowany i zdobiony perłami.

Gdybym został, żeby pogadać z bibliotekarzem, straciłbym z oczu lektykę. Podążyłem więc za kobietą do magazynów portowych, gdzie kupiła trochę betyckiej szynki i kilka syryjskich gruszek. Następnie zatrzymała się przy teatrze Marcellusa, wysłała jednego z tragarzy do kasy po bilet na miejsce w galerii dla kobiet na ten wieczór.

Następnie dama kazała się zanieść z powrotem do Celimontium. Kupiła kapustę, która, moim skromnym zdaniem, mogła okazać się twardawa, spędziła godzinę w żeńskiej łaźni, potem wyszła stamtąd drobnym kroczkiem i udała się do domu. Zjadłem siekane kotleciki w gar-kuchni i przesiedziałem tam całe popołudnie. Jeden z niewolników wyszedł, żeby naostrzyć nóż, ale obiekt mojego zainteresowania się nie pojawił. Wczesnym wieczorem zabrano ją prosto do teatru. Nie pofatygowałem się tam. Dawali pantomimę będącą farsą o cudzołożących parach i szamotaninach ze zdradzanymi mężami, którzy wpadają do dogodnie otwartych skrzyń na koce; już ją widziałem; aktorzy poruszali się okropnie. Zresztą obserwowanie kobiety w teatrze niesie pewne ryzyko. Jeśli taki przystojniak jak ja zacznie zbyt często zerkać w stronę miejsc dla kobiet, latawice z dołów społecznych zaczną kierować do niego bezwstydne liściki.

Poszedłem zobaczyć się z Heleną. Nie było jej; wybrała się z matką w odwiedziny do ciotki.

W winiarni w Piscina Publica spotkałem Kossusa, postawiłem mu kubek wina (mały), a potem poszliśmy obejrzeć mieszkanie. Ku memu zdumieniu nie wyglądało to źle: dość wąska uliczka, zwykła kamienica, schody były, co prawda, zakurzone, ale nie walały się tam żadne śmiecie ani odpadki. W kilku kątach klatki schodowej stały metalowe lampy, co prawda wyschnięte, bez odrobiny oliwy.

- Mógłbyś je sobie napełnić, jakbyś chciał mieć jasno - poradził mi Kossus.

- Właściciel mógłby kazać je zapalać.

- Prawda! - zgodził się z uśmiechem. - Wspomnę o tym...

Podejrzewałem, że niedawno nastąpiła zmiana właściciela. W przejściu zauważyłem narzędzia murarskie, sklepiki na parterze stały puste i choć główny lokator (mój ewentualny przyszły gospodarz) zostawił dla siebie duże mieszkanie za nimi, było ono jeszcze niezamieszkane. Kossus powiedział, że nie muszę się wcale widzieć z administratorem; on sam zawsze załatwiał wszystkie sprawy związane z podnajmem. Tyle czasu i wysiłku kosztowało mnie unikanie Smaraktusa, że takie rozwiązanie wydawało mi się wspaniałą odmianą.

Mieszkania w tym domu były wszystkie jednakowe, różniło się tylko piętro. Wchodziło się najpierw na korytarz, a po każdej jego stronie mieściły się dwa pokoje. Nie były wiele większe od tych, które miałem przy Dziedzińcu Fontanny, o ileż jednak wytworniejsze można prowadzić życie, mając cztery pokoje: osobno pokój główny, osobno sypialnia, pokój do lektury i biuro... Podłogi były drew-

niane, solidne, a w powietrzu unosił się zachęcający zapach świeżego tynku. Gdyby dach przeciekał, miałbym nad sobą innych lokatorów, których zdążyłoby zalać, nim woda przeciekłaby do mnie. Nie zobaczyłem żadnych śladów robactwa. Sąsiedzi (jeśli żyli) zachowywali się cicho. Przybiliśmy z Kossusem dłonie.

- Za ile tygodni z góry mam ci zapłacić?

- Ależ za całe pół roku! - wykrzyknął ze zgrozą.

- Jeśli okres wynajmu zaczyna się od lipca, to tracę dwa miesiące!

- No cóż... czyli za następne cztery miesiące - zgodził się. Obiecałem, że natychmiast zamienię na gotówkę swoje żetony z zakładów i przyniosę mu pieniądze. - I jeszcze depozyt ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej - dodał.

- Odpowiedzialności cywilnej? - zdziwiłem się. Chodziło o to, że jeśli zrzucę doniczkę na głowę jakiemuś przechodniowi, to odpowiedzialny jest główny najemca, skoro ja jestem tylko podnajemcą. Mój dotychczasowy gospodarz, Smaraktus, nigdy nie pomyślał o takim zabezpieczeniu... ale na Awentynie większość ludzi znajduje sposób na wynagrodzenie krzywd bez konieczności stawania się stroną w procesie. Zwyczajnie wpadają ci do mieszkania i walą w łeb. - Czy zawsze się pobiera taką opłatę? -zapytałem.

-Taki jest zwyczaj w wypadku nowych lokatorów -odparł.

Ponieważ chciałem robić wrażenie światowca, z godnością przyjąłem to do wiadomości.

Mając na karku Anakrytesa, im szybciej przeniosę się pod nowy adres, tym lżej będzie mi się żyło. Nie mogłem się już doczekać, kiedy powiem Smaraktusowi, że może so-

bie szukać kolejnego naiwniaka, który wynajmie tę brudną norę na szóstym piętrze. Zanim jednak zmieniłem adres, musiałem zorganizować sobie jakieś meble.

Szpiedzy Anakrytesa wciąż obserwowali moją kamienicę. Pomaszerowałem wprost do tego z wielkimi stopami.

- Przepraszam, czy tutaj mieszka Dydiusz Falko? - zapytałem. Odruchowo skinął głową. - Czy jest może teraz u siebie? - pytałem dalej. Teraz, kiedy próbował ukryć swoje zainteresowanie, szpieg miał dość głupią minę.

Wciąż odgrywając rolę nieznajomego, ruszyłem na górę, żeby sprawdzić, czy Falko jest w domu. No i proszę, jak już się tam znalazłem, okazało się, że jest.

Mając dom pod obserwacją, powinni odnotowywać, kto wchodzi do środka, i zwracać uwagę, czy wychodzi. Przeciągnąłem w poprzek schodów sznurek przywiązany do żelaznego rondla. Hałas musiałby obudzić całą kamienicę, gdyby ktoś zawadził o sznurek, a rondel potoczył się po schodach, ale nikt się za mną nie pofatygował. Pałac nie płacił za prawdziwą fachowość. Wiedziałem o tym; sam kiedyś tam pracowałem.

XII

W drugim dniu mojej obserwacji Seweryna Zotyka tkwiła w domu, zapewne przy lekturze zwojów. Zauważyłem dostawy amfor z oliwą i rybną marynatą, a potem pojawiła się kobieta z rozklekotanym wózkiem wypełnionym po brzegi motkami z wełną. Miał źle ustawione kółka, więc podszedłem i podniosłem stopą podwozie, kiedy trudziła się, żeby pokonać krawężnik.

- Ktoś będzie miał sporo roboty! - rzuciłem dociekliwie.

- Ona zawsze kupuje duże ilości - wyjaśniła dostarczycielka wełny. Sapiąc z wysiłku, wciągała wózek w wejście domu Seweryny. - Sama tka - dodała, dumna ze swojej klientki.

Akurat.

Dzień był nieciekawy dla kogoś, kto chciał zdobywać sławę literacką, pisząc pamiętniki: rano śniadanie; kiełbasa z Lukanii w południe (niestrawność po jej spożyciu); upał; po południu walka psów (żadnych spektakularnych pokąsań)...

Wreszcie, wczesnym wieczorem, w wyjściu pojawiła się lektyka, za którą dreptała chuda niewolnica ze skrzyneczką zawierającą środki upiększające w jednej ręce oraz z drapaczką i flakonem olejku zawieszonymi na nadgarstku drugiej. Seweryna zniknęła we wnętrzu tej samej łaźni, pociągając za sobą dziewczynę. Godzinę później zbiegła

schodami w dół. Miała złocone sandałki, dziwaczną szatę, bogato lamowaną złotymi nićmi, a na głowie okrytej pallą sterczało coś, co mi wyglądało na diadem. Niewolnica ruszyła z powrotem do domu, ze skrzyneczką i zbytecznymi strojami swojej pani, podczas gdy tragarze ponieśli Sewerynę na północ, ku wzgórzu Pincius. Najwyraźniej szykowała się towarzyska wizyta w domu Hortensjuszy. Lektyka zatrzymała się przy kramie Minniusza, gdzie kobieta kupiła jeden z tych jego koszyków wyłożonych liśćmi winorośli. Poszedłem za nią aż do budki strażnika przy bramie, puściłem do niego oko, a on potwierdził, że dama ucztuje ze swoim wybrankiem. Wyglądało na to, że nic nie zyskam, wystając przez cały wieczór przed domem, podczas gdy oni będą się opychać i wdzięczyć do siebie. Wróciłem więc do Minniusza.

- Czy Seweryna często się tutaj zatrzymuje?

- Za każdym razem, kiedy odwiedza Nowusa. On przepada za słodyczami. Mieszkańcy tego domu są moimi stałymi klientami, ale ona i tak zawsze bierze dla niego jakiś drobiazg.

Kupiłem kolejną porcję ciasta moszczowego dla siostry, ale zjadłem je po drodze do Heleny.

- Jak ci idzie śledztwo, Marku?

- Wszystko wskazuje na to, że kobieta jest prawdziwą domatorką, która rozwija intelekt i pragnie mieć nagrobek w stylu klasycznym. Z napisu: „żyła z jednym małżonkiem", jak możemy założyć, zrezygnowała, ale ma się tam znaleźć. „Czysta, cnotliwa i szlachetna... Własnoręcznie tkała..."

- Może rzeczywiście jest szlachetna!

- A może w Trypolitanii spadnie śnieg! Czas, bym się jej bliżej przyjrzał...

-W tej łaźni tylko dla kobiet? - Helena udawała wstrząśniętą.

- Moja kochana, mogę się przebrać za kogokolwiek... ale nikt mnie nie weźmie za kobietę, kiedy już będę goły... - Zastanawiając się, czy nie mógłbym wystąpić w roli zamiatacza, obdarzyłem Helenę lubieżnym uśmieszkiem.

- Nie szczerz mi się tu, Dydiuszu Falkonie! I nie zapominaj, że wypuszczono cię z Lautumiów za kaucją... - powiedziała ostrym tonem. Po chwili, ni z gruszki, ni z pietruszki, dodała: - Brakowało mi cię wczoraj. - Głos miała niski; była w nim szczera nutka tęsknoty, dla mężczyzny, który chciał to usłyszeć.

- Nie moja wina. Nie było cię, kiedy przyszedłem.

Wpatrywała się w czubki swoich pantofelków (skórkowych, o dyskretnym kolorze, ale z fantazyjnymi purpurowymi rzemykami). Wspomniałem, też ni z gruszki, ni z pietruszki, że zdecydowałem się wynająć nowe mieszkanie. Byłem ciekaw, jak to przyjmie.

- Mogę przyjść je obejrzeć? - zapytała, podnosząc wzrok.

- Jak kupię trochę mebli - odparłem. Żaden szanujący się kawaler nie zaprasza atrakcyjnej dziewczyny do swojego mieszkania, dopóki nie będzie tam miał lustra i wszystkiego innego, co może okazać się przydatne. Takiego jak łoże. - Nie martw się - dodałem - ledwie informacja o tej przeprowadzce dotrze do mojej rodziny, zostanę zarzucony wszystkim, czego od dawna chcieli się pozbyć... szczególnie zaś koszmarkami będącymi rezultatem nieudanych prób mojego szwagra w dziedzinie ciesiołki...

- Mój ojciec zamierzał podarować ci swoją podniszczo-

ną sofę, która służyła mu do czytania, ale może teraz, kiedy tak się pniesz w górę, nie będziesz jej już chciał?

- Bardzo chętnie ją wezmę! - zapewniłem Helenę.

Spojrzała na mnie niepewnie. Zawsze bezbłędnie zgadywała, jakie motywy mną kierują.

Sofa nie musi służyć tylko do czytania.

Wyszedłem wcześnie. Skończyły nam się tematy do rozmowy.

Nawet nie pocałowałem swojej ukochanej. Kiedy nadszedł moment pożegnania, wyglądała nieprzystępnie, więc ja też zachowałem się powściągliwie i wyszedłem, skinąwszy jej tylko głową.

Nie zdążyłem dotrzeć do końca ulicy, a już ogarnęło mnie przygnębienie i żałowałem, że nie okazałem jej więcej czułości. Miałem ochotę wrócić. Powstrzymałem się jednak. Nie mogłem zachowywać się w obecności senatorskiej córki jak niezdecydowany osioł.

XIII

Resztę wieczoru spędziłem, zamieniając żetony z zakładów na gotówkę. Odnalazłem Kossusa, dobiłem targu i dostałem klucz. Wypiłem z nim kilka głębszych - na zakończenie transakcji - a potem kilka kolejnych z moim najlepszym przyjacielem Petroniuszem Longusem (prawdę mówiąc, nieco więcej, niż zamierzaliśmy, ale przecież tym razem naprawdę było co opijać). W końcu wpadłem w tak błogi nastrój, że odechciało mi się bawić w ciuciubabkę ze szpiegami tkwiącymi przy Dziedzińcu Fontanny i ruszyłem prosto do mojego nowego mieszkania. Wtoczyłem się do środka, zwaliłem na podłogę i śpiewałem sobie przed zaśnięciem.

Ktoś załomotał do drzwi i dopytywał się, czy wszystko w porządku. Miło wiedzieć, że będę miał takich troskliwych sąsiadów.

Obudziłem się wcześnie. Nawet najlepiej położone deski podłogowe tak działają na człowieka.

Ciągle zadowolony z życia, pomimo bólu głowy, wyszedłem, żeby coś przekąsić. W Piscina Publica całonocne garkuchnie okazały się czymś bardzo rzadkim, co mogło być kłopotliwe przy moim nieuregulowanym trybie życia. W końcu znalazłem szynk, w którym roiło się od bzyczą-

cych niecierpliwie much, gdzie kelner z zapuchniętymi oczyma podał mi pajdę czerstwego chleba z marynowanym ogórkiem i oznajmił, że mam to sobie zjeść na dworze.

Było za wcześnie na obserwowanie domu Seweryny, ale i tak nie przestawałem myśleć o tej zachłannej, filigranowej osóbce. Klienci bowiem naiwnie spodziewają się natychmiastowych efektów, więc wkrótce będą się domagać informacji o postępach.

Nogi poniosły mnie na wschód. Zaszedłem pod Eskwi-lin, w tę starą część miasta, którą ludzie uparcie nazywają Suburą, choć nadano jej inną nazwę, po tym jak August rozszerzył miasto i podzielił na czternaście dzielnic. Niektórzy narzekają, że Rzym utracił wtedy swój charakter; ja wyobrażam sobie, że kiedy Romulus wyorał rytualną bruzdę, wyznaczając obszar miasta, ze wzgórz spoglądali z niechęcią odziani w skóry sędziwi wieśniacy i mamrotali w swoje zmierzwione brody, że życie w takiej cudacznej osadzie wykarmionego przez wilczycę człowieka nie będzie wiele warte...

Subura zachowała republikański charakter. Większa jej część została zniszczona przez wielki pożar za Nerona. On sam zagarnął wielką połać sczerniałej ziemi pod swój Złoty Dom, ogromne ogrody i malownicze parki. Potem rozkazał odbudować Rzym na klasycznym planie, z ulicami tworzącymi siatkę prostopadłych linii, z przestrzeganiem przepisów przeciwpożarowych. (Nawet Neron zauważył, że Złoty Dom jest wystarczająco duży dla takiego jak on władcy, więc nie planowano dalszych wyburzeń na cesarskie budowle). W rzeczywistości wiele ulic wytyczono w sposób dość chaotyczny, lekceważąc jego rozporządzenia.

Podobało mi się to. W cesarstwie już i tak jest za dużo przepisowo uporządkowanych miast, niczym się między sobą nie różniących.

Ta dzielnica uchodziła kiedyś za najbardziej obskurną w mieście. Teraz doczekała się wielu konkurentek do tego zaszczytnego miana. Subura była niczym podstarzała dziwka; zapracowała na swoją reputację i nie musiała się już wysilać. A przecież wciąż nie było to bezpieczne miejsce. Jak wszędzie indziej rabusie wykorzystywali ciasne przejścia. Mieli ustalone metody; nie patyczkowali się i działali błyskawicznie. Chwytali ofiarę za szyję, wbijali sztylet pod żebra, rzucali człowieka na kolana, wciskali mu twarz w błoto i znikali.

Zachowywałem czujność. Znałem Suburę, jednak nie na tyle, by rozpoznawać twarze, i nie tak dobrze, żeby tutejsi złoczyńcy trzymali się ode mnie z daleka.

Przyszedłem tutaj w konkretnym celu. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości Seweryny. Urzędnik pretora, Luzjusz, wspomniał, że jej pierwszy mąż, ten od naszyjników, Moskus, miał gdzieś w tej okolicy sklep. Zacząłem rozglądać się za jubilerami. Oni zazwyczaj wiedzą, gdzie mieści się konkurencja. No i rzeczywiście, za trzecią próbą skierowano mnie do właściwego sklepiku, do którego dotarłem w momencie, kiedy go właśnie otwierano.

Nowy właściciel był prawdopodobnie kiedyś niewolnikiem Moskusa, a teraz jako człowiek wolny pracował dla siebie. Miał tam różne wyroby, od wklęsło rzeźbionych gemm, do wypukłych kamei. Używał wszystkich kamieni półszlachetnych, szczególnie jednak agatów - bladoniebieskich z mlecznymi prążkami; białych, poznaczonych niczym porostami pasmami zieleni albo brunatnej czerwieni;

antracytowych, z półprzezroczystymi warstwami, pięknie naprzemianlegle zabarwionych płowożółtymi i brązowymi wstęgami. Siedział już przy warsztacie i układał maleńkie grudki złota, mające oddzielać od siebie kamienie naszyjnika. Najwyraźniej sam wykonywał całą pracę.

- Uszanowanie! - zawołałem. - Czy tutaj mieszka Sewerus Moskus? Mam go odszukać. Moja matka znała jego matkę...

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Czy było to w Tuskulum? - zapytał dziwnie piskliwym głosem jak na człowieka, który zachowywał się tak spokojnie.

Podejrzewając, że chce mnie złapać w pułapkę, wzruszyłem obojętnie ramionami.

- Możliwe. Mama mieszkała w różnych miejscach. Powiedziała mi gdzie, ale przyznaję, że niezbyt pilnie słuchałem...

- Moskus nie żyje.

- Nie! - Zagwizdałem. - Wobec tego na próżno się fatygowałem. Słuchaj... bo moja staruszka na pewno mnie o to zapyta. Możesz mi powiedzieć, jak to się stało? -spróbowałem.

Oparł się o ladę i opowiedział mi całą tę historię o ataku serca w nagrzanym słońcem amfiteatrze.

- A to pech. Był stary?

- Po sześćdziesiątce.

- Jeszcze nie taki stary! - rzuciłem. Nie zareagował. -Miał jakąś rodzinę? Mama by chciała, żebym złożył wyrazy współczucia w jej imieniu...

Wydawało mi się, że nagle dostrzegam rezerwę w jego twarzy.

- Nie - odpowiedział.

To było dziwne, poza tym nieścisłe.

- A ty? - ciągnąłem beztrosko, jak jakiś prostacki nieznajomy. - Prowadzisz jego interes... byłeś z nim związany?

- Pracowałem z nim. Dobrze mnie wyuczył... zajmowałem się tym sklepem, kiedy zaczął odczuwać swój wiek, a przejąłem całkowicie po jego śmierci.

Wyraziłem podziw dla jego wyrobów. Miał tam wszystko, od sznurów tanich korali do bajecznych wisiorów z sardonyksu, wielkich jak pół mojej pięści.

- Piękne! Znam damę, która zachwyciłaby się każdą z tych tu rzeczy... - oznajmiłem. Nie, żebym zamierzał cokolwiek kupować, mając przed sobą umeblowanie całego mieszkania. Zresztą Helena posiadała dość biżuterii. Większość była lepsza od tego, co mógłbym jej dać; rywalizacja w tej dziedzinie nie miała sensu. - Słuchaj, nie zrozum mnie źle, ale matka na pewno wspominała mi, że Moskus miał żonę.

- Wyszła powtórnie za mąż - stwierdził krótko, ale niezbyt ponuro. - Wynajmuję ten sklep od niej. Chciałbyś się jeszcze dowiedzieć czegoś o Moskusie, synku? Gdzie miał znamiona czy może jakie duże stopy?

W reakcji na ten coraz bardziej agresywny ton zrobiłem minę urażonego niewiniątka.

- Na Jowisza, wścibstwo nie było moim zamiarem... tyle że moja mama nigdy nie ma dość, na pewno będzie chciała usłyszeć całą historię.

- To j uż wszystko. Wysłuchałeś całej historii - oświadczył sucho wytwórca kamei.

- Jasne! Dzięki! - Zaryzykowałem jeszcze ostatnie bezczelne pytanie. - Czy nie irytuje cię odrobinę, że ty musiałeś dbać o ten interes dla starego Moskusa, a kończysz jako

najemca, podczas gdy wdowa po nim radośnie ulatuje z kimś nowym?

- Nie. - Szlifierz kamieni patrzył z niezmąconym spokojem, zachęcając mnie, bym ujął rzecz jeszcze bardziej otwarcie... zarazem dając do zrozumienia, że zareaguje ostro, jeśli sobie na to pozwolę. - Dlaczego miałoby mnie irytować? - ciągnął swoim piskliwym głosem, najwyraźniej zupełnie nie przejęty pytaniami, jakimi go zarzuciłem. -Czynsz jest przyzwoity, ona ma niezłe wyczucie w interesach. Moskus nie żyje. To już sprawa dziewczyny, co robi ze swoim życiem.

Jeśli chciałem się dowiedzieć jakichś skandalizujących plotek, to tutaj nie miałem na co liczyć. Uśmiechnąłem się głupawo i odmaszerowałem.

Wróciłem do obserwacji domu Seweryny. Zapiski w dzienniku mogłyby wyglądać tak jak zawsze. Śniadanie. Upał. Dostawa wina. Pies rzuca się w pogoń za kotem. Naciągaczka rusza do łaźni...

Dotarłem do punktu, w którym mogłem opisać dzień Seweryny, zanim ona jeszcze zdążyła się przeciągnąć, ziewnąć i ułożyć plany. Łatwa robota, choć tak bezcelowa, że aż przygnębiająca. Nagle, kiedy głowiłem się, jak by tu popchnąć sprawy do przodu, zaczęło się wreszcie coś dziać.

Lektyka pojawiła się tuż po obiedzie. Podążałem za nią przez pięć ulic, a potem zza kramiku z ceramiką patrzyłem, jak znika w wejściu kamienicy. Zostałem na miejscu. Po jakiejś godzinie ogarnęły mnie wątpliwości. Wynurzyłem się zza kramiku, spodziewając się zobaczyć lektykę Seweryny na drugim końcu ciemnego przejścia.

Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że lektyka przepadła bez śladu. Tkwiłem jak jakiś dureń na ulicy pośród poszturchujących mnie tacami handlarzy plackami i depczących po palcach mułów, a tymczasem kobietę wniesiono do domu od frontu, a potem wyniesiono od tyłu przez ogrodową furtkę. Dobra robota, Falkonie!

Podszedłem do kamienicy. Mieszkanie na parterze niczym nie przyciągało uwagi. Nie miało z tej strony żadnych okien; żadnych pnączy w doniczkach; kocięta nie wygrzewały się na progu; były tam tylko ciemno pomalowane drzwi z małym, zakratowanym okienkiem. W ścianę wmurowano ceramiczną tabliczkę. Na granatowym tle, w obramowaniu z maleńkich złotych gwiazdek, widniało czarne, wypisane greckim alfabetem imię.

TTXH

Już wiedziałem, co to za miejsce. Domyślałem się, jaką szaloną staruchą musi być owa Tyche.

Zebrałem siły. Potem podniosłem pięść i załomotałem w drzwi.

- Można się umówić? - zawołałem.

- Chcesz ją widzieć teraz? -Jeśli nie ma u niej nikogo...

- Chyba da się zrobić. Ostatni gość wyszedł już jakiś czas temu...

Przełknąłem ślinę. Potem wszedłem do środka na spotkanie z wróżką.

XIV

Nie znoszę takich miejsc.

Przygotowałem się na ordynarny babiloński bełkot. Ku mojej uldze, cuchnące dymem pomieszczenie służące do przepowiedni musiało znajdować się w jakiejś dalszej części domu, schludny, młodziutki niewolnik zaprowadził mnie bowiem do zadziwiająco eleganckiego pokoju przyjęć. Mozaikowa posadzka połyskiwała czernią i bielą. Dół ścian ozdobiono prostym deseniem, góra była czarna; poszczególne płyciny oddzielały stylizowane kandelabry i maleńkie złocone medaliony z motywami muszli przegrzebków oraz bukiecikami. Po dwu stronach niskiego, białego marmurowego stołu, który musiał ważyć z pół tony, stały dwa krzesła, takie, jakich używają kobiety. Na jednym końcu stołu ustawiono (czego należało się spodziewać) astrola-bium, a na drugim położono otwarty zwój z dotyczącymi planet zapiskami. Na półkach, naprzeciwko drzwi, stały bardzo stare greckie wazy, na których widok mojemu znajomemu licytatorowi pociekłaby ślina - wszystkie w idealnym stanie, wszystkie spore, wszystkie pokryte wzorem w tradycyjnym, geometrycznym stylu. Te powtarzające się rzędy pętelek, kółek i stylizowanych antylop musiały być celowym wyborem kolekcjonera o dobrym guście.

Te antyki zrobiły na mnie większe wrażenie niż cała reszta. W powietrzu snuła się jeszcze delikatna woń ko-

biecych pachnideł, nie czuło się jednak zapachu kadzidła mającego odurzyć nieostrożnego gościa. Żadnych dzwoneczków. Żadnej delikatnej, upajającej muzyki. Żadnych zdeformowanych karłów, wyskakujących z niewidocznych kryjówek...

-Witam. W czym mogę pomóc? - zapytała kobieta, która wyszła zza kotary. Była nieskazitelnie czysta, spokojna i miała miły, kulturalny głos. Mówiła po łacinie z lepszym akcentem ode mnie.

Wyglądała mniej więcej na sześćdziesiąt lat. Jej prosta, ciemna stola, spięta u góry dwiema srebrnymi agrafami, spływała w taki sposób, że choć ręce miała obnażone, to jednak ukryte w fałdach materiału. Jej włosy były dość rzadkie, czarne, przeplatane pasmami siwizny. Twarz nie emanowała aurą profesjonalnej tajemniczości, jeśli nie liczyć opadających powiek. Te oczy nie miały jakiegoś szczególnego koloru. Była to typowa twarz kobiety interesu, obracającej się w męskim świecie Rzymu: zgodnej, a zarazem niezłomnej i odrobinę, ledwie dostrzegalnie, zgorzkniałej.

- Jesteś astrologiem?

Usta miała zaciśnięte, jakby odnosiła się do mnie z niechęcią.

- Jestem Tyche.

- Greckie imię Fortuny... bardzo ładnie!

- Zabrzmiało obraźliwie.

- Mam kilka innych określeń na tych, którzy niepotrzebnie wzbudzają nadzieje ludzi pogrążonych w rozpaczy.

- Muszę zatem pamiętać - skomentowała moje słowa Tyche - by nie wzbudzać twoich!

Spodziewałem się, że podda mnie wnikliwej obserwacji. Wlepiłem w nią oczy.

-Widzę, że nie jesteś klientem - powiedziała, choć się nie odezwałem. Udawanie, że czyta w myślach, było oczywiście częścią jej zawodowej techniki.

- Nazywam się Falko...

- Nie muszę znać twojego imienia.

- Oszczędź mi tej gadki. Mam ochotę zgrzytać zębami, kiedy słyszę enigmatyczne dyrdymały.

- Aha, rozumiem. - Spojrzała na mnie smętnie. - Jesteś rozczarowany otaczającą cię scenerią. Chciałeś poczuć śmiertelne przerażenie. Oczekiwałeś chichoczącej wiedźmy rzucającej wysuszone wnętrzności zwierzęce do płonącego, zielonego ognia?... Przestałam rzucać uroki. Dym niszczy wystrój wnętrza... Powiedz mi lepiej, kiedy się urodziłeś.

- Po co?

- Każdy, kto przychodzi w jakiejś innej sprawie, spodziewa się darmowej przepowiedni.

-Ja nie! W marcu, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć.

- Ryby czy Baran?

- Nigdy nie jestem tego pewien. „Podczas koniunkcji".

- Jasne!

- Miałem rację, czujesz do mnie niechęć - warknąłem.

-Jak większość ludzi. Twoje oczy widziały zbyt wiele rzeczy, o których nie rozmawia się z przyjaciółmi.

- Moje stopy wydeptały zbyt wiele nierównych chod ników, kiedy posuwałem się tropem zbyt wielu pazernych dziewcząt, które są w zmowie ze śmiercią! A tak przy oka zji, tej na imię Seweryna.

- Wiem - wyszeptała Tyche. -

O?

- Seweryna była klientką - **wyjaśniła** z **łagodną deza-**

probatą. - Potrzebne mi było jej imię i adres, by wysłać rachunek.

To mnie zaskoczyło.

- A co z przekazywaniem srebrnego denara z ręki do ręki? Myślałem, że ludzie tacy jak ty robią interesy z rozliczeniem gotówką?

- W żadnym razie! Nigdy nie biorę pieniędzy do ręki. Mam trzech kompetentnych księgowych, którzy zajmują się moimi finansami - wyjaśniła. Musiała to być wróżka, która przebyła prawdziwie długą drogę od opowiadania półprawd dziewczynom pastuszków w dusznych brezentowych budach. Tyche obsługiwała gości w złoconych lektykach; założę się, że słono kazała sobie za to płacić. - Czego chcesz, Falkonie? - zapytała.

- Jasnowidz powinien wiedzieć! Czego chciała Seweryna Zotyka? - rzuciłem. Kobieta obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem, od którego miałem poczuć dreszcze w krzyżu. Poczułem. Jednak w mojej pracy blefliczył się w takim samym stopniu jak w jej robocie. - Kupowała horoskopy? -drążyłem. W milczeniu skinęła głową. - Muszę wiedzieć, co jej powiedziałaś.

- Tajemnica zawodowa!

- Naturalnie zapłacę za to aktualną stawkę...

- Ta informacja nie jest na sprzedaż.

- W s z y s t k o jest na sprzedaż! Powiedz, o czyją przyszłość jej chodziło.

- W żadnym razie nie mogę tego zrobić.

- W porządku, wobec tego, ja ci powiem! Powiedziała ci, że wybiera się za mąż i chce wiedzieć, co ją czeka po ślubie. Jeden horoskop dotyczył jej, po to by wyglądało to uczciwie. Drugi natomiast dotyczył...

- Jej przyszłego męża - dokończyła za mnie.

Tyche uśmiechnęła się cierpko, jakby zdawała sobie sprawę z tego, że ta informacja musi zostać błędnie zinterpretowana; niektórzy bowiem wierzą, że wystarczy wejść w posiadanie horoskopu innego człowieka, żeby przejąć władzę nad jego duszą.

XV

Wreszcie trafiłem na jakąś wskazówkę dotyczącą motywów Seweryny: poczułem, jak podwijają mi się palce stóp, a pięty próbują przebić posadzkę. Szorstkie włókna znoszonej wełnianej tuniki drapały w obojczyk. Do tego zadziwiająco przyjemnego pokoju, z jego poważną lokatorką, wkradło się coś mrożącego krew w żyłach.

Nim zdołałem wykrztusić jakieś słowo, kobieta się odezwała.

- Zakładam, że nie jesteś człowiekiem przesądnym?

- Chodzi raczej o to, czy S e w e r y n a wierzy, że jej daje to władzę nad narzeczonym! - wykrzyknąłem. - Rzym nie ma nic przeciwko ludziom, którzy wykazują zainteresowanie swoim przyszłym losem... jednak podglądanie cudzego przeznaczenia uważa za dowód złych zamiarów. W świecie polityki nabycie horoskopu przeciwnika traktowane jest jako akt wrogi. Zatem, niezależnie o kogo chodziło, Seweryna naruszyła poważne tabu dotyczące prywatności. Tyche, możesz zostać oskarżona o współudział w zbrodni: jeśli ten wyzwoleniec umrze, j a gotów będę potwierdzić, że zachęcałaś do morderstwa... chyba że będziesz ze mną współpracować. Co jej powiedziałaś? -wyrzuciłem jednym tchem.

- Powiedziałam jej prawdę, Falko.

- Przestań robić uniki! Jeśli Nowus ma umrzeć w ciągu

kilku najbliższych tygodni, to lepiej ostrzeż **mnie** o tym teraz... - niecierpliwiłem się.

- Jeśli człowiek ma umrzeć, to umrze!

- Za chwilę mi powiesz, że w s z y s c y pomrzemy...

- Moje zdolności nie mają siły sprawczej. Potrafię interpretować los. Nie jest moją rolą go zmieniać.

- Ha! Nigdy tego nie próbujesz?

- A ty? - rzuciła.

-Wychowała mnie dobra matka; zdarza się więc, że współczucie wdziera się w moje życie zawodowe...

- Musisz często popadać w przygnębienie!

- Popadałbym jeszcze częściej, gdyby nie próbowano powstrzymać ludzi mających złe zamiary...

- Każda siła ma swoją przeciwwagę. Złe działania muszą być zrównoważone przez dobre - powiedziała z przekonaniem. Wciąż nie ruszając się z miejsca, obdarzyła mnie nagle uśmiechem tak promiennym, że trudno mi było to znieść. - Może ty rzeczywiście jesteś posłańcem gwiazd? -dodała.

- Też coś! - burknąłem, choć miałem ochotę wyszczerzyć zęby w uśmiechu. - Nie jestem własnością żadnego eterycznego komitetu zarządzającego, jestem niezależnym duchem.

- Myślę, że nie całkiem! - Wyraźnie czuła pokusę, by się roześmiać. Przeczekała chwilę i odsunęła się od drzwi.

Przepowiedziałem (po cichu), że pewien przystojny, ciemnowłosy mężczyzna o inteligentnych oczach opuści za chwilę energicznym krokiem jej dom.

- Tyche, skoro nie chcesz mi powiedzieć, czy Nowuso-wi nic nie grozi, to przynajmniej zdradź jedno: czy Seweryna Zotyka zostanie stracona za swoje zbrodnie?

- Ależ skąd. Może nie będzie szczęśliwa, ale po długim życiu czeka ją śmierć we własnym łożu.

- Powiedziałaś jej to?

Na twarz wróżki powrócił cierpki wyraz twarzy.

- Rozmawiałyśmy wyłącznie o jej nadziejach na szczęśliwe życie.

- No cóż, pewnie niewielu ludzi zadaje ci pytanie: Czy to możliwe, że rzucą mnie lwom na pożarcie jak pospolitego przestępcę?

- Rzeczywiście!

-1 co jej powiedziałaś w związku z planowanym ślubem?

- Nie uwierzysz.

- Przekonaj się.

- Kolejny mąż Seweryny będzie żył długo i ją przeżyje.

Oświadczyłem, że to znakomita wiadomość dla niego!

Czas było odejść. Pożegnałem ją zamyślony, z szacunkiem, jakim darzę tych, co potrafią dać zajęcie trzem księgowym. Ale tacy jak ona nigdy nie wypuszczą człowieka tak łatwo.

- Chcesz posłuchać przepowiedni, Falkonie?

- A mogę tego uniknąć?

- Osoba, która cię kocha, może mieć przed sobą wyższe cele.

- Każdemu, kto mnie kocha, mogłoby się powieść lepiej w życiu! - rzuciłem. Ponieważ chodziło o Helenę, nie potrafiłem zachować kamiennej twarzy. - Ta osoba, o której mowa, nie kochałaby mnie teraz, gdyby miała ochotę wybrać mniej szalony los.

- Twoje serce wie, czy to prawda.

Nie było najmniejszego powodu, żebym miał usprawiedliwiać Helenę przed jakąś stosującą szarlatańskie praktyki kobietą.

- Złożyłem moje serce u jej stóp - rzuciłem ostro. - Nie

będę miał pretensji, jeśli je szturchnie czubkiem pantofelka, a potem kopnie tu i tam! Jednak nie podważaj jej lojalności! Widziałaś mnie i wyciągnęłaś kilka precyzyjnych wniosków, nie możesz jednak oceniać mojej pani...

- Mogę ocenić każdego człowieka - stwierdziła kategorycznie - po osobie, którą kocha.

Jak w wypadku każdego stwierdzenia astrologów, mogło to oznaczać wszystko, co człowiekowi akurat pasowało... albo zupełnie nic.

XVI

Wróciłem na ulicę Seweryny. Prawie natychmiast pojawiła się jej lektyka. Nie zdążyłem nawet dotrzeć do mojej garkuchni. Zatrzymałem się tylko na drugim końcu ulicy, żeby kupić sobie jabłko. Staruszek, który prowadził stragan z owocami, opowiadał mi o swoim sadzie w Kampanii, jak się okazało, położonym całkiem niedaleko ogrodu warzywnego mojej matki. Byliśmy tak pogrążeni w rozmowie o charakterystycznych miejscach i postaciach tamtych okolic, że trudno mi było skupić się na śledzeniu lektyki.

Nagle, kiedy starałem się delikatnie odmówić przyjęcia darmowego owocu od starca, kobieta kształtów i wzrostu Seweryny, z twarzą *szczelnie* osłoniętą woalką, wyjrzała podejrzliwie z przejścia obok sklepiku z serami. Bez trudu rozpoznałem niewolnicę u jej boku...

Do *tej pory* prowadziłem tę obserwację od niechcenia. Teraz już wiedziałem, że moja obecność nie pozostała niezauważona; że wymknięcie mi się u Tyche było celowe, a wysłanie lektyki służyło odwróceniu mojej uwagi.

Obie kobiety spoglądały w stronę jadłodajni. Czekałem przy straganie z owocami, aż się upewniły, że moja ławka jest pusta. W końcu ruszyły pieszo; tym razem się pilnowałem, żeby mnie nie zauważyły.

Jeśli wizyta u wróżki była wydarzeniem znaczącym, to okazała się niczym przy tym, co czekało mnie teraz: moja podejrzana wybrała się do marmurnika.

Zamawiała nagrobek.

Nietrudno było zgadnąć dla kogo.

Kiedy wybrała blok marmuru i wyszła, ruszyłem do marmurnika.

Miał na imię Skaurus. Znalazłem go w wąskim przejściu pomiędzy blokami z kamienia. Po jednej stronie ułożono wysoko stosy szorstkiego trawertynu przeznaczonego na budowę, po drugiej deski chroniły mniejsze płyty gładszego marmuru, na których zostaną wyryte samochwalcze epitafia urzędników drugiej kategorii, z innych powstaną kamienie nagrobne dla zasłużonych żołnierzy oraz przejmujące tabliczki poświęcone pamięci utraconych dzieci.

Skaurus był niewysokim, mocno zbudowanym, okrytym pyłem osobnikiem, z łysą czaszką, szeroką twarzą i małymi uszami sterczącymi jak piasty kół. Jego transakcje z klientami miały oczywiście poufny charakter. I naturalnie wielkość łapówki, na jaką było stać moich klientów, pozwoliła nam bardzo szybko pokonać tę trudność.

- Interesuje mnie Seweryna Zotyka. Jest na pewno twoją ulubioną, regularną klientką... z racji tych wszystkich domowych tragedii!

- Wykonałem dla niej parę zleceń - przyznał Skaurus, nie przejmując się moim żartobliwym podejściem.

-Trzech utraconych mężów... i kolejny na widoku! Czy dobrze mi się wydaje, że zamówiła świeży nagrobek? - zapytałem. Skinął głową. - Mógłbym zobaczyć, jaki napis zostanie wyryty?

- Seweryna przyszła tylko po to, żeby dokonać oceny kosztów i zostawić zaliczkę na materiał.

- Podała imię zmarłego? -

Nie.

- To co powiedziała?

- Chodzi o jakichś innych ludzi... o coś składkowego. Musi się z nimi skonsultować w sprawie napisu.

- Nie wątpię! Rodzinie nie wypada się w to angażować, póki nieszczęśnik żyje! - Powoli zaczynałem się wkurzać. - Czy ona tak zawsze zamawia nagrobek z wyprzedzeniem?

Skaurus stawał się ostrożniejszy. Kwitnący interes to jedno, ale potraktowanie go jako podżegacza to zupełnie inna sprawa. Uprzedziłem go, że wrócę, by zobaczyć gotowy nagrobek, i dałem sobie spokój.

Wystarczyło mi to, co wiedziałem. Horoskop i kamień na pomnik mówiły same za siebie. Jeśli nikt nie wkroczy i nie powstrzyma Seweryny, Hortensjusz Nowus jest już trupem.

XVII

Niektórzy detektywi, kiedy zdobędą jakąś ważną informację, biegną natychmiast się tym pochwalić. Ja lubię sobie wszystko najpierw rozważyć. Odkąd poznałem Helenę, najlepiej mi się rozważało w jej towarzystwie; miała bystry umysł i tę zaletę, że postrzegała moją pracę w sposób bezstronny. Jej aprobata dodawała mi otuchy... a czasami miewała pomysły, które przekuwałem w sprytne posunięcie, prowadzące do rozwikłania sprawy. Czasami Helena mówiła mi, że jestem protekcjonalnym tropicielem, co tylko potwierdza jej spostrzegawczość.

Przybyłem pod senatorskie drzwi około dziewiątej, tuż przed kolacją. Odźwiernym na służbie okazał się mój stary nieprzyjaciel. Gorliwie mnie zapewnił, że Heleny nie ma.

Spytałem, dokąd się udała. Do łaźni. Której? Nie wiedział. I tak mu nie wierzyłem. Córka senatora rzadko wychodzi z domu, nikomu nie mówiąc, dokąd się wybiera. Nie musi to być koniecznie prawda. Wystarczy jakakolwiek historyjka, która upewniłaby szlachetnego ojca, że jego kwiatuszek zachowuje się szacownie, i nie dała matce (która wie swoje) nowego powodu do zmartwienia.

Wymieniłem z Janusem kilka dowcipnych odzywek, choć szczerze mówiąc, jego intelektowi daleko było do

mojego. Odwracałem się już, żeby odejść, kiedy zaginiony gołąbeczek zdecydował się przyfrunąć do domu.

- Gdzieżeś była? - zapytałem bardziej gorączkowo, niż zamierzałem.

Wyglądała na zdziwioną.

-W łaźni...

Rzeczywiście była czyściutka. Wyglądała rozkosznie. Jej włosy błyszczały; gładka skóra pachniała wyraźnie jakimś kwiatowym olejkiem. Miałem wielką ochotę podejść jeszcze bliżej i dokładnie to sprawdzić... znowu zaczynałem się gorączkować. Wiedziałem, że to widzi i zaraz zacznie się śmiać, wobec czego zacząłem paplać.

- Właśnie poznałem wróżkę, która utrzymuje, że czeka mnie niepowodzenie w miłości. Więc naturalnie przybiegłem prosto tutaj...

- Po odpowiednią dawkę niepowodzenia?

- Cudownie wpływa na trawienie. Ale za to ty masz przed sobą „wyższe cele".

-To mi wygląda na ciężkie zadanie! Chodzi o jakiś zapis testamentowy? Czy mogłabym pozbyć się tego na czyjąś korzyść?

- Nie, pani, twój los zapisany jest w gwiazdach... choć na szczęście wieszczka stwierdziła, że jestem posłańcem gwiazd. Za niewielką opłatą mogę zmienić los i poplątać przeznaczenie...

- Muszę pamiętać, żebyś się nie kręcił w pobliżu, kiedy będę przędła wełnę... Wejdziesz, żeby mnie rozweselać, czy chcesz mnie podręczyć przez chwilę swoim widokiem, bym usychała z tęsknoty za tobą?

Ponieważ odźwierny otworzył przed nią drzwi, ja też dostałem się do środka.

- A jest tak? - spytałem nonszalancko.

-Jak?

- Usychasz z tęsknoty za mną?

Helena Justyna odpowiedziała mi nieodgadnionym uśmiechem.

Wciągnęła mnie głębiej i posadziła pod pergolą w ustronnej kolumnadzie. Sama usiadła obok i włożyła różę w zapinkę na moim ramieniu, poganiając niewolników, by przynieśli mi wino, podgrzali je, podali miseczki migdałów, następnie poduszki, a potem wymienili kubek na inny, bo mój miał odłupaną odrobinę glazury... spoczywałem w pozycji półleżącej i rozkoszowałem się poświęcaną mi uwagą. Helena była nadzwyczaj czuła. Coś się musiało dziać. Doszedłem do wniosku, że najpewniej jakiś wymuskany drań z senatorskim rodowodem zaprosił ją do domu, żeby pokazać kolekcję waz czarnofiguro-wych.

- Marku, opowiedz, jak minął ci dzień - poprosiła. Opowiedziałem, z ponurą miną. - Rozchmurz się. Potrzebujesz rozrywki. Nie chciałbyś zobaczyć, jak jakieś lafiryndy popisują się przed tobą? Idź i spotkaj się ze swoimi klientkami. Wizyta u jubilera wydaje mi się całkowitą stratą czasu, opowiedz im za to o astrolożce i o kamieniarzu i zobacz, jak zareagują.

- Posyłasz mnie do siedliska wiedźm!

- Dwie pulchne rozrzutne kobiety nie mające ani gustu, ani skrupułów, chętnie demonstrujące swoje wdzięki, w szatach ledwo trzymających się im na ramionach... myślę, że sobie poradzisz.

- Skąd znasz te wszystkie szczegóły?

- Poszłam je sobie obejrzeć - oznajmiła. Twarz jej się

zarumieniła, ale patrzyła mi śmiało w oczy, kiedy bardzo zaniepokojony odwróciłem się ku niej.

- Heleno Justyno! Jak to zrobiłaś?

- Zwyczajnie. Dziś, po południu, złożyłam im wizytę. Powiedziałam, że zamierzam zorganizować szkołę dla porzuconych dziewczynek. Zauważyłam, że będąc kobietami wrażliwymi... jedna z nich nawet matką... na pewno chętnie ofiarują jakąś sumę na ten cel.

- Na Marsa Mściciela! Zrobiły to?

- Z początku tylko Atylia. Ta Pollia to nieugięta szpila... ale ostatecznie ją zawstydziłam. Wtedy oczywiście dała mi o g r o m n ą sumę, starając się pokazać mi, jacy to oni są zamożni.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś, kim jesteś.

- Oczywiście, że powiedziałam. Nie było żadnego powodu, by mogły mnie skojarzyć z tobą - rzuciła. Okrutne, ale prawdziwe. Mnie samemu było bardzo trudno skojarzyć nas dwoje ze sobą. - Ludzie, którzy mieszkają na tamtym wzgórzu, to okropne bufony. One były zachwycone, że senatorska córka popija grzane wino pośród tego ekstrawaganckiego wystroju i prosi, by zaangażowały się w skromną obywatelską działalność.

- Upiły cię?

- Niezupełnie. Na pewno są przekonane, że pokazały się jako fantastyczne panie domu, skoro podawały gościowi niemal wrzące wino w monstrualnie wielkich pucharach. Na tę porę dnia najodpowiedniejsza byłaby niewielka ilość ziołowej herbatki. A c i e b i e upiły?

-Nie.

- A to pech! Przede mną chciały się pochwalić pucharami z litego srebra... zbyt ciężkimi do trzymania i zbyt ozdobnymi do utrzymania w czystości. Na moim był

największy topaz, jaki w życiu widziałam. - Zadumała się, po czym dodała: - Oceniają świat wokół siebie po kosztach. Liczy się tylko to, co ma skandalicznie wysoką cenę... Twoje stawki są zbyt rozsądne. Jestem zdziwiona, że cię w ogóle zatrudniły.

- Dzięki! - burknąłem, choć odnosiłem przykre wrażenie, że moja ukochana ma rację. Na chwilę ukryłem twarz w dłoniach, po czym się roześmiałem. - Co zrobisz z tymi pieniędzmi?

- Założę szkołę. Nie jestem hipokrytką, Marku.

Była niezwykła. Wolałem jednak nie okazywać jej podziwu. Helena nie potrzebowała zachęty. Sam byłem świadkiem, jak wśród ludzi bywa rozczulająco nieśmiała... a przecież zupełnie wyzbywa się nieśmiałości, kiedy tylko wpada jej do głowy jakiś niemądry pomysł, choćby jak ten teraz.

- Zaczynam się niepokoić, kiedy się rzucasz w wir czegoś. Po co w ogóle tam poszłaś? - Nie odpowiedziała. - Już wiem. Ciekawość! - Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie, zaglądając w wielkie, ciemne oczy, z których wyzierały miłość i lekceważenie, co tworzyło zadziwiające połączenie. - Więc co sądzisz o moich klientkach?

- Raczej zbyt rzucające się w oczy... jeśli odwiedzę je znowu, zawiozę im w prezencie agrafy do spinania szat... - zapowiedziała. Jak dobrze było zobaczyć tę dawną ochotę do psot. - Sabina Pollia pazurami wyorała sobie drogę z nicości... pewno jeszcze ma ziemię pod paznokciami. Ta macierzyńska istotka robi wrażenie trwożliwej, potrzebującej ochrony... w rzeczywistości bezwzględnie manipulującej wszystkimi wokół... A przy okazji, widziałeś jej synka? Podejrzewam, że ten brzdąc już wie, co mamusi chodzi po głowie. Atylia ma wobec niego wielkie plany.

Nie spocznie, dopóki nie umieści go w senacie, kiedy tylko osiągnie stosowny wiek...

Potrafiłem sobie wyobrazić lepsze perspektywy dla dziecka, którego rodzina ma tyle energii i pieniędzy na jego wspieranie; nietaktownie byłoby jednak mówić coś takiego córce senatora.

- Cóż za wspaniała matka! - palnąłem bezmyślnie i jeszcze bardziej nietaktownie.

- Wiele z nas mogłoby być cudownymi matkami!

Jeszcze zanim to wykrzyczała, chwyciłem ją w objęcia.

- Ty będziesz! - zapewniłem ją. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy; nie było sposobności. Wydawało mi się, że unikanie tego tematu mi odpowiada; a przecież teraz odkryłem, że zaczynam gorliwie wygłaszać przygotowaną mowę. - Ukochana, żadne z nas nie było gotowe; możliwe, że śmierć była najlepszym losem, jaki mógł spotkać to biedactwo... - mówiłem. Helena wyrywała się gniewnie. Dostrzegłem jej mroczny nastrój, który mi się nie podobał, ale nie zamierzałem zostawić dziewczyny i wynieść się tylko dlatego, że tego oczekiwała. - Chwileczkę, posłuchaj, muszę o tym powiedzieć... Heleno, nigdy na nic nie liczę, ale tym razem musimy znaleźć jakiś sposób, by być razem, nacieszyć się tym... a kiedy już naprawdę będziemy to uważać za dobry pomysł, zapoczątkujemy nowe pokolenie takich jak my dziwaków...

- A może ja wcale nie chcę...

- Przekonam cię...

- Marku, nie chcę o tym myśleć. Najpierw muszę przeboleć to, co się stało!

- Wiem... - Obawiałem się, że ją całkowicie utracę, jeśli teraz odgrodzi się ode mnie. Poza tym byłem rozgniewany. - Nie wykluczaj mnie z tego... i nie sądź, że łatwo mi było, kiedy to się stało!

- Ty i te twoje republikańskie przekonania! - szepnęła Helena, w typowy dla siebie sposób zmieniając raptownie nastrój i całując mnie po twarzy. - Przestań być taki rozsądny... - dodała. Milczałem. - Dydiuszu Falkonie, ktoś ci powinien wytłumaczyć, że detektywi to twardziele; detektywi to zahartowani, nieugięci ludzie prowadzący nędzny żywot, którzy kiedy tylko im się uda ujść cało, chowają się pospiesznie w swoim prymitywnym świecie...

- Mylisz się. Detektywi to miękkie, nagie ślimaki. Każda jako tako obuta kobieta może nas rozdeptać. Ale to nie znaczy, że pozwolę się Hortensjuszowym damul-kom rozgnieść na ogrodowej ścieżce. Nie musiałaś przeprowadzać tam rekonesansu, najdroższa, potrafię o siebie zadbać... - zapewniłem ją. Z tym nie będzie kłopotu. Moim problemem była natomiast troska o Helenę. - Nie angażuj się w to - prosiłem.

- Nie będę, Marku - obiecała potulnie i co oczywiste, nieszczerze.

- Przynajmniej potem mi o tym nie mów! - rzuciłem. Wciąż mi się bacznie przyglądała. - Nie martw się o mnie. Te dwie kobiety w domu Hortensjuszów to zera. Z tobą nikt nie może rywalizować. Poza tym moją żelazną zasadą jest nigdy nie sypiać z klientką.

- Już ją złamałeś.

-Raz.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem. Odpowiedziała niepewnym uśmiechem. Przyciągnąłem jej głowę i ułożyłem sobie na ramieniu.

Kolumnada, w której się przyczailiśmy, zapewniała prywatność. Tkwiłem wciąż w tej samej pozycji, przytulając

Helenę. Byłem odprężony i bardziej czuły niż na ogół. Ona wciąż wyglądała na zmartwioną; gładziłem ją po włosach i jej twarz stała się spokojniejsza. Ośmieliło mnie to do pójścia dalej, na wypadek gdyby na jej ciele były jakieś inne napięte miejsca...

- Marku! - powiedziała. Udawałem, że nie słyszę. Jej skóra była tak miękka i gładka, jakby ją namaszczono specjalnie dla kogoś, kto to potrafi docenić. - Marku, utrudniasz sytuację nam obojgu... - Postanowiłem jej pokazać, że jestem taki twardy, jak powiedziała wcześniej, więc przestałem.

Niedługo potem zdecydowałem się odejść; brzęk srebrnych naczyń i sztućców, świadczący o tym, że jej rodzice jedzą kolację, stał się kłopotliwy. Helena zaprosiła mnie do jadalni, nie chciałem jednak, by ona czy jej rodzice (szczególnie matka) uznali, że należę do pasożytów pojawiających się w porze posiłku z nadzieją, że ich nakarmią.

Opuściwszy dom, szedłem zadumany na północ. Niektórzy detektywi robią wrażenie, że gdziekolwiek się udadzą, zachwycająco piękne kobiety bez żadnej zachęty pozbywają się swoich skąpych szatek i ciągną ich do łoża. Powiedziałem sobie, że mnie przydarza się to tak rzadko, ponieważ wzbudzam zainteresowanie bardziej wybrednych dziewczyn.

Cóż; raz wzbudziłem zainteresowanie jednej takiej.

XVIII

Panie były w domu bez swoich mężczyzn i się nudziły. Zjawiłem się niczym dar od bogów, by dostarczyć im rozrywki po kolacji. Gdybym przyniósł flet i przyprowadził kilkoro frygijskich tancerzy z mieczami, przydałbym się jeszcze bardziej.

Za każdym razem, kiedy pojawię się w tym domu, przyjmują mnie w innym pokoju. Dzisiejszego wieczoru znalazłem się w komnacie wypoczynkowej w jaskrawolazurowym kolorze. Na łożach leżały kosztowne narzuty w wymownie nadmiernej ilości. Leżały tam też stosy pękatych poduszek w błyszczących poszewkach, bogato zdobione, z grubymi frędzlami i chwastami. Pokój zapchany był meblami: stoliczki z brązu wsparte na priapicznych satyrach; sofy na srebrnych lwich łapach; gablotki inkrustowane szylkretem mieściły zbieraninę spiralnie zdobionych wyrobów z syryjskiego szkła (w tym co najmniej jedną wazę, niedawno podrobioną w Kampanii), parę drobiazgów z kości słoniowej, kolekcję całkiem ładnych etruskich lusterek i ogromne naczynie z litego złota o niejasnym przeznaczeniu, zwane zapewne „misą wotywną", choć mnie przywodziło na myśl nocnik jakiegoś wyjątkowo spasionego władcy macedońskiego.

Z gładką skórą i powiekami przyciemnionymi proszkiem antymonu kobiety wyglądały okazale jak draperie

w ich domu. Sabina Pollia rozłożyła się na swojej sofie niczym szałwia rozpanoszona na grządce ziół. Hortensja Atyłia spoczywała w przyzwoitszej pozie, choć unosząc wysoko jedną stopę, odsłaniała przy okazji całą nogę. Prawdę mówiąc, na ich widok po obu stronach ogromnego półmiska z kiściami winogron natychmiast przyszły mi do głowy uszczypliwe uwagi Heleny, którymi właśnie w tym celu się ze mną podzieliła. Obie miały na sobie fałdziste szaty, przeznaczone raczej do odkrywania niż okrywania ich kształtnych ciał. Zastanawiałem się, czy lewa, czy prawa agrafa zsunie się pierwsza z ponętnego ramienia Pollii, obsypanej szmaragdami; Atyłia była wprost wysadzana indyjskimi perłami.

Synek Atylii, niczym nie wyróżniające się dziecko, towarzyszył kobietom; klęczał na marmurowej posadzce i bawił się terakotowym osiołkiem. Mógł mieć jakieś osiem lat. Puściłem do niego oko, a on odpowiedział mi otwarcie wrogim spojrzeniem, jakim mali chłopcy witają nieznajomych, pojawiających się w ich domu.

- I co takiego nam przynosisz, Falko? - spytała Pollia.

-Tylko nowiny - oświadczyłem przepraszającym to
nem.

Szkarłatna szata zsunęła się z lewego ramienia Pollii tak nisko, że zaczęło jej to przeszkadzać. Poprawiła ją energicznym ruchem. Skutek był taki, że szata czarująco się osunęła po jej prawej piersi.

- Opowiadaj! - niecierpliwiła się Hortensja Atyłia, przebierając palcami uniesionej stopy. Ona wolała mieć agrafy właściwie umieszczone na pięknych ramionach. A to oznaczało, że kiedy wspierała się na łokciach, przód jej szaty (koloru morskiego błękitu, prawie gustownego, ale niezupełnie) opadał tak obniżoną krzywizną, że jeśli

ktoś akurat stał, to mógł sięgnąć wzrokiem do dużego brązowego znamienia, znajdującego się poniżej rowka między piersiami. Oto szczodra bogini matka, robiąca dobry użytek z tych fragmentów ciała, które boginie matki lubią wystawiać na pokaz. Naturalnie, ja pozostałem nieporu-szony; nie należałem do ludzi religijnych.

Bez dalszych wstępów przekazałem swoim klientkom szczegóły moich odkryć.

-Jeśli chodzi o tę wróżkę, nie chciałbym roztrząsać kwestii przesądów, lepiej jednak będzie nie wspominać o niej Hortensjuszowi Nowusowi, bo może się za bardzo przejąć. Nerwowym ludziom przydarzają się wypadki...

- To jeszcze niczego nie dowodzi - oświadczyła Pollia, rzucając mi miażdżące spojrzenie. Wypiła sporo wina do kolacji. Przyszedł czas na wyciągnięcie dziadka do orzechów; widziałem, że to ja jestem tym orzechem laskowym, nadającym się do rozłupania.

Zachowałem całkowity spokój.

-Jestem pierwszy, który to przyzna. Jednakże zamówienie nagrobka to zupełnie inna sprawa! Seweryna Zo-tyka podchodzi do ślubu tak zdecydowanie praktycznie, że gdybym to ja był jej oblubieńcem, co żywo szukałbym schronienia.

- Tak - przyznała.

Chłopiec roztrzaskał osiołka o nogę stolika; jego matka zmarszczyła brwi i gestem nakazała mu opuścić pokój.

- Może jesteśmy niesprawiedliwi - wtrąciła Atylia - i ona chce się tylko upewnić, że nie dotknie jej już tam ten pech. Te horoskopy mogły być całkiem niewinne - stwierdziła.

Z tych dwóch kobiet Hortensja Atylia miała znacznie więcej wielkoduszności. Jak wszystko inne, czym była

szczodrze obdarzona, ją też wystawiała chętnie na widok publiczny.

- Teraz natomiast chciałbym porozmawiać sobie z Se weryną - oświadczyłem.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Z jakiegoś powodu przypomniała mi się obawa Heleny, że coś w tej łamigłówce jest nie tak.

- To może nie być łatwe - powiedziała Atylia. Jej skromna minka miała dać mi do zrozumienia, jaki to z niej delikatny, potrzebujący silnego oparcia na łączce żywota kwiatuszek; starałem się zrobić wrażenie miejskiego opryszka, który raczej obrywa roślinom kwiatki, niż je pielęgnuje.

- Może powinniśmy poczekać - dodała Pollia, uśmiechając się do mnie promiennie. - Nie stracisz na tym finansowo...

Zastrzygłem uszami.

- Sabino Pollio, uzgodniliśmy oboje, że powinienem sprawdzić, jaka jest cena tej pani.

Pollia przybrała szczególny wyraz twarzy, mający oznaczać, że są też inne sprawy, co do których moglibyśmy być zgodni.

- Proponowałam, by najpierw zdobyć więcej dowodów. Ale to ty jesteś ekspertem, Falko. Ty musisz wybrać odpowiedni moment. Jestem przekonana, że robisz to doskonale...

Pociągnąłem za klejący mi się do szyi brzeg tuniki.

- Do was należy wybór, mogę ją jeszcze poobserwować. Jeśli jesteście gotowe pokrywać koszty, mogę ją obserwować tak długo, jak tylko chcecie... - paplałem. Nigdy nie znosiłem dobrze sytuacji, kiedy bogacze traktowali mnie jak zabawkę.

Zazwyczaj staram się oszczędzić moim klientom niepo-

trzebnych kosztów. Jednakże teraz, mając cztery pokoje do umeblowania, a przed sobą dwie damulki, które stać było na kupienie swojej marionetce nowego stołu, uznałem, że mogę przestać sztywno się trzymać zasad.

Wyszedłem stamtąd od razu. Chłopiec siedział na stopniach potężnego portyku; kiedy zbiegałem po wypolerowanym marmurze, obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem. Musiałem według niego wyjść za wcześnie, by się zdążyć zabawić.

Ruszyłem do domu w zaczepnym nastroju. Wszyscy w całym Rzymie zjedli już kolację - oprócz mnie. O tej porze jadłodajnie w Piscina Publica stały się bardziej widoczne, ale nie wyglądały ani trochę bardziej zachęcająco. Pognałem do matki. Zastałem tam kilka swoich sióstr, więc od razu ogłosiłem, że jeśli ktoś ma niepotrzebne meble, to mogę zapewnić im dom. Okazało się, że Junia może dać mi łoże. Junii, która miała o sobie bardzo dobre mniemanie, w jakiś sposób udało się złapać męża otrzymującego regularne wynagrodzenie. Był kontrolerem w urzędzie celnym i stać ich było na to, żeby wymieniać w domu sprzęty co dwa lata. Na ogół unikałem przyjmowania od nich czegokolwiek, żeby nie czuć się jak nędzny pasożyt, ale dla porządnego łoża poskromiłem dumę. Miło mi było słyszeć, że ten prawie nowy mebel kosztował mojego szwagra dwieście sestercji. Skoro już się coś wyżebrało, to niech chociaż będzie warto.

Minęła pora obowiązywania zakazu ruchu kołowego. Mój szwagier Miko zawsze miał dojście do jakiegoś wozu, więc jeszcze tego samego wieczoru zabraliśmy we dwóch mebel, zanim Junia zdążyłaby się rozmyślić, po czym objechaliśmy resztę rodziny, zbierając dary w postaci rondli z wykrzywionymi rączkami i stołków bez jednej nogi. Kiedy

udało mi się pozbyć Mikona, ustawiałem i przestawiałem meble niczym rozradowana mała dziewczynka, bawiąca się swoim domkiem dla lalek. Było późno, ale mama dała mi kilka lampek, a Maja dorzuciła pół dzbana oliwy, pryskającej co prawda, ale spełniającej swoje zadanie. Kiedy przeciągałem meble z miejsca na miejsce, sąsiedzi od czasu do czasu walili w ściany. Odpowiadałem im radośnie tym samym, zawsze chętny do zawiązania przyjaźni.

Nowe łóżko było porządne, tyle że materac nie doświadczył wiele u Junii i miałem uczucie, jakbym przycupnął na granitowej półce w połowie zbocza góry. Niemniej żywiłem nadzieję, że czekające mnie przeżycia bardzo szybko stworzą w nim przytulne zagłębienia.

XIX

Ponieważ moje klientki domagały się więcej dowodów, wyruszyłem o świcie, uzbrojony w imię i adres, które dostałem od Luzjusza w domu pretora: zamierzałem porozmawiać z medykiem, którego wezwano do aptekarza, drugiego męża Seweryny, po tym jak się udławił.

Mężczyzna był wściekły, że zawracają mu głowę o tak wczesnej porze, ale nie tak jak ja, kiedy odkryłem, że jest całkowicie bezużyteczny. Moja złość nie była dla niego niczym nowym; domyślam się, że Luzjusz musiał mu już powiedzieć kilka szorstkich słów.

- Przedstawiłem urzędnikowi fakty, a fakty się nie zmieniają! - grzmiał. Co miało mnie przekonać, że ten zadufany dureń zna bezsporne fakty... w co szczerze wątpiłem. - Aptekarz dostał konwulsji...

- Widziałeś *to?*

- Powiedziano mi! Służba uciekła, a żona robiła, co mogła, żeby go ratować.

- Bez rezultatu?

- Nie mogła blisko podejść. Mężczyzna szamotał się...

- Czy to znaczy...

- Nie ucz mnie, jak mam wykonywać swoje zawodowe obowiązki! - przerwał mi ze złością, choć moje niedokończone pytanie miało całkowicie drugorzędny charakter. - Wysłuchałem już tego od urzędnika preto-

ra! Chciał mi wmówić, że żona udusiła męża... - ciągnął. A więc mój przyjaciel Luzjusz wykazał się skrupulatnością w śledztwie. - To bzdura. Biedna kobieta była wstrząśnięta i posiniaczona, ale bardzo się starała. Epriusz musiał tak machnąć ręką, że niemal pozbawił ją przytomności...

- Czy nie wydaje ci się to podejrzane, skoro ona mu chciała pomóc?

- Ani trochę. On nie wiedział, co robi, miał śmiertelny atak!

-Wyobraź sobie sytuację! - nalegałem. - Seweryna próbowała go otruć. Trucizna nie działała jak trzeba, więc go przydusiła, Epriusz zrozumiał, co się dzieje, i zaczął się bronić...

- Zbędne spekulacje. Znalazłem medykament, którym się zadławił.

- Zachowałeś go?

- Oczywiście - odparł lodowatym tonem. - Oddałem go urzędnikowi pretora.

- Rozumiem, że była to pigułka na kaszel. Chyba aptekarz powinien wiedzieć, jak się ssie jujubę! Czy to ty mu ją przepisałeś?

- Nie byłem jego medykiem. Wątpię, by w ogóle takowego potrzebował. Sam posiadał niezbędne kwalifikacje, by przygotowywać sobie leki. Wezwano mnie do tego nieszczęśliwego wypadku, bo mieszkałem w pobliżu. Kiedy tam dotarłem, Epriusz już nie żył; nie pozostało nic innego, jak pocieszyć wdowę. Na szczęście przypadkowo pojawił się znajomy wyzwoleniec, więc mogłem ją zostawić pod opieką przyjaciela...

- Doszła do siebie! - zapewniłem go. - W niecały miesiąc wyszła powtórnie za mąż.

Ten arogancki drań i tak odmówił **dokonania jakich-kolwiek** korekt w swoim sprawozdaniu.

Historia, którą mi opowiedział, mogła wywołać u słuchacza zimny dreszczyk, ale nie posunąłem się w śledztwie ani trochę. Odszedłem zdegustowany. Chciałem jednak udowodnić Pollii i Atylii, że uczciwie zarabiam na honorarium. Skoro nie udało mi się nic zdziałać w sprawie śmierci jubilera i aptekarza, ostatnią szansą pozostał dla mnie ten importer dzikich zwierząt.

Wynająłem muła i pojechałem do północno-wschodniej części miasta. Wiedziałem, że zwierzęta przeznaczone na arenę są trzymane poza granicami Rzymu, po drugiej stronie obozu pretorianów. Zanim tam dotarłem, już słyszałem ryk i trąbienie, dziwnie nie pasujące do okolic Rzymu. W cesarskiej menażerii znajdowały się wszystkie dziwne stworzenia, o jakich słyszałem, i wiele innych. Pierwsze pytania zadawałem w pobliżu kłapiących paszczami krokodyli w klatkach za moimi plecami, a zza pleców każdej osoby, do której się zwróciłem, wyglądał struś. Widziałem na pół żywe nosorożce, osowiałe małpy i apatyczne lamparty, którymi zajmowali się długowłosi mężczyźni, wyglądający tak samo dziko i nieprzewidywalnie jak te zwierzęta. Powietrze przesycone było kwaśnym i niepokojącym zapachem. Na ziemi pomiędzy klatkami zalegała cienka warstwa ohydnego błocka.

Zapytałem **o** stryjecznego wnuka Grycjusza Frontona. Dowiedziałem się, że wrócił do Egiptu, ale jeśli potrzebuję jakiegoś spektakularnego występu na przyjęcie, to powinienem porozmawiać z Talią. Ponieważ jakoś nigdy nie wiem, kiedy powinienem dać sobie spokój i zmykać,

poszedłem, tak jak mi wskazano, do pasiastego namiotu, gdzie śmiało odrzuciłem płótno przy wejściu i jeszcze bardziej lekkomyślnie wszedłem do środka.

- Och! - zabrzmiał krzyk, tak ostry, że dałoby się nim naostrzyć miecz. - To mój szczęśliwy dzień!

Była dużą dziewczyną. Przez co rozumiem... nic takiego. Wyższa ode mnie. Była duża wszędzie; dość młoda, by określać ją mianem dziewczyny i by nie oznaczało to braku szacunku; widziałem, że jej atuty są proporcjonalne do wzrostu. Strój miała taki, jaki tego miesiąca nosiły dobrze ubrane artystki: kilka gwiazdek, parę strusich piór (co by wyjaśniało, czemu niektóre z tych ptaków, które widziałem na zewnątrz, robiły wrażenie takich urażonych), skąpy kawałek czegoś przezroczystego... i naszyjnik.

Naszyjnik mógł ujść za koralowy... dopóki nie zauważyłeś, że te zwoje klejnotów niekiedy poruszają się w jakiś powolny, przyciągający oko sposób. Co jakiś czas jego koniec ześlizgiwał się z jej szyi, a ona od niechcenia umieszczała go z powrotem na miejscu. Miała na sobie żywego węża.

- Niezwykłe, co? - rzuciła. Jej spokojny wyraz twarzy oznaczał jedno: gdyby miała walczyć z jakimś sprytnym gadem, należało mu współczuć.

- Z takim klejnotem na szyi rzadko chyba miewasz problemy z mężczyznami!

- Mężczyźni są zawsze kłopotem, skarbie!

Uśmiechnąłem się przepraszająco.

- Mnie wystarczy tylko kilka życzliwych słów. -Wszyscy tak mówią! - stwierdziła i zaniosła się sprośnym rechotem. Potem spojrzała na mnie takim wzro-

kiem, jakby zamierzała mi matkować. Przeraziłem się. -Jestem Talia - powiedziała.

- Jedna z Gracji! - wykrztusiłem. Ta sprawa zaczynała nabierać zupełnie wariackiego charakteru.

- A niech to, masz tupet... jak ci na imię?

Wbrew rozsądkowi odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- No cóż, Falko? Uciekłeś z domu, żeby zostać treserem lwów?

- Nie, matka by mi nie pozwoliła. Jesteś kontorsjo-nistką?

- Każdy by został kontorsjonistą, gdyby pyton zaglądał mu do...

- Właśnie! - odezwałem się pospiesznie.

- Jestem zawodową tancerką z wężami - poinformowała mnie chłodno.

- Rozumiem. Czy to jest wąż, z którym tańczysz?

- Co? Ten? Tego tylko noszę na co dzień! Ten, z którym występuję, jest dwadzieścia razy większy!

- Przepraszam. Myślałem, że masz właśnie próbę.

Skrzywiła się.

- To, co robię podczas występu, jest wystarczająco niebezpieczne, ale za to płacą! Po co więc komu próby?

- Chciałbym kiedyś zobaczyć ten występ! - powiedziałem, uśmiechając się.

Talia obrzuciła mnie przenikliwym, nieruchomym spojrzeniem kogoś, kto przebywa z jadowitymi zwierzętami. Słuchała uważnie, nawet kiedy zdawała się myśleć o czymś innym.

- Czego chcesz, Falko?

Powiedziałem jej prawdę.

- Jestem detektywem. Próbuję przyłapać mordercę. Przyszedłem spytać, czy znałaś niejakiego Grycjusza Frontona?

Poklepała ławkę obok siebie. Ponieważ jej zachowanie nie nosiło znamion wrogości (a wąż chyba zapadł w sen), zaryzykowałem i usiadłem.

- Rozmawiałem z urzędnikiem, który pomagał pretorowi przy śledztwie w sprawie śmierci Frontona. Czy Lu-zjusz kiedykolwiek z tobą rozmawiał?

- A kto by miał zaufanie do kobiety, która wyczynia dziwne rzeczy z wężami?

-A powinni je mieć! - Moment, by wykazać się galanterią, wydawał mi się stosowny.

Skinęła głową. Widziałem, że jest przygnębiona.

-Niektórych mężczyzn pociąga niebezpieczeństwo... wtedy kiedy zginął Fronto, moim ostatnim nieszczęściem był niepewny linoskoczek, tak krótkowzroczny, że nie widział własnych jaj!

Starałem się zrobić współczującą minę.

- Czy to przypadkiem nie linoskoczek został poszkodo wany w tym samym wypadku?

-Nigdy już nie wrócił do poprzedniej formy... ale wyciągnęłam go z tego.

- Wciąż jesteście ze sobą?

-Nie! Przeziębił się i umarł... mężczyźni to takie dranie!

Wąż rozwinął się niespodziewanie i wykazał zaskakujące zainteresowanie moją twarzą. Starałem się nie reagować. Talia ułożyła go sobie z powrotem wokół szyi, dwie pętle, a potem głowa i ogon pod okrągłym podbródkiem. Poczułem się trochę słabo i nie mogłem wydusić z siebie żadnego słowa, ale ona pociągnęła dalej swoją opowieść.

- Fronto sprowadzał zwierzęta; miał ten interes od lat. Pod pewnymi względami był w tym dobry, ale to jego stryjeczny wnuk wykonywał ciężką pracę, wyszukiwał

zwierzęta w Afryce i w Indiach, a potem wysyłał je do Rzymu. Najlepsze czasy na walki zwierząt były za Nerona, ale nawet podczas niepokojów wewnętrznych było miejsce na takie występy jak mój... oraz mnóstwo prywatnych klientów, którzy chcieli mieć w swoich posiadłościach egzotyczne zwierzęta.

Skinąłem głową. Rzym przyczynił się znacząco do zlikwidowania groźnych gatunków w tych dzikszych prowincjach. Tygrysy ściągano z Indii i Kaukazu. Całe stada potężnych słoni wymieciono z Mauretanii. Także, co oczywiste, węże.

- Co chcesz wiedzieć? - spytała Talia, nagle onieśmielona.

- Wszystko, co mogłoby mieć jakieś znaczenie. A tak przy okazji, czy znałaś żonę Frontona?

- Nie poznałam jej. Nawet nie chciałam. Bez wątpienia przysparzała kłopotów, Fronto też tak uważał. Trzymał ją z dala od interesów. Wiedziałeś, że nigdy jej nie powiedział o wnuku brata?

-Tak też się domyślałem. Więc co się stało? Powiedziano mi, że pantera przyparła Frontona i linoskoczka do jakiegoś podnośnika?

- Cóż, już to samo jest kłamstwem! - wykrzyknęła dziewczyna ze smutkiem.

- Jak to?

- To zdarzyło się w cyrku Nerona.

Nagle pojąłem; w przeciwieństwie do amfiteatru cyrk, w którym odbywają się wyścigi, nie ma uniesionej areny.

- Żadnych specjalnych urządzeń? Nic pod ziemią... więc nie ma potrzeby podnosić klatek? - upewniłem się. Talia skinęła głową. Wolałbym, żeby tego nie robiła. Bo zaniepokoiła węża. Za każdym razem, kiedy się poruszała,

gad podnosił łeb i zaczynał sprawdzać, czy jestem dobrze ogolony i czy nie mam gnid za uszami. - Więc jakiś ofermowaty edyl napisał raport, w ogóle nie pofatygowawszy się na miejsce zdarzenia? - domyśliłem się.

- Najwyraźniej.

To była dobra wiadomość; pozostawiała otwartą możliwość wykrycia jakichś świeżych dowodów.

- A t y tam byłaś?

Talia skinęła głową. Jej dziwaczny ulubieniec rozwinął się; zwinęła go z powrotem.

- Więc jak wygląda prawda?

-To zdarzyło się w bramach startowych. Fronto dostarczył dzikie zwierzęta na poranną przerwę w wyścigach rydwanów... na takie niby polowanie. No wiesz! Łucznicy na wierzchowcach goniący wszystko, co ma plamy czy paski, a co akurat znajdowało się w menażerii. Jak jest pod ręką jakiś bardzo stary, zmęczony, bezzębny lew, można pozwolić kilku synom arystokratów, żeby się zabawili...

- Ta pantera była stara i bezzębna?

- Ależ skąd! - ofuknęła mnie Talia. - Ta pantera była jak trzeba. Piękny samiec. Możesz go sobie obejrzeć, jeśli chcesz. Ten krewny go zatrzymał... z szacunku. Na wypadek gdyby w jego wnętrzu zostało jeszcze coś z Frontona.

- Nie muszę go oglądać. Nie przypuszczam, żeby zwierzę ze mną porozmawiało, a nawet gdyby, żaden sąd nie uznałby tego za dowód! Więc co się wydarzyło?

- Ktoś wypuścił panterę.

- Chcesz powiedzieć, że celowo?

- Posłuchaj, do Cyrku Nerona wiozą klatki przez całe miasto. Robią to nocą, ale i tak powstałoby spore zamieszanie, gdyby nawet bardzo małe lwiątko się wymknęło! -zaczęła. Widziałem już kiedyś te specjalne klatki używane

do transportu dzikich zwierząt... takiej tylko wielkości, by upchać w nich stworzenia, a je same zmieścić do podnośnika w amfiteatrze. Góra miała zawiasy. - Fronto był bardzo uważny - mówiła dalej - jeśli chodzi o dzikie zwierzęta. Sporo go kosztowały! Przed wyruszeniem w drogę sam sprawdził zamki, a potem ponownie, kiedy klatki stały już na miejscu. W żaden sposób ta pantera nie mogła się wymknąć przypadkiem.

- Ale w końcu zamki klatek trzeba było otworzyć?

- Tuż przed występem. I Fronto osobiście to nadzorował. Kiedy był to amfiteatr, czekał zawsze z otwarciem, aż klatki znalazły się na podnośniku. Potem wystarczyło, że niewolnik na górze odciągnął zasuwkę...

- W Cyrku jednak procedura była inna?

-Tak. Klatki przed tym nibypolowaniem trzymano w wozowni i zwierzęta wypuszczano przez bramy startowe. Były żwawe po nocy spędzonej w ciasnocie, więc wybiegały od razu na arenę, na której umieszczono drzewa, co miało udawać las... wyglądało to uroczo! Potem za nimi wjeżdżali konno myśliwi...

- Nieważny ten las. Co się stało przy bramach?

- Ktoś otworzył klatkę pantery wcześniej. Fronto i mój linoskoczek byli tam, gdzie ustawiają się rydwany, zanim wyruszą na arenę. Rzucili się do bram startowych... ale te były jeszcze zamknięte. Znaleźli się w pułapce. Wbiegłam od tyłu z kilkoma ludźmi. Zobaczyliśmy, jak pantera właśnie kończy danie główne i zabiera się do deseru. Linoskoczek wgramolił się do otwartej klatki i opuścił za sobą klapę, jak kochanek w koszu na brudną bieliznę. Tak udało mu się ujść z życiem.

- Na Jowisza!

- Nie można winić pantery - oświadczyła wielkodusz-

nie Talia. - Była głodna. Domyśliliśmy się też, że ktoś celowo ją rozdrażnił!

-Właśnie. To jest kluczowe pytanie - powiedziałem z teatralną powagą. - Kto ją rozzłościł... i czy to ta sama osoba wypuściła zwierzę z klatki?

W odpowiedzi westchnęła. Westchnienie dziewczyny jej rozmiarów wywoływało wyraźny ruch powietrza. Wąż odwinął się nieco i popatrzył na nią z wyrzutem. Przycisnęła jego łeb do piersi; ostateczna kara (albo, co też możliwe, nagroda).

- Mieliśmy takiego jednego opiekuna zwierząt - powiedziała Talia. - Nigdy nie lubiłam tego gościa.

XX

Wychyliłem się do przodu. Zapomniałem nawet o jej naszyjniku.

- Myślisz, że będę miał szansę odnaleźć tego opiekuna zwierząt?

- A sądzisz, że wnuk stryjeczny Frontona nie próbował? I dlaczego według ciebie nie powiedzieliśmy nic przedstawicielom prawa? Dlaczego ten krewny zrezygnował z dalszych działań?

- Ty mi to powiedz.

- Bo gość nie żyje. Wypadek.

- Co się stało?

- Przechodził obok starej rudery. **Ściana się na niego** osunęła.

- Jesteś pewna, że to wypadek?

- Wnuk Frontona tak uważał. Było trochę szumu o to, że kamienicę aż tak zaniedbano, ale ponieważ nie zgłosił się nikt z rodziny ofiary, nie miał kto oskarżyć administratora nieruchomości. Krewniak Frontona dostawał szału, bo mu całkowicie rujnowało sprawę przeciwko wdowie, gdyby to ktoś zupełnie z nią nie związany spowodował śmierć brata jego dziadka. Bo widzisz, zwłoki zidentyfikowano po kluczu, który miał przy sobie. Widniało tam imię Fronto... to był ten brakujący klucz do klatki pantery.

- Więc jakie on miał pretensje do Frontona?

-Nikt nie miał pojęcia. Był z nami zaledwie od kilku tygodni i nie wiadomo, skąd się w ogóle wziął. Mamy mnóstwo takich sezonowych pracowników.

- Jak na niego mówiliście?

- Gajusz.

- O, to mi ułatwia sprawę! - zawołałem. Przeszło połowa mężczyzn zareaguje na to imię. Większość pozostałych to Markowie albo Lucjusze; bardzo to utrudnia życie detektywowi. - Nie pamiętasz nic więcej?

- Może i miał jakieś drugie imię. Bardzo się starałam je sobie przypomnieć, ale nic z tego. Tylko Fronto mógłby nam to powiedzieć.

Zadałem cyrkówce jeszcze kilka pytań, ale nie miała już nic znaczącego do dodania. Obiecała, że spróbuje przypomnieć sobie więcej szczegółów o tym Gajuszu. Odchodziłem z menażerii lekko oszołomiony.

Moje poranne dochodzenia nie przyniosły żadnych konkretnych dowodów, natomiast obrazy gwałtownej śmierci Epriusza i Frontona utkwiły w moim umyśle na dobre i kiedy udałem się do dzielnicy Celimontium, by zająć tam swoje zwykłe stanowisko, znajdowałem się w wyjątkowo kiepskim nastroju.

Ulica była już rozprażona; czekał nas kolejny upalny dzień. Chodniki wysychały prawie natychmiast po polaniu wodą, a klatkę należącego do ślusarza śpiewającego ptaszka już przykryto kawałkiem płótna. Kiedy tam dotarłem, machnąłem ręką właścicielowi jadłodajni; ten już wiedział, co zawsze zamawiam. Zobaczyłem przy kontuarze jakiegoś klienta, zostałem więc na zewnątrz, by zająć miejsce przy jedynym stojącym w cieniu stoliku.

Czekałem, aż podgrzeje mi wino. Ranek był przyjemny (jeśli siedziałeś w cieniu) i wiedziałem, że Seweryna nie pokaże się jeszcze przez kilka najbliższych godzin. Zadowolony z tego, że mi dobrze płacą za tak lekką robotę, splotłem dłonie z tyłu głowy i porządnie się przeciągnąłem.

Ktoś wyszedł z lokalu za moimi plecami. Myślałem, że to oberżysta, ale się pomyliłem. Kiedy opuściłem ramiona, prawie natychmiast unieruchomiono mi je tuż przy ciele grubym konopnym powrozem. Sznur zacisnął się mocno. A krzyk, jaki wyrwał mi się z gardła, został stłumiony zarzuconym szybko na głowę workiem.

Wyprostowałem się z wrzaskiem. Poczułem, jak ławka za mną się przewraca, ale tak naprawdę byłem zupełnie zdezorientowany. Oślepiony, przyduszony dziwnie pachnącym workiem i kompletnie zaskoczony, nie potrafiłem wykorzystać instynktownych zachowań obronnych. Napastnicy rzucili mnie gwałtownie twarzą na stolik. W ostatniej chwili wykręciłem głowę... ratując nos przed złamaniem, ale i tak uderzenie było mocne, bo aż zadzwoniło mi w uszach. Kopnąłem do tyłu, trafiłem w coś miękkiego, powtórzyłem to, ale tym razem bez rezultatu. Ciągle złożony wpół skoczyłem w bok. Pochwyciło mnie kilkoro rąk; rzuciłem się w przeciwną stronę... za daleko; spadłem z blatu.

Nie było czasu na żadne decyzje. Inni już za mnie zdecydowali, w którą stronę się udaję: na plecach, ciągnięty bardzo szybko, nogami do przodu. Wiedziałem, że na przechodniów nie mam co liczyć. Byłem bezsilny. Za każdą nogę ciągnął mnie inny złoczyńca... bardzo niebezpieczne, gdyby zdecydowali się omijać słup z dwóch różnych stron. Już i tak prawie wszystko mnie bolało. Z tej pozycji wdawanie się w jakiekolwiek spory mogłoby jedynie przysporzyć

mi dodatkowego bólu. Obwisłem bezwładnie, pozwalając, by wydarzenia potoczyły się bez mojego udziału.

Krawężnik nie okazał się większym problemem; oczekując tego drugiego, wygiąłem plecy w łuk. Worek trochę mnie chronił, przeszorowałem jednak podstawą czaszki po twardym podłożu i wydawało mi się, że pogubię wszystkie kości. Jęknąłem. Podskakiwanie na blokach lawy też nie robiło dobrze mojej głowie.

Wiedziałem, że skręciliśmy, gdyż bokiem zawadziłem o krawędź ściany, pomimo worka zdzierając sobie skórę. Poczułem chłód; najwyraźniej nie byliśmy już na ulicy.

Każdym kręgiem po kolei uderzałem o próg; na koniec głową. Po wielu zakrętach w końcu moje pięty opadły i tak zostałem. Leżałem bez ruchu i póki to było możliwe, cieszyłem się spokojem.

Doszedłem do wniosku, że czuję zapach lanoliny. Tkwiłem w worku, który wykorzystywano do przechowywania wełny: skojarzenie było mi tak niemiłe, że szybko je odrzuciłem.

Zacząłem nasłuchiwać. Znajdowałem się w jakimś wnętrzu, i to nie sam. Usłyszałem jakiś nieokreślony dźwięk, potem stuknięcia, jakby uderzających o siebie sporych kamyków.

- Dobrze - odezwał się kobiecy głos. Niezbyt zadowolony, ale nieszczególnie zaniepokojony. - Wyciągnijcie go. Przyjrzymy mu się. - Szarpnąłem się ze złością. - Ostrożnie. Bo zniszczy porządny wór...

Rozpoznałem tego rosłego niewolnika z wielkimi łapami, który wyciągnął mnie z wora. Potem zorientowałem się, czym są te stuki: duże terakotowe ciężarki przy krośnie uderzały o siebie, kiedy ktoś pociągał za znajdujące się na nich nitki osnowy. Kobieta przesunęła się właśnie wzdłuż

nicielnicy do kolejnych kołków w ramie i wyrównywała tkaninę. Nigdy nie widziałem jej z odkrytą głową, ale bez trudu ją rozpoznałem.

I tyle pozostało z mojego profesjonalizmu; w biały dzień zostałem porwany przez Sewerynę Zotykę.

XXI

Jej kędzierzawe rude włosy miały imbirowy odcień. Były dość rude, by prowokować komentarze, ale nie marchewkowe. Na przykład, nie wyprowadziłyby z równowagi nerwowego bydła... mnie też nie wystraszyły. Do tego blada karnacja, niewidoczne rzęsy i przezroczyste jak woda oczy. Włosy ściągnęła do tyłu, podkreślając czoło, co powinno było nadać jej rysom dziecięcy charakter, tymczasem wyraz twarzy sugerował, że Seweryna raczej zbyt szybko wyszła z dzieciństwa, by mogło jej się to dobrze przysłużyć. Wyglądała na rówieśnicę Heleny, choć wiedziałem, że musi być o kilka lat młodsza. Miała „stare" oczy wiedźmy.

- Wpadniesz w zły nastrój - oświadczyła kwaśno - jak będziesz tak cały dzień przesiadywał w cieniu.

Pomacałem się, żeby sprawdzić, czy jakieś kości nie są połamane.

- Następnym razem po prostu zaproś mnie do środka.

- Przyjąłbyś zaproszenie?

- Zawsze chętnie spotykam się z dziewczyną, która odniosła sukces.

Zawodowa panna młoda miała na sobie wierzchnią tunikę w odcieniu srebrzystej zieleni, z rękawami, łączącą prostotę z dobrym gustem. Znała się na kolorach: tkanina wisząca na krośnie była w barwach bursztynu, jasnego beżu i rdzy. Pokój miał matowe szafranowe ściany, na których

tle połyskiwały jasnością poduszki na krzesełkach i kotary przy drzwiach, podczas gdy wielki dywan przede mną pysznił się kolorami płomieni, ciemnego brązu i czerni. Byłem tak obolały, że najchętniej bym się na nim położył. Pomacałem tył głowy i odkryłem na włosach krew. Czułem, jak pod tuniką coś ciurka przygnębiająco z nie zaleczonej rany, pamiątki po ostatnim zleceniu.

- Twoje osiłki nieźle mnie poobijały. Jeśli ta pogawędka ma potrwać dłużej, czy jeden z nich nie mógłby mi przynieść czegoś do siedzenia?

- Sam sobie weź! - rzuciła i gestem nakazała niewolnikom się ulotnić.

Skrzyżowałem ramiona i rozstawiłem nogi, nie zamierzając siadać.

- Twardziel, co? - zakpiła. Zaczęła pracować przy krośnie. Siedziała bokiem, udając, że nie zwraca na mnie uwagi. Powtarzające się ruchy czółenka szarpały moje nadwerężone nerwy.

- Pani, czy mogłabyś to przerwać, kiedy ze mną rozmawiasz?

- Wystarczy, że ty będziesz mówić. - Zacisnęła gniewnie usta, choć jej głos wciąż brzmiał spokojnie. - Masz mnóstwo do wyjaśnienia. Przez cały tydzień obserwowałeś mój dom i jawnie mnie śledziłeś, dokądkolwiek się udałam. Jeden z lokatorów powiedział mi, że byłeś w Suburze i bezczelnie rozpytywałeś o moje osobiste życie...

- Na pewno jesteś do tego przyzwyczajona! - przerwałem jej. - Poza tym nie wszędzie za tobą chodzę. Darowałem sobie tę pantomimę, widziałem ją wcześniej. Orkiestra marna, intryga obraża inteligencję, a sam mim to łysiejący starszawy grubasek z wytrzeszczem oczu, zbyt pokręcony przez artretyzm, by w ogóle mógł się przyłożyć!

- Mnie się podobało.
- Dziwaczny gust, co?
- Polegam na własnej **ocenie... masz jakieś imię?**
- Dydiusz Falko.
- Detektyw?
- Zgadza się.
- I mimo to pogardzasz mną! - żachnęła się.

Nie należałem do tych nędzników podsłuchujących senatorów, żeby potem sprzedawać ich nieprzyjemne tajemnice Anakrytesowi w Pałacu albo ich własnym niezadowolonym małżonkom, mimo to puściłem tę zniewagę mimo uszu.

- Zatem, mój Falkonie, kto cię wynajmuje, żebyś mnie szpiegował? - zapytała.
- Rodzina twojego narzeczonego. Nie wiń ich za to.
- Nie zamierzam! - rzuciła krótko. - We właściwym czasie dojdę z nimi do porozumienia. Mają jego dobro na sercu. Tak się składa, że ja też.
- Zakochana? - spytałem sucho.
- A jak sądzisz?
- Nie ma mowy. A on?
- Wątpię.
- To uczciwe podejście!
- Jesteśmy z Nowusem ludźmi praktycznymi. Romantyczna miłość bywa krótkotrwała.

Zastanawiałem się, czy Hortensjusz Nowus nie może być bardziej zadurzony niż ona. Mężczyzna, który przetrwał tyle lat w kawalerskim stanie, musi być przekonany, że powód, dla którego rezygnuje z dotychczasowej wolności, jest szczególnej natury. Ta dziewczyna prowadziła rozmowę ze mną rzeczowo i umiejętnie, czego zapewne wystrzega się w jego obecności. Może to biedaczysko, Nowus, łudzi się, że jego ukochana to skromnisia.

Sięgając do koszyka po świeży motek wełny, Seweryna podniosła wzrok i przyjrzała mi się bacznie. Starałem się tymczasem wymyślić, dlaczego właśnie dzisiaj postanowiła przejąć inicjatywę. Mogło to być zwyczajne zniecierpliwienie, wynikające z tego, że za nią łaziłem. A przecież wyraźnie widziałem, że ona uwielbia igrać z ogniem.

Usiadła prosto i oparła spiczastą bródkę na splecionych białych smukłych paluszkach.

- Lepiej, żebyś mi powiedział, co tak bardzo niepokoi jego rodzinę - oświadczyła. - Nie mam nic do ukrycia.

- To, co każdego by zaniepokoiło, młoda damo... twoja dziwna przeszłość, twoje obecne motywy i twoje przyszłe plany.

- Na pewno wiesz - przerwała mi Seweryna, wciąż spokojna, ale z błyskiem w oku, który przyjąłem z zadowoleniem - że moja przeszłość została bardzo gruntownie zbadana.

- Przez starego pretora, pompatycznego durnia, który nie miał dość rozsądku, by posłuchać wyjątkowo kompetentnego urzędnika. - Spojrzenie, którym mnie teraz obdarzyła, mogło świadczyć o nagłym przypływie szacunku do mojej osoby... albo o pogłębiającej się antypatii. - Przypuszczam, że spodobałaś się temu urzędnikowi... i że on niekoniecznie robił z tego tajemnicę - dodałem, pamiętając, że Luzjusz wygląda na bezpośredniego człowieka, który nie owija niczego w bawełnę. - Co sobie pomyślałaś?

Seweryna robiła wrażenie rozbawionej tym pytaniem, postarała się jednak, by jej odpowiedź zabrzmiała dystyngowanie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

- Kłamiesz, Zotyko! Cóż, ja jestem w tej sprawie cał-

kowicie neutralny. Może nadstawię życzliwie ucha, a ty mi powiesz, co się wydarzyło. Zacznijmy od twojego pierwszego manewru. W dzieciństwie kupiono cię na targu niewolników w Delos, a ostatecznie wylądowałaś w Rzymie. Poślubiłaś swojego pana. Jak tego dokonałaś?

- Bez żadnych sztuczek, zapewniam cię. Moskus kupił mnie, bo wyglądałam na bystrą. Chciał kogoś, kogo mógłby wyuczyć sztuki księgowości i magazynowania...

- Umiejętność radzenia sobie z liczbami musi być przydatna dla spadkobierczyni!

Widziałem, jak wciąga powietrze, jednak nie udało mi się rozpalić tego gwałtownego płomienia, na co miałem nadzieję. Jak na rudą była napięta i skryta... z gatunku tych, co to snują refleksje na gruzach imperiów. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak planuje zemstę za wyimaginowaną zniewagę jeszcze wiele lat po jej doznaniu.

- Sewerus Moskus nigdy mnie nie tknął, ale kiedy skończyłam szesnaście lat, poprosił, bym za niego wyszła. Może właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do innych mnie nie wykorzystał, zgodziłam się. Czemu nie? Jego pracownia była najlepszym miejscem, jakie znałam, i czułam się tam jak w domu. Zyskałam wolność. Przecież większość małżeństw opiera się na jakiejś transakcji, nikt nie może mnie krytykować za to, że wykorzystałam szansę - mówiła. Rozmawiała w ciekawy sposób, uprzedzając myśli rozmówcy. Kiedy była sama, prawdopodobnie omawiała wszystko ze sobą na głos.

- A co on zyskał?

- Młodość. Towarzystwo.

- N i e w i n n o ś ć ? - rzuciłem.

To ją wreszcie rozpaliło.

-Wierną kobietę i spokojny dom, do którego mógł

przyprowadzić swoich przyjaciół! Ilu mężczyzn może się czymś takim pochwalić? Czy ty to masz... a może tylko pospolitą sekutnicę, która się na ciebie wydziera? - zapytała. Milczałem. Seweryna ciągnęła dalej niskim, gniewnym głosem: - Był starszym człowiekiem. Siły go opuszczały. Byłam mu dobrą żoną, ale oboje wiedzieliśmy, że to pewnie nie potrwa zbyt długo.

- Dbałaś o niego, prawda?

Jej otwarte spojrzenie było odpowiedzią na insynuacyj-ne pytanie.

- Żaden z moich mężów nie miał powodu, by pożało wać swojej decyzji.

- Prawdziwy profesjonalizm! - oznajmiłem.

Przyjęła szyderstwo bez mrugnięcia okiem. Patrząc na jej bladą karnację, kruchą posturę i rezerwę, zupełnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaka może być w łożu. Jednak mężczyźni, którym potrzebne było poczucie bezpieczeństwa, mogli z łatwością przekonać sami siebie, że jest osobą uległą.

- Czy tamtego dnia posłałaś Moskusa do amfiteatru?

- Wiedziałam, że tam poszedł.

- Czy zdawałaś sobie sprawę, jak jest gorąco? Czy podejrzewałaś kiedyś, że ma słabe serce? Próbowałaś go powstrzymać?

- Nie jestem jędzą.

-Więc kiedy Moskus się zagotował i wykipiał, ty po prostu wytarłaś pianę z kuchni i postawiłaś czysty garnek! Jak znalazłaś Epriusza, tego aptekarza?

-To on znalazł mnie - oznajmiła. Za bardzo się starała, by jej głos brzmiał cierpliwie; osoba niewinna już obrzuciłaby mnie przekleństwami. - Gdy Moskus zasłabł w amfiteatrze, ktoś przybiegł do jego apteki po jakąś

miksturę, która by mu pomogła... niepotrzebnie. Moskus już powędrował do bogów. Zycie bywa brutalne... kiedy ja opłakiwałam małżonka, Epriusz przyszedł po zapłatę za kordiał.

- Wkrótce pozyskałaś swojego wierzyciela! - rzuciłem. Seweryna pozwoliła sobie na uśmiech, a ja stwierdziłem, że zauważyła drżenie kącika moich ust, którym na to zareagowałem. - A potem co... udławił się, prawda? -spytałem. Skinęła głową. Jej pracowite dłonie zajmowały się przez cały czas krosnem, podczas kiedy tracąc zupełnie ochotę na współczucie, wyobrażałem sobie, jak te rączki usiłują przytrzymywać pigularza podczas jego ostatnich konwulsji. - Byłaś wtedy w domu?

- W drugim pokoju - odparła. Widziałem, jak przygotowuje się do zmiany tematu. Zbyt wiele razy przećwiczyła sobie tę opowieść, bym mógł wyprowadzić ją z równowagi. - Był nieprzytomny, kiedy mnie zawołano. Zrobiłam, co mogłam, żeby przywrócić mu oddech. Większość ludzi na moim miejscu wpadłaby w histerię. Pastylka utknęła bardzo głęboko. Potem odnalazł ją medyk, ale przyznaję, że wtedy, zrozpaczona i przerażona, zawiodłam. Winiłam się za to... ale to, co się stało, można nazwać jedynie wypadkiem.

- Miał kaszel, prawda? - spytałem szyderczo. -

Tak.

- Długo?

- Mieszkaliśmy na Eskwilinie-wyjaśniła. Okolica uznana jest za niezdrową; bardzo przekonująco dopasowywała swoje metody mordowania.

- Kto dał mu mentolową jujubę?

- Przypuszczam, że sam ją sobie zalecił! Zawsze miał ich pełne steatytowe pudełeczko. Nigdy nie widziałam, by je zażywał, ale powiedział mi, że pomagają mu na kaszel.

- Czy miałaś zwyczaj angażować się w jego intere sy? Bystry i pomocny partner, taki jak ty... założę się, że pierwsze, co zrobiłaś, kiedy przyprowadził cię do domu z wiankiem panny młodej na głowie, to ofiarowałaś się, że skatalogujesz i opatrzysz odnośnikami listy jego trucizn... Co się przydarzyło Grycjuszowi Frontonowi?

Tym razem wstrząsnął nią dreszcz.

- Przecież wiesz! Pożarło go dzikie zwierzę. I nim o to zapytasz, nie miałam nic wspólnego z jego interesami. Ni gdy nie chodziłam do tego cyrku, gdzie to się stało, nie by łam tam też... ani nigdzie w pobliżu... kiedy zginął Fronto!

Pokręciłem głową.

- Słyszałem, że było mnóstwo krwi!

Seweryna milczała. Cerę miała tak bladą, że trudno było powiedzieć, czy jest w tej chwili rzeczywiście przejęta. Ja jednak wiedziałem swoje.

Miała zbyt wiele gotowych odpowiedzi. Spróbowałem jeszcze niemądrego pytania:

- A przy okazji, czy znałaś tę panterę?

Nasze spojrzenia się spotkały. Interesująco było poczuć, jak się ścierają.

Musiałem zachwiać jej pewnością siebie. Teraz Seweryna spoglądała na mnie z większym zastanowieniem.

- Trzeba mieć dużo odwagi - powiedziałem - by liczyć na to, że twój płomienny welon przetrwa kolejny ślub.

-To dobra tkanina; sama ją utkałam! - Rudowłosa odzyskała siły. Zimne niebieskie oczy całkiem przyjemnie rozbłysły kpiną z samej siebie. - Samotne kobiety, bez opiekunów - zauważyła poważniejszym już głosem -prowadzą ograniczone życie towarzyskie.

- Prawda... i smutno być domatorką, kiedy nie pozostał już nikt, kogo można by w tym domu witać...

Gdybym nie usłyszał tylu okropnych szczegółów dotyczących śmierci jej mężów, może pozwoliłbym jej się przekabacić. Spodziewałem się jakiejś demonicznej, lubiącej się zabawiać czyimś kosztem osóbki. Z niechęcią myślałem o tym, że spokojne domatorskie zwyczaje Seweryny stanowią tylko fasadę dla dokładnie przemyślanych zbrodni. Przyjmuje się powszechnie, że dziewczęta, które zajmują się tkaniem i chodzą do biblioteki, są niegroźne.

- Musisz być zachwycona, kiedy wróżka ci przepowiada, że kolejny małżonek cię przeżyje.

- Tyche ci to powiedziała?

- Wiedziałaś, że mi powie. Ostrzegłaś ją, że zjawię się tam po tobie? Wydawała się doskonale przygotowana na moją wizytę.

- My, profesjonalistki, trzymamy się razem - odparła sucho Seweryna, co przypomniało mi samą Tyche. -Skończyłeś już, Falko? Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia - rzuciła. Poczułem rozczarowanie, kiedy tak ucięła rozmowę. To był błąd, tak się mnie nagle pozbywać; moje maglowanie nie pozostało bez wrażenia.

- Chyba że masz jeszcze jakieś pytania - dodała nieprzekonująco.

Uśmiechnąłem się lekko, dając jej do zrozumienia, że wygląda na bezradną.

- Nie mam - odparłem. Moje poobijane miejsca zesztywniały. Ból stał się bardziej dokuczliwy; minie wiele dni, nim przejdzie. - Dziękuję za poświęcony mi czas. Jeśli będę jeszcze chciał się czegoś dowiedzieć, przyjdę prosto do ciebie.

-To bardzo ładnie z twojej strony! - Ponownie skie-

rowała spojrzenie na motki, które trzymała w wysokim, stojącym u jej stóp koszyku.

- Przyznaj - czarowałem - kiedy goście wychodzą, służąca zajmuje się całą tą robotą!

Seweryna podniosła wzrok.

- Mylisz się, Falko. - Pozwoliła, by cień smutku przesunął się po jej zazwyczaj nieprzeniknionej twarzy. Wzruszające. - Zresztą, we wszystkim - dodała.

- No cóż, ogromnie mi się podobała twoja opowieść. Lubię zgrabnie sklecone komedyjki.

- Wynoś się z mojego domu - poleciła mi ani trochę nie poruszona naciągaczka.

Była twarda i w jakimś stopniu uczciwa; to mi się podobało.

-Już odchodzę. Ostatnie pytanie: Hortensjusze robią wrażenie mocno ze sobą związanej zgrai. Nie poczujesz się tam obco?

- Jestem gotowa spróbować.

- Bystra dziewczynka!

- Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Nowusa!

Była inteligentna, a kiedy odchodziłem, spojrzenie, które podążało za mną, było o wiele bardziej czujne, niż powinno.

Powlokłem się do najbliższej otwartej łaźni, przeszedłem przez pomieszczenia z gorącą parą i wślizgnąłem razem z moimi bólami do gorącej wody, żeby się wymoczyć. Rana od miecza, którą pielęgnowałem w Lautumiach, częściowo się otworzyła, kiedy szarpali mną niewolnicy Seweryny. Leżałem w wannie, pozwalając, by ogarnął mnie ten nastrój, który jest najlepszy zaraz po utracie świadomości,

i ciągnąłem za luźny strup, tak jak nie należy tego robić, a jak zawsze się robi.

W końcu przypomniało mi się, że zapomniałem spróbować przekupić Sewerynę. Nieważne. Zdążę jeszcze złożyć jej ofertę. Muszę tam wrócić, żeby wynegocjować cenę... kiedy indziej, nie dzisiaj. Kiedy będę psychicznie gotowy na takie spotkanie, a moje kończyny znowu będą się swobodnie poruszać.

Ta kobieta z pewnością stanowiła wyzwanie. A myślą, że to ja mogę stanowić wyzwanie dla niej, w ogóle się nie przejmowałem.

XXII

Miałem już dość emocji. Nie byłem w stanie wspiąć się na wzgórze Pincius z raportem dla swoich klientek, nawet gdybym bardzo chciał znów się natknąć na kobiecą niegodziwość. Postanowiłem też nie irytować Heleny, obnosząc w okręgu bramy Kapeńskiej siniaki zadane mi przez inną kobietę. Pozostawiało to jedną atrakcyjną perspektywę: powrót do domu i nowego łoża.

Kiedy pokonywałem ostrożnie trzy piętra do swojego mieszkania, bardziej niż kiedykolwiek przyjmując z ulgą fakt, że nie jest to sześć pięter stromych schodów kamienicy przy Dziedzińcu Fontanny, wpadłem na Kossusa.

- Falko! Wyglądasz kiepsko...

- Nazbyt energiczna dziewczyna. Co cię tutaj sprowadza, zaległy czynsz?

- Ależ skąd, nasi lokatorzy płacą w terminie - oznajmił. Zachowałem kamienny wyraz twarzy, by nie zdradzić, że może go jeszcze czekać w tej sprawie niespodzianka. -Wdowa z czwartego piętra złożyła skargę. Jakiś idiota zakłóca spokój o północy... wyśpiewuje nieprzyzwoite piosenki i przestawia meble. Wiesz coś o tym?

- Nic. - Zniżyłem głos. - Czasami tym mieszkającym samotnie staruszkom przywidują się różne rzeczy - powiedziałem. Naturalnie Kossus był bardziej skłonny uwierzyć w szaleństwo tej wdowy niż w to, że jakiś inny

lokator, który mógłby mu przyłożyć, gdyby ośmielił się go skrytykować, zachowuje się aspołecznie. - Słyszałem, jak waliła w ściany - burknąłem. - Wspomniałbym o tym, ale jestem wyrozumiały... A przy okazji - powiedziałem, zmieniając gładko temat - czy czynsz w takim miejscu nie obejmuje zazwyczaj usług dozorcy, który nosi na górę wodę i zamiata schody?

Spodziewałem się, że będzie miał zastrzeżenia. Tymczasem zgodził się ze mną.

- Oczywiście. Jak wiesz, wiele mieszkań jest wciąż pu stych. Ale i tak wynajęcie dozorcy jest pierwsze na mojej liście spraw do załatwienia...

Zachowywał się tak uprzejmie i starał się być taki uczynny, że nawet dałem mu napiwek, kiedy odchodził.

Drzwi frontowe mojego mieszkania były otwarte. Nie było powodu wpadać do środka z okrzykiem wściekłości i oburzenia; znane odgłosy ujawniły mi powód tego stanu rzeczy. Miko, mój szwagier, na którym w ogóle nie można było polegać, musiał zdradzić ten adres.

Wychyliłem się zza framugi. Porcja pchniętych miotłą śmieci przeleciała mi ponad stopami, część zaczepiła się o rzemyki sandałów.

- Dzień dobry miłej pani. Czy tutaj zamieszkuje wielce szanowny Marek Dydiusz Falko?

-Jak widać po kłębach kurzu! - Przejechała mi gałązkami po palcach stóp, zmuszając mnie do podskoku.

- Witaj, mamo. Więc mnie znalazłaś?
- Pewnie zamierzałeś mi powiedzieć, gdzie mieszkasz?
- Co sądzisz o mojej kwaterze?

- Nikt z naszej rodziny nigdy nie mieszkał w Piscina Publica.

- Czas, byśmy się zaczęli przenosić w lepsze miejsca, mamo! - zawołałem.

Starałem się poruszać tak, jakbym spędził ranek na miłych ćwiczeniach w gimnazjonie. Nic z tego; mama wsparła się na miotle.

- Co ci się przydarzyło tym razem?

Dowcip o przepełnionej entuzjazmem dziewczynie wydawał się nie na miejscu.

- Zaskoczyli mnie pewni ludzie o paskudnych manierach. To się już nie powtórzy.

- Czyżby? - fuknęła. Nie był to pierwszy raz, kiedy dopadła mnie tuż po poturbowaniu, które wolałbym przed nią ukryć. - W więzieniu byłeś przynajmniej w jednym kawałku!

- Podgryzany przez wielkiego szczura, mamo! Miałem szczęście, że w ogóle stamtąd wyszedłem...

Klepnęła mnie miotłą, dając do zrozumienia, że w tej sprawie potrafi mnie przejrzeć z taką samą łatwością jak w wypadku innych kłamstewek.

Skoro już byłem w domu, matka mogła się ulotnić. Fakt, że siedziałem tam na stołku i uśmiechałem się, nie pozwalał jej szukać dowodów mojego złego prowadzenia się; wolała się irytować w samotności, żeby mocniej to przeżywać. Zanim zniknęła, przygotowała mi gorące wino ze składników, jakie przyniosła na wyposażenie mojej spiżarni, na wypadek gdyby ktoś szacowny przyszedł z wizytą. Pocieszony w ten sposób poszedłem spać.

Obudziłem się po południu, zmarznięty na kość, bo jakoś tak wyszło, że nie nabyłem jeszcze żadnego przykrycia na łóżko Junii. Po trzech dniach potrzebne mi

było też czyste ubranie, a także różne inne skarby, które zawsze znajdowałem, kiedy przychodziłem do domu. Zatem, zupełnie jakbym tego dnia miał za mało wrażeń, postanowiłem się zdobyć na wysiłek i wybrać do kamienicy przy Dziedzińcu Fontanny.

Kiedy wędrowałem przez Awentyn, widziałem, że sklepy są wciąż zamknięte. Na mojej uliczce panował spokój. Osiłki gospodarza, Rodan i Azjakus, dali okolicy dzień wytchnienia. Nie było też widać wielkouchych sługusów naczelnego szpiega. W pralni pora sjesty. Doszedłem do wniosku, że można wejść bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Wdrapałem się powoli, po cichu na górę i wszedłem do mieszkania. Naszykowałem swoje ulubione tuniki, przydatny kapelusz, świąteczną togę, poduszkę, dwa garnki, które mimo pięciu lat używania były w niezłym stanie, woskową tabliczkę, na której pisywałem natchnioną uczuciem poezję, zapasowe buty i mój największy skarb: dziesięć łyżek z brązu, dar od Heleny. Zawinąłem to wszystko w koc, który przywiozłem do domu z wojska, po czym ruszyłem w drogę powrotną na parter, ściskając tobołek jak jakiś włamywacz wychodzący z łupem.

Włamywaczowi by się udało. Prawdziwi złodzieje potrafią ogołocić rezydencję z dziesięciu wozów marmuru, dwudziestu posągów z brązu, całego zapasu falerneńskiego wina i zabrać piękną nastoletnią córkę właścicieli... i nikt w sąsiedztwie niczego nie zauważy. Ja wynurzyłem się ze swoją własnością... i natychmiast natknąłem się na jakąś otyłą handlarkę kiełbasek, której nigdy wcześniej na oczy nie widziałem i która oczywiście założyła to najgorsze. Nawet w tej sytuacji większość rabusiów oddaliłaby się bezpiecznie, zanim świadek zdążyłby się obejrzeć. J a

musiałem natrafić na tę jedyną w tej części Awentynu zaangażowaną obywatelkę. Ledwie baba mnie zobaczyła, podciągnęła tuniki ze zgrzebnej wełny, wydała wrzask, który słychać było zapewne na Wyspie Tyberyjskiej, i ruszyła za mną.

Panika i irytacja naoliwiły moje zesztywniałe kończyny. Pobiegłem uliczką jak zając... akurat w momencie, kiedy dwaj Anakrytesowi szpiedzy wynurzyli się z zakładu golarza, gdzie przycinali sobie brody. Zanim się zdążyłem zorientować, tkwiłem w miejscu, z lewym butem unieruchomionym pod jedną z tych monstrualnych stóp.

Zamachnąłem się tłumokiem na drugiego szpiega. Ukryty we wnętrzu tobołka największy z moich żelaznych rondli najwyraźniej trafił drania prosto w gardło, gdyż poleciał do tyłu z nieprzyjemnym charkotem. Właściciel przerośniętych stóp był za blisko, żebym mógł go trzasnąć, ale jemu przyszedł do głowy pomysł, by obezwładnić bezradną ofiarę, wrzeszcząc o pomoc do przechodniów. Większość z nich mnie znała, więc kiedy przestali się gapić z otwartymi ustami na to, co się ze mną dzieje, wyśmiali go. Bawił ich też widok handlarki kiełbasek, bardzo małej kobieciny okładającej nas wściekle tacą. Mnie udało się jakoś uchylić i w rezultacie mój ciemiężyciel oberwał najbardziej. Atak handlarki ogromnym wędzonym świńskim fallusem musiał go zniechęcić do wieprzowiny na resztę jego dni.

Ciągle jednak ta jego wielka płetwa przygważdżała mi palce. Konieczność zachowania tłumoka utrudniała manewry, bo dobrze wiedziałem, że jak tylko go puszczę, to natychmiast jakaś łachudra z trzynastej dzielnicy go porwie i w okamgnieniu zlicytuje zawartość na rogu ulicy. Nacieraliśmy więc z Nózią na siebie niczym uczestnicy

jakichś szaleńczych plemiennych zapasów, a mnie chodziło tylko o to, by wyrwać stopę spod jego buta.

Zobaczyłem, że jego kumpel dochodzi do siebie. I właśnie w tym momencie Lenia, z wielką metalową misą wspartą na biodrze, wybiegła z pralni, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zauważyła mnie natychmiast i rzuciwszy mi pogardliwe spojrzenie, zdzieliła michą tego, który już wcześniej oberwał rondlem. Nogi się pod nim ugięły; miał tego dnia szczęście do wyrobów żelaznych. Udało mi się oprzeć na unieruchomionej przez szpiega nodze i wyrżnąć go kolanem drugiej. Byłem tak rozzłoszczony, że mierzyłem prosto w najwrażliwszą i nie tak wybujałą jak stopy część ciała. Jego dziewczyna będzie mnie przeklinać. Podwinął paluchy z bólu, a ja się wyswobodziłem. Lenia, nie przebierając w słowach, wymyślała handlarce. Wykończyłem Nózię uderzeniem mojego tobołka i nawet się nie obejrzałem, żeby powiedzieć przepraszam.

Wróciłem do domu.

Po harmidrze Awentynu wydawało się tutaj niedorzecznie spokojnie. Ożywiłem nieco atmosferę, pogwizdując nieprzyzwoitą galijską przyśpiewkę, dopóki ta dziwaczna wdowa z piętra wyżej nie zaczęła stukać. Nie miała pojęcia o utrzymywaniu rytmu, wobec czego zrezygnowałem z dalszego koncertowania.

Wycieńczony ukryłem łyżki od Heleny w materacu, potem owinąłem się podziurawionym przez mole kocem i padłem na łóżko.

Przesypianie całego popołudnia to bardzo miłe zajęcie; takie, któremu detektywi oddają się z wyćwiczoną łatwością.

XXIII

Nazajutrz obudziłem się odświeżony, choć wciąż obolały. Postanowiłem pójść i powiedzieć Sewerynie Zotyce, co o niej myślę; odpowiednie słowa same się nasuwały.

Najpierw jednak zjadłem śniadanie. Mama, która wierzy, że domowa kuchnia chroni chłopców przez moralnym zagrożeniem (szczególnie jeśli taki siedzi w domu i sam miesza w garnku), wstawiła tymczasowe naczynie z żarem, żebym mógł czasem podgrzać mały rondelek, dopóki nie sprawię sobie porządnej kuchni z kratą i rusztem. To pewno będzie musiało poczekać. W sierpniu nie zależało mi na ściąganiu do domu kradzionych cegieł, tylko po to, żeby moje nowe, eleganckie mieszkanie wypełnił dym, zaduch i zapach smażonych sardynek. Z drugiej wszakże strony, może byłoby łatwiej zacząć od razu, zamiast nieustannie tłumaczyć się przed matką, dlatego wciąż się do tego nie zabieram... Mama nie zdążyła się jeszcze zorientować, że detektywi mogą mieć do załatwienia sprawy wymagające większej inicjatywy niż zwykłe zajęcia domowe.

Piłem domowej roboty trunek na miodzie, zastanawiając się, czy przypadkiem groźne matki nie sprawiają, że większość detektywów to skryci samotnicy, którzy wyglądają, jakby właśnie uciekli z domu.

Zanim dotarłem na vicus Abacus, inni obywatele już zdążyli zapomnieć o porannych przekąskach i rozważali ewentualność południowego posiłku. Wytwornym beknięciem przypomniałem sobie o własnym, niedawno spożytym śniadaniu... po czym dołączyłem do głównego nurtu i pomyślałem, że dobrze byłoby coś przegryźć. (Wszystko, co tutaj zjem, wliczę w rachunek jako „koszty śledzenia").

Tymczasem dostrzegłem naciągaczkę, co odciągnęło moją uwagę od jadłodajni. Ze zwojów, jakie niosła pod pachą, wywnioskowałem, że ta oddana wiedzy kobieta odbyła kolejną wyprawę do biblioteki. Sklep z serami, mieszczący się od frontu domu, w którym mieszkała, miał właśnie dostawę towaru i zmusiło ją to do opuszczenia lektyki na ulicy; wejście zastawione było ręcznymi wózkami z kubłami koziego mleka i owiniętymi w płótno bryłami sera. Kiedy podchodziłem, chłostała dostawców sarkastycznymi uwagami. Popełnili błąd, tłumacząc, że wykonują po prostu swoją pracę; dało to Sewerynie doskonałą sposobność, by opisać, jak rzeczywiściewyglądałabytapraca, gdyby raczyli wziąć pod uwagę przepisy przeciwpożarowe, rozporządzenia władz lokalnych oraz starali się nie zakłócać spokoju mieszkańców i nie przeszkadzać przechodniom.

W Rzymie takie sceny były normalnością. Świetnie się bawiła. Mężczyźni z wózkami słyszeli to wszystko nie pierwszy raz; w końcu przesunęli oblepiony śmietaną kubeł tak, żeby uniósłszy szatę, mogła się przecisnąć.

- Znowu ty - rzuciła mi przez ramię, tonem, jakiego w stosunku do mnie używają niektórzy krewni.

Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że ta kobieta lubi igrać z ogniem.

-Tak... jedną chwileczkę... - bąknąłem. Coś odwróciło moją uwagę.

Kiedy czekałem na pojawienie się Seweryny, podjechał jakiś obwieś na osiołku i zagadał do sprzedawcy owoców, tego, który miał sad w Kampanii. Staruszek wyszedł do niego, jakby o coś błagał. Przybysz, już odjeżdżając, cofnął gwałtownie osła, trafiając bezbłędnie w ladę przed sklepikiem. Niszczycielskie działanie musiało być popisowym numerem zwierzęcia, którym zabawiał tłumy w przerwach między walkami gladiatorów. Starannie ułożone kiście wczesnych winogron, stożki moreli i jagód posypały się na ulicę. Jeździec pochwycił brzoskwinię, która utrzymała się na ladzie, odgryzł wielki kęs i z pogardliwym śmiechem rzucił owoc do rynsztoka.

Rzuciłem się na drugą stronę ulicy. Obwieś szykował osła do powtórnego uderzenia; wyrwałem mu uzdę z ręki i zaryłem piętami w ziemię.

- Ostrożnie, przyjacielu!

Ten bezczelny drań w dzianej brązowej czapce był niezwykle rozbudowany wszerz. Łydy miał grube jak szynki betyckie, a ramionami mógłby zasłonić prześwit pod łukiem triumfalnym. Mimo to wyglądał na słabeusza; powieki miał sklejone, na palcach zastrzały. W mieście, w którym nie brakowało pryszczatych karków, jego był prawdziwą osobliwością.

Podczas kiedy osioł próbował dosięgnąć zębami dłoni, w której trzymałem uzdę, oprych wychylił się do przodu i piorunował mnie wzrokiem.

- Zapamiętasz mnie - powiedziałem spokojnie. - I ja zapamiętam ciebie! Nazywam się Falko. Na Awentynie każdy ci powie, że nie cierpię, kiedy jakiś łobuz niszczy źródło utrzymania starego człowieka.

Spojrzenie jego zaropiałych oczu pobiegło ku sprzedawcy owoców, który stał bezradnie pośród stratowanych gruszek.

-Wypadki się zdarzają... - wymamrotał starzec, nie patrząc na mnie.

Chyba nie był zadowolony, że się wtrąciłem, ale zawsze wpadam we wściekłość, kiedy jestem świadkiem jawnego zastraszania.

- Wypadkom można zapobiec! - warknąłem, zwracając się do dręczyciela. Pociągnąłem za uzdę, żeby odciągnąć osła dalej od kramiku. Zwierzę szarpało się jak dziki koń właśnie schwytany w Tracji... gdyby jednak mnie ugryzł, to byłbym gotów odpłacić mu tym samym. - Zabieraj stąd swojego rozrabiacza na czterech kopytach... i nie pokazuj mi się tutaj!

Walnąłem osła w zad, co wywołało jego chrapliwy protest, ale też i natychmiastowy galop. Przy końcu ulicy jeździec obejrzał się jeszcze.

Teraz większość stojących w milczeniu gapiów przypomniała sobie, że ma ważne spotkanie, i tłum się zaczął rozpraszać. Ktoś pomógł mi pozbierać owoce starego. Ten układał je z powrotem, wrzucając zgniecione i uszkodzone do kubła w głębi sklepiku.

Kiedy zapanował jako taki porządek, sprzedawca się nieco uspokoił.

- Znasz tego gagatka? - spytałem. - Co on ma do ciebie?

-To posłaniec właściciela nieruchomości - odpowiedział. Mogłem się domyślić. - Chcą podnieść czynsz za frontowe lokale. Tych z nas, którzy mają towar sezonowy, nie stać na więcej. W lipcu zapłaciłem stare stawki, prosząc o trochę czasu... To była odpowiedź.

- Mogę jakoś pomóc?

Pokręcił głową z przestraszoną miną. Obaj wiedzieliśmy, że broniąc go dzisiaj, naraziłem go tylko na jeszcze większe kłopoty.

Seweryna wciąż stała przed wejściem do swojego domu. Nie odzywała się, jednak wyraz twarzy miała dziwnie nieruchomy.

- Przepraszam, że tak popędziłem... - Kiedy skręciliśmy do wejścia, wciąż jeszcze kipiałem oburzeniem. - Czy masz tego samego gospodarza co ci dzierżawcy sklepików? - zapytałem. Pokręciła głową. - Do kogo one należą?

- Do jakiegoś konsorcjum. Ostatnio bywały kłopoty.

- Przemoc?

-Tak sądzę...

Nie wyświadczyłem przysługi sprzedawcy owoców. Męczyło mnie to. Przynajmniej przez ten czas, kiedy będę krążył po okolicy za Seweryną, mogę mieć oko na niego.

XXIV

Po porannym wypadzie Seweryna potrzebowała czegoś wzmacniającego; zaproponowała, bym się przyłączył. Zanim przygotowano nam napoje, siedziała ze zmarszczonymi brwiami, podobnie jak ja pochłonięta myślami o ataku na handlarza owoców.

- Falko, czy wiedziałeś, że ten starzec ma kłopoty z gospodarzem? - zapytała w końcu.

- Mogłem się domyślić, kiedy zobaczyłem, jak tamten go dręczy.

Seweryna ubrana była dzisiaj w niebieską szatę o głębokim odcieniu siarkowego szkła, z bledszą górą, w którą, dla kontrastu, wplotła pasma nitek w kolorze żywej pomarańczy. Ten błękit nadawał jej oczom zupełnie nieoczekiwane zabarwienie. Nawet szorstkie rude włosy nabrały ciekawszego odcienia.

- Więc ta lepsza część twojej natury wyszła na jaw! -Była pod wrażeniem mojego występu. Mieszałem łyżeczką swój napój. - Od dawna darzysz nienawiścią właścicieli nieruchomości, Falko?

- Od kiedy pierwszy z nich zaczął się mnie czepiać o czynsz - rzuciłem. Spoglądała na mnie znad czerwonego ceramicznego kubka. Był niedrogi, ale wygodny. - Wynajmowanie to okropna zaraza. Mój stryjeczny dziadek... - zamilkłem na chwilę. Umiała słuchać; już wcześniej dałem

się w to wciągnąć. - Więc dziadek Skaro był ogrodnikiem produkującym na rynek i pozwalał sąsiadowi trzymać świnię w szopie na swojej ziemi. Przez dwadzieścia lat współżyli w pełnej harmonii, dopóki sąsiad się nie dorobił i nie zaproponował rocznej opłaty. Dziadek przyjął ofertę... po czym natychmiast złapał się na rozważaniu, czy stary przyjaciel nie powinien przypadkiem zapłacić za położenie na szopie nowego dachu! Tak się przeraził, że oddał pieniądze. Skaro opowiedział mi to, kiedy miałem jakieś siedem lat, jakby to była taka sobie zwykła historyjka... a przecież chciał mnie ostrzec.

- Żebyś nie stawał się posiadaczem? - Seweryna obrzuciła mnie wymownym spojrzeniem. Jak zwykle miałem na sobie połatanąą tunikę, zwykły pas, a włosy w nieładzie. -To ci nie grozi, prawda?

- Nie tylko kobiety polujące na bogatych mężów mają ambicję!

Przyjęła moje słowa spokojnie.

- Chyba się przyznam, dlaczego nie mam tego samego właściciela nieruchomości co dzierżawcy sklepików...

Zdążyłem już to odgadnąć.

- Jesteś główną lokatorką.

- Tak się składa, że oddaję w wynajem wszystkie mieszkania w tej kamienicy. Sklepy jednakże to osobna sprawa... nie mają nic wspólnego ze mną. - Mówiła potulnym głosem, skoro jej wyznanie prowadziło nas prostą drogą z powrotem do sprawy szybko odziedziczonych spadków.

Od jubilera w Suburze wiedziałem, że przynajmniej niektórzy z podnajemców Seweryny są zadowoleni. Mnie jednak bardziej interesowało to, w jaki sposób zdobyła pierwsze pieniądze, a nie - jak je zainwestowała.

Wstałem. Znajdowaliśmy się w jasnym pokoju, w kolorach żółci i ochry, ze skrzydłowymi drzwiami. Otworzyłem je szerzej, mając nadzieję zobaczyć zieleń, tymczasem moim oczom ukazał się wybrukowany dziedziniec bez jednego choćby drzewka.

- Masz tutaj ogród? - zapytałem. Seweryna pokręciła głową. Cmoknąłem z dezaprobatą, odwracając się od smutnej, ocienionej murami połaci ziemi na zewnątrz. - Oczywiście zbyt często się przeprowadzasz. Sadzenie roślin jest dla ludzi, którzy siedzą w jednym miejscu!... Nie przej muj się, razem z Nowusem nabędziesz połowę wzgórza Pincius...

-Tak, mnóstwo miejsca, żebym mogła się zabawiać kształtowaniem roślinności ogrodowej... A jaki ty masz dom?

-Tylko cztery pokoje... jeden z nich to biuro. Dopiero co je wynająłem.

- Zadowolony?

- Jeszcze nie wiem. Sąsiedzi są nadęci i brakuje mi balkonu. Ale podoba mi się, że mieszkanie jest przestronne.

- Jesteś żonaty?

-Nie.

-Jakieś dziewczyny? - pytała dalej. Zauważyła moje wahanie. - Och, pozwól, że zgadnę... tylko jedna. Sprawia ci problemy?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo wyglądasz mi na człowieka, który może się przeliczyć ze swoimi siłami! - zawyrokowała. Zrobiłem kwaśną minę, ale mając pięć sióstr, nauczyłem się ignorować wścibstwo. Seweryna, bystrzejsza od moich sióstr, zmieniła temat rozmowy. - Czy jako detektyw masz wspólnika?

- Nie. Pracuję sam - oznajmiłem. Roześmiała się,

usłyszawszy moją odpowiedź; wciąż miałem niejasne uczucie, że mnie podpuszcza. Dużo później odkryłem dlaczego.

- Wyglądasz nieswojo, Falko. Nie chcesz rozmawiać o swoim prywatnym życiu?

- Jestem tylko człowiekiem.

-A tak. Za banalnie niewzruszoną miną chowa się fascynujący mężczyzna.

Typowe posunięcie: otwarte, profesjonalne pochlebstwo. Zesztywniałem.

- Daruj sobie, Zotyko! Jeśli chcesz poćwiczyć ujmujący dialog, to beze mnie.

- Spokojnie, Falko!

Ja jednak nie dawałem za wygraną.

- Na pochlebstwo nie daję się nabierać. Już prędzej na wielkie, brązowe oczy i inteligentne riposty.

- Wyrafinowane!

- Poza tym nie znoszę rudych.

Przyjrzała mi się bacznie.

- Co ci zawiniły?

Uśmiechnąłem się słabo. Kiedyś ruda uciekła z moim ojcem. Trudno jednak było mieć o to pretensje do wszystkich płomiennowłosych; znałem swojego ojca i wiedziałem, że to on zawinił. To była wyłącznie sprawa gustu; rude nigdy mnie nie pociągały.

- Może powinniśmy porozmawiać o interesach - za proponowałem, zanim jej pytanie zdążyło mnie dotknąć.

Seweryna sięgnęła do stolika i napełniła ponownie swój kubek, a potem mój. Ponieważ byłem przekonany, że jest odpowiedzialna za zabicie trzech swoich mężów, z których

jednego otruła, miałem pewne obawy. Rozsądny człowiek, znający historię Seweryny, nie powinien przyjmować niczego z tych pełnych wdzięku białych dłoni. Wydawało mi się jednak, że mężczyźnie zaproszonemu do tego miłego miejsca, zabawianemu zręcznie prowadzoną rozmową, nie wypada odmówić, kiedy go czymś częstują. Czy rozbrajano mnie tymi samymi sztuczkami, które służyły pozbywaniu się kolejnych ofiar?

- Zatem co mogę dla ciebie zrobić, Falko? - zapytała.

Odstawiłem kubek, złączyłem dłonie, oparłem brodę na kciukach.

- Przyznaję, że wykazujesz się wielką szczerością - powiedziałem. Rozmawialiśmy spokojnie i otwarcie, choć wyczuwało się napięcie związane z wagą omawianej sprawy. Widoczne w jej oczach wyrachowanie łagodziła przyjemność, jaką wyraźnie sprawiała jej możliwość targowania się. - Moje klientki chcą wiedzieć, ile będzie kosztowało namówienie cię do pozostawienia Nowusa w spokoju.

Seweryna milczała tak długo, że zacząłem powtarzać w myślach swoje słowa, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie popełniłem błędu przy formułowaniu wypowiedzi. Ale przecież na pewno tego się spodziewała.

-To dopiero jest szczerość. Musisz mieć dużą praktykę w proponowaniu kobietom pieniędzy! - odezwała się wreszcie.

- Mój starszy brat był człowiekiem światowym. Dopilnował, żebym wiedział, jak wsunąć pół denara za gorset dziwki.

- Ostro powiedziane!

- Cóż, sytuacja nie tak bardzo się różni.

Przybrałem niewzruszoną minę, którą nazwała banalną. Seweryna się wyprostowała.

-To bardzo pochlebne! Ile proponują mi te okropne kobiety?

- Powiedz, ile chcesz. Jeśli twoje żądanie okaże się nazbyt wygórowane, poradzę im, by je odrzuciły. Z drugiej strony, rozmawiamy przecież o cenie życia...

- Ciekawe, jaka ona jest! - mruknęła gniewnie, niemal niedosłyszalnie. Jeszcze bardziej się wyprostowała. - Falko, pytanie o ofertę wynikało z czystej ciekawości. Nie zamierzam bowiem zrywać zaręczyn z Nowusem. Każda próba przekupstwa jest obrazą dla mnie i stratą czasu. Zapewniam cię, że to nie jego pieniądze mnie interesują!

W ostatnią część wypowiedzi włożyła tyle pasji, że czułem się zobowiązany zaklaskać. Seweryna Zotyka oddychała ciężko, ale zdusiła irytację, ponieważ spotkanie zostało przerwane pojawieniem się gościa. Usłyszałem drapanie. Kotara w drzwiach drgnęła. Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje, aż spod jej brzegu wychynął złośliwy dziób i łypnęło ponuro oko w żółtej obwódce, a za nimi pojawiła się biała głowa i reszta ptaszyska, o piórach w różnych odcieniach, od srebrzystego do ciemnoszarego.

Obserwowałem, jak zmienia się nastrój mojej rozmówczyni.

- Nie sądzę, byś chciał mieć papugę, Falko? - we stchnęła.

Według mnie miejsce ptaków jest na drzewie. Ptaki egzotyczne - z ich wstrętnymi chorobami - najlepiej zostawić na drzewach egzotycznych. Pokręciłem głową.

- Mężczyźni to dranie! - wrzasnęła papuga.

XXV

Byłem tak zaskoczony, że wybuchnąłem śmiechem. Papuga powtórzyła mój śmiech, od pierwszej nuty do ostatniej. Czułem, że się czerwienię.

- Dranie! - powtarzał obsesyjnie ptak.

- Jest bardzo niesprawiedliwy! Kto go nauczył tego towarzyskiego komentarza? - spytałem Sewerynę.

- To jest ona.

- Co za głupiec ze mnie!

Ptaszysko, które wyglądało jak najnędzniejszy zlepek piór, jaki można zobaczyć na grzędzie, przyglądało mi się podejrzliwie. Otrząsnęło się i machnięciem krótkiego, karmazynowego ogona uwolniło od kotary w drzwiach, po czym, niosąc kuper nad samą podłogą, z dumą pawia wkroczyło do pokoju i zatrzymało tuż poza zasięgiem mojego buta.

Seweryna przyjrzała się swojej ulubienicy.

- Ma na imię Chloe. Taka już była, kiedy ją dostałam. Dowód miłości od Frontona - wyjaśniła. - Fronto to ten dostawca dzikich zwierząt.

-No tak... Każdy, kto tak szybko jak ty zmienia mężczyzn, musi zebrać sporo nietrafionych prezentów!

Papuga potrząsnęła piórkami; w powietrzu zawisły drobiny puchu. Starałem się nie kichnąć.

W tym momencie pojawił się jeden z postawnych niewolników Seweryny i skinął do niej głową. Wstała.

- Przyszedł Nowus. Zwykle przychodzi na południowy posiłek - powiedziała. Byłem gotów się ulotnić, ale zatrzymała mnie gestem. - Pójdę zamienić z nim kilka słów. Dołączysz później do nas? - Byłem zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Seweryna uśmiechnęła się. - Powiedziałam mu wszystko o tobie - szepnęła, rozkoszując się moją konsternacją. - Zostań, Falko. Mój narzeczony bardzo chciałby z tobą porozmawiać!

XXVI

Wyszła z pokoju.

Papuga wydawała skrzeczące dźwięki; nie miałem wątpliwości, że się ze mnie naigrawa.

-Jedno niewłaściwe słowo, a skleję ci dziób żywicą sosnową! - zagroziłem.

Chloe westchnęła teatralnie.

- Och, Ceryntusie!

Nie miałem czasu zapytać, kto to taki ten Ceryn-tus, ponieważ wróciła Seweryna ze swoim przyszłym mężem.

Hortensjusz Nowus był korpulentny i pochłonięty sobą. Jego tunika wyglądała tak świeżo, że gość pewnie przebierał się z pięć razy dziennie, na palcach obu dłoni miał grube pierścienie. Cały ciężar twarzy skupiony był nisko, w smagłym podbródku; kąciki mięsistych ust opadały melancholijnie. Miał około pięćdziesiątki, nie za stary dla Seweryny, w społeczeństwie, gdzie dziedziczki fortun zaręczano niemal w kołysce, a otyli senatorowie w rozkwicie kariery żenili się z filigranowymi piętnastoletnimi patrycjuszkami. Papuga zachichotała szyderczo na jego widok; nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Kiedy Seweryna dokonała prezentacji, pozdrowiłem

go spokojnie. On zareagował oszczędnym ruchem głowy. Jego narzeczona była teraz profesjonalistką przy pracy, uśmiechała się do nas, zarzuciwszy swoją typową cierp-kość... nic tylko mleczna skóra i gładkie maniery.

- Przejdźmy do jadalni... - powiedziała.

Tryklinium było tutaj pierwszym pokojem, w którym zobaczyłem malowidła ścienne - dyskretne pnącza winorośli i delikatne wazoniki z kwiatami na granatowym tle. Kiedy Nowus spoczął na sofie, Seweryna sama zdjęła mu buty, choć, jak zauważyłem, jej czułe zabiegi na tym się skończyły i pozwoliła, by to jeden z niewolników umył jego duże, pełne odcisków stopy.

Hortensjusz opłukał dłonie i twarz, a niewolnik trzymał mu misę. Była duża i srebrna, ręcznik puszysty, a niewolnik odpowiednio wyszkolony. Wszystko to sprawiało wrażenie, że Seweryna Zotyka umie niewielkim wysiłkiem i w nie rzucający się w oczy sposób prowadzić dom na odpowiednim poziomie.

Sam posiłek był prosty i typowy - chleb, ser, sałatka, rozcieńczone wodą wino i owoce. Subtelne objawy luksusu pojawiły się w szczegółach, takich jak maleńkie przepiórcze jajeczka, delikatne białe bułeczki czy pełen zestaw serów ze wszystkich rodzajów mleka. Nawet skromne rzodkiewki pocięto tak, żeby tworzyły kwiatki i wachlarzyki, i udekorowano nimi bajecznie skomponowaną sałatkę, zastygłą w galarecie - najwyraźniej domowej roboty, ponieważ z rozmachem wyłożono ją z formy na naszych oczach. Na koniec zaserwowano całe bogactwo owoców.

Rzeczywiście prosty posiłek, prosty w rozumieniu ludzi bardzo bogatych.

Nowus i Zotyka czuli się w swoim towarzystwie całkowicie swobodnie. Porozmawiali krótko o przygotowaniach do ślubu. Taką rozmowę, dotyczącą uniknięcia pechowych dat, narzeczeni potrafią zamienić w ciągnącą się tygodniami nerwową debatę. Kiedy już wyznaczą datę ślubu na dzień urodzin jakiejś artretycznej ciotki, dowiadują się, że staruszka właśnie wybrała się w rejs z jakimś przystojnym młodym masażystą, któremu, jak należy się spodziewać, zapisze cały swój majątek.

Przy takiej obfitości jadła zapadały długie okresy milczenia. Nowus robił wrażenie pochłoniętego swoją pracą człowieka interesów, którego poruszają jedynie sprawy dotyczące finansów. Nie poczynił najmniejszej aluzji do tego, że moje śledztwo jest z nim związane, co mi odpowiadało, ale zarazem moja obecność tutaj stawała się towarzysko niezręczna. Prawdę mówiąc, mężczyzna niewiele mówił; rzucił zaledwie kilka uwag, z których wnosiłem, że Seweryna cieszy się jego pełnym zaufaniem.

- Dotarł nareszcie ten transport z Sydonu - oznajmił.
- To możesz odetchnąć z ulgą. Co go wstrzymało?
- Niepomyślne wiatry w okolicy Cypru...

Podała mu sałatkę. Był tego rodzaju tłuściochem, który je szybko i łapczywie, pocąc się i krzywiąc. Można by go wziąć za prostaka... jednak kobieta, która pragnęła luksusu, mogła przymknąć na to oko, jeśli jego podarunki były dość szczodre. Seweryna odnosiła się do niego z oficjalnym respektem; gdyby za niego wyszła, takie podejście na pewno byłoby skuteczne... pod warunkiem że uda jej się zachować ten szacunek dla niego, a jemu - zachować życie.

Był rzeczywiście hojny. Przyniósł narzeczonej naszyjnik z dwudziestoma fiołkowymi ametystami. Podał go jej ta-

kim gestem, jakby była to codzienna rutyna; ona przyjęła dar spokojnie, ale z przyjemnością; ja zatrzymałem swoje cyniczne myśli dla siebie.

- Obecny tu Falko miał dzisiaj rano starcie z przedstawicielem Pryscyla - rzuciła Seweryna.

Nowus wykazał ślad zainteresowania moją osobą. Podczas gdy ja skromnie gryzłem oliwkę, ona opisywała, jak ratowałem starego sprzedawcę owoców przed nasłanym przez właściciela nieruchomości łotrem. Jej narzeczony wybuchnął szczekliwym śmiechem.

- Musisz na siebie uważać! Obrażenie Pryscyla może być niebezpieczne dla zdrowia!

- A kimże on jest? Krezusem rynku nieruchomości? - zainteresowałem się.

- Człowiekiem interesu.

- Brudnego?

- Normalnego. - Nowusa nie interesowała moja opinia na temat ludzi zajmujących się handlem nieruchomościami.

- Czy Appiusz Pryscyl przypadkiem nie przesadza? - pełnym zadumy głosem zapytała Seweryna.

- Zbiera należny czynsz.

- Odniosłam wrażenie...

- Najemca musiał mieć dług - przerwał Nowus jej cichy komentarz. - W takich sprawach nie ma sentymentów - oświadczył. Widać było, że jest z zasady uparty, choć przy słowie „sentymentów" zrobił pobłażliwą minę. Znałem ten rodzaj człowieka: twardy jak nóż z Noricum... a lubiący mieć puszystego kotka, który odgrywałby rolę sumienia. No i dobrze... pod warunkiem że posłucha, kiedy to sumienie przemówi.

Seweryna nie wyglądała na przekonaną, zamilkła jed-

nak, nie zamierzając się spierać. Odpowiednia kobieta do stołu: inteligentnie prowadząca konwersację... ale też na tyle bystra, by się pohamować. Zacząłem myśleć o Helenie Justynie. Kiedy ją coś nurtowało, nie powstrzymała się od uwagi na ten temat.

Zauważyłem, że Seweryna ze spokojem mnie obserwuje, i podjąłem wątek na nowo.

- Czy ten osobnik, Pryscyl, nie denerwuje cię, nękając okolicę? - zapytałem ją.

Jej twarz rozpromienił uspokajający uśmiech taktownej pani domu.

- W sprawach dotyczących interesów polegam na ra dach Hortensjusza Nowusa!

Mogłem przewidzieć, że nie warto strzępić sobie języka.

Ostatnim gestem w uznaniu apetytu Nowusa były podane nam ciastka: tylko trzy (bo to był skromny posiłek, a nie uczta), ale za to prawdziwe klejnoty sztuki cukierniczej, elegancko wyeksponowane na kosztownej srebrnej paterze, którą potem Seweryna dała w prezencie Nowu-sowi. Ten gest miał taki sam zwyczajowy charakter jak w wypadku ametystów dla niej. Dało mu to niepodważalne prawo do wylizania patery; jego tłusty, zachłanny jęzor przesuwał się szybko po metalu, czemu przyglądałem się z zazdrością.

Wkrótce potem odszedł, z paterą pod pachą, za to bez wyjaśnienia mi, co tam w ogóle robiłem. Seweryna wyszła z nim, dając tym do zrozumienia, że pożegnalne pocałunki wymienią na osobności. I tak usłyszałem drwiący skrzek papugi.

Kiedy gospodyni wróciła, zdążyłem już przybrać pozycję siedzącą na łożu i dokonywałem oceny jej naszyjnika z ametystami, porównując wartość obu podarków.

- Sądzę, że Nowus nieźle dzisiaj wypadł. Naszyjnik wygląda całkiem dobrze, Zotyko... ładnie wykonany.

- Jesteś żałośnie cyniczny.

Wstałem i kołysałem naszyjnikiem zawieszonym na palcach jednej dłoni.

-Ładny... ale wkrótce odkryjesz jedną czy dwie skazy. Gdyby moim zadaniem nie było wbicie klina między was dwoje, ostrzegłbym poczciwego Nowusa, by nie dawał klejnotów dziewczęciu znającemu się na szlachetnych kamieniach... - drwiłem. Próbowała odebrać mi naszyjnik, kiedy starałem się założyć jej go na smukłą szyję. - Niezbyt pasuje do niebieskiego koloru.

- Rzeczywiście, z ametystami zawsze jest kłopot. - Nie dawała się wyprowadzić z równowagi.

- Czas na mnie - powiedziałem wreszcie. Z galanterią pochyliłem się nad jej dłońmi. Poczułem kwietną woń, która przypominała mi olejek, jakim ostatnio zawsze pachniała Helena po powrocie z łaźni. Najwyraźniej rumianek jest w tym miesiącu powszechnie wykorzystywany.

Na lewej dłoni Seweryna nosiła masywny pierścionek zaręczynowy z czerwonym jaspisem. A na nim fałszywy symbol wierności: jedna z trawestacji, przedstawiająca dwie ściskające się dłonie, bardzo zresztą kiepsko wyrysowane. Zauważyłem, że Nowus ma identyczny. Na tym samym palcu prawej dłoni nosiła wysłużoną miedzianą obrączkę, z jednej strony spłaszczoną w krążek, na którym wyryto prosty wizerunek Wenus. Tania błyskotka. Domyśliłem się, że pamiątka. Niewiele dziewcząt nosi miedziane pierścionki, ze względu na śniedź.

-To jest ładne. Od jednego z mężów?

- Nie, od kogoś zaprzyjaźnionego.

- Mężczyzny?

- Mężczyzny - przyznała, kiedy skrzywiłem usta, żeby pokazać, co sądzę o kobietach, które mieszkają bez męskiego opiekuna, a mają adoratorów, zwanych „kimś zaprzyjaźnionym".

Cofnęła ręce.

- Co sądzisz o Nowusie? - spytała.

- On jest za bardzo skostniały w swoich przyzwyczajeniach, a ty jesteś dla niego o wiele za bystra...

- Całkiem normalny małżeński układ! - rzuciła w odpowiedzi.

- Bzdury! Jak długo zamierzasz marnować życie, skacząc koło poślednich ludzi interesów?

- Lepiej robić to teraz, kiedy mam jeszcze dużo sił, niż później, kiedy koło mnie trzeba będzie skakać!

- No tak, ale czy tak łatwo ci przychodzi okazywanie szacunku? - drążyłem. Uśmiechnęła się wymijająco. - Wspominałaś, że Nowus chce o czymś porozmawiać. W ogóle się do mnie nie odezwał.

- Chciał sprawdzić, czy mu się spodobasz.

- Zatem jakie zrobiłem na nim wrażenie?

- Mogę ci powiedzieć, czego chciał. Skoro zamierzasz się kręcić po okolicy, pracując dla Pollii, mógłbyś przy okazji robić coś dla Nowusa.

- Przykro mi - odparłem natychmiast, podejrzewając jakąś intrygę z jej strony. - Mogę pracować tylko dla jednego klienta. Chętnie jednak się dowiem, o co chodzi.

- O ochronę.

- Oj! Jeszcze się nie pozbyłem siniaków. Nie rozśmieszaj mnie, Zotyko!

Wreszcie straciła cierpliwość.

- Czy musisz nieustannie wymachiwać tym moim imieniem niewolnicy jak Herkules maczugą?

- Ludzie powinni przyjmować do wiadomości swoje pochodzenie...

- Hipokryzja! - żachnęła się. -Jesteś wolnym obywatelem, co ty możesz o tym wiedzieć.

- Mylisz się, Zotyko. Znam biedę, ciężką pracę i głód. Spotykają mnie same rozczarowania. Szydzą ze mnie zarówno bogacze, jak i ich niewolnicy. Moje ambicje wykraczają poza moje możliwości, tak jak to jest z mieszkającym w brudnej norze nędznym palaczem z łaźni...

- Jakie ambicje? - spytała, a ja poczułem, że atmosfera robi się zbyt przyjazna. Ciągle byliśmy w jadalni, ja gotowy do odejścia i Seweryna robiąca wrażenie, jakby chciała mnie jeszcze zatrzymać. - Zauważyłam, że dobrze mi się z tobą rozmawia - burknęła. - Czy to twój sposób na pokonanie czyjegoś oporu?

- Niewiele można osiągnąć, pozwalając podejrzanym dobrze się bawić.

- Zaczynam się martwić, kiedy jesteś szczery!

- Moja pani, mnie samego to martwi!

Nagle się uśmiechnęła. Znałem ten uśmiech: niebezpieczna broń kobiety, która doszła do wniosku, że jesteśmy już wielkimi przyjaciółmi.

- Teraz ci powiem - oznajmiła - po co tak naprawdę poszłam do wróżbitki. Mam nadzieję, że wtedy zrozumiesz, dlaczego się martwię o Nowusa. - Przechyliłem głowę, nie zmieniając wyrazu twarzy. - On ma wrogów, Falko - ciągnęła. - Był ofiarą gróźb... gróźb, po których nastąpiły nie dające się wytłumaczyć zdarzenia. Zaczęło się, za nim go poznałam, a ostatnio powtórzyło. Zapytałam Ty-

che o ryzyko, za jego wiedzą, a prawdę mówiąc, w jego imieniu.

Powstrzymałem uśmieszek. Nie wiedziała, że widziałem, jak zamawia nagrobek dla tego nieszczęśnika.

- Kim są ci wrogowie? I co konkretnie mu zrobili?

- Pomożesz nam?

- Już powiedziałem. Prowadząc jedną sprawę, nie mogę poświęcać uwagi innej.

- W takim razie Nowus nie chciałby, bym mówiła coś więcej.

- Jak chcesz.

- Co on ma zrobić? -wykrzyknęła, bardzo przekonująco przybierając zaniepokojoną minę.

- Najlepszym sposobem na wrogów jest zaprzyjaźnić się z nimi. - Seweryna spojrzała mi prosto w oczy, kpiąc z mojej obłudnej rady. Przez moment czuliśmy się pokrewnymi duszami. - W porządku, przyznaję: najlepiej jest ich przekupić.

- Falko, skoro nie zamierzasz nam pomóc, to przynajmniej nie rób sobie żartów!

Jeśli kłamała, to była wyśmienitą aktorką. Nie odrzucałem możliwości, że Seweryna jest kłamczucha.

XXVII

Popołudnie spędziłem na Forum, słuchając zwietrzałych już pogłosek, które przesiadujący wokół rostry recydywiści podawali jako nowiny; potem udałem się do swojego gimnazjonu, żeby poćwiczyć, wziąć kąpiel, ogolić się i wysłuchać p r a w d z i w y c h plotek. Następnie poświęciłem nieco czasu sprawom osobistym: odwiedziłem matkę i swojego bankiera. Obydwa spotkania ze swej natury męczące okazały się jeszcze bardziej irytujące niż zwykle, ponieważ się dowiedziałem, że oboje nachodził Anakrytes, naczelny szpieg Pałacu. Uwaga, jaką mi poświęcał, zaczynała być poważnym problemem. Anakrytes dopilnował, żeby oficjalnie uznano mnie za zbiega z więzienia. A kiedy matka protestowała, mówiąc, że zapłaciła za mnie kaucję, spotkała się z ripostą Anakrytesa, że wobec tego jestem podwójnie winny, bo się ukrywam, wyszedłszy za poręczeniem.

Matka była bardzo przejęta. Mnie złościło to, że odebrano mi wiarygodność u mojego bankiera. Ograniczanie mi możliwości przyszłego kredytu było naprawdę wstrętną zagrywką.

Kiedy już udało mi się uspokoić matkę, sam wymagałem pocieszenia, wobec czego podreptałem do bramy Kapeńskiej. I znowu pech; Helena była w domu, tyle że była tam też połowa nadzianych krewnych Kamila; senator

wydawał przyjęcie z okazji urodzin jakiejś sędziwej ciotki. Odźwierny, który po moim codziennym stroju dobrze widział, że nie należę do zaproszonych gości, wpuścił mnie jedynie po to, by mieć uciechę, kiedy będą mnie stamtąd wykopywać.

Helena pojawiła się w drzwiach sali przyjęć; zanim je zamknęła, zdążyłem usłyszeć spokojne dźwięki fletu.

- Przepraszam, jeśli moment jest niestosowny...

-To prawdziwe wydarzenie - oświadczyła chłodno -kiedy się pojawiasz!

Sprawy nie wyglądały dobrze. Po wizycie u Seweryny straciłem ochotę na przekomarzania. Byłem zmęczony; potrzebowałem spokoju i pocieszenia. Tymczasem Helena oznajmiła, że być może zaproszono by mnie na to przyjęcie, gdybym ubiegłego wieczoru, kiedy jej ojciec wszystko organizował, był gdzieś pod ręką. Odniosłem miłe wrażenie, że Kamil musiał przypomnieć sobie o urodzinach ciotuni w ostatniej chwili, ale dostrzegłem też, jak zażenowana musiała się czuć Helena, nie wiedząc, kiedy (jeśli w ogóle) będzie miała okazję zobaczyć swojego roztargnionego adoratora...

- Heleno, moje serce - przepraszałem ją uroczyście - gdziekolwiek jestem, ty jesteś przy mnie...

- Tandetna filozofia!

- Tandetna, a więc prosta, prosta, zatem prawdziwa!

Tandetne oznaczało po prostu nieprzekonujące. Stała z założonymi rękoma.

- Falkonie, jestem kobietą i uważam, że moją lojalność należy uznać za oczywistą. Wiem, że moją rolą jest czekać, aż przywleczesz się do domu pijany albo poobijany, albo jedno i drugie...

Z kolei ja założyłem ręce, jak to się dzieje, kiedy

nieświadomie kogoś naśladujemy. Najwyraźniej odsłoniłem przy tej okazji efektownego siniaka tuż pod łokciem.

- Nie jestem pijany! - zaprotestowałem.

- Ale poobijany!

- Nic mi nie będzie. Posłuchaj, nie kłóć się. Usiłuję teraz rozwikłać pewną sprawę. Mam aż za dużo kłopotów...

- Och, zapomniałam... - zakpiła. - Jesteś m ę ż c z y zną, więc nawet krytyka wydobywa z ciebie to, co najgorsze...

Czasami się zastanawiałem, co mnie ciągnie do tej wygadanej sekutnicy, nie mającej żadnego wyczucia chwili. Ponieważ nie byłem na służbie i pewnie nie miałem się na baczności, pozwoliłem sobie jej o tym powiedzieć i nader kwieciście wytknąłem mojej pani jej porywczość... i kompletny brak wiary w moją osobę.

Nastąpiła krótka chwila milczenia.

- Marku, powiedz mi, gdzie byłeś.

- Nos w nos z kobietą polującą na jednego z Horten-sj uszów.

- Tak - oświadczyła ze smutkiem Helena. - Tak właśnie myślałam.

Jej ton świadczył o tym, że się zamartwiała. Obejrzałem ją sobie. Żeby dać wyraz swojemu zmartwieniu, Helena włożyła szatę w żywym karminowym kolorze, ozdobiła włosy sznurem szklanych paciorków, jak koroną z hiacyntów, a potem zabawiła się w szerszym gronie. Już miałem rzucić jakimś zrzędliwym dowcipem, kiedy z pokoju, gdzie trwało przyjęcie, wyszedł młody człowiek.

Jego wytworna toga z wełny z matowym meszkiem ostro kontrastowała z moją wyświechtaną codzienną tuniką. Na

krótko ostrzyżonych włosach tkwił lśniący wieniec. Taki jednoznaczny patrycjuszowski wygląd przez większość kobiet uważany jest za atrakcyjny, choć wynika tylko z niesamowitej arogancji.

Oczekiwał, że Helena nas sobie przedstawi. Ja nie byłem taki naiwny; jego nagłe pojawienie się za bardzo ją zirytowało.

- Bry wieczór. Członek rodziny? - rzuciłem w jego stronę z promiennym wyrazem twarzy.

- Przyjaciel braci - wtrąciła się Helena, szybko odzyskując równowagę. Gość spoglądał na mnie, zdziwiony obecnością plebejusza, ale ona zwróciła się do niego z typową dla siebie bezpośredniością. - Rozmawiamy tutaj z Falkonem o interesach, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Poskromiony wrócił na przyjęcie.

Puściłem do Heleny oko.

- Przyjaciel braciszków, hę?

-To spotkanie osób starszych, rodzice go zaprosili, żebym miała z kim porozmawiać. T y byłeś nieosiągalny.

- No i dobrze, skarbie. Mnie woleliby nie widzieć.

- Falkonie, j a mogłabym zechcieć cię widzieć.

- Wydaje się, że sobie jakoś radzisz.

- Muszę! - rzuciła oskarżycielsko. - W każdym razie, ojciec by cię na pewno zaprosił, ale skąd można wiedzieć, gdzie teraz mieszkasz?

Podałem jej swój nowy adres. Odpowiedziała łaskawie, że teraz ojciec będzie mógł przesłać tę obiecaną sofę.

- Chciał koniecznie wczoraj się z tobą skontaktować. Przyszedł do niego Anakrytes - zakomunikowała.

Rzuciłem przekleństwo.

- Ten człowiek to prawdziwa zaraza!

- Musisz coś z tym zrobić, Marku. Jak możesz pracować, kiedy on na ciebie poluje?

- Zajmę się tym.

- Obiecujesz?

- Tak. Zycie staje się nieznośne.

Wróciłem do sprawy mojego nowego adresu.

- Mieszkam teraz w dwóch pokojach, a trzeci będzie moim biurem. Pozostaje jeszcze jeden, który mógłby się stać twoim. Wiesz, czego pragnę...

- Tolerancyjnej gospodyni, darmowej towarzyszki w łożu... i kogoś odważnego do łapania robactwa wyłażącego ze szpar między deskami podłogi!... Nie, to nie tak -poprawiła się Helena. - Kogoś lękliwego, kto pozwoli, żebyś sam tłukł robactwo i wyglądał na twardziela!

- No cóż, oferta pozostaje aktualna, ale nie zamierzam się powtarzać. - Wiedziała o tym; błaganie, żeby zwróciła na mnie uwagę, nie było w moim stylu. - Twój szlachetny papa chce cię zapewne widzieć na przyjęciu. Lepiej już sobie pójdę.

-Tak będzie najlepiej - zareagowała na swój przemądrzały sposób. - Pokażesz się znów? - zmieniła ton na łagodny.

- Kiedy tylko będę mógł - odparłem, przyjmując ten łagodniejszy ton głosu jako coś bliskiego przeprosinom. -Mam po prostu mnóstwo do przemyślenia. Jednak teraz, kiedy już poznałem tę kobietę, powinno mi się udać sensownie rozwiązać sprawę.

- Mam rozumieć, że nie przyjdziesz, dopóki sprawa się nie zakończy?

- Brzmi to, jakbyś się mnie pozbywała.

Helena wysunęła podbródek.

- Kto tu się kogo pozbywa? To była tylko rozsądna su gestia.

Zacisnąłem mocno zęby.

- Bogowie, jak ja nie znoszę rozsądnych kobiet! Ty decyduj. Przyjdę, jeśli mnie o to poprosisz. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Czekałem, aż zacznie mnie namawiać do zmiany decyzji, ale przecież była równie uparta jak ja. Nie pierwszy już raz doprowadziliśmy do bezsensownego impasu.

Odchodziłem. A ona mi na to pozwalała.

- Na Ledę, skarbie! Tak naprawdę to potrzebna mi jest dziewczyna, która będzie siedzieć w domu i odbierać wiadomości!

- Nie stać cię, żeby jej płacić - odparła Helena.

XXVIII

Niepotrzebnie się chełpiłem, że szybko rozwiążę tę sprawę. Daleko jej bowiem było do zakończenia. Prawdę mówiąc, dopiero się zaczynała, o czym już wkrótce miałem się przekonać.

W drodze do domu myślałem więcej o kobietach niż o pracy. Nieraz mi się to zdarzało... choć akurat dzisiaj ciążyło mi bardziej niż zazwyczaj. Moje klientki, Seweryna, moja ukochana dama, matka, one wszystkie nie pozwalały mi mieć spokojnej głowy. Nawet siostra Maja, której nie widziałem po opuszczeniu więzienia, wywoływała poczucie winy, bo jak dotąd nie zdołałem podziękować jej za uratowane żetony, którymi sfinansowałem nowe mieszkanie... Wszystko to zaczęło mi się wymykać z rąk. Potrzebne było działanie, najlepsze, jakie może być, polegające na nic-nierobieniu. Musiałem się zatrzymać, dać sobie chwilę odpoczynku i przytłumić myśli związane z paniami.

Planowałem spędzić następne trzy dni, poświęcając się własnej przyjemności i zyskom. Udawało mi się to przez całe dwa dni; niezły wynik jak na to, co sobie zaplanowałem.

Przedpołudnie pierwszego dnia spędziłem na rozmyślaniach w łożu.

Potem, jako że nadal oficjalnie pracowałem dla cesarza (bo jakoś nigdy nie zawracałem sobie głowy poin-

formowaniem go, że tak nie jest), udałem się na Palatyn i poprosiłem o posłuchanie u Wespazjana. Przez całe popołudnie kręciłem się po labiryncie pałacowych biur, zanim wreszcie jakiś urzędniczyna raczył mi powiedzieć, że Wespazjan spędza letnie wakacje wśród sabińskich wzgórz. Teraz, kiedy już nosił purpurę, starszy pan lubił przypominać sobie swoje skromne pochodzenie, zrzucając cesarskie sandały i przebierając palcami nóg w kurzu dawnych rodzinnych posiadłości.

Obawiając się wpaść na Anakrytesa, niezwłocznie opuściłem Pałac i oddałem się do dyspozycji swoich osobistych przyjaciół. Tego wieczoru jadłem kolację z Petroniuszem Longusem w jego domu. Miał żonę i troje dzieci, więc spotkanie przebiegło spokojnie i skończyło się wcześnie (a biorąc pod uwagę nasze zwyczaje, dość trzeźwo).

Rano skierowałem ponownie prośbę o audiencję, tym razem u starszego syna Wespazjana. Tytus niemal współrządził cesarstwem, miał więc pełną władzę, by rozwiązać mój drobny kłopot z Anakrytesem. Poza tym wiadomo było, że łatwo go naciągnąć. Co oznaczało, że moja prośba musi się znaleźć w stosie innych zwojów opisujących pecha, jaki prześladował ich podejrzanych autorów. Tytus pracował ciężko, jednakże w sierpniu udzielanie aktu łaski pechowcom musiało się odbywać w znacznie wolniejszym tempie niż zazwyczaj.

Czekając, aż mój elaborat zdoła przyciągnąć uwagę znudzonego syna cesarza, udałem się z Famią, moim szwagrem, na koński targ. Myśl o rozstaniu z Czarusiem była nieznośna, nie mogłem jednak oczekiwać, że stajnie, gdzie Famia pracował jako weterynarz dla zielonych, będą w nieskończoność trzymać mojego wierzchowca... cóż, na

pewno nie za friko, jak teraz (czego zieloni byli zupełnie nieświadomi). Zatem wystawiliśmy biednego Czarusia na licytację, dopóki jeszcze koszt zapewnienia mu siana nie przekroczył wysokości tego, co dla mnie wygrał. Z pieniędzmi w zanadrzu ruszyłem do Saepta Julia, gdzie skusiłem się na brudny kandelabr, który wyglądał, jakby dało się go oczyścić (pomyłka, jak zwykle) i egipski kartuszowy pierścień (który pasował, kiedy go przymierzałem, ale w domu okazał się za duży). Potem poszperałem u handlarzy literaturą i wyszedłem ze stosikiem greckich sztuk (nie pytajcie dlaczego; nie znoszę ich). Trochę gotówki zaniosłem matce na codzienne wydatki, a to, co zostało, dołączyłem do dokumentów, które trzymałem w skrytce bankowej na Forum.

Następnego dnia wciąż nie było zaproszenia do Pałacu, gdzie mógłbym rozbawić Tytusa opowieścią o moich niedolach, wobec czego poszedłem do swojej siostry Mai. Pozwoliła mi kręcić się po domu przez resztę przedpołudnia, co doprowadziło ostatecznie do posiłku i popołudniowej drzemki na tarasie. Obiecałem jej ciastka ze wzgórza Pincius, jednak Maja, która umiała ze mną postępować, namówiła mnie na poszerzenie oferty i wydanie przyjęcia w mojej nowej przestronnej siedzibie. Niczym kombinator, obiecujący swojemu bankierowi, że się z nim rozliczy, szybko dałem nogę, zanim ustaliliśmy termin.

Wieczór spędziliśmy z Petroniuszem na odwiedzaniu różnych winiarni, żeby sprawdzić, czy są takie dobre, jak je zapamiętaliśmy z czasów wczesnej młodości. Zważywszy na te kubki, którymi nas obdarowywano, żeby zachęcić do częstszych wizyt, butli, które ja postawiłem jemu, i tego, co on mnie postawił (bo był człowiekiem sprawiedliwym), nie mogło się to skończyć ani wcześnie, ani na trzeźwo.

Odprowadziłem go do domu, bo zataczający się na ulicy dowódca straży byłby narażony na zemstę przeróżnych złoczyńców, których kiedyś aresztował.

Jego małżonka, Sylwia, zamknęła przed nami drzwi na klucz. Jednakże przedstawiciele prawa, potrafią otworzyć większość zamków, a detektywi potrafią rozwalić siłą te, z którymi tamci nie dali sobie rady. Dostaliśmy się do domu i nawet niezbyt wielu sąsiadów zdążyło się wychylić i nam naurągać. Rozwaliliśmy zamek, ale drzwi zachowaliśmy w jednym kawałku. Petroniusz zaproponował mi nocleg, ale Sylwia zeszła, złorzecząc niezadowolona; próbowała zreperować zamek za pomocą pincety do brwi, podczas gdy mój przyjaciel czule ją obejmował, chcąc zawrzeć pokój (co uważałem za mało prawdopodobne). Potem obudziły się przestraszone dzieci, najmłodsza córeczka się rozpłakała, narzekając, że kotek zwymiotował w jej sandałek... wobec czego poszedłem sobie.

Jak zwykle, kiedy podejmuje się decyzję po wypróbowaniu pięciu lub sześciu amfor pośledniego wina w nędznych winiarniach, nie był to dobry pomysł.

Ważna okoliczność: pierwszy raz starałem się odnaleźć swoje nowe mieszkanie w stanie kompletnej nietrzeźwości. Zgubiłem drogę. Wielki pies ze spiczastą mordą o mało mnie nie ugryzł, a kilka prostytutek obrzuciło niezasłużonymi wyzwiskami. Po czym, kiedy wreszcie jakoś dotarłem do Piscina Publica i odnalazłem swoją ulicę, w ogóle nie zauważyłem, że czeka na mnie niski rangą pretorianin w nie zdejmowanym od pięciu dni mundurze... żeby wręczyć mi nakaz aresztowania od Anakrytesa i założyć bolesne okowy na nogi. Towarzyszyło mu trzech innych rekrutów o dziecięcych obliczach, w błyszczących pancerzach, z wielką gorliwością wypełniających pierwsze oficjalne za-

danie, polegające na zatrzymaniu niebezpiecznego renegata, najwyraźniej noszącego to samo co ja imię.

Kiedy założyli mi kajdany, położyłem się na ulicy i powiedziałem im, że udam się tam, gdzie chcą, ale będą musieli mnie ponieść.

XXIX

W więzieniu dwa dni dochodziłem do siebie po przepiciu.

XXX

Nim zapadł drugi wieczór, odnowiłem znajomość z dawnym współlokatorem, szczurem. Starałem się trzymać jednego kąta, żeby nie sprawiać mu kłopotu, ale on zaczął na mnie spoglądać głodnym wzrokiem. Zawiodłem jego nadzieje. Ktoś wysoko postawiony zainteresował się moją sprawą.

Przyszło po mnie dwóch z tych pretorianów o dziecięcych twarzach. Z początku stawiałem opór. Stan po przepiciu przeszedł w stan oszołomienia. Nie byłem w odpowiedniej formie, by znieść konfrontację z Anakrytesem i oprawcami, których wykorzystywał, by wycisnąć szczere przyznanie się do winy. Bez obaw! Anakrytes zamierzał trzymać mnie w więzieniu, aż będę bezzębny i przestanę kontrolować czynności fizjologiczne. Przy okazji wymierzania mi kopniaka w rzepkę kolanową dozorcy więziennemu wymknęło się, że jakaś ważna osoba chce mi się przyjrzeć. Najwyraźniej moja petycja do Tytusa wypłynęła wreszcie na wierzch stosu...

Młodych żołnierzyków rozpierała duma na myśl, że staną przed kimś z rodziny cesarskiej. W przeszłości gwardia cesarska miała skłonności do wymiany cesarza powierzonego jej pieczy na pierwszą lepszą osobę, jaka wpadła im w oko po całonocnej hulance (nawinął im się, o zgrozo, Klaudiusz i ta wyfiokowana oferma Oton). Ale to

przeminęło. Po objęciu rządów przez ojca Tytus bardzo sprytnie zajął się osobiście gwardią pretoriańską; dopóki będzie im dawał sporą sumkę z okazji swoich urodzin, będą się trzymać swojego dowódcy jak rzep psiego ogona. A teraz Prokulus i Justus (jeśli zdarzy się, że cię aresztują, zawsze poznaj imiona swoich strażników), w pierwszych tygodniach służby, dzięki mnie, mieli się spotkać twarzą w twarz ze swoim sławnym nowym prefektem.

Zaprzątnięci własną chwałą, bez odrobiny taktu, poprowadzili mnie przez Forum wciąż skutego. Na szczęście byli jednak zbyt krótko w tej służbie, żeby już do reszty zapomnieć o miłosierdziu; pozwolili mi się napić z publicznej fontanny, nim powlekli mnie w chłód kryp to portyku, tej długiej budowli prowadzącej do różnych rezydencji, które tkwią na grzbiecie Palatynu. Przed wartownią ich centurion, zahartowany nieczuły weteran, kazał im zdjąć mi kajdany. Wiedział, co wypada. Wymieniliśmy niewidoczne niemal grymasy starych wiarusów, kiedy sprawdzał wygląd swoich niedoświadczonych podwładnych. Odprowadził nas aż do sali tronowej z obawy, by jego dzieciaki nie popełniły jakiegoś błędu.

W pierwszym przedpokoju jakiś sługus, który utrzymywał, że nic o mnie nie wie, wprowadził nas do klitki z boku i pozostawił samym sobie. Prokulus i Justus zaczynali się rumienić; ja z centurionem przechodziliśmy przez tę durną kwarantannę przy innych okazjach, więc nie zamierzaliśmy się niepotrzebnie ekscytować.

Pół godziny później przeniesiono nas na korytarz, gdzie kręciło się mnóstwo zmęczonych ludzi w wymiętych togach. Prokulus i Justus wymienili spojrzenia, podejrzewając, że godziny ich służby dawno miną, a my wciąż będziemy tkwili w tej niekończącej się ceremonialnej procedurze.

Tymczasem, o dziwo, wywołano moje imię; niższe rangą fagasy poprowadziły nas przez tłum, aż weszliśmy do ogromnego przedpokoju, gdzie elegancko się wysławiający sekretarz skreślił nas ze swojej listy i przyjrzał się nam jak robactwu.

- Tego człowieka wezwano godzinę temu! Dlaczego to tak długo trwało?

Sprowadzono Anakrytesa, wyglądającego całkiem elegancko w szarej tunice; niczym oswojony gołąb magika... ale nie tak sympatycznie. W przeciwieństwie do mnie był czyściutki i ogolony, proste włosy miał zaczesane do tyłu, w sposób, którego szczerze nie znosiłem. Tak uczesany wyglądał na oszusta, którym zresztą był. Poczułem się przy nim jak wyżęta szmata, wydawało mi się, że w ustach mam piasek. Patrzył na mnie zmrużonymi, bladymi, podejrzliwymi oczyma, a ja się nie odzywałem, stwierdziwszy, że nie jest to odpowiedni moment, by go obrażać. Po chwili Prokulus i Justus dostali rozkaz, żeby mnie wprowadzić.

Kiedy wchodziliśmy pomiędzy wspaniałymi trawertynowymi filarami, szpieg miał pewną minę zaufanego urzędnika, a ja opuszczony wzrok winowajcy, pod strażą. Jednak żaden ze znanych mi protokołów nie mówił, że tak musi być. Dwa dni z żelastwem na nogach ułatwiły mi przybranie dzielnej miny i kuśtykanie.

- Coś nie tak z nogą, Falkonie? - brzmiało pierwsze pytanie, jakie padło z ust Tytusa Cezara.

- To stara sprawa, panie. Złamałem nogę ubiegłej zimy, przy tej robocie dla twojego ojca w Brytanii. Dokucza mi, kiedy jestem w ciasnocie i pozbawiony ćwiczeń...

- Daruj sobie ten patos, Falko! - warknął Anakrytes. Tytus skarcił go jednym spojrzeniem.

- Brytania, pamiętam! - Mówił skrótami.

Zadanie, jakie wykonywałem w Brytanii dla jego ojca, było zbyt poufne, by wspominać jakieś szczegóły, ale Ana-krytes o nim wiedział. Usłyszałem, jak mamrocze coś pod nosem z irytacją. Zauważyłem też, jak jego sekretarz, do którego obowiązków należało stenografowanie, dyskretnie oddalił rysik od tabliczki, kiedy pojawił się temat poufny. Na moment jego orientalne oczy spotkały się z moimi; wyczuwając doskonale atmosferę, spodziewał się rozrywki.

Tytus gestem przywołał niewolnika.

-Trzeba zatroszczyć się o Dydiusza Falkona. Przynieś mu coś do siedzenia.

Nawet na tym etapie Anakrytes nie miał prawdziwego powodu do niepokoju. Nigdy nie kryłem się ze swoimi zdecydowanymi poglądami republikańskimi. Zetknięcie z członkami cesarskiej rodziny zawsze było dla mnie kłopotliwe. Naczelny szpieg wiedział równie dobrze jak ja, czego oczekiwać. Marek Dydiusz Falko będzie się jak zwykle zachowywał grubiańsko i jak zwykle okaże się frajerem.

XXXI

No i tak to wyglądało. Tytus odprężony na tronie, z kostką jednej nogi opartą na kolanie drugiej, miął w ręku plisy grubo lamowanej purpurowej tuniki. Młody niewolnik uważał za naturalne umieszczenie wyścielanego taboretu obok jedynej siedzącej osoby, zatem postawił go wprost na podwyższeniu, tuż przy cesarskim tronie. Pomógł mi usiąść. Anakrytes dał krok do przodu, po czym powstrzymał się od protestu, zmuszony pogodzić się z okazywaną mi przez cesarskiego syna uprzejmością. Powstrzymałem się od uśmiechu; szpieg był zbyt niebezpieczny. Siedziałem na taborecie, od czasu do czasu masując bezwiednie nogę, tak jakbym robił to zawsze, kiedy dokuczały mi moje biedne strzaskane kości...

Tytus miał trzydzieści lat. Był zbyt zadowolony z tego, że uważają go za przystojniaka, i zbyt przystępny jak na swoją rangę, choć trzeba przyznać, że poczucie pełnienia służby publicznej spowodowało, że ostatnio spoważniał. Nawet ci, którzy żyli z dala od Rzymu, w prowincjach cesarstwa, wiedzieli z monet, że jego twarz jest mniej pooraną wersją oblicza jego ojca i że ma kędzierzawe włosy. Kiedy był chłopcem, ta strzecha wywoływała zapewne komentarze jego matki, tak jak to było ze mną i moją matką, gdyby jednak Flawia Domicylla wciąż żyła, odetchnęłaby z ulgą: cały zespół fryzjerów czuwał nad uczesaniem jej

pierworodnego, żeby nie przynosił cesarstwu wstydu wobec posłów innych ludów.

Tworzyliśmy z cesarskim synem miłą przyjacielską parę na tym podwyższeniu. Trzymał w ręku mój list i po chwili cisnął we mnie zwojem. Dostrzegłem błysk w jego oku. Tytus był zawsze taki uprzejmy, że podejrzewałem w tym jakiś żart... tymczasem on był szczery.

- To wzruszająca opowieść - skomentował.

-Wybacz, panie. W wolnych chwilach piszę poezję. Mój styl bywa przesadnie liryczny - tłumaczyłem się.

Tytus odpowiedział uśmiechem. Był mecenasem wielu artystów. Czułem, że to dla mnie bezpieczny teren.

Był to natomiast odpowiedni moment, by pokazać naczelnemu szpiegowi, jak dobrze się bawimy. Zarażony moim znużeniem Tytus skinął głową do Anakrytesa, pozwalając mu podejść i przedstawić sprawę.

Anakrytes zabrał się do rzeczy spokojnie, bez przechwałek. Widziałem go już wcześniej w podobnej roli przy różnych okazjach, przygotowałem się więc na najgorsze. Jak każdy urzędnik potrafił robić wrażenie, że wszystko, co mówi, jest rozsądne, nieważne ile w tym było kłamstwa.

W pewnym sensie było mi szkoda tego pozbawionego zasad nędznika. Był klasycznym przykładem rozpowszechnionego karierowiczostwa. Zapewne wyszlifował swoje rzemiosło za Nerona, w tych szalonych latach podejrzeń i terroru, kiedy przed agentami otworzyły się świetlane perspektywy. Potem, w kwiecie wieku, znalazł się w otoczeniu nowego cesarza. Wespazjan, człowiek z prowincji, nie bardzo wierzył w konieczność utrzymywania pałacowych szpiegów. Zamiast więc cieszyć się tym, że tkwi w centrum jakiejś siatki działających w ukryciu termitów, Anakrytes

musiał codziennie poświęcać czas na udowadnianie, że jego obecność na liście płac jest uzasadniona.

Nie było to ani trochę zabawne. Wespazjan skąpił na pensje. Jedno potknięcie, jeden dyplomatyczny błąd, jeden raz otwarte znienacka drzwi ukazujące, że drzemie w swoim biurze, zamiast prowadzić obserwację - i naczelny szpieg mógł bardzo szybko sprzedawać sumy na nabrzeżu Tybru. Wiedział o tym, ja też. On zdawał sobie sprawę, że wiem. Może to tłumaczyło pewne sprawy.

Nie próbowałem mu przerywać. Chciałem, by wyrzucił wszystkie kości z kubka. No i popłynęło, subtelne błotko niewłaściwie zinterpretowanych faktów. Wniosek nasuwał się jeden. Otóż on był profesjonalistą, którego przełożeni obarczyli partaczem z zewnątrz, ja zaś byłem zwykłym złodziejem.

Fakty też były oczywiste: pewna liczba sztab ołowiu z cesarskich kopalń została umieszczona w magazynie. Wiedziałem, że tam są, zapomniane przez cesarskich finansistów. Kiedy wysłano mnie do Kampanii, zabrałem sztaby ze sobą i sprzedałem ołów na rury wodociągowe. Nigdy nie oddałem zarobionych na tym pieniędzy.

Tytus słuchał z dłońmi splecionymi z tyłu głowy. Nie należał do wielkich mówców, ale zanim się zajął wyższymi sprawami, był jakiś czas adwokatem. Pomimo rozpierającej go energii potrafił słuchać. Dopiero kiedy był pewien, że Anakrytes zakończył swoje skargi, zwrócił się do mnie.

- Sprawę przeciwko tobie zaprezentowano właściwie. Sztaby ołowiowe należały do państwa. Wziąłeś je bez pozwolenia.

-Anakrytes jest dobrym mówcą, mieliśmy tu niezły

przykład retoryki. Jednakże żadnej sprawy nie ma - oznajmiłem. Tytus zmienił pozycję. Całą uwagę skupił na mnie; wychylał się teraz do przodu z łokciami na kolanach. - Panie, miałem konkretny powód, by obchodzić się ostrożnie z tymi sztabami. Prawdopodobnie własnoręcznie wykruszyłem część rudy ze złoża! - Zrobiłem przerwę, żeby pozwolić słuchaczom przyjąć kolejne odniesienie do mojej misji w Brytanii, gdzie musiałem pracować jako niewolnik w kopalni ołowiu. - Nie było to łatwe... ale konieczne, dla dobra twojego ojca. I kiedy użyłem tych sztab, znowu działałem w przebraniu. Szukaliśmy zbiega. Anakry-tes może potwierdzić, że było to zadanie irytujące, takie, na które sam poświęcił kilka bezowocnych tygodni... -ciągnąłem. Zauważyłem z przyjemnością, że szczęki szpiega się zacisnęły. - Kazano mi wykazać się pomysłowością. Właśnie dla takich niekonwencjonalnych metod twój ojciec zasilał swój stały personel moją osobą...

- To prawda - rzucił znacząco Tytus do Anakrytesa.

- ...działanie w roli czarnorynkowego hydraulika pomogło mi znaleźć zbiega. Zatem to przebranie, jak dobrze wiesz, panie, zdało egzamin.

Jedwabistym głosem Anakrytes przypomniał Tytusowi, że sztaby, które sobie pożyczyłem, mogły być potrzebne jako dowód w sprawie spisku.

- Jaki prokurator pokazywałby góry metalu w sądzie? - spytałem. - Wszyscy wiedzieliśmy, że sztaby istnieją. Były dokumenty, które to udowadniały. Pretorianie je złożyli w magazynie, a pogromcy z Jerozolimy nie muszę mówić, że pierwszą rzeczą, jakiej uczą poborowych, jest liczę-n i e wszystkiego, co przechodzi przez ich ręce...

Tytus uśmiechnął się wyrozumiale. Chciał, bym się oczyścił z tego oskarżenia. Nie byłem naiwny. Wiedziałem,

dlaczego cesarstwu zależy, by puścić mnie na wolność: Tytus i jego ojciec muszą mieć naprawdę jakiś piekielny problem, który mam im rozwiązać.

- Przypuszczam, że zamierzałeś zwrócić pieniądze uzyskane ze sprzedaży sztab - podsunął niezdarnie Anakrytes. - Czy może roztrwoniłeś je na kobiety i wino?

Zrobiłem wrażenie wstrząśniętego. Była tylko j e d n a kobieta, Helena Justyna; choć na wakacjach w Kampanii ona i ja, i mój siostrzeniec, i Petroniusz Longus, i jego żona, i rodzina, wszyscy jedliśmy i pili za pieniądze Skarbu, wykorzystując moją cesarską misję jako pretekst.

- To nie ja ponoszę winę za zwłokę, Anakrytesie! Wtrącając mnie do więzienia, poważnie mi przeszkodziłeś... choć te kilka dni na wolności wykorzystałem na spotkanie z bankierem właśnie w sprawie przetransferowania należnych sum do cesarskiej szkatuły...

- Świetna wiadomość! - ucieszył się Tytus, a w jego głosie dało się słyszeć ulgę. Konieczność pożegnania się z tymi pieniędzmi stanowiła największą przeszkodę na drodze do mojego uwolnienia.

- Muszę cię jednak uprzedzić, panie - wyjaśniłem mu szybko - że ponieważ sprzedawałem ten metal na warunkach nieoficjalnych, suma, o której tu mowa, nie jest tak wielka jak ta, którą dałoby się uzyskać w transakcjach oficjalnych...

- Łże! - warknął Anakrytes. - Mam pełną listę jego aktywów... Krótką! Ten gaduła nie ma kompletnie nic!

I miej tu zaufanie do bankiera... Wiedziałem jednak, że Anakrytes otworzył moją skrytkę na dzień przed sprzedażą konia; byłem zatem teraz w posiadaniu pieniędzy, których na pewno nie znalazł. Nie było już ucieczki. Nawet gdyby miało mnie to zrujnować, nie mogłem pozwolić,

by załatwił mnie jakiś złośliwy tajny agent. Z westchnieniem pożegnałem Czarusia (czy to, co mi po nim zostało, kiedy już wpadłem w gorączkę zakupów w Saepta Julia).

- Owszem, jest w tej sali tronowej kłamca, ale to nie ja! - zawołałem. Ściągnąłem z palca sygnet. - Panie, jeśli zechcesz posłać kogoś do mojego bankiera, to możemy dzisiaj zakończyć tę sprawę... - oświadczyłem.

Ogarnięty nagle podejrzeniami Anakrytes ssał wargę.

- Słowa godne prawego obywatela! - Tytus z zaże nowaniem spojrzał na szpiega, a jakiś dworak zabrał mój sygnet jako pozwolenie dla mojego bankiera na dopro wadzenie mnie do bankructwa. - To chyba ci wystarczy, Anakrytesie!

-Tak, panie... jeśli rzeczywiście będzie tam gotówka!

- Możesz mi zaufać! Zauważ, panie - mruknąłem dotknięty do żywego - nie chcę, by oczyszczono mnie pod fałszywym pretekstem. Jeśli to ma być sztuczka, żebym dał się wciągnąć w jakąś okropną tajną misję, z którą nie poradzi sobie żaden z pałacowych urzędników, to szczerze mówiąc, wolę więzienie...

- Dydiuszu Falkonie, nie ma tu żadnych komplikacji. Ogłaszam cię człowiekiem wolnym! - uspokajał mnie Tytus, zbyt gorliwie, by mógł mówić to szczerze.

- I wolnym agentem? - targowałem się.

-Jak zwykle! - rzucił... po czym nie wytrzymał i porwany swoim zapałem bez najmniejszej zwłoki zapytał: -Więc jesteś wolny, żeby zrobić coś dla mojego ojca?

Wyśmienicie: jednym skokiem z więzienia z powrotem do łask. Anakrytes patrzył spode łba. Nie musiał się jednak przejmować.

- Z wielką chęcią, panie... ale więzienie nie wyszło mi

na zdrowie. Muszę dojść do siebie - trajlowałem. Z powrotem do łask... a potem znowu jednym susem do tyłu.

Tytus znał mnie od czterech miesięcy; wystarczająco długo. Teraz stał się nad wyraz sympatyczny, co zawsze miło widzieć.

- Czym mogę cię przekonać do powrotu, Falkonie?

- Cóż... - zastanawiałem się. - Najpierw mógłbyś spróbować zapłacić mi za o s t a t n i ą misję, której podjąłem się dla Wespazjana...

- A potem?

- Pomogłoby, gdyby tak zapłacić za przedostatnią!

Wciągnął powietrze.

-Za B r y t a n i ę ? Nie zapłacono ci za Brytanię? -Nie wierzył własnym uszom. Zrobiłem pokorną minę. Tytus warknął coś do sekretarza stojącego w cieniu tronu, po czym zapewnił mnie, że bezzwłocznie zostaną poczynione odpowiednie kroki.

- Dzięki, panie - powiedziałem, tonem głosu dając mu do zrozumienia, że przecież „bezzwłocznie" w pałacowym kodzie oznacza „odroczone na czas nieokreślony".

- Kiedy już otrzymasz pieniądze, być może zechcesz podjąć działania oficjalne?

- Kiedy je otrzymam! - rzuciłem wyzywająco. - A przy okazji... - wychyliłem się w bok, zwracając się do Anakry-tesa - ...jeśli dzisiejszy werdykt oznacza, że w ogóle nie powinienem się był znaleźć w więzieniu, to czy mogę założyć, że oddasz mojej matce sumę, jaką dała więziennemu dozorcy jako kaucję?

Drań znalazł się w kropce: zrobić to albo przyznać, że dozorca przyjął oszczędności mamy jako łapówkę. W tym czasie personel Lautumiów siedział w kieszeni Anakrytesa i pozwalał mu się szarogęsić w celach. Oczy-

wiście naczelnemu szpiegowi zależało na zachowaniu status quo...

Tytus kazał mu tego dopilnować. Pochodził z dziwnej rodziny; kobiety szanowały mężczyzn, a mężczyźni szanowali swoje matki. Anakrytes rzucił mi wściekłe spojrzenie, obiecujące zemstę, po czym chyłkiem się oddalił. Jego matka prawdopodobnie spojrzała na niego raz po urodzeniu, wydała wrzask i porzuciła go przy ścieku w jakimś zaułku.

Po nim odesłano Prokulusa i Justusa razem z ich centurionem. Wyczułem, że cała świta się odpręża, kiedy Tytus ziewnął i się przeciągnął; najwyraźniej zachował sobie rozmowę ze mną na deser niczym oliwkę pośrodku omleta. Potem, ponieważ byłem wolnym człowiekiem i wolnym agentem, spytał, czy jestem również na tyle wolny, by zostać na Palatynie i zjeść z nim kolację.

- Dzięki, panie! Przypomina mi to o pewnych miłych powodach, dla których pozwoliłem się przymusić do roboty związanej z polityką!

I wtedy ten klejnot imperium obdarzył mnie niewinnym uśmiechem.

-A może trzymam cię pod ręką... na wypadek gdyby twój bankier nie przysłał pewnej sumy...

Czyż nie miałem racji? Zadawanie się z politykami to kompletna głupota.

XXXII

Wieści krążyły na temat szalonych i ciągnących się do rana przyjęć wydawanych przez Tytusa. Ludzie lubią wierzyć w skandale. Sam mam taką skłonność. Po drugim pobycie w więzieniu byłem gotów znieść szaleństwa na koszt cesarstwa. Tymczasem tamtego wieczoru na Palatynie zjedliśmy jedynie dobry posiłek przy nienachainej muzyce i lekkiej rozmowie. Myślałem sobie, że Tytus jest po prostu przystojnym nieżonatym młodzieńcem, który przehulał z kompanami parę nocy, kiedy był młodszy, i przylgnęła do niego reputacja człowieka prowadzącego rozwiązłe życie, co będą mu wytykać, nieważne jak się będzie sprawował. Współczułem mu. Rozumiałem go. Sam byłem przystojnym nieżonatym młodzieńcem. Moją zszarpaną reputację było tak trudno oczyścić, że nawet tego nie próbowałem.

Zanim usiedliśmy do kolacji, doprowadziłem się do porządku w cesarskiej łaźni, zatem kiedy mnie nakarmiono i napojono winem, odzyskałem energię i wymówiłem się od dalszego leniuchowania nawałem pracy. Nie miałem bowiem nic przeciwko przewietrzeniu na mieście świeżej fryzury, zanim pomady przestaną wydzielać ciekawe wonie. Kiedy Tytus zobaczył, że niewolnik sznuruje mi sandały, zawołał:

- Falkonie... wiesz, wcale nie zapomniałem o prezencie dla ciebie!

- Co to był za prezent, panie? - spytałem ostrożnie, myśląc, że mówi o obietnicy pracy.

- Podziękowanie za moje szczęście na wyścigach! - przypomniał mi.

Na Jowisza Gromowładnego, jeszcze jedna rzecz, której wcale nie chciałem.

Tamten koń, Czaruś, miał swoje wady i zalety. Tytus postawił na niego i wiedziałem, że chce okazać radość z wygranej. Przypomniało mi się teraz, jaka miała być ta nagroda... i musiałem coś wymyślić, żeby się od niej wykręcić.

- To zaszczyt i przyjemność, panie - skłamałem dyplomatycznie, dodając (już znacznie mniej rozsądnie), że być może Tytus miałby ochotę wpaść do rezydencji Falkona, żeby spróbować kawałek... Obiecał, że będzie pamiętał (podczas gdy ja się modliłem, by zapomniał).

Tym prezentem, gdybyście się nad tym zastanawiali, była pewna wspaniała ryba.

Opuszczałem Pałac zamyślony. Tytus zamierzał przysłać mi turbota.

Było to nieznane danie dla mnie... dla mnie i większości mieszkańców Rzymu. Kiedyś widziałem jednego w łódce rybackiej; był gruby jak pień drzewa. Ta jedna ryba kosztowałaby pięć, sześć razy tyle, ile wynosił mój roczny dochód... choć prawdę mówiąc, rzadko pojawiają się one na rynku, ponieważ na ogół rybacy, jak już złapią turbota, przezornie ofiarowują go cesarzowi.

Miałem zatem dylemat. Potrafiłem gotować. Nawet to lubiłem. Po pięciu latach samotnego życia w nędzy byłem królem kuchni na jedną osobę; mogłem piec, gotować i smażyć większość rzeczy jadalnych, w ciasnej przestrzeni,

bez przyzwoitych sprzętów kuchennych i z podstawowymi jedynie przyprawami. Moje największe osiągnięcia były wyborne, najgorsze powędrowały do kubła z odpadkami, zanim zdążyłem się nimi struć. Było jednak oczywiste, że nawet ja nie potrafię upiec t u r b o t a w odrobinie oliwy, nad ogniem z kilku gałązek. To cudo obiecane przez Tytusa wymagałoby ogromnego garnka do ryb i imponujących rozmiarów półmiska, umiejętności najlepszego mistrza od sosów, mającego dostęp do najbardziej wyrafinowanej kuchni, korowodu posługujących, którzy elegancko podawaliby to królewskie stworzenie moim śliniącym się na myśl o czekającej ich uczcie gościom, muzykantów i ogłoszenia w *Gazecie Codziennej.*

Jedyną alternatywą było oddać komuś rybę.

Wiedziałem, co zrobię zamiast tego.

Przywędrowawszy na Forum, zatrzymałem się przy świątyni Westy. Po mojej lewej stronie, w pobliżu rostry, niesiono jakiegoś bogacza do domu z przyjęcia, w lektyce z daszkiem i w otoczeniu ośmiu ochroniarzy, których pochodnie, kiedy skręcali za róg vicus Argentarii, podskakiwały w górę i w dół niczym wyćwiczone świetliki.

W Pałacu straciłem poczucie czasu. Była upalna sierpniowa noc, z bezkresnym niebem, zabarwionym spokojnym fiołkowym kolorem. Jadłodajnie wciąż robiły duże obroty i chociaż większość sklepików była zamknięta na głucho, to przecież minąłem stolarza, sprzedawcę luster i złotnika, których pracownie były otwarte i oświetlone; wewnątrz kręciły się psy, małe berbecie i życzliwe kobiety. Stoliki na chodnikach oblegali ludzie nie mający ochoty porzucać kubków z winem i plansz do gier. Niebezpieczne

zgraje, które po zmroku obejmowały miasto w posiadanie, wyruszyły już pewnie na łowy, jednakże mieszkańcy nie oddali im jeszcze wszystkich ulic.

Dużo się działo. Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na pożar. Dom był czteropiętrowy, palił się od parteru w górę. Pomniejsi lokatorzy już wybiegli z tobołkami; główny lokator usiłował przeciągnąć przez drzwi łoże z szylkretu, przeszkadzając miejskim strażakom, którzy nie mogli się dostać do środka ze swoimi kubłami. Ostatecznie i oni, i on musieli uciekać, kiedy pożar ogarnął cały budynek. Mężczyzna usiadł na chodniku, objął głowę rękoma i szlochał, aż jakiś mijający go bogacz wyskoczył ze swojej burej, wytłuszczonej jednoosobowej lektyki i zaproponował odkupienie terenu z kupą gruzów. Nie wierzyłem własnym uszom. Najstarsza sztuczka na świecie... tymczasem ten głupiec przycisnął tylko poduszkę do piersi i z punktu wyraził zgodę.

Myślałem, że każdy już słyszał, w jaki sposób Krassus dorobił się swoich legendarnych milionów... wędrował po Rzymie w poszukiwaniu pożarów i wykorzystywał rozpacz ludzi. Wydawało mi się, że teraz już każdy odrzuci taką „pomocną" hienę, która się pojawia, oferując nędzne grosze za dymiące zgliszcza... a w planie ma zyski z wybudowania kolejnego domu, kiedy tylko ostygną popioły. Najwyraźniej wciąż pełno idiotów szło na lep w postaci gotówki do ręki... Przez chwilę miałem ochotę się wtrącić, sprawy jednak posunęły się już za daleko; właściciele nieruchomości, jeśli wejdzie im się w drogę, znani są z mściwości, a ja nie mogłem ryzykować oskarżenia o spowodowanie zerwania kontraktu.

W połowie następnego ciemnego zaułka kopnąłem niechcący coś, co okazało się pudełkiem na hubkę i krzesi-

wo; leżało obok kupy łachmanów, które ktoś w pośpiechu porzucił na ulicy.

Najwyraźniej spekulanci już nie polegali na przypadku przy szukaniu kolejnej parceli. Trudno byłoby to udowodnić teraz, kiedy z budynku pozostał jedynie popiół, jednakże nie było najmniejszej wątpliwości, że dom podpalono.

Nad Kapitolem mrugały gwiazdy. Mali chłopcy spali oparci o latarnie, czekając w wejściach na panów, którzy jeszcze bawili na ucztach. Słychać było nieustający stukot kół przejeżdżających wozów, przez brzęk tandetnej metalowej uprzęży przebił się słodki dźwięk srebrnych dzwonków przyczepionych do kostek tancerek, dochodzący z jakiegoś drogiego lokalu. Idąc ponurymi uliczkami, wpadałem na puste amfory, które niedbali karczmarze wyrzucali na stos; pośród błota i odchodów mułów na szerszych ulicach deptałem po płatkach kwiatów, które oderwały się od wieńców ucztujących. Noc tętniła życiem. Byłem wolnym człowiekiem we własnym mieście... i nie miałem jeszcze ochoty udawać się na spoczynek.

Pora była zbyt późna, by zjawić się w domu senatora. Nie udało mi się też wykrzesać w sobie chęci na odwiedziny u krewnych. Same nogi poniosły mnie na północ. Hortensjusze zawsze sprawiali na mnie wrażenie ludzi, których dom otwarty jest dla gości do późna. Pomyślałem, że dobrze byłoby tam wpaść i przeprosić Sabinę Pollię i Hortensję Atylię za to, że przez kilka ostatnich dni wyłączony byłem z działania. Powinienem też zapytać panie, czy nie zauważyły jakichś rezultatów mojego spotkania z Hortensjuszem Nowusem u Seweryny.

Na wzgórzu Pincius panował ożywiony ruch. Za dnia pałace tonęły w ciszy. Nocą domy i otaczające je ogrody tętniły życiem. Na tym eleganckim wzgórzu zawierano kontrakty (legalne i nielegalne) dotyczące wszelkiego rodzaju interesów i przyjemności. Niektóre już zawarto i opieczętowano. Jeden z nich dotyczył mnie.

Droga z Forum, przy wymijaniu łazęgów, rzezimieszków i wesołych pijaczków, zabiera pół godziny. Kiedy skręciłem z drogi Flamińskiej w bok, Rzym uległ subtelnej przemianie. Z nieba wyciekł cały fiolet, pozostawiając szarość i przepełniając atmosferę jeszcze większą nieufnością. Nadeszła pora, by ci przyzwoici udali się do domów, a ci niegodziwi wyszli się zabawić. Nawet ja się poczułem nieswojo. Zacząłem się trzymać środka ulicy. Zachowywałem czujność. Żałowałem, że nie mam noża.

W stróżówce przy bramie nie było nikogo. Szedłem przez ogrody, przyglądając się dwa razy każdemu ciemnemu krzakowi. W pobliżu domu po obu stronach podjazdu pochodnie płonęły bądź dymiły przechylone, większość jednak była już wypalona.

Najwyraźniej rodzina podejmowała gości. Główne drzwi wciąż były otwarte, w salach przyjęć paliły się lampy. Czułem zapach pachnideł, którymi zlewa się ucztujących - lekką, ale przesłodzoną woń płatków różanych, która dla mnie zbyt bliska jest woni rozkładu. Nie słyszałem żadnej muzyki i nikogo nie widziałem. Potem zza kotary wyszła grupa niewolników; zachowywali się bardzo swobodnie, co wskazywało na to, że nikt ich nie pilnuje.

Jeden bawił się tamburynem, inny pociągał wino wprost ze złoconego dzbana, zalewając sobie przód tuniki. Zauważyli mnie w chwili, gdy dostrzegłem Hiacynta, chudego niewolnika, który pojawił się u mnie jako posłaniec.

Jak pozostali miał na sobie tunikę złożoną głównie z ozdób. Ta wyuzdana kombinacja błyskotek była uniformem służby podczas uczt wydawanych przez Hortensjuszy... w noc taką jak ta, nieznośnie ciężką i gorącą.

- Wygląda na to, że nieźle się tutaj dzisiejszego wieczoru zabawialiście! - zauważyłem.

-Witaj, nieznajomy! Krążą pogłoski, że byłeś w więzieniu.

- Złośliwe plotki! Z jakiej okazji to przyjęcie... jakiejś szczególnej?

- Po prostu kolacja ze starym znajomym.

- Interesy czy rozrywka?

- Interesy - odpowiedział.

Mogłem się domyślić. W tym domu wszystko było interesem.

- Byłeś umówiony? Pollia i Atylia udały się już na spoczynek...

Wyszczerzyłem zęby.

- Nie śmiałbym niepokoić żadnej z nich w sypialni! - wyznałem.

Jeden z niewolników zachichotał.

- Mężczyźni powinni tu gdzieś być - dodał Hiacynt.

Nie spotkałem wcześniej ani Krepitona, ani Feliksa. Może warto by było zobaczyć się z Nowusem, ale jeśli chciałem dowiedzieć się czegoś od niego, musiałaby to być rozmowa w cztery oczy.

- Czy jest tu Seweryna, Hiacyncie?

- Była, po południu, ale ostatnio jej nie widziałem.

- Jej tragarzy nie ma - odezwał się ktoś - więc na pewno już stąd wyszła.

- Może mógłbym zobaczyć się z Nowusem - zapytałem.

Zgłosił się na ochotnika jeden z młodzieńców, mówiąc, że zapyta.

Niewolnicy wciąż przekomarzali się między sobą i najchętniej by się mnie pozbyli. Na szczęście młodzieniec szybko wrócił. Poinformował mnie, że Nowusa nie ma ani w sypialni, ani z Krepitonem i Feliksem, choć ci dwaj liczą na to, że zjawi się, by wychylić z nimi kielich wina przed snem.

Niewolnicy przestali się mną interesować, ale ja przeszedłem już taki kawał drogi, że powrót teraz jedynie z odciskami na stopach byłby zbyt przygnębiający.

-Więc Nowus musi być na nogach i gdzieś tu się kręcić!

Mężczyzna ze złotym dzbanem wybuchnął śmiechem.

- Kiedy go ostatni raz widziałem, był rzeczywiście na nogach... zgięty wpół rwał do przodu!

- Zaszkodziło mu coś, co zjadł? - zaciekawiłem się. Noc była parna. Kiedy zadawałem to pytanie, czułem, jak tunika lepi mi się nieprzyjemnie do karku i piersi.

- Pewnie ilość! - zadrwił ten, co popijał.

Przypomniało mi się, z jakim apetytem i kompletnym brakiem dobrych manier Nowus wylizywał swój talerz.

- Jak dawno go widziałeś?

- Jakąś godzinę temu.

Zerknąłem na Hiacynta.

- Możliwe, żeby wciąż tkwił w latrynie... wyczerpany wymiotami czy rozstrojem żołądka? - zapytałem. Niewol nicy wymienili między sobą znudzone spojrzenia. - Czy zawołałby o pomoc, gdyby miał jakiś atak?

-Najwyżej by wrzasnął, by zostawić go w spokoju... lubi być sam, kiedy męczą go wymioty. Zresztą - mówił gość z dzbanem, który był najwyraźniej zjadliwym satyry-

kiem społecznym - niewiele można mu w tej sytuacji pomóc. Sranie to jedyna rzecz, jaką bogacze muszą wykonać sami...

Hiacynt, który stał pogrążony w milczeniu, spojrzał mi w końcu w oczy.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - powiedział.

Inni odmówili udziału, tak więc poszukiwania spadły na barki moje i Hiacynta.

Jak w większości domów posiadających własne urządzenia tego typu, latryny Hortensjuszy usytuowane były obok kuchni, żeby woda wylana z garnków i spływająca ze zlewów mogła być wykorzystywana do spłukiwania rur. Dom wyzwoleńców wyposażono w latrynę, z której mogły korzystać trzy osoby jednocześnie, ale natknęliśmy się tam tylko na jednego człowieka.

Nowus musiał wbiec tutaj, a ciężkie drzwi zamknęły się za nim, odcinając dochodzące z kuchni odgłosy sprzątania po uczcie. Utknął w tym ciemnym, spokojnym miejscu i jeśli był na tyle trzeźwy, by rozumieć, co się dzieje, musiał być przerażony. Gdyby zawołał, nim ten koszmarny rozstrój przeszedł w paraliż, i tak nikt by go nie usłyszał.

Było to na pewno bolesne i poniżające. Na szczęście nie trwało długo i przynajmniej nikt nie widział, jaką śmiercią umiera.

XXXIII

-Na J o w i s z a ! - wykrzyknął Hiacynt. Instynktownie odwrócił się w stronę kuchni, ale zakryłem mu usta dłonią.

- Nie wszczynaj jeszcze alarmu!

Hortensjusz Nowus leżał na podłodze. Padł w połowie drogi pomiędzy drzwiami i deską z sedesami, ścięty przez śmierć, ostatnią krępującą sytuacją. Jeśli miał szczęście, to dosięgła go, nim roztrzaskał głowę o twarde kamienne płyty.

Stąpając ostrożnie, nachyliłem się i przyłożyłem palce do jego szyi, choć wiedziałem, że to czysta formalność. I wtedy zobaczyłem grymas na jego twarzy. Chwyciło go coś znacznie gorszego niż rozstrój. Mogła to być okropna pewność nadchodzącej śmierci.

Był ciepły, choć nie na tyle, by dać się przywrócić do życia. Nie byłem medykiem; wiedziałem jednak, że serce wyzwoleńca przestało bić nie tylko z powodu trawienia zbyt obfitego posiłku.

- W końcu ktoś go dopadł, Falko!

Niewolnik zaczynał popadać w histerię; sam poczułem niepokój, ale zbyt wiele razy znajdowałem się w takiej sytuacji i potrafiłem się opanować.

- Spokojnie. Nie reagujmy przesadnie - uciszałem go.

- Zamordowano go!

- Możliwe. Jednak ludzie często umierają podczas nagłego rozstroju żołądka... a obżartuchom naprawdę zda rza się umierać z przejedzenia, Hiacyncie...

Te słowa też były czystą formalnością. Wypełniałem nimi czas potrzebny mi, by rozejrzeć się uważnie wokół.

Nowus ściskał w dłoni rąbek tuniki, którą podciągnął na wysokość talii. Zmusiłem się, by wyrwać mu go z ozdobionej zaręczynowym pierścieniem lewej dłoni i obciągnąć szatę. Zmarłym należy się przyzwoitość.

Wyprostowałem się szybko. Chwyciłem Hiacynta pod łokieć i wyprowadziłem za drzwi. Może był jeszcze czas, żeby znaleźć jakieś dowody, nim zostaną zniszczone... czy to przypadkowo, czy przez kogoś zainteresowanego.

- Stań tu, Hiacyncie, i nie wpuszczaj nikogo.

Jeden rzut oka w głąb kuchni potwierdził moje obawy. Dom prowadzono niechlujnie. Nad blatami fruwały leniwie muchy i widać było, że są tutaj u siebie. Natomiast naczynia stołowe użyte podczas uczty, które mogłyby dostarczyć jakichś wskazówek, okazały się już dla mnie niedostępne. Rozczochrana pomywaczka wiedziała, że ta robota jej nie minie, i zabrała się do zmywania, zanim resztki potraw zdążyły przyschnąć. Kiedy tam wszedłem, klęczała obok kotła z tłustą wodą, otoczona stosami umytych złotych talerzy. Zerknęła na ogromną srebrną tacę, którą Seweryna przy mnie podarowała Nowusowi; zmęczona dziewczyna próbowała przekonać siebie samą, że jest czysta, ale zauważywszy lepką plamę, apatycznie zanurzyła naczynie w wodzie.

Tylko pomywaczka zajęta była pracą.

Teraz, kiedy przedstawiciele wyższych sfer się rozeszli,

kucharze i krojący mięsiwa tylko się obijali. Pojadali resztki z powolnością pracowników kuchni, którzy wiedzą, że część mięs już po dostarczeniu od rzeźnika była oślizgła, pamiętając, który z sosów nie chciał dać się zagęścić i ile razy podczas przygotowywania potraw jarzyny spadły na podłogę pomiędzy mysie bobki.

- Kto tutaj odpowiada za porządek? - spytałem ostro. Domyślałem się, że to taki niedbały układ, w którym nie ma osoby odpowiedzialnej. Nie myliłem się. Powiedziałem im, że jeden z gości się rozchorował, i jakoś nikt nie wyglądał na zaskoczonego. Gdy dodałem, że choroba okazała się śmiertelna, stracili nagle apetyt. - Jeśli macie tu psa, którego nikt nie lubi, zacznijcie karmić go tymi smakołykami, po kolei, z przerwami...

Wróciłem do Hiacynta.

-Nałożymy na te drzwi sztabę... - powiedziałem. Chciałem, by ludzie pomyśleli, że latryna wylała, co nie było rzadkością. - A teraz, nim jakiś pracuś posprząta jadalnię, chcę ją obejrzeć...

Dom, w którym nikt nie opróżnia kubłów na śmieci i gdzie stołów w kuchni nikt nigdy nie szoruje, potrafi mimo to podejmować gości w zapierającej dech w piersiach atmosferze przepychu.

Płonące kandelabry zaczynały już przygasać, nie na tyle jednak, by pogrążyć całkowicie w mroku złocenia podestów i elegancko kanelowanych filarów czy przyćmić połyskiwanie brokatowych draperii, poduszek i baldachimów. Wszystko po to, by ta sala z trzema gigantycznymi sofami odpowiadała wyobrażeniom o luksusie wzbogaconych chłopców od noszenia lamp i tych niewiele wartych kobiet, które ich poślubiły. Nie zawracałem sobie głowy szczegółami, pamiętam jednak ogromne malowidła ze

scenami batalistycznymi i wypolerowane donice z onyksu. Szczeliny w sklepionym suficie pozostały otwarte po spuszczeniu tamtędy deszczu duszących pachnideł, od których ściskało mnie w gardle.

Zobaczyłem zwiniętego w kłębek małego niewolnika, który spał z kciukiem w buzi i brzoskwinią w dłoni. Spał tak twardo, jakby już nie oddychał. Zaniepokojony Hiacynt trącił go nerwowo nogą; malec obudził się i niepewnym krokiem odszedł.

Rozej rżałem się, szukaj ąc j akichś wskazówek. W tym pomieszczeniu najgorszymi oznakami zakłócenia domowego spokoju były plamy wina na bieliźnie stołowej, z czym bez trudu da sobie radę szafarka, oraz kałuża z oliwy do lamp na pokryciu jednej z sof.

- Kto był tu dzisiaj, Hiacyncie? Ilu członków rodziny?
- Wszyscy trzej, z obiema kobietami.
- Goście?
- Tylko jeden. Wspólnik w interesach.
- I Seweryna - dodałem. Siedmioro. Mnóstwo wolnego miejsca na sofach. - Jaki był układ przy stole? - spytałem.
- Nie zajmuję się sprawami dotyczącymi posiłków. Do tego potrzebny ci zarządca - powiedział.

Na pewno okaże się nadętym typkiem, nieznośnym gadułą (poznałem już takich wcześniej). Może poczekać.

Obszedłem tryklinium, ale nic nie rzuciło mi się w oczy. Na bocznych stolikach walały się butle po winie i dzbany na wodę, miseczki z przyprawami i sitka do przecedzania trunku. Jedynym śladem po jedzeniu była tylko skomplikowana konstrukcja na niskim stole głównym. Uformowane ze złotego drutu drzewo obwieszono owocami na deser. Kiście winogron i moreli wciąż zwisały z jego poskręcanych gałęzi i leżały na cokole.

Stałem w zadumie, a nieszczęsny Hiacynt siedział na sofie pochylony z nisko zwieszoną głową, kiedy ciszę przerwało gwałtowne wtargnięcie jakiegoś mężczyzny.

- Ktoś umarł... tak?

- Być może - odparłem ponurym głosem, obrzucając spojrzeniem tę szaloną zjawę.

Gość miał łysy przód głowy, szerokie usta, nos ze dwa razy za duży w proporcji do reszty twarzy i rozbiegane brązowe oczy. Nie imponował posturą, niemniej miał energię dobrze naoliwionego kreteńskiego wiatraka, któremu zwolniono hamulec przy rozszalałej wichurze.

- Skąd masz tę informację?

- Pomywaczka przybiegła mi powiedzieć!

- Dlaczego? Co to ma z tobą wspólnego?

Hiacynt podniósł wzrok.

- Jeśli uważasz, że trucizna była w jedzeniu - odezwał się głosem, w którym wyczuwało się rozbawienie - to on myśli, że ścigasz właśnie jego... to jest szef kuchni, Falko!

XXXIV

- N o w u s! - Kuchmistrz z szalonym spojrzeniem znieruchomiał. Było widać, że jest bardzo przejęty.

- Spokojnie! Jak masz na imię?

- Ludzie tutaj nazywają mnie Wirydowyks - poinformował mnie sztywno. - I jeśli mojego pana otruto... to znaczy, że chcesz rozmawiać ze mną!

- Skoro jesteś szefem kuchni - zauważyłem - to większość ludzi, którzy jedli tutaj tego wieczoru, będzie chciała to zrobić!

Galijski kucharz był najlepszym dowodem na to, że Hortensjusze w sprawach towarzyskich byli całkowitymi amatorami.

Minęło sto lat od czasu, kiedy Rzym postanowił ucywilizować Galów; od tamtej pory przeszliśmy od ludobójstwa z ręki Juliusza Cezara do oswajania tych plemion różnymi towarami, co było dla Skarbu znacznie tańsze: naczyniami ceramicznymi, italskim winem, a także subtelniejszymi rozwiązaniami, takimi jak demokratyczna władza lokalna. Galia zareagowała, wypełniając pracownie rzymskich artystów żywymi modelami, specjalizującymi się w pozowaniu jako umierający barbarzyńcy, a potem zarzuciła nas ciężkawymi biurokratami z warstw średnich, w stylu Agrykoli. Wielu prominentnych Galów pochodzi z Forum Julii, miasta, które posiadało coś, co można było

uznać za wyższą akademię... a także port, dzięki któremu mogli bez trudu przenosić się do Rzymu.

Gotów jestem przyznać, że pewnego dnia trzy zimne prowincje galijskie wniosą swój wkład w sztukę cywilizowanego świata... ale nikt mnie nie przekona, że będzie to wyższa sztuka kulinarna. Mimo to ani przez moment nie sądziłem, by Hortensjusz Nowus zmarł dlatego, że jego kucharz pochodził z Galii. Niemal na pewno zabiło go to, co zjadł... ale na pewno nie kucharz maczał w tym palce.

W pierwszej kolejności musiałem uspokoić Wirydo-wyksa; pomyślałem, że może będzie mniej wzburzony, kiedy straci widownię. Mrugnąłem do Hiacynta, który uprzejmie się ulotnił.

- Jestem Dydiusz Falko. Prowadzę śledztwo w sprawie tej tragedii... i mówiąc szczerze, po odnalezieniu ciała two jego pana koniecznie muszę się napić! Zważywszy na to, że został otruty, domyślam się, że zechcesz do mnie dołączyć... poszukajmy więc czegoś, przy czym, jak sądzimy, nie maj strowano.

Posadziłem go, żeby trochę ochłonął. Znalazłem butelkę wina, z błękitnego jak niebo, żłobkowanego, srebrzyście połyskującego szkła, która stała z wyjętym czopem, oddychając, jak jakiś specjał zarezerwowany na popołudniowe toasty. Bursztynowy trunek sięgał niemal wylotu szyjki; ucztujący najwyraźniej przegapili ten rarytas. Założyłem, że wszystko to, co miało konsumować całe towarzystwo, było zapewne bezpieczne. Ryzykowałem; jednak Wirydowyks był wstrząśnięty, a ja zdesperowany.

- To powinno nam dobrze zrobić - mruknąłem.

Wino było prawdopodobnie wiekowe. Nie chciałem do niego nic dodawać, ale Wirydowyks poprosił o przyprawy korzenne. Znalazłem miseczkę z takiego samego

błękitnego szkła stojącą poręcznie obok butelki i sądząc, że kucharz doceni ten smak, wsypałem wszystko - mirrę i cynamon, jak mi się wydawało po zapachu - do jego kielicha.

Jeden łyk przekonał mnie, ile radości miałby ekspert w tej dziedzinie, mój przyjaciel Petroniusz. Było to piętnastoletnie wino falerneńskie, jeśli miałbym zgadywać. Rozpoznałem to po tym, że spływało do gardła niczym roztopione szkło, zostawiając rozgrzewające ciepło posmaku. Wiedziałem to, bo Petroniusz miał zwyczaj raczyć mnie dobrym winem z okazji swoich urodzin; zawsze powtarzał, że wlewanie tego szlachetnego soku gronowego w takiego jak ja nicponia to czyste marnotrawstwo, tyle że falerneńskiego nie powinno się pić samemu (w którym to przekonaniu zdecydowanie go utwierdzałem).

Pociągnęliśmy zdrowo. Twarz kucharza nabrała kolorytu.

- Już lepiej? Nikt cię pewnie nie będzie winił za śmierć Nowusa... chyba że miałeś do niego jakieś pretensje - powiedziałem. Chciałem mu przypomnieć, że kiedy wolny obywatel umiera gwałtowną śmiercią, pierwszymi podejrzanymi są zawsze jego niewolnicy, i obiecać mu ochronę, jeśli jest niewinny. - Najlepsze, co możesz zrobić, żeby sobie pomóc, to się oczyścić...

- Nie zrobiłem nic złego.

- Wiem o tym.

- Ale inni mogą nie podzielać twojego zdania?

Podobał mi się gorzko-drwiący ton tej uwagi.

- Podzielą, jak ustalę prawdziwego zabójcę - odparłem. Kucharz miał niepewną minę. - Wynajęto mnie, bym za pobiegł temu nieszczęściu. Zatem nie tylko twoja reputa cja jest tutaj zagrożona, mój przyjacielu - poskarżyłem się.

Mój ponury nastrój przekonał go. Pociągnęliśmy ponownie, po czym namówiłem go, by przejrzał spis potraw. Najwyraźniej należał do tych skrupulatnych, bo miał go przy sobie, w torbie przy pasie, na kawałku pergaminu:

UCZTA NA SIEDEM OSÓB WYDANA PRZEZ HORTENSJUSZA NOWUSA

Przystawki
sałatka z liści sałaty i ślazu
pawie jaja
kiełbasiany pasztecik
ostrygi z Bajów w stylu Hortensjuszy
kaczany karczochów
oliwki

Dania główne
zając w gęstym winnym sosie
homar w szafranie
pieczeń wieprzowa z liśćmi laurowymi
dziki żuraw
naleśniki z halibutem
koper; gotowany groszek; duszone pory i cebula; grzyby

Desery
sery białe
owoce serwowane na drzewku Hesperyd
słodycze kupne

Wina
Do zakąsek: Mulsum (pierwsze tłoczenie), podgrzewane z miodem i cynamonem

Do dań głównych: do wyboru
czerwone i białe z Chios
podawane według indywidualnego gustu
Na toasty po uczcie: Setinum

- I któż to ułożył ten elegancki zestaw? - zapytałem.

- Ja sam - oświadczył z dumą Wirydowyks, po czym dodał: - Z pewnymi sugestiami ze strony Seweryny Zotyki...

Nie byłem jeszcze gotów myśleć o Zotyce.

- Czy wieczór był udany, Wirydowyksie?

- Na pewno.

- Dobrze przyjęto twoje dzieła?

- Dobre składniki. - Wzruszył ramionami. - Trudno byłoby spartaczyć. Wolno mi kupować wszystko, co najlepsze. - Był najwyraźniej człowiekiem sumiennym. Mój prywatny dowcip o oślizgłym mięsie tu nie pasował. Odrzuciłem więc możliwość przypadkowego otrucia jedzeniem.

Czytając ponownie listę dań, zadawałem kucharzowi dalsze pytania, nie wszystkie z nich motywowane profesjonalnymi względami.

- Co to są ostrygi po hortensjuszowsku?

- Gotowane w lekkim bulionie z białego wina, liści laurowych, jagód jałowca i lubczyku...

- Wymyślone przez kogoś z rodziny?

- Wymyślone p r z e z e m n i e ! - powiedział z naciskiem.

Oczywiście. Nikt tak pretensjonalny jak ci wyzwoleńcy nie pozwoliłby podać gościom czegoś sporządzonego według przepisu nazwanego od galijskiego niewolnika. Wirydowyks dostarczał twórczych umiejętności; im przypisywano zasługi.

-W dzisiejszych czasach ludzie zastanowią się dwa

razy, nim podadzą grzyby... - powiedziałem, robiąc aluzję do sposobu, w jaki Agryppina pozbyła się swojego męża Klaudiusza. Gal, który zdążył już prawie opróżnić kielich, pociągnął jedynie nosem. - Czy słodycze pochodziły od tego Minniusza po drodze? - upewniłem się.

-Jak zwykle. Jego wyroby nie są najgorsze, poza tym udziela nam specjalnej zniżki.

- Bo jeden z wyzwoleńców wynajmuje mu ten kawałek terenu?

- Nie wiem dlaczego, jestem tylko kucharzem.

- Jak do tego doszło?

- Byłem jeńcem wojennym. Nowus mnie kupił - wymamrotał - bo nadzorca twierdził, że jestem plemiennym przywódcą.

- Co za snobizm!

- Lubi, jak owsiankę miesza mu jakiś upadły książę. - Kucharz nie był człowiekiem zgorzkniałym. Podobał mi się lekki sposób, w jaki kpił z grubiaństwa swojego pana.

-A byłeś nim? - zapytałem. Tylko się uśmiechnął. -Tak czy inaczej, pewnie byłeś kiedyś kimś lepszym od kucharza... Ciężko ci tu?

- Takie jest teraz moje życie - odparł spokojnie.

- Więc przykładasz się do roboty?

-To moja praca... wolę wykonywać ją porządnie -dodał z godnością lekko podpitego.

- Przywilej człowieka! - Też musiałem być podpity. Zauważyłem, że ma na sobie taki sam bogaty strój jak Hiacynt, z wykończonym jarmarcznie brzegiem. Jego szyję zdobił galijski naszyjnik.

- Czy miałeś ten naszyjnik jako jeniec?

- Bynajmniej! Dano mi go potem.

- Dla dodatkowego kolorytu? Czy z **twojego wy-**

myślnego stroju mam wnosić, że osobiście nadzorowałeś obsługę?

- Niewłaściwe krojenie i dzielenie może zniszczyć najlepszą robotę.

- Zamierzałem spytać zarządcę, kto co jadł.

- On tego nie będzie wiedział - rzucił stanowczo.

-Ty jednak to zauważyłeś, prawda? - zaryzykowałem pytanie. - Wiesz, co oni wszyscy jedli... i co zostawili na talerzach!

Zerknął na mnie, zadowolony z komplementu. Po czym uprzejmie odpowiedział na moje pytanie.

- Mogę rzec, że każdy spróbował niemal wszystkiego. Pollia odrzucała każdy kawałek, jaki uznała za chrząstkę. Feliks z kolei pozbywał się najmniejszego kawałeczka tłuszczu. Gość natomiast przez cały wieczór przesuwał jedzenie po talerzu...

- Był po temu jakiś powód?

- Po prostu człowiek nie wie, jak jeść.

-Albo jak żyć! - zawołałem, spoglądając z entuzjazmem na spis potraw.

Wirydowyks przyjął komplement.

- Święte słowa! Nowus jak zwykle pożarł pełen talerz i zawołał o dokładkę. Ale tak naprawdę to nikt z nich nie wiedział, co je.

- Rozczarowujące?

- Normalne, Falko. W tym domu.

- Czy to cię boli?

- Nie dość - odparł sprytnie - bym chciał ich mordować!

-Według mojej teorii kucharze popełniają morderstwa, kiedy przypiecze ich żar z pieca... i wtedy szaleją z tasakiem w ręce.

- Użycie trucizny byłoby wielce nieprofesjonalne! - Uśmiechnął się.

- Powiedz mi, jako człowiek spostrzegawczy, czy ktoś z obecnych okazywał jakąś nerwowość? - Starannie unikałem użycia imienia mojej podejrzanej.

- Wszyscy - odparł bez chwili zwłoki.

- Nawet Nowus?

- Szczególnie on - powiedział.

To mnie zaskoczyło.

- Co było powodem tego podenerwowania? - spytałem. Ponownie obdarzył mnie szerokim, ujmującym galijskim uśmiechem i posłał mi inteligentne spojrzenie. Roześmiałem się. - O, przepraszam. Nie możesz przecież znać szczegółów, jesteś tylko kucharzem!

- Och, kiedy ludzie zabierają się do jedzenia, kucharze zamieniają się w słuch!

- Powiesz mi?

- To z powodu tego interesu, który zamierzali przedyskutować podczas spotkania - oznajmił. Milczałem. Robił przerwę dla uzyskania efektu. - Chyba chodziło o utworzenie nowej spółki. - Uśmiechnął się szeroko.

- W jakiej dziedzinie?

- Miejskich nieruchomości.

- Usłyszałeś jakieś szczegóły?

- Nie, Falko. Kiedy byli gotowi do rozmów, odesłali wszystkich usługujących. Spodziewam się, że chcesz wiedzieć, czy zauważyłem, jak Nowus jadł albo pił coś, czego nikt inny nie tknął.

- Pewnie bym w końcu doszedł do tego pytania!

- Nic z tego - rozczarował mnie kucharz. - Próbowali większości dań i wszystkich win. Jeśli trucizna była w jedzeniu, to wszyscy są martwi. Usługujący byli na ski-

nienie... ale był to ten rodzaj przyjęcia, na **którym ludzie** podsuwają smaczne kąski swoim sąsiadom...

- Wieczór dobrych manier?
- Wielkich uprzejmości. Zbyt wielkich.
- Zatem ogólna atmosfera była przyjacielska?
- Tak by się wydawało, ale panowało tam duże napięcie. Obawiałem się, że wpłynie to źle na usługujących i coś upuszczą. Zaangażowano harfistę, zapłacono mu i odprawiono, zanim coś zagrał. Skończyli dość wcześnie...
- Widziałeś, co się wtedy działo?
- Oczywiście. Czekaliśmy, żeby posprzątać... Kiedy wyszli z tryklinium, Krepito i Feliks stali jakiś czas w portyku ze swoim gościem...
- Wciąż dyskutowali?
- Przyciszonymi głosami... coś, co zrobił Nowus, wywołało kontrowersję. Potem usłyszałem, jak ktoś zaproponował, żeby wrócić do picia, ale skończyło się na niczym, bo gość powiedział, że ma coś innego do zrobienia. Kiedy odszedł, Feliks i Krepito zniknęli zajęci cichą rozmową.
- Zadowoleni?
- Raczej nie.
- Gdzie był Nowus?
- Dokądś odmaszerował.
- Z Seweryną Zotyką?
- Nie - odparł kucharz. - Powinienem ci powiedzieć wcześniej... Jej w ogóle tam nie było.

W tym momencie usłyszałem skrzypnięcie buta na marmurowej posadzce. Gal położył ostrzegawczo rękę na moim ramieniu. Odwróciłem się. W drzwiach, w obłoku czosnku i kadzidła, stał mężczyzna, który mógł być tylko kolejnym członkiem triumwiratu Hortensjuszy.

XXXV

Wyglądał na starszego od Nowusa, choć był do niego podobny: ta sama karnacja i tusza dobrze odżywionego człowieka. Dużo ciała i ciężka głowa, krzaczasty czarny wąs, kryjący ruchy warg.

Wykazywał dziwny brak zainteresowania moją osobą i tym, o czym mogę rozmawiać w ich rodzinnej jadalni, z ich rodzinnym kucharzem. Przeszedł obojętnie obok nas i pochwycił żłobkowaną błękitną butlę, której zawartością raczyliśmy się z Wirydowyksem. Na szczęście przed chwilą odstawiłem kielich na podłogę, gdzie był niewidoczny za moją nogą. Kucharz zwinnym ruchem ukrył swój w fałdach nakrycia łoża. Wyzwoleniec rzucił okiem na butlę i zauważył, że trunku ubyło.

- Nowus już nie mógł się doczekać! - mruknął.

- Przepraszam - zwróciłem się do niego. - Czy ty, panie, zwiesz się Krepito?

- Feliks - poprawił mnie.

Mąż Pollii. Wciąż spoglądał z niezadowoloną miną na butlę, jakby oskarżał Hortensjusza Nowusa o to, że ją napoczął. Ani Gal, ani ja nie wyprowadzaliśmy go z błędu.

-Jestem Marek Dydiusz Falko. Pracuję tu na zlecenie twojej małżonki... - zacząłem znowu. Trudno było stwierdzić, czy wie coś na ten temat. - Jeśli Hortensjusz

Krepito znajduje się **gdzieś w pobliżu, prosiłbym o pilną** rozmowę?

Podniósł butelkę.

- Wyjątkowy rocznik! Krepito i Nowus mają właśnie do mnie dołączyć...

- Nie Nowus, panie. Coś się wydarzyło. Czy możemy porozmawiać... razem z Krepitonem, jeśli to możliwe?

Ciągle bardziej przejęty butelką niż tą niejasną sytuacją Hortensjusz Feliks wzruszył ramionami i pozwolił mi pójść za sobą.

Trzej wyzwoleńcy zamierzali wypróbować swoje falerneńskie w kolejnym pokoju, którego wcześniej nie widziałem. Był niewielki, ale spektakularnie cudzoziemski -malowidła znad Nilu, wachlarze, posążki bogów z głową ibisa, pasiaste poduszki i łoża z kości słoniowej o oparciach w kształcie sfinksów.

- Nasza egipska komnata - poinformował mnie. Feliks zauważył, że cofnąłem się o krok. - Podoba ci się?

- Każdy dom powinien mieć taką! - odrzekłem. Jak gniazdo os lub drzwi, które się nie domykają, pomyślałem.

Pojawił się woniejący czosnkiem Krepito... który najwyraźniej szukał Nowusa.

- Nie mogę znaleźć tego głupca, w co on się bawi? - niecierpliwił się.

Choć Pollia zapewniła mnie, że wyzwoleńcy nie są bliskimi krewnymi, to jednak teraz, kiedy widziałem już wszystkich trzech, byłem przekonany, że pochodzą z tego samego wschodniego plemienia. Krepito miał krótsze wąsy od Feliksa, mniej ciała od Nowusa i donośniej szy, bardziej

obcesowy głos od obydwu, zauważyłem natomiast ten sam podbródek, tę samą smagłość i nadpobudliwy charakter. Nowus musiał być z nich trzech najmłodszy.

- Hortensjusz Krepito? Jestem Dydiusz Falko, wynajęty przez wasze żony - przedstawiłem się raz jeszcze. Krepito coś mruknął, więc ciągnąłem dalej, założywszy, że wie, kim jestem. - Przykro mi, że to ja muszę przekazać te wieści. Hortensjuszowi Nowusowi przydarzyło się coś złego... nie stety nie żyje.

Obaj okazali zdumienie.

- Niemożliwe! Dopiero co byliśmy razem... - wykrztusił Krepito.

- Sam go znalazłem - oświadczyłem spokojnym głosem. - Musiał dostać ataku, tuż po waszym wspólnym posiłku.

Wyzwoleńcy wymienili spojrzenia.

-To znaczy...

-Tak... wygląda to na celowe otrucie.

-Jak to możliwe? - zapytał Feliks, z nerwowością człowieka, który właśnie zdał sobie sprawę z tego, że jadł to samo co zamordowany.

-Trucizna zadziałała natychmiast - uspokoiłem ich obydwu. - Gdyby miało to spotkać jeszcze kogoś, to już by spotkało.

Feliks wolał jednak odstawić błękitną żłobkowaną butelkę na stolik i szybko się od niej odsunął.

żałowałem, że nie poznałem Krepitona i Feliksa wcześniej. Przekazywanie takich wieści osobom, których się nigdy nie widziało, nie pozwala ocenić, które reakcje są rezultatem wstrząsu... i ile z tego jest naprawdę szczere.

Hortensjusz Feliks spochmurniał i zamilkł. Krepito poprosił o szczegóły, opisałem mu więc, jak znalazłem No-

wusa martwego na posadzce w latrynie, i powiedziałem, że wciąż tam jest.

- Na pewno uważasz, że należy wezwać sędziego, zanim go każesz stamtąd zabrać - podsunąłem.

- Czy tak się robi? - spytał nagle Feliks. - Czy jest rzeczą normalną wzywanie władz? - Pod wpływem zdenerwowania po raz pierwszy dał poznać, że pochodzi z jakiejś innej kultury.

- Najlepiej postępować odpowiedzialnie. Większość ludzi z własnej woli zgłasza pretorowi podejrzenie morderstwa, nie czekając, aż ten przyśle edyla po donosie od sąsiadów.

- Ludzie nie...

- Owszem, jak najbardziej. Jak tylko zaczną krążyć podłe pogłoski, nie oczekujcie solidarności ze strony ludzi, z którymi kiedyś zwykliście ucztować - oświadczyłem ponuro. Znowu wymienili spojrzenia. - Wiem, że Hor-tensjusz Nowus był wam jak brat - ciągnąłem już nieco łagodniej. Przyjęli te słowa z wyraźną rezerwą. Wrażenie, że mam do czynienia z cudzoziemcami, jeszcze się spotęgowało. Pomyślałem, że powinienem ich bardziej uspokoić. - Staram się wam doradzić. Gdyby morderca umykał z miejsca zbrodni, winniście posłać po straż miejską, by ruszyła w pościg, jednak truciciele na ogół mają nadzieję, że pozostaną nie wykryci. Zostają więc na miejscu, odgrywając rolę niewiniątek. Możecie być pewni, że biuro sędziego przeprowadzi jutro śledztwo. Wtedy sprawa będzie prowadzona z większą delikatnością.

- Jaka w tym wszystkim ma być twoja rola? - zapytał szorstko Feliks.

- Mogę dalej działać dla was prywatnie. Jestem tak wzburzony, że może mi się uda dojść prawdy prędzej niż

pretorowi - odparłem. Liczyłem na to, że może jako ludzie interesu Krepito i Feliks podadzą mi imię miejscowego pretora; nic z tego. - Nie było sposobu, bym mógł temu zapobiec - dodałem spokojnie. - Ale nie spocznę, póki nie zdemaskuję truciciela. Główną podejrzaną jest oczywiście Seweryna. Moim następnym posunięciem będzie jej przesłuchanie. Zaintrygowała mnie informacja, że była dziś wieczór gościem nieobecnym.

- Wyjaśniła to jakoś Nowusowi - powiedział Feliks.

-Ale była tu wcześniej? - zapytałem. Obaj wzruszyli ramionami. - No cóż, jeśli ona uważa, że nieobecność na miejscu przestępstwa wystarczy, by ją oczyścić z podejrzeń, to mam inne nowiny dla tej młodej damy! - oświadczyłem. Po raz kolejny dwaj wyzwoleńcy zerknęli na siebie.

Zapadło milczenie, co było dla mnie znakiem, że powinienem się wynieść.

- No, pójdę już... Czy nie powinienem jednak wpierw zobaczyć się z Sabiną Pollią i Hortensją Atylią? - Miałem nadzieję być świadkiem reakcji tych dwóch pań na tragedię.

- Nie ma takiej potrzeby - oświadczył bezceremonialnie, niemalże wrogo Feliks. Potrząsnął dzwonkiem, żeby wzmocnić jeszcze swoje słowa.

- Świetnie! Cóż, wpadnę oczywiście jutro. Chcę osobiście złożyć kondolencje... A przy okazji... czy dziś wieczorem wszystko układało się dobrze między wami a No-wusem? - zapytałem obojętnym tonem.

Przynajmniej tym razem powstrzymali się od wymiany spojrzeń; prawdę mówiąc, tak uporczywie wpatrywali się w przestrzeń, że to już było wielce podejrzane. Obaj zapewnili mnie solennie, że przyjęcie przebiegało w odprężającej i harmonijnej atmosferze.

Dzięki kucharzowi wiedziałem, że kłamią. Nasuwało to interesujące pytanie: dlaczego?

Wiedziałem, że tej nocy w domu Hortensjuszy będą się toczyć ożywione rozmowy, żałowałem, że nie mogę ich podsłuchać. Zastanawiałem się, jaką rolę odegrają w nich te dwie kobiety, które mnie zatrudniły.

Tymczasem jednak moje myśli zaprzątnięte były czymś innym: jak mam stanąć przed Seweryną z wieścią o tej zbrodni.

Dopiero teraz, kiedy szedłem ulicami pełnymi wozów dostawczych, starając się uniknąć zmiażdżenia palców stóp przez ich koła, zaświtało mi w głowie pytanie, którego wcześniej nie miałem czasu sobie zadać: c z e m u to m i a ł o s ł u ż y ć ?

Hortensjusz Nowus umarł za wcześnie. Seweryna nie mogła liczyć na odziedziczenie jego majątku, jeśli nie była jego żoną. Jaką grę ta kobieta prowadziła?

XXXVI

Większa część via Abacus pogrążona była w mroku. Gdzieniegdzie widać było przyćmione światełka, jednak wokół domu Seweryny panowały kompletne ciemności; walnąłem paluchem o kubeł pozostawiony przed sklepem z serami. Sam dom robił wrażenie opustoszałego.

Obudzenie jednego z niewolników zabrało mi sporo czasu. Najpierw starałem się przyciągnąć jego uwagę w sposób dyskretny, ale jedyne, co mi pozostało, to uderzać nieprzerwanie metalową kołatką w drzwi. Hałas niósł się zapewne po całym Celimontium, choć nikt nie otworzył okiennic, żeby sprawdzić, co się dzieje, bądź zaprotestować. Zupełnie inni ludzie od tych nietolerancyjnych typków, których znałem z Awentynu!

Niewolnik mnie rozpoznał; nie skomentował pory wizyty. Może Seweryna miała znajomych, którzy odwiedzali ją o tak późnej godzinie. Kiedy wpuścił mnie do środka, pomyślałem sobie, że życie tu zamarło; paliło się zaledwie kilka lampek, wszyscy udali się na spoczynek.

Zostawił mnie w pokoju, w którym pierwszy raz ją spotkałem. Na krośnie rozpięta była praca o całkiem nowym wzorze. Zerknąłem na zwój z biblioteki leżący na sofie: coś o Mauretanii. Nie zainteresowało mnie to. Nasłuchiwałem odgłosów z innych części domu.

Zza kotary wychynęła głowa niewolnika.

- Zaraz przyjdzie - oznajmił niechętnie.

- Dzięki. Powiedz mi, czy Nowus i Seweryna ustalili już datę ślubu.

- Za dziesięć dni.

- Kiedy się porozumieli w tej sprawie?

- Na początku tygodnia.

- Czyli Nowus mógł ogłosić to wszem i wobec dzisiejszego wieczoru?

- Zaraz przyjdzie! - powtórzył niewolnik, obrzucając mnie cierpkim spojrzeniem.

Domyślał się, że działam po omacku.

Nie słyszałem, kiedy się pojawiła.

Wyglądała, jakby niewolnik rzeczywiście wyrwał ją z łóżka: krótka biała tunika, nagie ramiona, leciutko nabrzmiała twarz; miedziane włosy spływające luźną falą na plecy. Najprawdopodobniej leżała, czekając na posłańca, który przyniesie jej wieści.

- Musimy porozmawiać, Zotyko! - oznajmiłem. Nie opuściła wzroku pod moim badawczym spojrzeniem, śmiało patrzyła mi w oczy. Spodziewałem się tego. Ta będzie niezłomna. - Nowus nie żyje - dodałem.

-Nowus? - Wymówiła to słowo szybko, po czym zmarszczyła brwi, jakby nieco zdezorientowana.

- Wiedziałaś?

-Nie ż y j e ? - powtórzyła.

- Powtarzaj sobie to w kółko! - drażniłem ją obraźliwie.

Z oburzeniem wzięła głęboki oddech.

- Musisz być taki brutalny? - obruszyła się. Weszła głębiej do pokoju, uniosła dłonie ku twarzy. - Co się stało? Opowiedz mi po kolei.

- Znalazłem dziś wieczorem twojego narzeczonego z twarzą na posadzce latryny. Otrutego, Seweryno. Nie mów mi, że cię zaskoczyłem tą wiadomością.

Zagryzła dolną wargę, kiedy wspominałem szczegóły, ale teraz była już najwyraźniej rozgniewana. Doskonale. Usiadła na sofie, drżąc ze wzburzenia.

- Która godzina, Falko? - zapytała. Nie miałem poję cia. - To takie pytanie, które ludzie zawsze zadają - mruknęła roztargnionym głosem - kiedy czas już i tak się nie liczy...

Jej cierpiętnicza mina mnie nie przekonała.

- Daruj sobie ten patos! Co cię powstrzymało przed udziałem w przyjęciu?

- Nie czułam się dobrze. - Nachmurzyła się. - Kobiece dolegliwości. - Uniosła wyzywająco podbródek, przyciskając dłonie do brzucha. - Wiesz, co mam na myśli!

-A może powinienem czuć się zbyt zażenowany, by wypytywać? Nie licz na to! Chowałem się z pięcioma siostrami, Zotyko. Wiktoryna była pierwszorzędną artystką... umiała przedłużyć „złą porę" miesiąca do trzech tygodni, szczególnie kiedy nie chciała uczestniczyć w jakichś nudnych religijnych obchodach.

- Udałam się tam jednak po południu - oświadczyła krótko Seweryna. - Ostatecznie okazało się, że nie wytrzy mam napięcia długiego, wymagającego konwencjonalne go zachowania wieczoru pośród ludzi, którzy nie kryją, że mnie nie lubią...

-Tak; rzeczywiście potrzeba dużo odwagi... by spoczywać obok swojej ofiary, kiedy ta próbuje zatrutego sosu!

- To oszczerstwo, Falko! - rzuciła ostro. - Poszłam, żeby podnieść na duchu kucharza. Od wysłania zaproszeń No-

wus nieustannie marudzi... - Zauważyłem, że użyła czasu teraźniejszego, jak to się zdarza robić ludziom po stracie osoby najbliższej: subtelne zagranie! - Na Wirydowyksie spoczywała wielka odpowiedzialność...

- Co opętało Nowusa, żeby kupować sobie galijskiego kucharza? Skoro już ktoś koniecznie chce mieć kuchmi strza z krańców cesarstwa, to czy nie zwraca się ku Alek sandrii?

-Wiesz, jacy oni są w tym domu... ten ich pojmany „książę" to nowinka.

- Na pewno należy do rzadkości: potrafi zrobić najlepszy użytek ze wszystkiego. - Zobaczyłem, że to chwilowe odejście od tematu niewiele daje, wobec tego wróciłem do sprawy najważniejszej. - Opowiedz mi o tym przyjęciu. Z jakiego powodu miało być takie uroczyste? Kogo goszczono?

- Appiusza Pryscyla.

Przez chwilę nie wiedziałem, o kogo chodzi.

- Aha, ten potentat od nieruchomości, obijający sprzedawców owoców. Co go łączy z Hortensjuszami?

- Te same zainteresowania. Wynajem mieszkań, nieruchomości, dzierżawa ziemi. Stosunki pomiędzy ich imperiami gwałtownie się pogorszyły. Wszyscy działali wbrew własnym interesom, przeciągając tę rywalizację. Uczta miała zatrzeć dzielące ich różnice.

-Kto wpadł na ten pomysł? - spytałem, marszcząc brwi. Już wiedziałem.

-Ja. Ale zauważ, Falko, że ich spotkanie to był twój pomysł... Przepraszam na moment - wymamrotała nagle. Wyglądała, jakby ją zemdliło.

Wyślizgnęła się z pokoju. Dałem jej kilka minut, po czym ruszyłem na jej poszukiwanie.

Intuicja zawiodła mnie do przedpokoju eleganckiego tryklinium, gdzie mnie i Nowusa podejmowała obiadem. Stała tam nieruchomo w ciemnościach. Uniosłem lampkę, którą zabrałem ze sobą.

- Coś ci dolega?

- Mam tyle do przemyślenia.

Podszedłem bliżej.

- Zoryka? - powiedziałem. Jej niesamowity spokój i nieruchome spojrzenie świadczyły o autentycznym wstrząsie. Przez chwilę stała z dłonią przyciśniętą do czoła. Potem zaczęła płakać.

- Pierwsza zasada detektywa brzmi: pamiętaj, że kobiety, które wybuchają płaczem, nie mają dobrych zamiarów - oświadczyłem, powściągając irytację.

- Więc trzymaj się od nich z daleka! - warknęła Seweryna. Ująwszy jej łokieć dwoma palcami, podprowadziłem ją do sofy. Usiadła, nie opierając się, a potem odwróciła głowę i załkała. Przysiadłem obok i pozwoliłem jej się wypłakać. - Przepraszam - wymamrotała w końcu, pochylając się do przodu, żeby wytrzeć twarz rąbkiem tuniki. Błysnęło kolano, co dziwnie mnie rozproszyło.

Oddychała powoli, jakby godziła się ostatecznie z jakimś niespodziewanym problemem. Najwyraźniej grała. Musiała grać. Przypomniałem sobie, jak Luzjusz, urzędnik pretora, powiedział, że Seweryna nie ma zwyczaju okazywać demonstracyjnie swoich uczuć, a Luzjusz wydał mi się człowiekiem spostrzegawczym. Odnosiłem jednak wrażenie, że ta konieczność uwolnienia emocji przynajmniej po części była szczera.

- Mam nadzieję, że ułożyłaś sobie historyjkę na użytek przesłuchującego cię sędziego - zadrwiłem. Patrzyła przed siebie, wciąż jak w transie. - A jeszcze lepiej byłoby -

zasugerowałem - opowiedzieć sympatycznemu wujkowi Markowi dokładnie o tym, co się wydarzyło, i pozwolić, by on się tym zajął.

Westchnęła i wyciągnęła przed siebie drobne piegowate stopki. Całe nogi miała pokryte piegami, a widziałem dziś więcej niż zazwyczaj.

- Och, dajże spokój, Falko!
- Nie zamierzasz ze mną porozmawiać?
- Skoro otrułam Nowusa, to na pewno nie!
- Otrułaś?
- Nie. Na Junonę i Minerwę... gdyby zależało **mi tylko** na jego pieniądzach, czemu by to miało służyć?
- Zastanawiałem się nad tym.
- Genialne! Jakie zatem pokrętne wyjaśnienie wymyśliłeś?

-Jestem pewny, że go zabiłaś... nie mam natomiast pojęcia dlaczego.

Zerwała się na równe nogi.

- Dydiuszu Falkonie, nie ma najmniejszego powodu, byś tu tkwił! Albo mnie aresztuj, albo idź sobie...
- Co ty wyprawiasz, Zotyko?
- Idę do jadalni po dzban wina... a potem zamierzam się upić!

Moje serce zadudniło ostrzegawczo... powiedziałem sobie jednak, że to może być jedyna okazja, by namówić Sewerynę do wyjawienia jakiejś niedyskrecji.

- Och, siadajże, kobieto! Ja przyniosę ten dzban. Posłuchaj rady eksperta: upijesz się szybciej i na wesoło, jeśli pomoże ci w tym przyjaciel!

XXXVII

Po co ja robię takie rzeczy? Po co ktokolwiek to robi?

Znalazłem kielichy, a także pół amfory czegoś, co zdecydowanie wystarczająco smakowało na ten rodzaj popijawy, po którym na pewno człowiek się rozchoruje. Seweryna przyniosła dzban zimnej wody. Nie zawracaliśmy sobie głowy dodatkami smakowymi. Nasza wzajemna podejrzliwość będzie wystarczająco gorzką przyprawą.

Ostatecznie znaleźliśmy się na podłodze, z głowami opartymi o stojącą za nami sofę. Na początku piliśmy w milczeniu.

Nawet po pięciu latach pracy w zawodzie detektywa znalezienie trupa wciąż wyprowadzało mnie z równowagi. Pozwalałem, by moją głowę po kolei wypełniały obrazy: Nowus, z gołymi pośladkami w tym odzierającym z godności paroksyzmie. Nowus, z twarzą przyciśniętą do płyt posadzki, z widocznym na niej śmiertelnym przerażeniem...

- Nic ci nie jest, Falko? - spytała cicho Seweryna.

- Morderstwo budzi we mnie odrazę. Chcesz, bym opisał ci, jak to wyglądało?

Zauważyłem, że zbielały jej kostki dłoni, kiedy zacisnęła ją mocniej na nóżce ceramicznego kielicha.

- Jakoś to zniosę!

Powiedziałem jej tylko to, co najgorsze. Darowałem sobie szczegóły.

Seweryna napełniła swój kielich. Każde z nas obsługiwało się samo... nie pozwalaliśmy, by przeszkadzały nam konwenanse. Przypominało to picie z mężczyzną.

- Często to robisz? - spytałem.

- Nie! - rzuciła. - A ty?

-Tylko wtedy, kiedy zblednie już pamięć o **ostatnim** bólu głowy...

- Skoro więc mamy robić to razem, czy mogę **się** zwracać do ciebie, używając pierwszego imienia?

-Nie.

Przez chwilę zagryzała krawędź kciuka.

- Myślałam, że jesteś moim sympatycznym **wujkiem** Markiem?

- Jestem Falko... i nie jestem sympatyczny.

- Rozumiem. Pijany, ale zachowujący dystans! - Roześmiała się. Jej śmiech zawsze brzmiał arogancko... i to było irytujące. - Myślę, że ty i ja mamy więcej ze sobą wspólnego, niż gotów byłbyś przyznać, Falko.

-To ci się tylko wydaje! - Chlusnąłem kolejną porcję trunku do kielicha. - Nowus nie żyje. Co dalej, Zo-tyko?

-Nic.

-Co było niewłaściwym słowem. Powinienem był spytać: kto?

- Nie bądź taki obraźliwy - obruszyła się, ale towarzyszył temu półuśmiech i błysk oka za tymi bladymi rzęsami. Prowokowała mnie do zadawania jeszcze ostrzejszych py tań. Moje wypytywanie dostarczało jej dreszczyku emocji.

Wiedziałem, że nie należy się spierać z osobą podejrzaną o zbrodnię, która uwielbia być w centrum uwagi. Przeciągnąłem się więc leniwie.

- Nigdy więcej, hę? Brzmi to jak moje własne słowa za

każdym razem, kiedy jakaś ślicznotka zabrała mi gotówkę i złamała serce.

- Czas przeszły? - zainteresowała się natychmiast, nie mogąc powstrzymać wścibstwa.

- Bo jestem za stary. Ślicznotki wolą chłopców, którzy w łożu są jak ogień, a za dnia pozwalają sobą rządzić...

- Zmyślasz, Falko - przywołała mnie do porządku, jakby coś nagle kazało jej zachować większą ostrożność. -Dlaczego nie potrafisz prowadzić prostej, jednoznacznej rozmowy?

- Łatwo się nudzę - przyznałem. - To wystarczająco jednoznaczne?

Roześmieliśmy się w typowy dla podchmielonych sposób.

Seweryna siedziała wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami. Miałem ją po lewej ręce. Ja siedziałem z podciągniętą prawą nogą, wspierając rękę z kieliszkiem na kolanie. Łatwo mi było dyskretnie ją obserwować. Znowu napełniła sobie kielich.

- Piję więcej od ciebie! - stwierdziła.

- Zauważyłem.

- Starasz się zachować trzeźwość, **żeby wydrzeć mi moje** tajemnice...

- Lubię kobiety z tajemnicami...

-Mnie nie lubisz! Przestań kombinować... Powinnam była zapytać - wyszeptała, jak jej się wydawało, przebiegle -czy ktoś nie czeka na ciebie w domu.

- Nie czeka. - Jednym haustem osuszyłem swój kie lich. Zrobiłem to bardziej zdecydowanie, niż zamierzałem; zakrztusiłem się, omal nie udławiłem.

- Zadziwiasz mnie! - podpuszczała mnie miękkim głosikiem.

Kiedy przestałem kasłać, oświadczyłem:

- Miałaś wtedy rację, rzeczywiście przeliczyłem się z własnymi siłami.

- Opowiedz mi!

- Nie ma tu wiele do opowiadania. Jedno z nas tęskni za ustatkowaniem się i założeniem rodziny. Drugie chce pozostać niczym nie skrępowane - wyznałem. Seweryna miała niepewny wyraz twarzy, jakby nie chwytała dowcipu. - Kobiety są takie nieporadne! - poskarżyłem się. - Nie potrafią wziąć na siebie odpowiedzialności...

- To w jaki sposób złapiesz ją w sidła? - Teraz Seweryna włączyła się do tej gry, choć z pogardliwą miną.

- Mam swoje sposoby.

- Wy, mężczyźni, jesteście tacy podstępni!

- Kiedy tylko odkryje, jak dobrze gotuję, i pozna **mój** uroczy, skłonny do poświęceń charakter, przywiążę ją...

- Czy ona pomaga ci w twojej pracy?

- Już mnie o to pytałaś. Trzymam ją z dala od swojej pracy.

- Zastanawiam się, czy wysyłałeś ją na przeszpiegi tam, dokąd sam nie możesz pójść?

- Nigdy bym jej nie pozwolił pójść tam, gdzie sam nie mogę iść.

- Jak ładnie z twojej strony! - zauważyła.

Teraz już oboje przestaliśmy pić i tylko patrzyliśmy prosto przed siebie niczym jacyś prostaccy filozofowie. Czułem, jak młode wino miesza się z tamtym, delikatnym falerneńskim, by już nie wspomnieć wybornych win po-

danych w Pałacu, i to kazało mi się zastanowić, czy uda mi się przyjąć pozycję wyprostowaną. Nawet Seweryna oddychała teraz ospale.

- Noc rewelacji! - oznajmiła.

-Jak dotąd nieco jednostronnych! - mruknąłem pod nosem, czując mdłości. - Według planu ja się miałem otworzyć i w rezultacie wyciągnąć wyznanie z ciebie...

- Też mi plan! Nie wyciągniesz ze mnie wyznania taką oczywistą sztuczką jak upicie mnie!

- Sama się upiłaś.

- Nie znoszę, kiedy mówisz logicznie.

- A ja nie znoszę, kiedy ty... Och, nieważne -westchnąłem. - Jestem zbyt zmęczony, by stawić czoło takiemu wyzwaniu jak banalna rozmowa.

- Zasypiasz! - zachichotała.

Może rzeczywiście zasypiałem. Może chciałem, żeby ona tak uważała.

Kiedy nie odpowiedziałem, odchyliła do tyłu głowę i jęknęła. Potem ściągnęła z palca czerwony jaspisowy pierścionek; podrzuciła go w górę z cierpkim wyrazem twarzy, złapała i położyła na podłodze obok siebie. Wydawało mi się, że jakaś iskierka przeskoczyła z kamienia na jej włosy i tam rozbłysła. Ten gest był lekceważący, jedynie symbolizował formalne zerwanie narzeczeństwa ze zmarłym.

- Nie mam już nic do zrobienia... nikogo, kto by mnie chciał... do kogo mogłabym się zwrócić... Po co to wszystko, Falko?

Klejnot, który zdjęła, wyglądał równie masywnie jak ten, który nosił Nowus; o wiele za ciężki na drobne jak u dziecka palce Seweryny.

- Dla zysku, moja pani! Ten pierścień to przynajmniej przyzwoity kawałek złota!

Przesunęła lekceważąco pierścionek po mozaice posadzki.

- Złoto się wyciera. Jak miłość, którą niby reprezentuje - orzekła.

- Czasem trwa.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytała. - A czy wierzy w to dama twojego serca?

- Ona jest realistką. Trzyma mnie krótko, na wszelki wypadek - powiedziałem ze śmiechem.

Po chwili Seweryna podniosła prawą rękę, pokazując mi ten tani pierścionek z wyrytym niezgrabnym wizerunkiem Wenus i małą grudką, mającą oznaczać Kupidyna tulącego głowę do jej kolana.

- Miedź natomiast... - zaczęła dość niezrozumiale -ona jest na wieczność!

- Wieczność tanim kosztem! Wiedziałaś, że miedź wydobywa się w górach na Cyprze? - zapytałem. Zbieram sobie w głowie takie mało znane szczegóły. - A Cypr jest miejscem urodzenia Wenus i stąd miedź jest metalem miłości...

- Śniedzieje od niej dusza, Falko! - szepnęła.

- W tej sprawie powinnaś się poradzić medyka - orzekłem. Nie zamierzałem pytać, co ma na myśli. Człowiek nic nie wskóra, kiedy kobieta chce być tajemnicza. - No więc, kto dał ci ten miedziany pierścionek?

- Ktoś, kto był jak ja niewolnikiem.

- Ma jakieś imię?

- Tylko pośród cieni zaświatów.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Jak wielu twoich znajomych.

Seweryna pochyliła się, żeby sięgnąć po butelkę. Podniosłem rękę w proteście, ona jednak rozlała resztę wina do obu kielichów.

Usiadła znów prosto, przesuwając się odrobinę bliżej. Piliśmy, powoli, każde z nas pogrążone w ponurym milczeniu, które w pijanym widzie uchodzi za głębokie zamyślenie.

- Powinienem się zbierać.

- Możemy cię przenocować.

Rozpaczliwie potrzebowałem spokojnego snu. W tym domu nie mógłbym zasnąć z obawy, że sufit opuści się w dół i mnie zmiażdży... Pokręciłem głową.

- W takim razie dziękuję, że posiedziałeś ze mną. - Zacisnęła usta, jak to robią dziewczyny, które są zupełnie samotne, ale starają się być dzielne. - Potrzebowałam dzi siaj kogoś...

Odwróciłem głowę w jej stronę. Spojrzała na mnie. Bardzo niewiele brakowało, żebym ją pocałował. Wiedziała o tym i nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby się odsunąć. Wiedziałem, co by się stało, gdybym to zrobił: zacząłbym czuć się odpowiedzialny.

Oparłem się plecami o sofę i dźwignąłem na nogi.

Seweryna też się zaczęła podnosić, wyciągając do mnie rękę, żebym pomógł jej utrzymać równowagę. Wino oraz raptowny ruch spowodowały, że oboje się zatoczyliśmy. Przez chwilę kiwaliśmy się razem, wciąż ściskając za ręce.

Gdyby to była Helena, objąłbym ją. Seweryna była mniejsza; musiałbym się w tym celu pochylić. Nie należała do tych ptasich, kościstych okazów, na których widok dostaję gęsiej skórki; pod luźną tuniką widziałem

zachęcające ciało. Jej skóra zawsze była czysta i gładka; pachniała dojmująco jakimś znanym mi olejkiem. W świetle lampki i z bliskiej odległości zimowa szarość jej oczu nabrała nagle głębszego, bardziej interesującego błękitu. Oboje wiedzieliśmy, o czym myślę. Byłem odprężony i nieodporny. Tęskniłem za swoją panią; ja też potrzebowałem towarzystwa.

Nie zamierzała unieść się na palce; chciała, by decyzja -i wina - w całości były moje.

Zbyt zmęczony i zbyt podpity, by móc szybko myśleć, szukałem sposobu, żeby w sposób taktowny umknąć.

- To kiepski pomysł, Zotyko!

- Żadnej pokusy?

- Zbyt ululany - udawałem z galanterią. W tej chwili zalała mnie tak potężna fala zmęczenia, że zgodziłbym się na wszystko, co pozwoliłoby mi się położyć. - Innym razem - obiecałem.

- Wątpię! - rzuciła... całkiem mściwie.

Udało mi się dowlec do domu.

Nie odwiedzałem swojego mieszkania w Piscina Publi-ca od czasu, kiedy Anakrytes mnie aresztował. Z ulgą przyjąłbym jakąś wiadomość od Heleny Justyny; jakiś sygnał, że za mną tęskni, jakąś nagrodę za moją stałość. Nie było nic.

Nie mogłem jednak winić senatorskiej córki za to, że jest zbyt dumna, by uczynić pierwszy krok. A skoro już powiedziałem, że będę czekał na wiadomość od niej, za nic nie mogłem pojawić się pierwszy...

Poszedłem spać, przeklinając kobiety.

Seweryna mnie wcale nie chciała; chciała, bym to ja ją chciał, a to nie to samo.

Poza tym - myślałem ze złością (alkohol nastroił mnie wojowniczo) - nie było najmniejszej szansy, by para chłodnych niebieskich oczu pozwoliła mi zapomnieć o dziewczynie, która naprawdę doprowadzała mnie do szaleństwa; o tej, o której chciałem myśleć; dziewczynie, której brązowe oczy powiedziały mi kiedyś z taką szczerością, że to o n a chce m n i e...

Rozgoryczony z całej siły walnąłem zaciśniętą pięścią w ścianę. Gdzieś, bardzo blisko, usłyszałem niepokojący grzechot sypiącego się gruzu, zupełnie jakbym poruszył jakąś belkę. Trwało to dłuższą chwilę.

W ciemności przesunąłem ręką po ścianie. Nie znalazłszy żadnego uszkodzenia w tynku, leżałem bez ruchu, targany poczuciem winy i złymi przeczuciami, nasłuchując hałasów.

Wkrótce zapomniałem o nasłuchiwaniu i zasnąłem.

XXXVIII

Obudziłem się wcześniej, niż powinienem, a to z powodu snów. Tak bardzo mnie zaniepokoiły, że nawet nie będę wam ich streszczał.

By uniknąć dalszych koszmarów, wstałem i ubrałem się... zajęło mi to sporo czasu jak na to, że miałem tylko włożyć czystą tunikę na tę wymiętoszoną, w której spałem, oraz odnaleźć moje ulubione buty tam, gdzie schowała je mama. Kiedy się trudziłem z ubieraniem, moje uszy męczyły jakieś hałasy. Staruszka z górnego piętra mieszała z błotem jakiegoś biedaka, jakby skradł dziewictwo jej jedynej córki.

- Pożałujesz tego! - rozległ się głos rozwścieczonego mężczyzny.

Zadowolony, że przynajmniej tym razem nie j a pojawiłem się w jej zwidach, wystawiłem głowę akurat w momencie, w którym Kossus, agent od nieruchomości, przelatywał w dół obok moich drzwi. Wyglądał na wyprowadzonego z równowagi.

- Kłopoty?

- Szalony babsztyl... - wymamrotał, oglądając się przez ramię, jakby ze strachu, że kobieta rzuci na niego jakąś klątwę. - Niektórzy nie wiedzą, co dla nich dobre...

Najwyraźniej nie miał chęci zaspokoić mojej ciekawości, zadowoliłem się więc uwagą:

- A co z tym nosicielem wody, którego mi obiecałeś?
- Daj nam szansę...

Tym razem pożałowałem mu napiwku.

Wyszedłem z domu bez śniadania. Z bólem głowy udałem się na spotkanie z kobietami na wzgórzu Pincius. Zajęło mi to sporo czasu. Najwyraźniej moje stopy złożyły przysięgę, że tego dnia nigdzie nie pójdą. Oszukałem je, wynajmując muła.

Przeprawę Nowusa na drugi brzeg Styksu uczczono w wielkim stylu. W całym domu unosił się zapach olejków balsamujących i kadzideł. Zamiast kilku symbolicznych gałązek cyprysu, przy każdych drzwiach ustawiono po dwa całe drzewa. Pewnie trzeba było poświęcić na ten cel mały lasek. Można się po nich spodziewać, że nawet z uroczystości pogrzebowych zrobią przedstawienie.

Niewolnicy ubrani byli na czarno. Ich szaty wyglądały na całkowicie nowe. Szwaczki musiały pracować dla wyzwoleńców przez całą noc.

Kiedy udało mi się wreszcie do nich dostać (bo przecież musiały robić wrażenie, że są zbyt przejęte, by kogoś przyjmować), Pollia i Atylia spowite były w misternie ułożone zwoje nieskazitelnej bieli. Żałobny kolor warstw wyższych był zdecydowanie bardziej twarzowy.

Wymamrotałem kondolencje, po czym stawiłem czoło sytuacji:

- Mogłybyście zapytać, jak śmiem się pokazywać...

Sabina Pollia zachichotała. Niektórzy pod wpływem boleści i żalu stają się drażliwi. Jej twarz jak zwykle prezentowała się pięknie, natomiast głos należał do kobiety o dziesięć lat starszej.

Zebrałem siły.

- Zrobiłem, co było w mojej mocy... tyle wam zresztą obiecałem - oświadczyłem. Hortensja Atylia utkwiła we mnie ogromne ciemne oczy, bardziej przerażone niż smutne. Sabina Pollia piorunowała mnie wzrokiem. - Miałyście rację, jeśli chodzi o Sewerynę - ciągnąłem - choć trudno pojąć, dlaczego miałaby wybrać ten akurat moment... Nie było sposobu zapobieżenia temu, co się stało. Jednak tym razem nie umknie przed sprawiedliwością...

- Jak możesz być taki pewny? - spytała kąśliwie Pollia.

- Doświadczenie.

- Przedtem też byłeś pewny siebie!

- Nie; przedtem byłem ostrożny. Teraz jestem rozzłoszczony...

- Sprawę przekazano pretorowi - wtrąciła się Pollia.

-Tak, sam to zasugerowałem... - zacząłem. Już wiedziałem, czego się mam spodziewać.

- Zatem j a sugeruję, byśmy zostawili ją pretorowi!

Kiedy skończyły się pogardliwe połajanki ze strony Pollii, znowu zacząłem ostrożnie:

-Wynajęłyście mnie, bo pracowałem dla Pałacu, gdzie zresztą zatrzymano mnie dłużej poprzedniego wieczoru...

- Nasi mężowie polecili nam przestać korzystać z twoich usług. - Słowa te padły z ust Atylii, która wydawała się bardziej nieśmiała. Każda z nich miała w nosie to, co mówili małżonkowie; Feliks i Krepito byli dla nich zerami. Jednak kiedy klienci chcieli się mnie pozbyć, każda wymówka była dobra.

- Jasne - odparłem - musicie szanować życzenia swoich mężów!

- Zawiodłeś, Falko! - oświadczyła z naciskiem Pollia.

- Najwyraźniej!

Nawet z bólem rozsadzającym mi czaszkę pozostałem profesjonalistą. Obie kobiety czekały w napięciu, spodziewając się mojego gniewnego wybuchu; ponieważ mogłem ulżyć sobie później, rozczarowałem je.

- Moje panie, nigdy nie zostaję, kiedy utracę zaufanie klientów.

Pozdrowiłem je uprzejmie (bo przecież chciałem, żeby mi zapłaciły). I odszedłem.

Koniec sprawy. No cóż; jeśli nie uda się zdobyć jakiegoś innego zlecenia, zawsze mogę wrócić do pracy dla Pałacu.

Koniec.

Znowu koniec! Ciągle mi się to przydarzało. Dziwnym trafem trafiali mi się sami niezdecydowani klienci. Ledwie wykrzesałem w sobie trochę zainteresowania ich żałosnym życiem, oni już w swoich ptasich móżdżkach dochodzili do wniosku, że mnie nie potrzebują.

Mogłem rozwiązać ten przypadek. Sprawiłoby mi to nawet pewną przyjemność. Nieważne; za tydzień obserwacji mogłem teraz zażądać od tych dwóch kobiet niebotycznego honorarium i urwać się, zanim rozpocznie się ta mniej przyjemna część. To najlepszy sposób robienia interesów dla człowieka o filozoficznych skłonnościach. Niech miejscowi stróże prawa i porządku łamią sobie głowy, zastanawiając się, w jaki sposób to się Sewerynie tym razem udało. Niech sędzia z Pincius spróbuje postawić ją przed sądem, skoro pretorowi Korwinowi z Eskwilinu to się nie udało. Roześmiałem się. Mogłem teraz wysłać rachunek za swoje wysiłki, spędzić trochę czasu w łaźni, za-

bawić się, a potem przeczytać w *Gazecie Codziennej,* jak oficjalnie spartaczono śledztwo...

Jak się okazało, nie był to koniec sprawy.

Miałem już wyniośle przemaszerować obok ozdobnego domku stróża, gdzie tkwił odźwierny Hortensjuszy, kiedy zobaczyłem, że ktoś się czai w cieniu: rozpoznałem wątłe ramiona i cienki jak drut wąsik, przecinający twarz na dwie części.

- Hiacynt!

- Falko... możemy porozmawiać? - rzucił. Najwyraźniej czekał na mnie.

-Jasne...

- Muszę się spieszyć. Zakazali nam z tobą rozmawiać.

- Dlaczego? - zdziwiłem się. Zerknął nerwowo w stronę domu. Odciągnąłem go od głównej ścieżki i przykucnęliśmy pod starą pinią. - Nieważne zresztą dlaczego... co się dzieje?

- Rozmawiałeś z Wirydowyksem...

- Owszem. Zamierzałem dzisiaj znów zamienić z nim kilka słów...

Hiacynt roześmiał się krótko, po czym podniósł szyszkę i rzucił ją między drzewa.

- Zapłacili ci, żebyś sobie poszedł? - spytał.

- Cóż, odesłali... pozostaje się jeszcze przekonać, czy mi zapłacą!

- Po prostu przedstaw im rachunek. Oni nie życzą sobie żadnych kłopotów.

- Kłopotów? Jakich kłopotów?

Milczał przez chwilę, po czym wyrzucił z siebie:

- Nie porozmawiasz sobie z kucharzem, bo nie żyje!

XXXIX

Kiedy to usłyszałem, oblał mnie zimny **pot.**

- Co się stało?

- Zmarł w nocy. We śnie.

- Tak samo jak Nowus?

- Nie sądzę. Wyglądał **całkiem spokojnie. Robiło to** wrażenie naturalnej...

-Ba!

- Był zdrowy - oświadczył Hiacynt, marszcząc czoło.

- Kucharzom nie brakuje jedzenia - powiedziałem. Gal nie był w podeszłym wieku; miał jakieś trzydzieści lat. Jak ja... młodzieniec. - Czy ktoś to sprawdza?

- Skądże! Kiedy ktoś zaczął się zastanawiać, czy nie doszło do przestępstwa, Feliks stwierdził, że kucharz był pewnie tak zawstydzony śmiercią Nowusa po zjedzeniu jednej z jego potraw, że popełnił samobójstwo...

- Czy to prawdopodobne?

- Poznałeś go! - rzucił wymownie Hiacynt.

-Tak! Czy reszta z was nie zamierza nic robić w tej sprawie?

- Nie możemy, skoro wyzwoleńcy powiedzieli nie. On był „tylko niewolnikiem!" - zauważył kwaśno mój towa rzysz.

Tak jak jego przyjaciele, pomyślałem. Zacząłem obgryzać paznokieć.

- Pretor prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Nowusa powinien o tym usłyszeć!

Hiacynt zerwał się na równe nogi.

- Daruj sobie, Falko! Ten pretor wziął dużą pożyczkę żyrowaną przez Krepitona, musi współpracować. A rodzina chce szybko pochować Nowusa... i nie mieć żadnych kłopotów.

- Myślałem, że chcieli chronić jego interesy? Myślałem, że w tym celu mnie wynajęli!

Hiacynt spoglądał na mnie zawstydzony.

- Za nic nie mogłem pojąć, dlaczego wynajęli akurat ciebie - wyznał. - Masz reputację partacza...

- Och, wielkie dzięki! - Zdusiłem przekleństwo. W końcu jednak ulżyłem sobie. Było to jedno z tych przekleństw, jakich używał mój brat, szczególnie barwne i dlatego zrobiło wielkie wrażenie na niewolniku. - Skoro tak uważali, to dlaczego mnie wynajęli?

- Może myśleli, że będziesz tani.

- To może się okazać jednym z ich błędów.

Przypomniało mi się, jak Helena powiedziała, że na tych okropnych ludziach wrażenie robią jedynie ceny.

Nawet nie widząc ciała, podobnie jak ten człowiek na posyłki, miałem wątpliwości w sprawie śmierci kucharza.

- Jego też otruto - oświadczyłem. - Choć nie tą samą gwałtownie paraliżującą trucizną, która powaliła Nowusa. Widziałeś obydwa ciała, zgadza się? - powiedziałem. Hiacynt skinął głową. Podjąłem decyzję. - Chciałem koniecznie pogadać z Wirydowyksem bardziej szczegółowo o wczorajszym popołudniu. Czy mógłbyś znaleźć mi kogoś spostrzegawczego, kto był w kuchni wtedy, kiedy przygotowywano potrawy na przyjęcie?

Niewolnik miał niepewną minę. Przypomniałem mu, że

nikt inny palcem nie ruszy, żeby pomścić śmierć kucharza. Poczucie solidarności kazało mu obiecać, że znajdzie kogoś, kto mi pomoże. Podałem mu swój nowy adres. Ponieważ najwyraźniej się martwił, że mogą go tutaj ze mną zobaczyć, pozwoliłem mu wrócić do domu.

Siedziałem pod drzewem i myślałem o tym człowieku z Galii. Podobał mi się. Zaakceptował swój los, ale zachował styl. Był rzetelny. Miał godność.

Długo o nim myślałem. Byłem mu to winny.

Na pewno go zamordowano. Musiała to być powolniejsza trucizna od tej, która zabiła Nowusa, mniej zjadliwa. Najprawdopodobniej ona też była przeznaczona dla Nowusa... choć nie mogłem wykluczyć możliwości, że zamierzano uśmiercić więcej osób.

Nie miałem też pewności, że jedna i ta sama osoba przygotowała obie trucizny. Nie znałem powodu, dla jakiego podjęto dwie oddzielne próby; może tak na wszelki wypadek. Wiedziałem natomiast, w jaki sposób podano drugą truciznę; będzie mnie to męczyć jeszcze przez długi czas. Musiała się znajdować w gorzko pachnących przyprawach, którymi kucharz miał przyprawione swoje fałerneńskie.

Ciągle pamiętałem, jak mieszam mu je z winem; to ja własnoręcznie zabiłem Wirydowyksa.

XL

Kiedy ponownie skierowałem wynajętego muła na południe, coś mi mówiło, że sprawa ta nie będzie miała końca, dopóki jej nie rozwiążę, nawet jeśli nie dostanę honorarium. To była ta odważna i szlachetna część mojej duszy. Inna (kiedy myślałem o Galu) czuła się po prostu nikczemnie.

Pojechałem do domu. Nie było sensu udawać się gdziekolwiek indziej, zwłaszcza do Seweryny Zotyki, zanim znajdę coś konkretnego na tę piegowatą żmiję.

Pół godziny później zapukała do moich drzwi. Byłem zajęty myśleniem. Żeby je sobie ułatwić, robiłem coś praktycznego.

- Wakacje, Falko? - zainteresowała się.

- Reperowanie fotelika - mruknąłem. Moje starania wymagały precyzji i byłem w podłym nastroju.

Spojrzała na rozchwiany wiklinowy produkt, którego półkoliste oparcie przechodziło w poręcze.

- To kobiecy fotelik.

- Może jak go naprawię, sprowadzę sobie jakąś kobietę.

Rudowłosa uśmiechnęła się nerwowo.

To, co miała na sobie, nie było czarne, ale raczej ciem-

nopurpurowe, jak sok jagodowy; w ten niekonwencjonalny sposób udało jej się wyrazić większy szacunek dla zmarłego niż PoUia i Atylia zwojami pełnej dramatyzmu bieli.

Nie przerywałem zajęcia. Była to jedna z tych uciesz-nych sytuacji, kiedy to człowiek zamierza tylko naciągnąć luźny materiał w kilku miejscach, a kończy rozebraniem połowy mebla i złożeniem go od podstaw. Spędziłem już przy tej robocie dwie godziny.

Żeby uprzedzić irytującą dociekliwość Seweryny, wyjaśniłem ostrym tonem:

-Ten fotelik dostałem od siostry, Galii. Matka natomiast dała mi trochę świeżej wikliny. Cholerna robota. I dobrze wiem, że kiedy Galla zobaczy zreperowany fotelik, zaświergocze radośnie: „Och, Marku, jaki ty jesteś zdolny!"... i poprosi, bym go jej oddał.

- Ta wiklina jest za sucha - poinformowała mnie Seweryna. - Powinieneś zwilżyć ją gąbką...

- Obejdę się bez twoich rad. Łodyga, którą właśnie wplatałem, trzasnęła w połowie. Poszedłem po mokrą gąbkę.

Seweryna znalazła sobie stołek.

- Bardzo się starasz - pochwaliła mnie.

- Dokładność popłaca.

Siedziała w milczeniu, czekając, aż się uspokoję. Nie miałem zamiaru sprawiać jej tej przyjemności.

- Przyszedł dziś do mnie edyl, z ramienia sądu Wzgórza Pincius.

Przebrnąłem przez skomplikowaną wymianę ostatnich kawałków wikliny, szarpiąc za nie, żeby całość była odpowiednio naprężona.

- Nie mam wątpliwości, żeś go skołowała. - Wstawiłem sobie fotelik pomiędzy kolana.

- Odpowiedziałam na jego pytania.

- I poszedł sobie w błogiej nieświadomości.

Seweryna patrzyła na mnie z powagą.

- Może n i e k t ó r z y potrafią zauważyć, że skoro nie mam motywu, oskarżanie mnie jest pozbawione logiki.

- Może pretor lubi mieć w sierpniu wakacje - szydziłem. Złagodziłem ból w palcach, przecierając je wilgotną gąbką. - Tak czy owak, jest jeszcze jeden plus: jeśli tylko opędzisz się od tego edyla, będziesz miała spokój.

- Co takiego?

Podniosłem się z kolan, ustawiłem odpowiednio fotelik i usadowiłem się w nim. Spoglądałem z góry na tę drobną, zadbaną, owiniętą szalem kobietę, która przycupnąwszy na moim stołku, obejmowała ramionami kolana.

- Nie prowadzę już tej sprawy, Zotyko - oznajmiłem. - Pollia i Atylia zrezygnowały z moich usług.

- Głupio postąpiły! - oburzyła się. - Ktoś, komu zależało na Nowusie, powinien pozwolić ci pociągnąć to dalej.

- Zawsze miałem wrażenie, że nie wkładają w nic serca.

- Nie dziwię się - rzuciła. Powstrzymałem się od wszelkiej reakcji. Wszystko, co miało za chwilę nastąpić, mogło oznaczać wyłącznie kłopoty. Cóż, w wypadku Seweryny to żadna nowość. - To, że cię zwolniły - ciągnęła - potwierdza wszystko, co mówię.

- Niby jak?

- Pollia i Atylia wynajęły cię, by rzucić podejrzenie na mnie.

- Dlaczego?

- By zamaskować własne ambicje.

- A jakie miałyby to być ambicje?

Wzięła głęboki oddech.

- Pomiędzy wyzwoleńcami były poważne tarcia. Krepitonowi i Feliksowi nie podobało się, w jaki sposób Nowus prowadził ich wspólne interesy. Nowus nie znosił kłopotów i zamierzał zerwać współpracę.

Mimo że nie miałem do niej zaufania, te słowa przypomniały mi, że Wirydowyks wyczuł po uczcie atmosferę niezgody pomiędzy wyzwoleńcami.

- Tych dwóch dużo by straciło, gdyby z nimi zerwał?

- On zawsze im przewodził. Cała inicjatywa i wszystkie pomysły były jego.

- Zatem zabrałby znaczną część ich wspólnych interesów? - domyśliłem się.

-Właśnie. To, że mnie poznał, nie poprawiło sytuacji. Gdyby się ożenił, szczególnie zaś gdybyśmy mieli dzieci, ucierpieliby na tym jego obecni spadkobiercy.

- Feliks i Krepito?

- Feliks i syn Krepitona. Atylia ma obsesję na punkcie tego chłopca i zależało jej na spadku, który umożliwiłby mu przyszłą karierę.

- A Pollia?

- Pollia dorwie się do gotówki, jaka przypadnie jej mężowi.

Brzmiało to sensownie i wcale mi się nie podobało. Już dawno ją uznałem za tę niegodziwą i trudno mi było zmienić nastawienie.

- Twierdzisz, że wyzwoleńcy albo ich żony posunęliby się do zabicia Nowusa?

- Może wszyscy razem brali w tym udział.

- Nie sądź innych własną miarką! Choć muszę przyznać,

że czas morderstwa... kiedy ty i Nowus ogłosiliście datę swojego ślubu... rzeczywiście wydaje się znaczący.

Seweryna klasnęła triumfalnie małymi białymi dłońmi.

-Jest znacznie gorzej, przecież mówiłam ci, że Nowus ma wrogów. - Mówiła mi wiele rzeczy, które były zapewne kłamstwami. Roześmiałem się. - Słuchaj mnie, Falko! - przywołała mnie do porządku.

Uniosłem lekko rękę w przepraszającym geście, mimo to dąsała się przez chwilę, trzymając mnie w napięciu.

- Jakich wrogów? - zapytałem w końcu.

- Oprócz Krepitona i Feliksa zraził do siebie jeszcze Appiusza Pryscyla.

- Czy dobrze rozumiem, że to ten, który prowadzi konkurencyjny dla Hortensjuszy interes? Powiedz mi, Seweryno, czym miała być ta kolacja wczoraj wieczorem?

- Pojednaniem, już ci mówiłam. Właśnie przed Pryscy-lem chciałam cię przedtem ostrzec.

- Groził Nowusowi?

- Nowusowi i dwóm pozostałym. To dlatego Atylia nie spuszcza z oczu swojego syna... jedna z pogróżek dotyczyła jego uprowadzenia - powiedziała.

Wiedziałem, że Atylia sama zabiera syna do szkoły, co było dość niezwykłe.

- Kogo zatem z tej sporej liczby podejrzanych wskazujesz palcem? - spytałem pełnym sarkazmu tonem.

-W tym właśnie problem... po prostu nie wiem. Falko, co byś rzekł, gdybym poprosiła, żebyś popracował dla mnie?

Pewnie wołałbym o ratunek.

- Mówiąc szczerze, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest zlecenie od zawodowej panny młodej... szczególnie wtedy, kiedy ona się znajduje w przerwie pomiędzy dwo-

ma mężami i wykazuje skłonności do nieprzewidywalnych reakcji...

- Masz na myśli to, do czego omal nie doszło ubiegłej nocy? - zapytała, rumieniąc się.

- Oboje możemy zapomnieć ubiegłą noc. - Mój głos zabrzmiał ciszej, niż było moim zamiarem. Zauważyłem, że drgnęła, jej szal osunął się na plecy, ukazując płomienne włosy. - Byliśmy pijani - dodałem.

Seweryna obdarzyła mnie bezpośrednim spojrzeniem, które mi się całkiem podobało.

- Będziesz dla mnie pracował? - nalegała.

- Zastanowię się.

- To oznacza odmowę.

- To oznacza, że się zastanowię!

W tamtej chwili miałem ochotę zrzucić ją ze schodów. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nawet, czy w ogóle nie zrezygnować ze swojej profesji i nie wynająć warsztatu, gdzie będę naprawiał krzesła...

Rozległo się pukanie; Seweryna musiała zostawić zewnętrzne drzwi rozwarte na oścież i zanim zdążyłem się odezwać, otworzyły się drzwi do pokoju. Zobaczyliśmy słaniającego się na nogach, zadyszanego mężczyznę. Cel jego przyjścia był oczywisty.

Gość pokonał właśnie dwa piętra... żeby dostarczyć mi największą rybę, jaką w życiu widziałem.

XLI

Wstałem. Bardzo powoli.

- Gdzie mam ją położyć, legacie? - wysapał.

Mężczyzna był niewysoki. Kiedy wtoczył się do pokoju, trzymał mój prezent za pysk, bo nie starczało mu rąk, by go objąć: ryba ciągnęła się na jego wysokość i była od niego szersza.

- Rzuć ją tam...

Gość stęknął, wygiął się, po czym zamachnął rybą tak, że trafiła na stolik, który mi służył do opierania łokci. Potem zaczął się gorliwie uwijać, za każdym podskokiem przesuwając śliski prezent kawałek dalej. Seweryna zerwała się na nogi, kiedy płetwa ogonowa rozmiarów wachlarza ze strusich piór, zwisająca ze stolika, znalazła się tuż przed jej nosem.

Nie było czuć żadnego zapaszku. Turbot był w wyśmienitym stanie.

Widziałem, że dostarczyciel był usatysfakcjonowany wrażeniem, jakie wywołało jego przyjście... ale i tak postanowiłem tym razem wycisnąć te pół aureusa, które trzymałem w tunice na wypadek konieczności wręczenia komuś godziwego napiwku.

- Dzięki, legacie! Przyjemnego ucztowania... - powiedział i oddalił się lekkim krokiem.

- Uczta? - zauważyła Seweryna, robiąc kokieteryjną minkę. - Zaprosisz mnie?

Czułem się taki bezsilny, że kto wie, może dałbym się namówić. Narobiłbym sobie niezłych kłopotów.

I wtedy drzwi otworzyły się po raz drugi i pojawił się ktoś, kto nigdy nie pukał, jeśli tylko istniała najmniejsza szansa przerwania czegoś skandalicznego.

- Witaj, mamo! - zawołałem mężnie.

Mama obrzuciła Sewerynę Zotykę takim spojrzeniem, jakby odkryła właśnie coś paskudnie rozmiękłego w rogu kuchennej półki. Potem spojrzała na mój egzotyczny prezent.

- Z tym twoim sprzedawcą ryb należałoby porozmawiać! Odkąd to zacząłeś kupować je na łokcie?

- Musiała zajść jakaś pomyłka, zamówiłem tylko mątwę.

- To cały ty. Pałacowe pomysły przy mizernych dochodach... Potrzebny ci będzie wielki półmisek!

Westchnąłem.

- Nie mogę zatrzymać tej ryby, mamo. Chyba najlepiej będzie posłać ją w darze Kamilowi Werusowi, może zarobię na trochę uznania...

-Jest to jakiś sposób na okazanie szacunku senatorowi... Szkoda. Z ości mogłabym przyrządzić niezły wywar - westchnęła matka. Uparcie nie dopuszczała do rozmowy Seweryny, dając jej jednak do zrozumienia, że mam wpływowych przyjaciół. Rudowłose zawsze wyprowadzały matkę z równowagi. I z zasady nie aprobowała moich klientek.

Mama wyszła z pokoju, żebym mógł się pozbyć niewygodnego gościa.

- Zastanowię się nad twoją ofertą, Seweryno - powiedziałem.

- Musisz poradzić się matki? - rzuciła zgryźliwie.

- Nie, muszę odwiedzić swojego fryzjera, sprawdzić w kalendarzu, kiedy przypadają moje „czarne dni", po święcić piękną dziewicę i obejrzeć dokładnie wnętrzności owcy ze skręconymi rogami... Wiem, skąd wziąć taką owcę, ale o dziewice jest trudniej, a mój golibroda wyjechał z miasta. Daj mi dwadzieścia cztery godziny-zakończyłem. Zamierzała się spierać, ale skinąłem w stronę turbota, więc dała za wygraną.

Matka pojawiła się ponownie, po czym z obraźliwą uprzejmością usunęła się wychodzącej Sewerynie z drogi. Rudowłosa, nim zamknęła za sobą drzwi, w odwecie obdarzyła mnie znacznie słodszym niż zazwyczaj uśmiechem.

- Uważaj na nią! - mruknęła mama.

Spoglądaliśmy oboje ze smutkiem **na ogromną rybę.**

- Na pewno będę żałował, że ją oddałem.
- Drugi raz już takiej nie dostaniesz!
- Bardzo mnie korci, żeby ją zatrzymać... **ale jak toto** przyrządzić?
- Och, cóż, myślę, że możemy zaimprowizować...
- Kamil Werus i tak nigdy mnie nie zaaprobuje...
- Rzeczywiście - powiedziała wymijająco **matka.** Mógłbyś go zaprosić na poczęstunek.
- Nie tutaj!
- Więc zaproś Helenę.
- Helena nie przyjdzie.
- Nigdy nie przyjdzie, jak się jej nie zaprosi. Zdenerwowałeś ją czymś?
- Dlaczego zakładasz, że to moja wina? Powiedzieliśmy sobie to i owo.

-Ty się nigdy nie zmienisz!... Zatem wszystko ustalone - podsumowała moja matka. - Tylko rodzinne przyjęcie. Wiesz co - dodała, jakby ta informacja miała poprawić mi nastrój - zawsze uważałam, że turbot to ryba bez smaku.

XLII

Czasami zastanawiałem się, czy matka nie prowadzi podwójnego życia. Broniłem się przed tą myślą, bo żaden przyzwoity rzymski syn nie chce mieć podobnych podejrzeń w stosunku do osoby, która wydała go na świat.

- Gdzie ty, na bogów, mogłaś jeść turbota?

- Twój wuj Fabiusz złowił kiedyś jednego - powiedziała. Miało to sens. Nikomu z naszej rodziny nie przyszłoby do głowy podarować turbota cesarzowi; cokolwiek wpadło moim krewniakom do rąk, wędrowało prosto do garnka. - Był mały. Daleko mu było do tego.

- Można to było przewidzieć, skoro Fabiusz go złowił! - zawyrokowałem. Wszystko, co dotyczyło wuja Fa-biusza, było małe; taki rodzinny dowcip.

- Trzeba dopilnować, żeby nie był gorzki. Wyręczę cię i wyjmę mu skrzela - zaofiarowała się matka.

Pozwoliłem jej na to. Lubiła żyć w iluzji, że wciąż potrzebuję jej opieki. Poza tym podobała mi się myśl, że moja drobniutka, niemłoda już matka atakuje coś tak wielkiego.

Byłoby idealnie, gdybym mógł go upiec w piecu. Wymagałoby to glinianego naczynia (nie było czasu, żeby takie kazać zrobić), a potem powierzenia go głupkowatym

pracownikom w którejś z piekarń. Mogłem zbudować własny piec, ale nie licząc dźwigania do domu cegieł, obawiałem się ryzyka pożaru i podejrzewałam, że jakakolwiek konstrukcja wystarczająco duża, by pomieścić turbo-ta, mogłaby doprowadzić do zarwania podłogi.

Postanowiłem go ugotować. Płastugom wystarczało gotowanie na wolnym ogniu. Potrzebny mi był ogromny garnek i miałem już w związku z tym pewien pomysł. Na poddaszu domu matki, gdzie członkowie rodziny składali nietrafione prezenty, leżała ogromna, owalna tarcza, przywieziona do domu przez mojego nieżyjącego brata Festu-sa. Wykonano ją z jakiegoś stopu i pobrązowiono, a Festus utrzymywał, że jest cennym peloponeskim zabytkiem. Zirytowałem go, mówiąc, że na pewno jest celtycka... co oznaczało, że jest kolejną tandetną pamiątką, którą mój niemądry brat wygrał w jakimś zakładzie albo kupił na nabrzeżu w Ostii. Rozgniewałby się jeszcze bardziej za wykorzystanie jego zakurzonej zdobyczy jako garnka do ryb.

Powędrowałem do domu matki. Kiedy wspiąłem się na górę i sięgnąłem po tarczę, znalazłem w niej gniazdo myszy, więc bezzwłocznie wszystkie je stamtąd wysypałem. Wewnętrzny uchwyt stracił j uż j eden z mocuj ących bolców, kiedy Festus się nią zabawiał; drugi był pokryty śniedzią, ale udało mi się go odciąć (zdzierając sobie przy okazji skórę z kostek dłoni). Spiczaste umbo mogło sprawić pewien kłopot. Pomyślałem, że zawieszę tarczę nad dwoma czy trzema rondlami z parującym wrzątkiem, stojącymi na naczyniach z żarem, i dam się rybie gotować w podgrzanej wcześniej wodzie. Spędziłem godzinę na czyszczeniu metalu, potem umyłem tarczę w publicznej fontannie i zabrałem do domu. Była rzeczywiście wystarczająco duża na mojego turbota... ale za płytka. Wsadziłem turbota,

zalałem wodą i stwierdziłem, że woda sięgnęła krawędzi tarczy, a mimo to nie pokryła ryby. Gotujący się wywar będzie pryskać na wszystkie strony. A przewrócenie turbo-ta na drugą stronę w połowie gotowania może się okazać bardzo trudne...

Jak zwykle, matka pozwoliła mi znaleźć własne rozwiązanie, a potem siedziała w domu, zgadując, w którym miejscu mój błyskotliwy plan zawiedzie. Podczas gdy ja wciąż wpatrywałem się w zanurzoną tylko częściowo rybę, pojawiła się z łoskotem w moim mieszkaniu, prawie niewidoczna pod wielką miedzianą balią z pralni Lenii. Staraliśmy się nie myśleć, co w niej prano.

- Wyszorowałam ją porządnie... - oznajmiła. Balia była krótsza od celtyckiej tarczy, ale dawało się w nią wcisnąć turbota, odpowiednio wyginając wielki trójkątny łeb i ogon. Mama przyniosła też siatki do kapusty, żeby można go było podnieść, kiedy już będzie miękki.

Byłem gotowy.

Zaprosiłem matkę, swojego najlepszego przyjaciela Petroniusza, jego żonę Sylwię i kilkoro krewnych. Moja rodzina była tak liczna, że było niemożliwością zaprosić ich wszystkich naraz. Wybrałem Maję, żeby podziękować jej za uratowanie żetonów, i Junię, by odpłacić za łoże. Nie zapraszałem szwagrów, ale i tak przyszli.

Powiedziałem gościom, że mogą przyjść wcześniej, bo przyglądanie się gotowaniu ryby stanowi część rozrywki. Nikogo nie trzeba było zachęcać. Zjawili się wszyscy, zanim zdążyłem poszukać czystej tuniki czy pójść do łaźni. Pozwoliłem im obchodzić i krytykować moją nową kwaterę, przestawiać po swojemu moje meble i osobiste drobiazgi, podczas gdy sam niepokoiłem się o rybę.

Planowałem konsumpcję w izbie, którą przeznaczyłem

na swoje biuro, ale oni wszyscy przynieśli stołki i stłoczyli się w głównym pokoju, gdzie mogli włazić mi pod nogi i częstować swoimi cennymi radami.

- Co dodałeś do wywaru, Marku?

-To tylko woda z winem i liście laurowe. Nie chcę zabić naturalnego smaku, ma być bardzo subtelny...

- Powinieneś dodać szczyptę marynowanej ryby... Maju, czy on nie powinien dodać marynowanej ryby?

- Uważam, że powinien ją gotować w sosie...

- Nie, sos będzie podany osobno...

- Pożałujesz tego, Marku! To szafran czy cebula?

- Kminek.

- Kminek? Oj! Marek robi sos kminkowy...

Pośród całej tej paplaniny ucierałem zioła na mój sos (powinienem mieć lubczyk, ale Maja myślała, że prosiłem ją o przyniesienie pietruszki; powinienem dodać tymianku, ale został w moim starym mieszkaniu przy Dziedzińcu Fontanny). Ktoś zapukał i Petroniusz otworzył drzwi.

- Kamil Werus przysłał ci sofę do czytania... gdzie ci ją postawić? - ryknął mój przyjaciel. Chciałem ją mieć w swoim biurze, ale właśnie tam rozłożyłem wszystko, co było potrzebne do naszego posiłku (wszystko, czego jeszcze nie zdążyli poprzestawiać moi goście). - Wstawić ci ją do sypialni?

- Nie ma tam dość miejsca. Spróbuj w tym pustym pokoju naprzeciwko...

Jedno z moich naczyń z żarem buchnęło niebezpiecznie płomieniem, więc musiałem zostawić przyjacielowi ustawienie sofy.

Matka i Junia wybrały sobie akurat ten właśnie moment, żeby powiesić mi zasłony w drzwiach, więc nie widziałem, co się dzieje na korytarzu przesłoniętym zwo-

jami materiału. Obaj szwagrowie zajęli się wbijaniem gwoździ, do zawieszenia sznurka nad nadprożem; to proste zadanie wyznaczenia linii prostej zamieniło się w poważny problem mierniczy. Docierające do mnie z głębi mieszkania dźwięki świadczyły o dobrym nastroju Petroniusza i o szkodach, jakich doznawały framugi podczas przenoszenia sofy. Wywar dla mojej ryby zaczynał już perkotać przy ściankach balii, nie mogłem więc zwracać uwagi na niepokojące odgłosy. Twarz miałem zaczerwienioną z wysiłku, musiałem bowiem odpowiednio ustawić naczynia z żarem, tak żeby udźwignęły ciężar balii z całą zawartością. Właśnie wziąłem turbota w ramiona, żeby wsadzić go do kąpieli, kiedy usłyszałem okrzyk Mai:

- Przykro mi, to rodzinne przyjęcie. Dydiusz Falko nie przyjmuje teraz klientów...

Szum głosów nieco przycichł. Odwróciłem się, trzymając rybę przed sobą. Przemknęła mi przez głowę straszna myśl, że to Seweryna, ale okazało się, że jest znacznie gorzej. Petroniusz z determinacją w oczach wprowadzał kogoś do wnętrza. Osoba była obca większości mojej rodziny, ale mnie bardzo dobrze znana... Helena Justyna.

Przez moment nie była w stanie ogarnąć sytuacji.

- Marku! Wiedziałam, że masz na sumieniu różne sprawki, nigdy jednak nie spodziewałam się, że zastanę cię z rybą w objęciach...

Zapadła głęboka cisza. Natomiast w oczach Heleny zgasły iskierki, kiedy zauważyła tłum rozbawionych gości, dla których właśnie zamierzałem gotować mój bajeczny prezent... i uświadomiła sobie, że jej nie zaprosiłem.

XLIII

Po pięciu latach doświadczenia w straży awentyńskiej Petroniusz potrafił wyczuwać kłopoty.

- Niech ktoś weźmie od niego tę rybę!

Moja siostra Maja zerwała się na równe nogi i usiłowała przejąć ode mnie turbota, ale z uporem człowieka, który właśnie przeżył wstrząs, twardo się go trzymałem.

- To jest Helena - oznajmił wszem wobec Petroniusz, który starał się być pomocny. Stanął za nią, żeby nie mogła się wycofać. Oboje, i ona, i ja, patrzyliśmy na siebie bez radnie. Żadne z nas nie zamierzało wdawać się w rozmowę przy innych.

Ściskałem rybę niczym tonący marynarz belkę. Wina była jak zwykle moja i Helena patrzyła na mnie ze zgrozą. Usiłowała uwolnić się od ramienia, którym dobrotliwie objął ją Petroniusz.

- Marku, Helena przyszła, żeby dopilnować dostawy twojej sofy do lektury... Heleno - Petroniusz robił, co mógł - Marek otrzymał ten cudowny podarek od Tytusa... czy zostaniesz z nami na kolacji?

- Nie mam zamiaru być nieproszonym gościem!

-Ty jesteś zawsze zaproszona - wydusiłem w końcu, niezbyt przekonująco.

- Wypada ludzi powiadamiać!

- Więc cię teraz powiadamiam...

-To bardzo uprzejme z twojej strony, Marku!

Z siłą osoby lekko podchmielonej Maja wyrwała mi wreszcie turbota. Zanim zdołałem ją powstrzymać, oparła go na krawędzi miedzianej balii, z której ześlizgnął się z gracją ceremonialnej barki wyruszającej w swój dziewiczy rejs. Fala pachnącej wody wychlusnęła z przeciwnej strony i zaskwierczała po chwili na rozżarzonych węglach; członkowie mojej rodziny wznieśli okrzyk radości.

Maja usiadła z miną osoby dumnej z dobrze wykonanego ciężkiego zadania. Moi szwagrowie zaczęli nalewać wino, które zamierzałem podać później. Turbot był na razie bezpieczny, ale wylądował w miedzianym naczyniu, nim zdążyłem policzyć łyżki, zagęścić sos, zmienić tunikę... czy pogodzić się z dziewczyną, którą tak okropnie obraziłem. Petroniusz Longus krążył wokół niej, kajając się za mnie, ale w końcu Helena mu się wyrwała.

- Marek cię odprowadzi... - rzucił z nadzieją w głosie.
- Marek musi gotować swoją rybę! Co

rzekłszy, zniknęła.

Ryba zaczęła się gotować.

- Z o s t a w to!- zapiszczała Maja, odpychając **mnie** od ognia.

Matka, która dotąd siedziała w milczeniu, z groźnym pomrukiem odepchnęła nas oboje.

- My już tego dopilnujemy... r u s z a j !

Wybiegłem na korytarz: pusto.

Otworzyłem drzwi na schody: nikogo.

Z łomoczącym gniewnie sercem wpadłem z powrotem do mieszkania i rozejrzałem się po pozostałych pomieszczeniach. Obok sofy senatora w pokoiku, z którego jesz-

cze nie korzystałem, stał kuferek, z którym, jak dobrze pamiętałem, podróżowała Helena... O bogowie! Domyśliłem się, co to oznacza.

Petroniusz zagonił ją do mojej sypialni. Helena zawsze była taka wytrzymała i teraz to on wyglądał na bardziej przejętego od niej. Wkroczyłem do środka ku jego ogromnej uldze.

- Chcesz, żebyśmy sobie wszyscy poszli? - spytał.

Potrząsnąłem energicznie głową (myśląc o rybie). Pe
troniusz się wycofał.

Zostałem pomiędzy Heleną i drzwiami. Stała przede mną, drżąc z gniewu czy może udręki.

- Dlaczego mnie nie zaprosiłeś?

- Myślałem, że nie przyjdziesz! - wyznałem. Twarz miała bladą, napiętą i nieszczęśliwą. Miałem do siebie żal o to, że zmusiłem ją, by miała żal do mnie. - Wciąż czekałem, aż się ze mną skontaktujesz. Najwidoczniej tego nie chciałaś. Heleno, nie byłem w stanie przez cały wieczór wpatrywać się w drzwi, czekając na ciebie...

- Przecież przyszłam! - odparła energicznie. - A teraz pewnie oczekujesz, że powiem: „Och, to cały Marek!", tak jak to mówi twoja rodzina. - Pozwoliłem jej paplać. Dobrze jej to robiło, a mnie dawało czas. Widziałem, że jest zrozpaczona. Jej kuferek mówił mi dlaczego. Nie tylko wymierzyłem jej policzek; zrobiłem to tego dnia, którego postanowiła przenieść się do mnie... - Tylko niczego nie próbuj! - ostrzegła mnie, kiedy zacząłem się do niej zbliżać. - Marku, już dłużej tego nie zniosę...

Położyłem ręce na jej ramionach; napięła mięśnie pod ich ciężarem.

- Mój skarbie, przecież rozumiem... - Przyciągnąłem ją do siebie. Opierała się, ale niezbyt mocno.

- Nie znoszę, **kiedy odchodzisz,** a **ja nie wiem, czy cię** jeszcze zobaczę...

Przytuliłem ją mocno.

- Przecież jestem...

- Puść mnie, Marku. - Odsunęła się, co mnie **nie** zdziwiło, bo na pewno cuchnąłem surową rybą.

- Nie. Pozwól mi wszystko naprawić...

- Wcale tego nie chcę! - odparła tym samym słabym, przygnębionym głosem. - Nie chcę, byś zmącił mi w głowie jakąś sprytną gadką. Nie chcę współdziałać w oszukiwaniu samej siebie. Nie chcę słyszeć, jak się wykręcasz: „Heleno Justyno, nie zaprosiłem cię, bo wiedziałem, że i tak przyjdziesz. Heleno, pozwalam ci zrzucać winę na mnie, bo na to zasługuję"...

- Przepraszam cię. Nie musisz mi mówić, że jestem draniem, bo sam się do tego przyznaję... - zacząłem. Helena kiwnęła znacząco głową. - Nie będę się rozwodził nad tym, jak cię kocham, ale tak właśnie jest i dobrze o tym wiesz...

- Och, przestań udawać, że jesteś taką podporą i pokrzepieniem!

Wdzięczny za sugestię owinąłem się wokół niej.

- Zapomnij, że przytulałem turbota. Chodź tutaj...

Zmarszczyła nos, kiedy zbliżyła twarz **do** mojego za latującego rybą torsu.

Maja wetknęła głowę w szparę nowej zasłony w drzwiach, zobaczyła nas i oblała się rumieńcem.

- Czy mamy postawić jeszcze jedną miskę? - zaszczebiotała.

- Tak - odpowiedziałem, nie pytając Heleny.

Maja zniknęła.

- Nie, Marku - **zaprotestowała** Helena. - **Pozostanie-**

my przyjaciółmi... ale nie namówisz mnie, żebym została!

Nie miała czasu dokończyć. Zanim zdążyła mnie do końca zdruzgotać, usłyszeliśmy walenie do drzwi. Petro-niusz na pewno otworzył. Wyobrażałem sobie jego przerażenie na widok mojej kolejnej przyjaciółki, uśmiechającej się do niego znacząco od progu... Skinąłem przepraszająco Helenie i ruszyłem, żeby mu pomóc. Nim dotarłem do drzwi, wpadł jak burza do pokoju.

- Jesteś koniecznie potrzebny, Marku. Możesz przyjść? - Mój spokojny przyjaciel był bardzo podniecony. - To grupa przeklętych pretorianów! Tylko Mars wie, czego tu szukają... ale wygląda na to, że poprosiłeś Tytusa, żeby przyszedł z własną serwetką spróbować twojej ryby...

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że szykuje się towarzyska katastrofa. Puściłem oko do Heleny.

- No cóż! Będziesz tutaj stała taka piękna... czy może dołączysz do reszty gości?

XLIV

Uratowała mnie. Musiała. Była przecież dziewczyną z sumieniem. Nie chciałaby narazić Tytusa na kłopotliwą sytuację w zetknięciu z gromadą hałaśliwych plebejuszy. Helena zazgrzytała zębami, ja wyszczerzyłem się do niej... i przynajmniej na ten jeden wieczór miałem senatorską córkę w roli gospodyni. Nie spodziewałem się, że umie gotować, ale nadzorować na pewno potrafiła.

Członkowie mojej rodziny nie widzieli powodu, by zmieniać przyzwyczajenia całego życia tylko dlatego, że sprawiłem sobie gościa w postaci członka cesarskiej rodziny. Tytus zdążył już wejść, wyglądał na zaskoczonego, zanim pojawiła się Helena i ja z wytwornym powitaniem, jakiego zwykł oczekiwać. Moi krewni natychmiast go porwali i posadzili na taborecie z miseczką oliwek na kolanie, żeby mógł popatrzeć, jak turbot dochodzi. Nim zdążyłem się zorientować w sytuacji, wszyscy mu się przedstawili. Helena sprawdzała rybę czubkiem noża, Petroniusz podstawił mi pod łokieć kubek wina, a cały ten chaos się nasilał, podczas kiedy ja stałem tam niczym zmoknięty nornik podczas ulewy.

Po kubku kiepskiego wina z Kampanii Tytus zorientował się w panujących tu regułach i dołączył do reszty prostaków, wykrzykując swoje rady. W mojej rodzinie nie było snobów; wszyscy przyjęli go jak jednego z nas. Większość

była bardziej ciekawa tej młodej damy, której utrefiona głowa prawie stykała się z moją nad tym prowizorycznym garnkiem do gotowania ryb.

Pretorianie czekali na zewnątrz. Na szczęście, kiedy kobiety Dydiuszów przynoszą na przyjęcie pieczywo, jest go tyle, że z powodzeniem starczy dla obstawy jakiegoś wysoko postawionego gościa.

- Jaki sos? - spytała cicho Helena, zanurzając w płynie czubek palca.

- Kminkowy.

- Ma mało wyrazisty smak - stwierdziła.

Sprawdziłem w przepisie... w tym, który kiedyś jej ukradłem. Zajrzała mi przez ramię i zauważyła swój charakter pisma.

-Ty łobuzie!... Napisane jest szczypta, dam jeszcze trochę więcej... rozgniotłeś je?

- A próbowałaś kiedyś utłuc nasiona kminku? Siedzą tam sobie i śmieją się z ciebie.

Wysypała ich trochę więcej z woreczka.

- Nie pchaj się tutaj, ja to zrobię!

- Ja jestem szefem kuchni... cała wina spadnie na mnie - powiedziałem i spróbowałem sosu. - Troszkę zgrzyta!

- To gorczyca i pieprz.

- Wymieszaj w tym łyżkę miodu, a ja tymczasem przygotuję zagęszczacz...

- Nasz gospodarz jest niezły! - zawołał Tytus. Lubię takich gości.

- Mój młodszy brat jest wyjątkowo samowystarczalny - oświadczyła Junia z dumą. (A zawsze nazywała mnie niekompetentnym błaznem).

Spojrzeliśmy na siebie z Heleną. Moja siostra Junia, która szczyciła się kulturalnym zachowaniem i świetnym

gustem na każdej rodzinnej imprezie, była sztuczna i nie pasowała do reszty. Miło mi było zauważyć, że Helenie najbardziej podoba się ekscentryczka Maja.

Potrzeba nas było czworo, żeby wydobyć rybę z kąpieli. Przymocowałem siatki do łyżki; ugotowany turbot okazał się na tyle jędrny, że dało się go wyjąć w całości i przełożyć do trzymanej przez Petroniusza tarczy mojego brata. Kiedy kombinowaliśmy, jak się pozbyć siatek, gorąca ryba zdążyła nagrzać metalową tarczę, która zaczynała parzyć Petroniusza. Kiedy się poskarżył, powiedzieliśmy mu, że jest to sprawdzian jego charakteru.

- Uważaj na ten szpikulec pod spodem!

- Na bogów, Marku! Czy cały wieczór mam trzymać ten półmisek z rybą? Jak mam go postawić, skoro pod spodem jest szpikulec?

Mój szwagier, pracownik urzędu celnego, wysunął się do przodu. Gajusz Bebiusz (któremu do głowy by nie przyszło, że ktoś mógłby o nim wspomnieć w swoich me-muarach, nie używając co najmniej dwóch z jego imion) bez słowa postawił na stole żelazny kociołek. Petroniusz umieścił tarczę na kotle, i w ten sposób powstała pośrodku stołu dwuczęściowa konstrukcja w niepowtarzalnym stylu.

Szwagier musiał po cichu to sobie planować od chwili przyjścia. Co za łajza.

Turbot prezentował się cudownie.

- Och, Marku, świetna robota! - zawołała Helena... prawie z czułością.

Teraz, kiedy towarzystwo się powiększyło, powstały typowe problemy: za mało nakryć i miejsc do siedzenia.

Tytus udawał, że nie ma nic przeciwko przykucnięciu na podłodze i jedzeniu ryby z liścia sałaty, ale obecność mojej matki wymuszała pewien poziom. Kiedy mama przystąpiła z nożem do turbota, wysłałem Maję, która po kilku kubkach wina na pusty żołądek była gotowa na wszystko, by zapukała do sąsiadów i poprosiła o pożyczenie kilku stołków i misek.

- Większość mieszkań jest pusta. Marku, twoja kamienica to prawdziwy azyl dla duchów! Te wyłudziłam od starszej pani z mieszkania piętro wyżej... wiesz, o kim mówię? - spytała. Wiedziałem.

Jeśli pamiętacie, co pretensjonalni Hortensjusze zaserwowali Pryscylowi na przyjęciu, zainteresuje was na pewno, co ja zaserwowałem gościom.

KOLACJA RYBNA W DOMU M. DYD1USZA FALKONA

Sałatka
Turbot
Więcej sałatki
Owoce

Niewyszukane... ale mogłem przynajmniej zagwarantować, że nic z tego nie było zatrute.

Mieliśmy natomiast przyniesione przez Petroniusza wyborne wino (powiedział mi jakie, ale zapomniałem). A w ogóle, to może przesadzam. Wcale nie było tak skromnie. Wszyscy bracia mojej matki dostarczali warzywa na rynek, stąd w naszym wypadku sałatka to nie było tylko pokrojone w plasterki jajko na twardo rzucone na garstkę listków endywii. Nawet moje trzy nie zaproszone siostry

wniosły swój wkład, żeby mnie gryzły wyrzuty sumienia. Mieliśmy więc wielką tacę białych serów, kiełbasę i kubełek ostryg do pojadania razem z zieleniną. Jedzenie wypływało drzwiami... w sensie dosłownym, jako że Junia nie raz i nie dwa wychodziła częstować wałęsających się na dole preto-rian naszego honorowego gościa.

Wszyscy ogromnie chwalili turbota. Jako kucharz byłem zbyt zajęty, by samemu móc go skosztować. Sos kminkowy musiał być udany, bo kiedy się za nim rozejrzałem, zobaczyłem, że dzbanek, w którym go podano, jest opróżniony do czysta. Kiedy wreszcie chciałem usiąść i coś przekąsić, musiałem zadowolić się miejscem na korytarzu. Panował taki hałas, że głowa mi pękała. Nikt nie zawracał sobie głowy rozmową ze mną, ponieważ byłem jedynie wykończonym kuchtą. Widziałem matkę wciśniętą w kąt z Petroniuszem i jego żoną, najprawdopodobniej rozmawiali o ich dzieciach. Moi szwagrowie po prostu jedli i pili albo ukradkiem puszczali wiatry. Maja dostała czkawki, co mnie wcale nie zdziwiło. Junia obskakiwała młodego cezara, co ten cierpliwie znosił... choć zdecydowanie bardziej interesowała go Helena Justyna.

Ciemne oczy Heleny nieustannie przesuwały się po moich gościach; ona i Maja przejęły rolę gospodyń, kierując rozmową i podając potrawy. Helena była za daleko ode mnie. Nie usłyszałaby nawet, gdybym zawołał. Chciałem jej podziękować. Chciałem do niej podejść i zabrać ją do jednego z moich pustych pokoi, i kochać się z nią tak namiętnie, że potem żadne z nas nie byłoby się w stanie poruszyć...

- A gdzieżeś ją wynalazł? - zapiszczała mi w prawe ucho Maja, nakładając mi na talerz kolejną porcję kleistego turbota.

-To raczej ona znalazła mnie...

- Biedna dziewczyna, ona cię uwielbia! Poczułem się jak człowiek wydostający się z pustyni.

- Niby skąd to wiesz?

- Ze sposobu, w jaki na ciebie patrzy! - zachichotała Maja, ta jedyna z moich sióstr, która naprawdę mnie lubiła.

Przesuwałem machinalnie dokładkę po talerzu. I wtedy Helena uniosła głowę. Spojrzała na mnie ponad głowami ośmiu przekrzykujących się osób i zauważyła, że się jej przyglądam. Jej twarz zawsze wyrażała to elektryzujące połączenie inteligencji i charakteru. Uśmiechnęła się lekko. Dała mi sygnał mówiący, że mogę być spokojny, bo wszyscy dobrze się bawią.

Tytus przechylony w stronę Heleny coś do niej mówił, a ona odpowiadała mu w ten spokojny sposób, w jaki rozmawia z ludźmi publicznie... ani trochę nie przypominając tyrana, który mnie ciemiężył. Wyglądało na to, że Tytus podziwiają tak samo jak ja. Ktoś powinien go poinformować, że jeśli cesarski syn ma fantazję wpaść do domu ubogiego człowieka, może tam pałaszować rybę i wlewać w siebie wino, i pozostawić eskortę na zewnątrz, żeby zadziwić sąsiadów... natomiast flirtowanie z dziewczyną tego biedaka to już przesada... Bez wysiłku zrobił wrażenie na moich krewnych. Nienawidziłem go za tę flawijską umiejętność odnajdywania się w każdych okolicznościach.

- Rozchmurz się! - zażartował ktoś sobie, jak to ludzie mają w zwyczaju.

Wyglądało na to, że Helena Justyna coś Tytusowi opowiada, a ponieważ zerknęła na mnie, domyśliłem się, że jestem tematem rozmowy. Zapewne wypominała mu to, w jaki sposób Pałac mnie potraktował. Puściłem do

Tytusa oko, a on odpowiedział mi uśmiechem pełnym zakłopotania.

Junia przepchnęła się obok mnie, dokądś się wybierając. Rzuciła spojrzenie w stronę Heleny.

- Durniu! Tam się szykują niezłe igraszki! - zarechotała i nawet nie poczekała, żeby sprawdzić, czy się zirytowałem.

I znowu byłem typowym gospodarzem; zmęczonym i pozostawionym samemu sobie. Ryba na talerzu ostygła, kiedy tak smętnie nad nią dumałem. Zauważyłem ponuro, że w miejscu, gdzie zarządca nieruchomości kazał położyć świeży tynk, po jego wyschnięciu powstała szpara na całą długość korytarza, szeroka na tyle, że można w nią było włożyć palec. Byłem gospodarzem idealnego rzymskiego wieczoru i uraczyłem dobrą kolacją rodzinę, przyjaciół oraz protektora, którego szanowałem. Byłem też przygnębiony, spragniony, obrażany przez siostrę i patrzyłem, jak przystojny syn cesarza przystawia się do mojej dziewczyny. I do tego ta świadomość, że kiedy wszyscy inni wytoczą się na dwór w radosnym nastroju, ja godzinami będę sprzątał ten bałagan.

Moja rodzina miała jedną pozytywną cechę: kiedy już zjedli i wypili do ostatka wszystko, co było, natychmiast się ulatniali. Pierwsza wyszła matka, wymawiając się podeszłym wiekiem, choć nastąpiło to dopiero po tym, jak żona Petroniusza, Sylwia, narobiła wrzasku, powstrzymując Tytusa, który chcąc się okazać pomocnym, zamierzał wyrzucić resztki turbota. Oczywiście mama nie zrezygnowała z zabrania szkieletu i galarety, która się utworzyła na półmisku, żeby zrobić na tym zupę. Petro-

niusz i Sylwia odprowadzali moją matkę (z kubełkiem ości). Tytus nie zapomniał powiedzieć jej czegoś miłego o Festusie (który służył pod jego komendą w Judei). Nadal nie mogąc dojść do siebie po bliskiej katastrofie, jaką by spowodował, pozbywając się rybich resztek, doszedł do wniosku, że taktownie będzie, jeśli on też sobie pójdzie. Podziękował mi już wcześniej za gościnę i właśnie ujmował delikatnie dłoń Heleny.

- Córka Kamila Werusa dzielnie broni twoich interesów, Falkonie! - Zastanawiałem się, czy słyszał, że moje stosunki z Heleną wykraczają poza zawodowe i czy wie, jak bardzo chcę ją tutaj zatrzymać. Robił wrażenie, jakby nie miał o tym pojęcia. Niezły kombinator.

- Myślałem, że to uzgodniliśmy - powiedziałem do Heleny, potrząsając łagodnie głową - twoja rola tego wieczoru miała polegać na eleganckim podawaniu oliwek i na przeliczeniu kubków, zanim wszyscy sobie pójdą!

Tytus oferował Helenie transport do domu.

- Dziękuję, panie - odparła stanowczym tonem. - Dy-diusz Falko został wynajęty, by się mną opiekować... -Kiedyś byłem jej eskortą. Tytus próbował nalegać. - Jemu potrzebne są te pieniądze! - syknęła, zupełnie otwarcie.

- Och, ja mu je dam... - Roześmiał się.

- Nic z tego, panie - rzuciła żartobliwie Helena. - Bez pracy nie przyjmie żadnej zapłaty... wiesz, jaki drażliwy jest Falko!

Była jednak senatorską córką. Nie miałem do niej żadnych formalnych praw. Nie można było obrażać cesarskiego syna, spierając się z nim na progu mieszkania o sprawy prostej etykiety, więc ostatecznie straciłem Helenę, kiedy szła schodami w dół pośród towarzyszącego Tytusowi hałaśliwego orszaku(

Było to z mojej strony nieuprzejme, ale czułem się podle, że zostałem na górze. Kiedy już moi krewni wysypali się na ulicę i pomachali cesarskiemu gościowi na pożegnanie, nie widzieli powodu, by wspinać się powtórnie po schodach tylko po to, żeby powiedzieć mi do widzenia. Ruszyli do swoich domów. Szacowni mieszkańcy Piscina Publica musieli się wzdrygnąć, słysząc wrzawę, jaką podnieśli na ulicy.

W mieszkaniu zapanowała ponura cisza. Nastawiłem się na długie godziny sprzątania. Wyrzuciłem do kubła listki rzeżuchy, apatycznie ustawiłem w rzędzie kilka kubków, po czym padłem na ławę, przyjmując tradycyjną pozę zmęczonego pana domu, i zagapiłem się na otaczający mnie bałagan.

Drzwi za moimi plecami zamknęły się. Ktoś o delikatnych palcach i subtelnym wyczuciu czasu połaskotał mnie w kark. Pochyliłem się do przodu, dając palcom lepsze dojście.

-To ty?

- To ja- odrzekło odpowiedzialne dziewczę. Oczywiście została, żeby pomóc mi w zmywaniu.

XLV

Powinienem był się tego spodziewać. Prawdziwą kwestią pozostawało natomiast, czy uda mi się ją przekonać, by potem ze mną została.

Postanowiłem najpierw posprzątać, a to, co trudne, zostawić na później, kiedy będę zbyt zmęczony, by odczuwać ból.

Helena i ja tworzyliśmy sprawny zespół. Ja zabrałem się do ciężkiej roboty. Ona była delikatna, ale nie cofała się przed niczym, co wymagało zrobienia.

-W którą stronę najbliżej do ścieku? - spytała. Stała w drzwiach z dwoma kubłami pomyj.

- Wystaw je na razie na podest. Okolica wydaje się spokojna, ale po zmierzchu nie można ryzykować.

Helena była rozsądna, jednak w życiu codziennym plebejuszy było jeszcze wiele rzeczy, których musiałem ją nauczyć.

- Marku, widziałeś tę szparę w ścianie? - zawołała z korytarza. - Myślisz, że to błąd konstrukcyjny?

- Zapewne. \

Wreszcie skończyliśmy. Mieszkanie nadal było przesiąknięte zapachem ryby, ale wszystko już było czyste, poza podłogą, którą mogłem umyć następnego dnia.

- Dzięki, jesteś prawdziwym skarbem - powiedziałem.

- Podobało mi się to.

- Mnie się podoba, że już skończyliśmy! Jest pewna różnica, moja najmilsza, pomiędzy wykonaniem pracy dwadzieściorga niewolników, raz, dla rozrywki... a robieniem tego codziennie - zapewniłem ją. Przez kilka minut, bez pośpiechu, polerowałem swoje porządne łyżki z brązu. - Jest coś, czego mi nie mówisz? - zapytałem. Helena milczała. - Możesz się przyznać... uciekłaś z domu - oznajmiłem. Nawet wtedy, kiedy byliśmy ze sobą w jak najlepszych stosunkach, niepokoiło ją, kiedy bez trudu domyślałem się jej osobistych motywów. Prawdę mówiąc, zachęcanie Heleny, by zaczęła o czymś mówić, zawsze stanowiło duże wyzwanie. Nachmurzyła się. Odpowiedziałem tym samym. - Jestem zawodowym detektywem... potrafię rozszyfrować wskazówki! Poza sofą do lektury jest tu jeszcze ta skrzynka z twoją drugą w kolejności najlepszą suknią i z oszczędnościami całego życia...

- Swoją drugą w kolejności najlepszą suknię mam na sobie - oświadczyła. - A ta skrzynka zawiera dokumenty dotyczące prawa własności do tego, co odziedziczyłam po ciotce Walerii...

Kiedy zakochuję się tak mocno jak w wypadku Heleny Justyny, lubię wiedzieć, w co też takiego się wpakowałem. Wiedziałem, że sabińskie gospodarstwo ciotki to zaledwie ułamek majątku Heleny. I znałem Helenę; to wszystko sprawiało wrażenie, że ona celowo odrzuca pieniądze, jakie dawał jej ojciec.

- Pokłóciłaś się z rodziną?

- Skoro się kompromituję, to nie mogę brać ich własności.

- Aż tak kiepsko, co? - Zmarszczyłem brwi. Helena nie była taką sobie zwykłą zepsutą osóbką z towarzystwa, co to tupie nogą i domaga się prawa do wywoływania skan-

dali. Kochała rodzinę. Nie chciała nikogo martwić. Nie miałem najmniejszej ochoty jej do tego namawiać... a potem zostawić samą sobie.

- Mam dwadzieścia trzy lata, wyszłam za mąż i rozwiodłam się. Jednak opuszczenie domu rodziców jest pewnym skandalem... po prostu nie mogę już tam się usadawiać. - Zaskoczyła mnie, próbując rzecz wyjaśnić. Istniała jednak jakaś różnica pomiędzy ucieczką posłusznej córki od konwencjonalnego życia a ucieczką do mnie.

- Próbują ponownie wydać cię za mąż? Za jakiegoś sztywniaka z senatorskimi paskami na todze? - dopytywałem się.

- Skoro ty teraz mieszkasz tutaj - zaczęła, ignorując moje pytanie - ja mogłabym przejąć twoje dawne mieszkanie...

- Nie możesz mieszkać tam sama.

- Nie boję się!

- No to powinnaś. Dziedziniec Fontanny mnie samego Przerażał.

- Przepraszam - oświadczyła posępnym tonem. - Powinnam była pozwolić Tytusowi, by zabrał mnie do domu...

- Do Hadesu z Tytusem - fuknąłem. Mieliśmy za sobą niedokończony spór, który nie pozwalał nam teraz na podjęcie rozsądnej decyzji. Gdybyśmy zaczęft się kłócić o tej porze, rezultat mógłby się okazać katastrofalny. - Skoro chcesz iść, to j a zabiorę cię do domu. Najpierw jednak powiedz to, co przyszłaś mi powiedzieć - zażądałem. Zamknęła ze znużeniem oczy, odgradzając się ode mnie. -Heleno, jesteś mi to winna!

- Chciałam zapytać, czy nadal jest wolne miejsce dla dziewczyny odbierającej wiadomości.

- Jeśli się nadaje - mruknąłem. Nie odezwała się, tylko na mnie zerknęła. - Zostań tu na noc i zastanów się nad tym - powiedziałem cicho. - Będziesz miała przyzwoity dach nad głową. Nie mógłbym znieść myśli, że śpisz w wejściu do jakiejś świątyni i żebrzesz o miedziaki przy moście Probusa! - żartowałem. Helena wciąż nie była pewna. - Mamy łoże i sofę, możesz sobie wybrać. Nie proszę, byś dzieliła któreś ze mną - dodałem.

- Łoże jest dla ciebie - oświadczyła.

-W porządku. Nie martw się, potrafię trzymać ręce przy sobie. - Na szczęście byłem wykończony, bo inaczej mogło to nie być prawdą. Wstałem ciężko. - W mojej sypialni jest wiklinowy fotelik, który aż się prosi o właścicielkę. Tu jest lampka, a tutaj trochę ciepłej wody, w której możesz się umyć. Wystarczy?

Skinęła głową i wyszła.

Coś osiągnęliśmy. Nie byłem pewien co. Jednakże Helena Justyna wykonała ogromny krok... i będę musiał ją w tym wspomagać.

Ciągle niespokojny, najpierw usiłowałem się pozbyć rybiego zapachu, a potem pokrzątałem trochę, jak przystało na prawdziwego gospodarza. Czułem się ważny, zamykając okiennice i wygaszając żar. Teraz, kiedy miałem pod swoim dachem Helenę, przekręciłem klucz w zewnętrznych drzwiach. Nie byłem pewien, czy z obawy przed włamywaczami, czy żeby zatrzymać ją w środku.

Zagwizdałem, po swojemu, ostrzegawczo, a potem wszedłem z dwoma kubkami ciepłego napoju z miodem. Płomień lampki zamigotał. Helena siedziała z podwiniętymi nogami na sofie ojca i zaplatała włosy. Z fote-

likiem Galii, kuferkiem Heleny i z innymi drobiazgami pokoik wyglądał przytulnie.

- Przyniosłem ci coś do picia. Potrzebujesz czegoś jesz cze? - zapytałem. -Na p r z y k ł a d m n i e ?

Pokręciła trwożnie głową.

Postawiłem kubek w zasięgu jej ręki i poczłapałem w stronę drzwi.

- Dodaję goździki, ale jeśli ci to nie odpowiada, to następnym razem nie włożę.

- Marku, wyglądasz na nieszczęśliwego. Czy to przeze mnie?

- Myślę, że to ta sprawa.

- Co jest nie tak?

- Tego wyzwoleńca zamordowano, mimo moich pożałowania godnych wysiłków. Jego kucharz też nie żyje... a to już częściowo moja wina. Jutro muszę podjąć decyzję, co robić dalej.

- Opowiesz...?

- Teraz?

Helena Justyna uśmiechnęła się do mnie. Takie zainteresowanie miało być częścią jej nowej roli. Zamierzała nieustannie zadawać pytania, sprawdzać moich klientów, wtrącać się... to mi nie przeszkadzało. Spory o sprawy dotyczące mojej pracy byłyby czymś wspaniałym. Uśmiechnęła się szerzej; dostrzegła mój uśmiech. Siedziałem w foteliku Galii, z gorącym napojem na kolanie, i opowiadałem Helenie wszystko, co zaszło od czasu, kiedy ostatnj raz mieliśmy okazję porozmawiać.

Prawie wszystko. To, że Seweryna o mało mnie nie uwiodła, nie było warte wzmianki.

- To już wszystko? - spytała Helena.

- Najpierw kobiety Hortensjuszy wynajęły mnie, że-

bym złapał w pułapkę Sewerynę. Teraz mnie zwolniły, a z kolei ona chce, żebym oskarżył je obie...

Helena rozważała stojące przede mną możliwości, podczas gdy ja patrzyłem na nią czule.

- Pollia i Atylia pozbawiły cię dostępu do domu Hortensjuszy, co na pewno jest poważnym ciosem - stwierdziła. - Uważam, że powinieneś przyjąć Sewerynę jako klientkę. Jeśli jest niewinna, cóż masz do stracenia? Jeśli natomiast jest winna, zyskujesz szansę, by to udowodnić i się zrehabilitować. Poza tym - zakończyła Helena -Seweryna musi ci zapłacić, jeśli będziesz dla niej pracował.

- Nie mam nic przeciwko temu! - Nie wspomniałem o moich obawach, że naciągaczka może mieć ochotę zapłacić mi w całkiem innej formie.

- Lepiej się poczułeś?

- Mmm. Dzięki. Wybiorę się jutro do Seweryny. - Teraz czas iść spać. - Poza tym, córko Kamila Werusa, muszę złożyć wizytę twojemu szlachetnemu ojcu, by mu wyjaśnić, jak okryłem cię hańbą...

- Nie ma co wyjaśniać! Sama się okryłam hańbą.

-Werus może mieć inne zdanie. Powszechnie uważa się, że niechluj, który zwabia senatorską córkę, szkodzi dobremu imieniu ojca.

Helena potraktowała lekceważąco moje argumenty.

- Każdy ojciec powinien być dumny, kiedy się dowiaduje, że jego córka spożywała turbota w towarzystwie starszego syna cesarza, który również był twoim gościem.

- Skarbie, w domostwie Falkona czasami w ogóle się nie jada! - Wyglądała na zmęczoną. Wziąłem lampkę. Nasze spojrzenia się spotkały. Ruszyłem w stronę drzwi. -Nie dostaniesz całusa na dobranoc. Ale jedynie dlatego,

że gdybym cię raz pocałował, to nie jestem pewien, czy potrafiłbym przestać.

- Marku, w tej chwili nie potrafię powiedzieć, czego chcę... - zaczęła.

-Tak. Jest jednak oczywiste, czego nie chcesz... - zauważyłem. Chciała coś powiedzieć, ale ją powstrzymałem. - Pierwszą zasadą obowiązującą w *tym* domu jest nie spierać się z jego panem, choć spodziewam się, że ty ją złamiesz. - Zgasiłem lampkę. Pod osłoną ciemności dodałem: - Druga zasada mówi: bądź dla niego łaskawa, bo on cię kocha.

- To potrafię. Coś jeszcze?

-To wszystko. Heleno Justyno... witam cię w moim domu!

XLVI

Seweryna natychmiast dostrzegła we mnie zmianę.

- Co ci się stało?

- Doskonała kolacja wczorajszego wieczoru. - Ponieważ mój związek z Heleną miał ciągle nieco tymczasowy charakter, postanowiłem zachować dla siebie informację o nowej lokatorce. Prześwietlanie klientów może być co prawda zadaniem Heleny, jednak ta jej rola nie powinna ich w ogóle interesować.

- To wszystko? - spytała Seweryna zazdrosnym tonem. Te słowa zabrzmiały mi znajomo.

Powiedziałem, że przyjmuję jej zlecenie. Zbadam dwa tropy: stosunki pomiędzy imperiami Hortensjuszy i Pry-scyla oraz okoliczności kolacji tego wieczoru, kiedy umarł Nowus. Spytała, czy może mi jakoś pomóc, i wyglądała na zaskoczoną, kiedy powiedziałem, że nie.

- Byłaś podejrzaną, Zotyko. Najlepiej trzymaj się z boku.

- Cóż, jak wpadnę na coś, co mogłoby się okazać przydatne, to przyjdę do twojego mieszkania...

- Nie, lepiej nie. Podnająłem jeden z pokoi pewnej osobie, której nie mogę zaufać w wypadku gości płci żeńskiej. Ja pojawię się u ciebie.

-Jednak chciałabym wiedzieć, co robisz...

- Będziesz! - rzuciłem. Już musiałem tłumaczyć się z każdego posunięcia Helenie. Jeden nadzorca mi wystarczył.

Jasne oczy Seweryny rozbłysły.

- Co spowodowało, że zdecydowałeś się mi pomóc?

- Nie znoszę niedokończonych spraw.

Ruszyłem do wyjścia.

- Już idziesz? - zmartwiła się. Poszła za mną. - Jesteś teraz moją jedyną nadzieją, Falko - oświadczyła przymil nie. - Nikt mi nie ufa...

Z rozbawieniem przycisnąłem palcem koniec jej małego piegowatego noska.

- Będzie inaczej, jak udowodnię twoją niewinność - pocieszyłem ją. Teraz, kiedy mi płaciła, mogłem grać rolę opiekuńczego. Prawdę mówiąc, robiłem to tak dobrze, że sam byłem zaskoczony. Nawet połowiczne zaangażowanie Heleny powodowało, że było mi lekko na duszy. - A tak przy okazji, czy wciąż szukasz nowego domu dla swojej papugi? Znam kogoś, komu odpowiadałaby taka towarzyszka.

- Kto to taki?

- Ktoś z rodziny - odparłem wymijająco. Cóż, ktoś, kto mógłby się stać moją rodziną w jakiejś bardzo odległej przyszłości. W rzeczywistości miałem swoje powody, żeby chcieć tego ptaka. - Nie mogę obiecać, że to na stałe, ale jeśli chcesz, to wezmę Chloe na miesięczny okres próbny...

Po wyjściu zboczyłem w stronę rzeki, żeby odwiedzić Petroniusza Longusa w baraku, w którym straż awentyńska miała swoją jadłodajnię z mięsnymi daniami. Było tam pełno jego ludzi; grali w kości i narzekali na rządzących, więc usiedliśmy na zewnątrz, żeby popatrzeć, jak statki aprowizacyjne płyną w górę Tybru.

Petroniusz był moim najlepszym przyjacielem, więc jemu musiałem powiedzieć o Helenie. Żeby uprzedzić niezdarne dowcipy, wspomniałem, że obecny układ jest niezbyt pewny. Pokręcił głową i uśmiechał się, zasłaniając dłońmi twarz.

- Wy dwoje! Niczego nie robicie w prosty sposób...

- Czy istnieje jakiś prosty sposób, by plebejusz mógł zwabić córkę senatora? - spytałem z powątpiewaniem.

- Tylko ty możesz tego próbować!

Zaczął mi dziękować za wczorajszy wieczór, ale natychmiast mu przerwałem.

-To mnie było miło choć raz was ugościć... Powiedz mi, Petroniuszu, co się dziś mówi o rynku drogich nieruchomości?

- Nic nadzwyczajnego... same szwindle, przekręty i zastraszanie. Pracujesz nad czymś?

- Możliwe. Natrafiłeś kiedyś w tej sferze na hordę drapieżników o imieniu Hortensjusz? - zapytałem. Pokręcił głową. - A na Appiusza Pryscyla?

- Owszem, o nim słyszałem! Jeśli zamierzasz wybrać się do niego, to ściśnij sobie nos kołkiem do bielizny. -Skrzywił się. Uniosłem pytająco brwi. -Wszystko, co robi, cuchnie - dokończył.

- Jakiś konkretny smrodek?

- Sam nigdy się z nim nie zetknąłem, ale wiem, że połowa sklepikarzy przy drodze Ostyjskiej chowa głowę w kocioł na dźwięk jego imienia. Chcesz jakichś informacji? Mogę popytać.

- Byłbym wdzięczny...

- Próbujesz zarzucić sieć na sporą rybę, Falko! -powiedział mój przyjaciel ostrzegawczym tonem. Wielkość jako taka - czy nawet wielkość jako miara społeczne-

go statusu - nigdy nie niepokoiły Petroniusza; chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, że człowiek jest niebezpieczny.

Po powrocie do domu zastałem tam nieskazitelnie czystą pracownicę do wszystkiego z nosem tkwiącym w zwoju poezji. Odwiedziła łaźnię; w całym domu snuła się niepokojąca woń jakichś olejków, o której nie mogłem powiedzieć, że mi się za bardzo podoba. Obdarzyła mnie szyderczym spojrzeniem, jakbym miał sześć nóg i żu-waczki, i dalej obijała się bezczelnie w godzinach pracy biura.

- Tu mieszka Falko? - zapytałem tajemniczym szeptem, wczuwając się w rolę klienta.

- Od czasu do czasu - mruknęła. Nie zamierzała podnieść znad zwoju głowy o starannie uczesanych włosach.

- Możesz przekazać mu wiadomość?

- Jeśli będę miała ochotę.

- Chodzi o to, że może będę miał dla niego zadanie... jeśli nie jest zbyt wybredny.

- Falko nie grymasi. - Roześmiała się gorzko.

- To jakie są jego stawki? - dopytywałem się. Wreszcie podniosła oczy znad lektury. - Nie, nie podawaj ich, wisienko. Odpowiedź powinna brzmieć: wyższe niż te, na które, sądząc po twoim wyglądzie, mogłoby cię stać!

- Dlaczego? Mogę im powiedzieć. Wiem, ile zażądałeś ode mnie...

- Ty byłaś piękną kobietą, a ja chciałem zrobić na tobie wrażenie. Otrzymałaś stawki specjalne.

- Chcesz powiedzieć, że specjalnie wysokie! - oburzyła się. Spod maski dobroduszności słałem jej sygnały świad-

czące o władczym pożądaniu. Helena zaczynała się plątać. - Czy robię to jak należy? - zaniepokoiła się.

- Nie staraj się być przyjazna! Klienci to kłopoty. Po co ich jeszcze zachęcać?

- A co to takiego się szarpie w tym worku?

Rozwiązałem sznurek i rozzłoszczona Chloe wyskoczyła na światło dzienne.

- Nie stój jak słup, kobieto - zaskrzeczała - daj mi się napić!

- Dydiuszu Falkonie, jeśli chcesz przynosić do domu prezenty, to wypraszam sobie zwierzątka, które pyskują!

- Nigdy bym cię nie obraził czymś takim. To jest zadanie dla ciebie, moja droga. Wydaje mi się, że ta fruwająca kupa pierza może dostarczyć nam pewnych wskazówek. To samiczka, ma na imię Chloe, podobno żywi się ziarnem. Jako świadek jest trudna i nie można na niej polegać. Trzeba trzymać ją w pokoju z zamkniętymi okiennicami, bo może się ulotnić, zanim puści farbę. Przyniosę ci tabliczkę... zapisuj wszystko, co powie.

- Na co mam zwracać szczególną uwagę? - zapytała. Papuga uraczyła nas trzema słowami, które na ogół widuje się na ścianach latryn w szynkach. -To będzie prawdziwa przyjemność! - wymamrotała buntowniczym tonem Helena.

- Dzięki, ukochana! Jeśli zobaczysz pośrednika od nieruchomości, niejakiego Kossusa, poproś, żeby zerknął na tę szparę.

- Mogę mu powiedzieć, że utrudnia umieszczenie tu ściennego malowidła za tysiąc sestercji, *Bellerofont pojący Pegaza.*

- To powinno załatwić sprawę. Jakieś pytania, wisienko?

- Zostaniesz, żeby coś zjeść?

- Przykro mi, nie mam czasu.

- Dokąd idziesz?

- Popukać do różnych drzwi.

- Kto przygotowuje kolację? - Dziewczyna najwyraźniej była pełna determinacji.

Wrzuciłem trochę pieniędzy do miseczki.

-Ty kupisz, co trzeba, ja przyrządzę, zjemy razem i opowiem ci o tym, co robiłem w ciągu dnia.

Obdarzyłem ją szybkim, czystym pożegnalnym pocałunkiem, który zupełnie jej nie poruszył, natomiast we mnie wywołał niepokojący dreszczyk.

XLVII

Rezydencja Appiusza Pryscyla, której adres miałem, okazała się ponurą fortecą na Eskwilinie. A to oznaczało bliskie sąsiedztwo pretora Korwina, który też mieszkał na tym terenie, cieszącym się kiedyś złą sławą z powodu szerzącej się febrycznej gorączki. Teraz okolicę opanowała inna zaraza: bogacze.

Dom cuchnął forsą, choć jego właściciel ukazywał swoją zamożność inaczej niż Hortensjusze z tą ich efekciarską wystawnością i mnogością dzieł sztuki. Pryscyl podkreślał, jak wiele posiada, wysiłkiem wkładanym w zabezpieczenie swojej własności. W jego posiadłości nie było balkonów czy pergoli, które ułatwiłyby działanie złodziejom; okien na piętrze było niewiele i miały na stałe zamontowane kraty. Zabawiający się grami planszowymi strażnicy siedzieli w posępnej wartowni stojącej na rogu ulicy, której cała strona zajęta była przez tę ponurą rezydencję, gdzie rzekomo mieszkał ów arcymistrz rynku nieruchomości. Zewnętrzne mury pomalowano na czarno, jakby miała to być aluzja dotycząca charakteru właściciela.

Wielki Afrykanin, błyskając białkami oczu w czarnej twarzy, przyjrzał mi się uważnie przez kratę wyjątkowo masywnych drzwi frontowych. Wpuścił mnie do środka, ale skrócił wszelkie formalności do minimum, która to procedura miała uniemożliwiać przychodzącym zorien-

towanie się w otoczeniu. W westybulu trzymano na łańcuchach sforę brytańskich psów myśliwskich, które były jedynie odrobinę bardziej przyjazne od odzianych w skóry strażników patrolujących otoczenie z błyszczącymi sztyletami zatkniętymi za plecione pasy. Było ich co najmniej pięciu.

Wprowadzono mnie do bocznego pokoiku, gdzie, zanim zdążyłem się na tyle wynudzić, by zacząć wydrapywać swoje imię w tynku, pojawił się sekretarz z wyraźnie widocznym zamiarem natychmiastowego odesłania mnie tam, skąd przyszedłem.

- Czy mogę się widzieć z Appiuszem Pryscylem?

- Nie. Pryscyl wita co rano swoich interesantów, ale musisz być na liście. Bez tego nie masz szansy na zapomogę. Jeśli jesteś lokatorem, zgłoś się do urzędnika od czynszów. Jeśli chodzi ci o pożyczkę, zgłoś się do urzędnika od pożyczek...

- Gdzie znajdę urzędnika od informacji osobistych?

Zamilkł. Jego oczy mówiły mi, że informacja jest w wysokiej cenie.

- To pewnie ja - powiedział wreszcie.

- Informacja, o którą mi chodzi, jest bardzo delikatnej natury. Możliwe, że Pryscyl wolałby udzielić mi jej osobiście.

- On nie należy do osób wrażliwych - oświadczył mój rozmówca.

Od razu było widać, że Pryscylowi nie zależy na wysokiej klasy sekretarzach, nie miałem tu do czynienia z jakimś górnolotnie wyrażającym się Grekiem, znającym w mowie i piśmie pięć obcych języków. Ten miał nieciekawą, północnoeuropejską twarz. Tylko trzcinowe pióro, zatknięte za służącą za pasek przewiązkę z brązowej tka-

niny, i upstrzona plamami atramentu tunika świadczyły o tym, że pełni funkcję skryby.

- Nazywam się Dydiusz Falko - oświadczyłem. Nie był dość grzeczny, by mnie o to spytać, ale ja byłem dość grzeczny, by mu to powiedzieć. - Chciałbym, byś poinformował Appiusza Pryscyla, że mam pewne pytania dotyczące wydarzeń w domu Hortensjuszy sprzed dwóch dni. Wyjaśnienie tych kwestii będzie tak samo w jego interesie, jak i w moim.

- Jakich kwestii?

- Poufnych.

- Mnie możesz powiedzieć.

- Możliwe... ale nie zamierzam!

Sekretarz zniknął naburmuszony, nie zapraszając mnie nawet, bym usiadł. Prawdę mówiąc, nie było tam żadnych stołków ani ław. Stały jedynie ciężkie skrzynie, prawdopodobnie wypchane pieniędzmi. Każdy, kto usiadłby na którejś z nich, boleśnie by sobie odcisnął wzór z metalowych ćwieków, obręczy i bolców. Postanowiłem zachować swoje delikatne pośladki w stanie nietkniętym.

Mój posłaniec powrócił tak szybko, że gdybym był prawnikiem, to woźny sądowy ledwie miałby czas, żeby nastawić wodny zegar na oznaczenie początku mojej mowy.

- Nie przyjmie cię! - poinformował mnie triumfalnie.

- I co teraz? - westchnąłem.

- Nic. Nie jesteś tu mile widziany. Teraz sobie pójdziesz.

- Przeróbmy to jeszcze raz - powiedziałem cierpliwie. - Nazywam się Marek Dydiusz Falko. Prowadzę śledztwo w sprawie otrucia wyzwoleńca Hortensjusza Nowusa. A także, przy okazji, morderstwa jego kucharza...

- Co z tego? - zadrwił sekretarz.

- To z tego, że Appiusz Pryscyl może mieć coś wspólnego z tymi dwoma przypadkami nagłej śmierci - wyjaśniłem. Oskarżenie to nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. - Wydawało mi się, że zważywszy na powagę zarzutów, Pryscyl zechce skorzystać z okazji, by się oczyścić...

- Nawet jeśli coś zrobił, nie masz dowodów! Gdybyś miał, nie byłoby cię tutaj!

-To brzmi przekonująco... jednak jest to retoryka zbira. Powiedz Pryscylowi tak: jeśli to zrobił, dowiodę tego. Kiedy tego dowiodę, wrócę.

- Wątpię, Falko. A teraz proponuję, byś wyniósł się stąd jak najszybciej, zanim poproszę Frygijczyków, by cię wyprowadzili, bo wtedy może to się dla ciebie źle skończyć.

- Przekaż Pryscylowi wiadomość - powtórzyłem, ruszając w stronę wyjścia. Kiedy mijałem tego gryzmołę z krzywym uśmieszkiem, złapałem go za ramię i wykręciłem mu je, wykorzystując moment, w którym osłabła jego czujność. - Wiesz co, zróbmy to od razu. Możemy dostarczyć mu drugą część wiadomości razem... ale najpierw niech usłyszy tę pierwszą, bo coś mi się zdaje, że jeszcze nie miał okazji... - wysyczałem. Głupiec zaczął się wyrywać. -Przestań mi się tu wiercić, bo jak nie, to przez tydzień stenografowanie będzie czynnością bardzo bolesną... -Szarpnąłem mocno jego ramieniem, żeby podkreślić swoje słowa. - Nie bierz mnie za idiotę... w ogóle nie widziałeś się z Pryscylem. Wyszedłeś tylko się podrapać po zawszonej głowie.

- Nie ma go tutaj! - wysapał gryzipiórek.

- To gdzie jest?

- Tu są jego biura. Ma jeszcze dom na Kwirynale i dwa naprzeciwko bramy Solnej; może też być w nowym domu

po drugiej stronie rzeki, na Janikulum. Ale w tamtych domach przyjmuje tylko swoich prywatnych znajomych.

- Kiedy więc spodziewacie się go tutaj?

-Trudno powiedzieć... - zaczął. Nagle wyrwał ramię i wydał okrzyk, który przyciągnął uwagę jednego ze strażników.

- Uspokój się. Już wychodzę... przekaż jednak swojemu panu wiadomość ode mnie natychmiast, jak się pojawi!

- Spokojna głowa! A wtedy to ty możesz się spodziewać wiadomości od niego!

Uśmiechnąłem się. Niektóre groźby rzeczywiście powodują pewną niewygodę. Przeważnie jednak kończą się niczym.

Kiedy przechodziłem przez westybul, bacząc na frygijskich osiłków, zauważyłem lektykę. Nie wiem, na co Pryscyi wydawał pieniądze, aJe na pewno nie na ten środek transportu; był to wysłużony grat z rażąco brudną i pomarszczoną skórą baldachimu. Widziałem tę lektykę już wcześniej: przy pożarze kamienicy, tej nocy, kiedy umarł Hortensjusz Nowus. Co oznaczało, że Pryscyla też widziałem, kiedy z niej wyskakiwał.

Ciężkie jest życie człowieka interesów. Nie ma nawet czasu odpocząć po zamordowaniu konkurenta, bo trzeba być znowu na ulicy, pocieszać zapłakane ofiary podpalenia, z kontraktem w łapie...

Obecność lektyki świadczyła prawdopodobnie o tym, że Pryscyi się pojawił. Odszedłem jednak stamtąd bez dalszych dyskusji. Uszkodziłem rękę skryby wystarczająco, by mieć pewność, że pobiegnie się poskarżyć swojemu panu. W tej chwili moja wiadomość już zapewne do niego dotarła.

Na ulicy natknąłem się na kolejną niemiłą rzecz. Właśnie

zsiadał z muła krostowaty zbir, który nękał handlarza owoców. Już się szykowałem do walki, ale ten obrzydliwiec o zapuchniętych oczach w ogóle mnie nie poznał.

Po południu zabawiałem się w świątyni Saturna, przeglądając cenzorski spis obywateli i ich majątków, który dla bezpieczeństwa trzymany jest w jej skarbcu. Appiusz Pryscyl był od wielu lat wyzwoleńcem, przypisanym do dzielnicy Galeria. Od dawna nie robiono nowego spisu ludności, ale i tak gdzieś w dokumentach powinienem człowieka odnaleźć. Tymczasem jemu udało się skutecznie ukryć swoje istnienie. Wcale mnie to nie zdziwiło.

Zauważyłem, że z większą niż zazwyczaj ochotą podążam w stronę domu. Nie tyle miało to związek z nieprzyjemnymi myślami o Pryscylu, ile z nadzieją na szczególny uśmiech, jaki mógł mnie powitać w mojej siedzibie.

Heleny nie było. Jakoś to zniosłem. Muszę jej pozwalać od czasu do czasu na jakieś samodzielne przechadzki. Inaczej ktoś podejrzliwy mógłby pomyśleć, że przetrzymuję ją tu dla okupu.

Wygląd domu świadczył, że dużo się tu działo. Seweryna zapewniała mnie, że papugę nauczono porządku, ale najwyraźniej miało to oznaczać, że nauczono ją też zjadać sprzęty domowe. Zobaczyłem ślady dzioba na futrynach oraz potłuczone naczynie w kuble na śmieci. Coś, bo na pewno nie Helena, zaatakowało wściekle stołek w moim biurze, niemal przegryzając jedną z jego nóg. Papugi też nie było.

Helena zostawiła mi listę powiedzeń ptaka, spisaną osobiście przez nią samą:

Chloe to mądra dziewczynka.
(Wątpię. H.)
Zestaw do manikiuru.
Gdzie jest moja kolacja?
Chodźmy się zabawić!
Dwa jaja w koszyku. (Czy to nieprzyzwoite? H.)
Trzy sprośności. (Odmawiam ich zapisania. H.)
Chloe, Chloe, Chloe. Chloe to grzeczna dziewczynka.
Poszłam do Mai; razem z twoim głupim ptaszyskiem.

Ta ostania linijka trochę mnie zdezorientowała; dopiero po chwili rozpoznałem kanciasty charakter pisma mojej siostry.

Nieco rozzłoszczony popędziłem do Mai. Nie było moim zamiarem rozpowiadać o tym, że Helena wprowadziła się do mnie. Powinienem był jednak wiedzieć, że po tej kolacji z turbotem rodzina zacznie u mnie węszyć, szukając resztek i tematów do plotek.

Helena usadowiła się z moją siostrą na tarasie. Puste talerze, różne miseczki i szklaneczki po miętowej herbacie poniewierały się na kamiennej balustradzie i krawędziach wielkich donic. Ani Maja, ani Helena nie podniosły się na mój widok, żeby zaproponować coś do przekąszenia. Musiały się opychać przez całe popołudnie i były zbyt ob-jedzone, by chciało im się ruszyć.

Helena nadstawiła policzek, a ja musnąłem go ustami. Maja odwróciła wzrok. Nasze formalne powitanie żenowało ją bardziej niż jakieś namiętne uściski.

- Gdzie jest papuga?
- Ukrywa się - odpowiedziała Maja. - Próbowała

terroryzować dzieci, ale stawiły jej czoło. Dla jej własnego bezpieczeństwa trzeba było przykryć ją rondlem.

- Widziałem, co ta zaraza zrobiła mi w domu - po skarżyłem się, wciąż szukając jakichś okruchów, niczym zgłodniały wróbelek. - Kupię klatkę.

Udało mi się znaleźć kilka zmatowiałych migdałów na dnie miseczki. Straciły smak. Powinienem był wiedzieć, że żaden kęs, jaki został odrzucony przez moją panią i moją najmłodszą siostrę, nie może mieć wiele wartości odżywczych.

- Rozumiem, że „dwa jaja w koszyku" odnosi się do jąder - poinformowałem moje towarzyszki, stosując neu tralny medyczny termin, by zaznaczyć, że uważam je obie za kobiety światowe. - Natomiast jeśli „zestaw do mani-kiuru" jest terminem wojskowym, to nie potrafię tego przełożyć - dodałem.

Maja udawała, że wie, o co chodzi, i oznajmiła, że wyjaśni to Helenie później.

Pozwoliły mi usiąść, rzuciły kilka poduszek, po czym raczyły wysłuchać, jak minął dzień. Zorientowałem się, że Helena opowiedziała Mai o mojej sprawie.

- Nie udało mi się dotrzeć do Pryscyla. Wydaje mi się jednak, że jest właśnie taki, jak sądziłem... wysokie czynsze i niskie pobudki. Zaczynam podejrzewać, że Seweryna może mieć rację.

- Tylko nie waż się jej współczuć! - ostrzegła mnie siostra.

Wydawało mi się, że wymieniły z Heleną porozumie-wawcze spojrzenia.

Ich wspólna reakcja natychmiast wywołała u mnie bardziej pozytywny stosunek do tej łowczyni fortun. Dlaczego nie? A co, jeśli wszyscy ją niewłaściwie oceniają? Co,

jeśli tak naprawdę jest kochającym dom dziewczęciem, działała z najszlachetniejszych pobudek w wypadku Hortensjusza Nowusa i prześladuje ją pech we wszystkim, czego dotknie? Ta moja bezstronność zaskoczyła nawet mnie samego. Najwyraźniej zaczynam łagodnieć.

Obie panie poruszyły się z brzękiem bransolet i zażądały szczegółowej relacj i na temat Seweryny, by móc skrytykować jej charakter. Maja, która była zawodową tkaczką, szczególnie zainteresowała się jej rękodzielnictwem.

- Czy naprawdę robi to sama? Jak szybko potrafi pracować? Czy korzystała z wzoru? Kiedy zmieniała kolory, musiała się zastanawiać, czy też automatycznie sięgała po kolejny motek wełny?

- Och, nie pamiętam.

- Marku, nie ma z ciebie żadnego pożytku!

- Sądzę, że ona niczego nie udaje. Czy to zachowanie w stylu Penelopy nie oznacza raczej, że jest niewinna? Przesiadywanie przy krośnie wydaje się całkiem spokojnym zajęciem...

- Spokojne siedzenie przy krośnie daje mnóstwo czasu na kombinowanie i spiskowanie! - prychnęła Maja.

-To tradycyjne zajęcie porządnej rzymskiej matrony. August zawsze nalegał, by kobiety z jego rodziny tkały mu odzież w domu - przypomniałem.

Helena wybuchnęła śmiechem.

-1 jakoś wszystkie jego krewne stały się uosobieniem rozpusty! - Popatrzyła na mnie w zamyśleniu. - A może chciałbyś mieć szorstkie tuniki domowej roboty?

- W życiu - obruszyłem się. - Nawet by mi to do głowy nie przyszło!

-To dobrze! Opowiedz nam o jej wyprawach do biblioteki. Co też takiego ją interesuje?

- Geografia.

-To niegroźne... jak się wydaje - przyznała Helena, choć znów wymieniły z Mają niemądre spojrzenia. - Może szuka jakiejś sympatycznej prowincji, gdzie mogłaby się udać na dobrowolne wygnanie ze swoim łupem!

- Wątpię. W jedynym zwoju, jaki zauważyłem, było coś o Mauretanii. Kto chciałby wyprowadzać się na pustynię opanowaną przez słonie?

- Gdyby wzięła trzy tomy na temat oswajania papug - zachichotała Maja - to miałoby jakiś sens. Czy ta kobieta cię pociąga, Marku?

Helena przyglądała mi się badawczo kątem oka, więc, żeby wywołać kłopoty, oświadczyłem:

- Jest niezła, jak lubi się rude!

Maja powiedziała, że jestem obrzydliwy, po czym poleciła Helenie zabrać mnie (i papugę) do domu.

Wkrótce po powrocie do swojego mieszkania, odkryłem, te moja siostrzyczka nauczyła papugę wywrzaskiwać: „Och! Marek był niegrzeczny!"

XLVIII

Nazajutrz, podczas gdy ja bezskutecznie usiłowałem wytropić Appiusza Pryscyla to w jednym, to w drugim z jego wymyślnych obozowisk, Helena Justyna kupiła papudze klatkę, a potem przyjęła dwie wiadomości.

- Odwiedził cię jakiś niewolnik, który nie chciał podać swojego imienia... choć to najpewniej tamten posłaniec z domu Hortensjuszy.

- Są mi sporo winni.

- Przyniósł pieniądze. Przeliczyłam i wypisałam pokwitowanie. Czy mam prowadzić ci rachunki?

Oblał mnie zimny pot, kiedy zdałem sobie sprawę, że są pewne aspekty wspólnego życia, których wcześniej w ogóle nie brałem pod uwagę.

- W żadnym razie! - zaprotestowałem. - Mój umysł i moje ciało są do twojej dyspozycji, ale przecież człowiekowi potrzebna jest odrobina prywatności...

- Zobaczymy! - mruknęła. Nie przejęła się moimi słowami. -Ten posłaniec znalazł pewną osobę, która może ci pomóc. Przyprowadzi ją jutro rano. Możesz tu wtedy być? Bo ona pracuje w kuchni i dlatego musi to być taka wczesna pora. Pogrzeb kucharza odbędzie się w czwartek, gdybyś zechciał uczestniczyć.

- Owszem, jestem winien Wirydowyksowi jakiś gest szacunku.

- Powiedziałam, że pewnie pójdziesz. Druga wiadomość jest od Petroniusza Longusa. Chce się jak najszybciej z tobą zobaczyć.

Petroniusz był w pracy, wobec czego odnalazłem go na Awentynie. Zrobił sobie przerwę w obchodzeniu magazynów i poszliśmy na szklaneczkę wina. Powiedziałem mu o swoim porannym bezskutecznym polowaniu na Pryscyla w jego rozlicznych siedzibach.

- Najwyraźniej był zajęty wybieraniem sobie jakiegoś ustronia na wakacje w Alba Longa. Jeśli nie będzie mógł się zdecydować na jedno konkretne miejsce, kupi je wszyst kie, jak leci... - podsumował Petroniusz.

-Właśnie z powodu Pryscyla chciałem się z tobą zobaczyć - przyznałem się.

Mój przyjaciel obdarzył mnie jednym ze swoich ponurych spojrzeń. Rozprowadził wino po dziąsłach, dając do zrozumienia, że smakuje jak proszek do zębów.

- Falko, w jakie znowu ośle gówno się teraz pakujesz? Każdy, kogo pytałem o tego człowieka, uważa, że mieć z nim do czynienia to jak bawić się kubłem pełnym węży. A skoro już jesteśmy przy tym, to niewiele lepsi są ci twoi bracia, Hortensjusze... czy kim tam oni dla siebie są! -zakomunikował mi z widocznym zadowoleniem.

- Co mają na sumieniu?

- Zacznijmy od Pryscyla. To dość ponura historia. Pierwszy raz o nim usłyszano podczas wyburzeń po Wielkim Pożarze. „Przysługiwał się" społeczeństwu, polując na pogorzelców, wykopanych przez Nerona, żeby zrobić miejsce dla jego Złotego Domu. Pryscyl ich osaczał z myślą o roszczeniach odszkodowawczych...

- Myślałem, że odszkodowania to kiepski dowcip?

- Przecież to Rzym. W rzeczywistości Neron usunął ciała i gruz za darmo... dzięki tej sztuczce można było przeczesać zgliszcza i zgarnąć łup. Fundusz Pomocy Pogorzelcom, do którego my, obywatele, wnieśliśmy tak znaczny wkład... - miał na myśli fakt, że wycisnęli go z nas spece od podatków - nie powędrował nigdzie dalej poza cesarskie kufry. Tysiące bezdomnych znalazło się w rozpaczliwej sytuacji. Najpierw więc była to gratka dla ludzi dostarczających tymczasowych kwater poza miastem. Potem obłowili się różni kanciarze, stawiając tandetne kamienice dla tych, którym udało się cokolwiek wynieść z pożaru, a jeszcze nędzniejsze dla tych, którym nie pozostało już nic. Zarobili nieźle, bo kiedy tylko ludzie się wprowadzili, czynsze poszybowały w górę. Kiedy koszty stały się nie do udźwignięcia, znowu do akcji wkroczył cyniczny Pryscyl... tym razem jako lichwiarz.

Większość Rzymu żyje na kredyt. Wszyscy, od sprzątaczki w świątyni do konsula, przez większość życia są zadłużeni. Ludzie z górnych warstw społeczeństwa mogą żonglować swoimi długami hipotecznymi; ci z dołu drabiny osuwają się jeszcze niżej pod obciążeniem pięcioprocentowej stopy pożyczkowej, sprzedają synów do szkół gladiatorów, a córki do burdeli.

- A co z triumwiratem Hortensjuszy? Czy ich działalność ma podobny charakter?

- Tak, choć odrobinę czystszy. Ich interesy wydają się bardziej zróżnicowane...

Powiedziałem, że handlarz słodyczami wspomniał o przedsięwzięciu Poili związanym z wyposażaniem statków zbożowych.

- Wygląda na to, że Nowus dobrze wyważał interesy:

kombinacje handlowe z jednej i oszustwa z wynajmem nieruchomości z drugiej strony! - skonstatowałem.

- Ich sposób prowadzenia interesów nie jest aż tak brutalny jak Pryscyla. Jako właściciele nieruchomości po prostu kiepsko nimi zarządzają. Dlaczego miałoby ich obchodzić, czy ich lokatorzy widzą świat przez dziury w ścianach?

- Prawie tak samo mili i przyjacielscy jak Smaraktus! - zażartowałem.

- Nie ma w tym nic zabawnego. Niedawno troje dzieci zginęło w mieszkaniu w Trzecim Sektorze, kiedy zarwała się tam podłoga. Hortensjusze są podawani do sądu przeciętnie raz na miesiąc przez przechodniów, którym ledwie udało się ujść z życiem, kiedy spadły na nich dachówki. Niedawno, gdzieś na Eskwilinie, osunęła się cała ściana i zabiła mężczyznę. Zaniedbywanie kamienic stało się ich drugą naturą. Zabezpieczenie mają zawsze solidne, mimo że te domy ciągle się zawalają...

- I odbudowują je z zyskiem?

- O tak! - potwierdził z naciskiem Petroniusz. - Ich głównym sposobem na zdobycie środków niezbędnych na finansowanie kolejnej budowy jest sztuczka z wielokrotnym zastawem.

- Co to takiego? - spytałem.

-Jesteś jak dziecko, Falko. Naprawdę nie wiesz? -zdumiał się. Był znacznie bardziej wyczulony na oszustwa ode mnie; jako człowiekowi na stałej pensji zdarzało mu się miewać gotówkę do zainwestowania. Czasami tracił... jednak nie tak często jak inni; miał wyjątkowego nosa do takich spraw. - Termin prawniczy brzmi „hipoteka". Pojmujesz?

- Nie jestem głupi... Więc w czym rzecz?

- W machlojce, Falko!

- Słyszałem tamto słowo albo je gdzieś przeczytałem. Czy nie tego terminu używają prawnicy, kiedy mówią o zastawie czy poręczeniu, kiedy ten zastaw dotyczy nieruchomości? Gdzie tu jest miejsce na machlojkę?

- Wygląda to tak: Hortensjusze są w posiadaniu jakiejś nieruchomości i pod jej zastaw biorą pożyczkę. Potem powtarzają tę samą operację... ta sama nieruchomość, ale nowy kredytodawca. I znowu, tyle razy, ile tylko się da. Wybierają naiwnych inwestorów, którzy nie wiedzą albo się nie dopytują, czy są już jakieś zabezpieczone w taki sposób kredyty.

-Więc obciążają dom w całości hipoteką tak często, jak tylko mogą?

- Zaczyna wreszcie coś docierać do tego otumanionego winem móżdżku! Potem, jak już należy się domyślać, Hortensjusze nie wywiązują się z płatności. Oczywiście tracą tę pierwotną nieruchomość, ale nie mają nic przeciwko temu! Bo wzięli już pod nią pożyczki kilkakrotnie przekraczające jej wartość.

- Ale co na to ich wierzyciele? Nie mogą ich podać do sądu?

- Są spłacani w kolejności, poczynając od najwcześniej zawartych kontraktów. Jeden czy dwóch odzyskuje wkład, kiedy budynek zostaje sprzedany. Lecz gdy odzyska się pokrycie jego wartości rynkowej, pozostali nie mogą już mieć żadnych roszczeń.

- Co? W ogóle nie są zabezpieczeni? - zdziwiłem się.

- Powinni się zabezpieczyć wcześniej, wszystko sprawdzając! Bo w przeciwnym razie mają pecha. Jest to oszustwo, które bazuje na lenistwie klientów. - W głosie Pe-troniusza nie było współczucia. Podobnie jak ja, był

człowiekiem, który niczego nie zaniedbywał. - Wiem to wszystko od pewnego syryjskiego finansisty. Zazwyczaj potrząsa tylko swoimi przetłuszczonymi lokami i słowa z niego nie jestem w stanie wyciągnąć, ale ten Pryscyl cieszy się taką złą sławą, że wszyscy na Forum z przyjemnością by zobaczyli, jak mu popędzą kota. Ten człowiek opowiedział mi o Hortensj uszach wyłącznie z zawiści o ich sukcesy w tych kombinacjach z wielokrotnym kredytem. Nie da się w to wmanewrować żaden z zawodowych kredytodawców... ale na prywatnym rynku zawsze znajdą się głupcy, którzy nabiorą się na cwaną gadkę o szybkim zysku. Działający na rynku nieruchomości narzekają, że Horten-sjusze wchodzą im w paradę, a Pryscyl, swoimi brutalnymi metodami, wystawia ich nerwy na ciężką próbę.

- A co by było - spytałem - jakby te dwie grupy połączyły siły?

Petroniusz się skrzywił.

- Istnieje taka obawa - odparł.

Teraz, kiedy miałem już pewne pojęcie o tym, w jaki sposób działają imperia Hortensj uszy i Pryscyla, zdałem sobie sprawę, na jak wielu polach mogą czerpać zyski... i z tego, że musi to wywoływać nieustanną zawiść innych. Biedacy są przyzwyczajeni do wiązania końca z końcem; ludzie posiadający wielkie pieniądze nigdy nie mają dość.

- Dzięki, Petroniuszu. Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

- Powiem ci tylko, że jak mówi mój informator, jeśli zamierzasz nadepnąć na odcisk Pryscylowi, to lepiej żebyś powiedział, gdzie złożyłeś swój testament.

- Mama wie - odparłem krótko.

Popatrzył na mnie spokojnymi brązowymi oczyma.

- Noś pod tuniką pas atlety i trzymaj sztylet w bucie! Daj mi znać, jak wpadniesz w kłopoty.

Skinąłem głową. Przyjaciel wrócił do pracy; ja siedziałem jeszcze czas jakiś, sącząc wino.

Nie powiem, że odczuwałem szczególny niepokój... niemniej na całej skórze włoski mi się zjeżyły.

Żeby dać swoim myślom coś mniej niepokojącego do przetrawienia, udałem się do Seweryny.

- Zgodnie z obietnicą przyszedłem złożyć sprawozdanie - oznajmiłem.

- Jak się miewa moja papuga? - zapytała.

- Podobno zaczyna czuć się jak u siebie... - Opisałem zniszczenia dokonane przez Chloe, starannie pomijając fakt, że ptaszarnia, którą rujnowała, była moim mieszkaniem.

- A czego się spodziewałeś? - fuknęła naciągaczka. - To wrażliwa samica. Musisz stopniowo przyzwyczajać ją do nowego otoczenia! - pouczała mnie. Uśmiechnąłem się, myśląc nie o Chloe, ale o Helenie Justynie, tak niechętnie rozbijającej swój namiot przy moim wodopoju. - Falko, dlaczego się tak szczerzysz? - zaniepokoiła się Seweryna.

- Może będę musiał przykuć ptaka łańcuchem do żerdzi.

- Nie, nie rób tego. Bo kiedy spróbuje pofrunąć, może spaść i zawisnąć na łańcuchu!

- Myślałem, że chciałaś się jej pozbyć.

- Bo chciałam. Chloe - oświadczyła - była prezentem od Frontona, którego przykry charakter chcę jak najszybciej zapomnieć.

- Spokojnie! Dałem tę twoją miotełkę do kurzu osobie o ludzkich odruchach, a ona już kupiła odpowiednią klatkę... Chciałbym pogadać z tobą o bardziej pazernych

ptaszkach. Usiądź, postaraj się zachować jasny umysł i daruj sobie kolejną opowiastkę w stylu „bo ja jestem tylko zwykłą kobietą, która nic nie wie" - uprzedziłem ją. Nim zdążyła się obruszyć, opowiedziałem jej, czego dowiedziałem się o Pryscylu. - Rzeczywiście pasuje to do twojej historii... ale niczego nie dowodzi. Powiedz mi, co wiesz o jego stosunkach z tą gromadką ze wzgórza Pincius. Wspomniałaś o jakiejś kłótni, której skutki to przyjęcie miało załagodzić. Co wywołało rozdźwięk? Mam rację, domyślając się, że Hortensjusze wystawili do wiatru tę drugą organizację kombinowaniem z wielokrotnym obciążeniem hipoteki?

- Bystry jesteś! - przyznała Seweryna. - Hortensjusz Nowus twierdził, że zupełnie przypadkowo wmanewrował Appiusza Pryscyla w udzielenie gwarancji jednemu ze swoich wątpliwych przedsięwzięć. Dlatego Pryscyl zaczął grozić rodzinie i dlatego Feliks oraz Krepito, którzy nie mają takich mocnych nerwów jak Nowus, chcieli zakończyć waśnie, przyjmując od niego ofertę współpracy.

- Mam wrażenie, że doszli do zgody w czymś więcej niż tylko zrekompensowanie mu jego strat! Uważam, że Feliks i Krepito chcieli pełnej fuzji... Na Marsa Mściciela, wciąż mogą to zrobić i w ten sposób podzielić między siebie i opanować całą mieszkalną infrastrukturę Rzymu! Czy Nowus się temu przeciwstawiał?

- Może masz rację - oświadczyła z powątpiewaniem w głosie.

Znowu zauważyłem, że zaczyna odgrywać rolę prostej kobietki, wobec czego zakończyłem ten wątek. Sztuczka w rozmowie z Seweryną polegała na tym, że należało ją wyprzedzać o jeden ruch na planszy, zmuszając, by to ona podążała za twoim ruchem.

- Przekąsisz coś ze mną, Falko? Potrzebuję trochę roz-

mowy na poziomie. Moja przyjaciółka z łaźni była zbyt zajęta, by wpaść, no i ciągle odczuwam brak mojego narzeczonego...

Na chwilę zapomniałem, że jest teraz moją klientką.

- Nie martw się - powiedziałem z miłym uśmiechem. - Wkrótce znajdziesz kolejnego, który tę pustkę wypełni.

Najwyraźniej szkody, których złośliwie dopuściła się w moim mieszkaniu jej papuga, musiały znacznie osłabić moją wrodzoną wyrozumiałość.

Chciałem zobaczyć Helenę; bardzo mi zależało, żeby pomagając jej przy okiełznaniu tego zadzierżystego ptaka, spróbować przy okazji naprawić nasze stosunki.

Kiedy wracałem do domu, miałem uczucie, że robię pewne postępy w sprawie. Nie, żeby udało mi się cokolwiek wyjaśnić. Wciąż miałem trzy zestawy podejrzanych i więcej motywów, niż jest pcheł na kocie. Jedyne, co miały ze sobą wspólnego, to to, że nie znalazłem jeszcze żadnych dowodów.

Niemniej niezgorzej się bawiłem. Przynosiło mi to o wiele więcej satysfakcji niż jakaś prowadząca w ślepy zaułek misja dla Wespazjana. Rzucało wyzwanie o żywszym charakterze, a gdyby udało mi się sprawę rozwikłać, nie kończyłoby się to usunięciem jakiegoś zmęczonego politycznego robaka, którego nieobecności przeciętny człowiek i tak w ogóle by nie zauważył; w tym wypadku chodziło o naprawdę szkodliwych społecznie szubrawców, których należało zdemaskować i skazać.

Jednego najwyraźniej już wypłoszyłem z nory. Na najniższym ze schodków prowadzących do mojego mieszkania czekał posłaniec. Jąkający się młodzian, o ziemistej

cerze i z jęczmieniem na oku, powiedział, że wiadomości ode mnie dotarły do Appiusza Pryscyla. Jeśli chcę się z nim spotkać, mam być za pół godziny na Forum.

Nawet nie miałem czasu, żeby wpaść na górę i powiedzieć o tym Helenie. Podziękowałem młodzieńcowi (który wyglądał na zaskoczonego, że ktoś mógłby okazywać wdzięczność za umówienie go z Pryscylem) i ruszyłem z kopyta.

Wiedziałem, że Petroniusz ostrzegałby mnie przed udaniem się tam w pojedynkę, ale miałem przecież nóż oraz pewność siebie, które pozwoliły mi wybrnąć cało z wielu sytuacji. Poza tym Forum to przecież otwarta przestrzeń publiczna.

Zjawiłem się tam, jak mi się wydawało, niepostrzeżenie, przecinając Ciria Iulia i wychodząc na zewnątrz wielkimi podwójnymi drzwiami na jej tyłach. Byłby to zapewne sposób dyskretny... tyle że Pryscyla jeszcze tam nie było, więc niepotrzebnie się wysilałem.

Wszędzie panował spokój. Z jednej strony miałem wielkie publiczne latryny, po drugiej sklepy; było to miejsce przygotowane na każdą okoliczność! Cezar obudował to swoje forum gustowną kolumnadą; na wszelki wypadek wyszedłem na otwartą przestrzeń.

Brązowa lektyka pojawiła się pięć minut później. Przybyła od wschodniej strony i tam się zatrzymała, tuż pod łukiem.

Rozejrzałem się wokół, czy nie zobaczę zasadzki. Niczego nie zauważyłem. W końcu ruszyłem w tamtym kierunku. Tragarze stali bez ruchu, patrzyli przed siebie, nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Mogli być niemi albo

głupi, albo pochodzić z dalekiego kraju... albo wszystko to razem. Obejrzałem się za siebie i podszedłem bliżej. Kiedy uniosłem prostą skórzaną zasłonkę, byłem przekonany, że Appiusza Pryscyla za nią nie będzie. Myliłem się. -
W s i a d a j ! - rzucił krótko.

XLIX

Było to niczym bezpośrednie spotkanie z kolejnym szczurem; twarz gościa składała się z samych zębów i przenikliwych oczu. Wcisnąłem się do środka, choć na pewno wolałbym przytulać się do swojego współlokatora w więzieniu.

Nikt nie mógłby oskarżyć Pryscyla o rozrzutność. Miał wychudzoną posturę kogoś, kto jest zbyt zajęty, by zawracać sobie głowę dobrym jedzeniem. Nosił spłowiała starą tunikę, której co prawda nic nie brakowało, ale miała tak przygnębiający kolor, że nawet ja rzuciłbym ją jakiemuś włóczędze (choć większość znanych mi włóczęgów ubierała się dużo ciekawiej). Golarz musiał mieć niedawno okazję przejechać parę razy brzytwą po jego wąskiej brodzie, ale to chyba wyłącznie dlatego, że ludzie interesu wierzą, jakoby u fryzjera można było dostać jakąś użyteczną informację. (Nie mam pojęcia dlaczego; jedyne, co ja dostawałem, to wysypka). Zabiegi związane z jego toaletą nie obejmowały kosztowniejszych fanaberii. Rzadkie włosy miał za długie; pazury brudne i nie obcięte.

Pryscyl nie był żonaty; teraz widziałem dlaczego. Nie, żeby kobiety były takie wybredne (większość zniosłaby brudne paznokcie w zamian za te wszystkie szkatuły), ale ten paskudny chuderlak, który skąpił na utrzymanie samego siebie przy życiu, na pewno nie zniósłby wydawania pieniędzy na kogoś tak zbędnego jak małżonka.

Pomimo ciężaru dwóch osób tragarze poruszali się bardzo żwawo.

- Dokąd się tak spieszymy? - spytałem nieco zaniepokojony, jeszcze zanim zdążyłem się mu przedstawić.

- Mam sprawę na Polu Marsowym - rzucił. Cóż, domyślałem się, że chodzi o interesy; przecież nie zmarnowałby czasu na wizytę w świątyni czy gimnazjonie! - Więc to ty jesteś Falko. Czego chcesz ode mnie? - Głos miał chrapliwy, oddech świszczący, jakby ściskał powietrze w płucach z tą samą chciwością, z jaką kładł łapę na wszystkim.

- Muszę wyjaśnić kilka rzeczy, jeśli można. Pracuję nad sprawą Nowusa...

- Dla kogo pracujesz?

- Płaci mi Seweryna Zotyka - wycedziłem wyraźnie.

-To dopiero głupota! Musisz się przyjrzeć swojej własnej klientce, Falko!

- Och, traktuję ją z rezerwą... najpierw jednak chciał bym się przyjrzeć tobie! - oznajmiłem. Trudno było się skoncentrować, bo tragarze gnali i lektyka podskakiwała jak szalona. - Seweryna to zawodowa panna młoda. Nie miała żadnego motywu, by zabić Nowusa, dopóki nie zy ska gwarancji, że będzie po nim dziedziczyć. Ty i Hortensjusze jesteście o wiele bardziej podejrzani... - ciągnąłem. Oczy szczura błysnęły groźnie, aż przeszedł mnie dreszcz. - Przykro mi - mówiłem - ale dokonuję oceny na podstawie faktów. Podejrzanie wygląda, jeśli zamierzasz dokonać fuzji z Feliksem i Krepitonem... podczas kiedy cały Rzym wie, że ich nieżyjący partner tak bardzo się temu przeciwstawiał. A tak przy okazji, dlaczego to robił? - Pryscyl w milczeniu patrzył na mnie spode łba. Sam odpowiedziałem na swoje pytanie. - Bo nie widział w tym fuzji, tylko przejęcie... przez ciebie. Przyzwyczaił się, że jest najważniejszym kogu-

tern na swojej kupie gnoju, nie godził się zajmować drugiej pozycji... dwaj pozostali patrzyli na to inaczej, bo przecież i tak zawsze podlegali Nowusowi... Lektyka stanęła.

- Działasz mi na nerwy, Falko. - Pryscyl zamazywał słowa w sposób typowy dla cedzących groźby zbirów. Mógł być pierwszym lepszym, nie będącym na służbie aroganckim gwardzistą, który przechodzi na drugą stronę ulicy jedynie po to, żeby sprawić sobie przyjemność potrąceniem kogoś przy okazji.

- Więc mi pomóż.

- Sam sobie pomóż! - warknął obraźliwym tonem. -Tu wysiadamy.

Wiedziałem, że zapuściliśmy się dość daleko na Pole Marsowe i jesteśmy na otwartym terenie. Poczułem nagły przypływ tęsknoty za bezpieczeństwem, jakie dawało wnętrze jego podrygującej lektyki, gdzie musiałem tylko uważać, żeby nie poobijać się o jego kościste kolana. Odsunął zasłonkę i wysiadł. Niemal dodało mi to ogłupiającej otuchy.

Wysiadłem. Moje przeczucia się sprawdziły. Gdybym został, Frygijczycy zadźgaliby mnie w niej jak mięczaka w skorupie. To, że znalazłem się poza nią, też niczego nie poprawiło. Zatrzymaliśmy się pośrodku pola ćwiczeń, a oni wszyscy trzymali w rękach oszczepy. Groty nie były ćwiczebnymi atrapami, ale ostrzami wykonanymi z uzyskiwanej w Noricum stali... naprawdę ostrymi. Kiedy wysiadłem i się wyprostowałem, byłem tak nimi przygwożdżony, że najmniejszy mój ruch spowodowałby rozcięcie skóry.

Nie odezwałem się. Jeden grot łaskotał mnie po grdyce. Gadaniem sam podciąłbym sobie gardło.

Na Polu Marsowym postawiono już wiele budowli, jednak całe połacie wciąż pozostają puste. Znajdowaliśmy

się w takim właśnie miejscu. Suchy wiatr wiejący od rzeki unosił moje kędziory, ale ledwie co muskał spocone ramiona. Widziałem kilku galopujących jeźdźców, zbyt jednak daleko, by mogli dostrzec, co tu się dzieje, nawet gdyby mieli ochotę interweniować.

Żaden z Frygijczyków nie odezwał się do mnie. Było ich ośmiu, gotowych na wszystko, drobnych, ale żylastych mężczyzn z wystającymi kośćmi policzkowymi. Mogłem ich odróżnić tylko po bliznach na twarzach. Pochodzili z górzystego interioru Azji, mogli być potomkami Hetytów... którzy słynęli z okrucieństwa.

Najpierw chcieli mnie zmęczyć. Zabawiali się, popychając to w tę, to w tamtą stronę. Jedni unosili oszczepy, inni popychali mnie w tę stronę; kołysałem się na palcach stóp, kiedy oszczepy znów we mnie mierzyły, i popychano mnie w przeciwną stronę. Za zbyt małe zaangażowanie karcono mnie draśnięciem. Gdybym się za bardzo starał, nadziałbym się na grot. Przez cały ten czas wszyscy wiedzieliśmy, że tylko czekam na okazję, by się wyrwać i rzucić do ucieczki... nie byłby to jednak długi bieg. Nawet gdybym wymknął się swoim prześladowcom, dopadłyby mnie te oszczepy...

Sygnał do kolejnej akcji został podany przez mężczyznę stojącego za mną. Chwycił mnie i wszyscy jak na komendę odrzucili broń. Zabawili się w nową grę... ciskali mną pomiędzy sobą, okładając gdzie popadło. Nie za mocno; chcieli, żeby zabawa trwała długo.

Udawało mi się czasem złożyć wpół i dosięgnąć któregoś z nich pięścią, ale wywoływało to jedynie głośniejsze drwiny i silniejsze ciosy, podczas gdy ja kipiałem coraz większą złością.

Zorientowałem się już, że Pryscyl nie chce mojej

śmierci. Kazałby poderżnąć mi gardło od razu i zostawić mnie tam. Dopiero rano jeźdźcy natknęliby się na moje sztywne, wilgotne od snujących się nad rzeką oparów ciało. Chciał wykorzystać mnie jako ostrzeżenie dla tych, którym by przyszło do głowy mu się narazić.

Życzył sobie, żebym przeżył tę zabawę.

Miałem nadzieję, że Frygijczycy potrafią słuchać rozkazów i są dostatecznie dobrze wyszkoleni. W przeciwnym bowiem razie mogli wykończyć mnie niechcący.

L

Jak na zbirów byli porządni. Odstawili mnie tam, skąd zabrali - na Forum Iulium. Kiedy wróciły mi zmysły, dostrzegłem zarys pomnika dyktatora na koniu, spoglądającego wyniośle na świat, który podbił (choć mnie raczej nie zauważył).

Zacząłem się czołgać przed siebie, ale ponieważ dwoiło mi się w oczach, nie miałem pojęcia dokąd. Kiedy natrafiłem na schodki, pomyślałem sobie, że to może być świątynia Wenus Rodzicielki.

Wtedy straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, spojrzałem w górę i uzyskałem potwierdzenie swojej imponującej znajomości topografii. Był tu wysoki podest, na którym leżałem rozciągnięty, a wyżej te cudowne korynckie kolumny. Gdyby jakiś cudzoziemiec nachylił się, by zapytać mnie o tę świątynię, poinformowałbym go, że w jej wnętrzu znajdzie piękne posągi Wenus, Cezara, młodziutkiej Kleopatry i dwa zachwycające dzieła (pędzla Timomachosa), Szalejącego Ajaksa i Dzieciobójstwo Medei. Mogliby też zapisać w swoich dziennikach podróżnych, że n a zew n ą t r z zobaczyli nieco tylko mniej wspaniałego Marka Dydiusza Falkona, wzywającego pomocy tak chrapli-

wym głosem, że przechodnie na wszelki wypadek udawali, że go nie słyszą.

Niezła robota, Falko. Skoro masz się gdzieś poniewierać, to przynajmniej niech to będzie na schodach sławnej na cały świat świątyni, przy najpiękniejszym forum Rzymu.

Wyszedł jakiś kapłan. Wymierzył mi kopniaka i szybko się oddalił, sądząc, że jestem jednym z tych żebraków, którzy okupują świątynne schody.

Po kilku godzinach wrócił ze swojej wyprawy do miasta. Teraz byłem już przygotowany.

- Pomóż mi, panie, w imię boskiego Juliusza! - wyjęczałem.

Metoda okazała się skuteczna. Większość kapłanów nie pozostanie głucha na prośby wygłoszone w imieniu patrona, który dostarcza im środków do życia. Może obawiają się, że jesteś jednym z tych audytorów kultu, którzy, w przebraniu, sprawdzają ich rzetelność.

Kiedy już udało mi się zwrócić na siebie jego uwagę, kapłan raczył sprzątnąć mój ociekający krwią zewłok z wcześniej nieskazitelnych marmurowych stopni i załadować do lektyki, za którą miał zapłacić Petroniusz.

Nie wiem, jaką sensację wzbudziło moje przybycie, bo pozwoliłem sobie zapaść się w niebyt. Niezła sztuczka, jeśli umie się ją wykonać. Omija człowieka cała ta gadanina i zamieszanie.

To nie był pierwszy raz, kiedy dostarczano mnie do Petroniusza w stanie przypominającym nadpsuty na słońcu

towar. Jednak nigdy wcześniej nie zostałem tak fachowo obity na kwaśne jabłko.

Był w domu, na szczęście. W którymś momencie dotarło do mnie, gdzie jestem. Poczułem zapach duszonego przez Sylwię mięsa. Nade mną, w pokojach na piętrze, córeczki mojego przyjaciela tupotały głośno niczym legion na ćwiczeniach. Jedno z dzieci dmuchało w piszczałkę, co jeszcze powiększało moją udrękę.

Czułem, że mój druh rozcina mi tunikę; słyszałem, jak przeklina; potem, jak moje buty spadają z łupnięciem do kubła i wreszcie zakręcił mnie w nosie znajomy zapach różnych medykamentów z otwartej skrzyneczki Petroniu-sza. Pozwoliłem mu wlać w siebie zimną wodę, co miało przeciwdziałać wstrząsowi. Połknąłem trochę palącej mikstury, choć wydawało mi się, że większość spłynęła kącikiem ust na zewnątrz. Potem było mi już wszystko jedno, więc nie starałem się zachować przytomności.

Miał dość rozsądku, by obmyć mnie z brudu i krwi, nim wysłał żonę po Helenę.

LI

Nawet nie próbowałem się do niej odezwać.

Ona też milczała. Czułem lekki nacisk jej dłoni na swojej. Miałem zamknięte oczy, musiała jednak jakoś wyczuć moment, w którym się ocknąłem. Uchyliłem opuchnięte powieki i zobaczyłem znajomy zarys postaci na tle jasności; włosy, jak to często bywało, zebrane i uniesione do góry, przytrzymane bukszpanowymi grzebieniami nad uszami. Miała sypkie włosy i te grzebienie zawsze się zsuwały.

Delikatnie, może nawet nieświadomie, gładziła kciukiem wierzch mojej dłoni. Uchylając lewy kącik ust, wydałem nieartykułowany dźwięk. Jej twarz pojawiła się nade mną. Jakimś cudem odnalazła ten jedyny nie pokiereszowany kawałeczek mojej twarzy, który mogła bezpiecznie musnąć wargami, nie wywołując bólu.

Odeszła. Ogarnęła mnie bezrozumna panika, dopóki nie usłyszałem jej głosu.

- Jest przytomny. Dziękuję za zaopiekowanie się nim. Teraz już sobie poradzę. Czy mógłbyś znaleźć kogoś z lektyką, żeby odnieść go do domu? - mówiła. Zobaczyłem w drzwiach masywną postać Petroniusza i usłyszałem, jak usiłuje ją przekonać, że najlepiej będzie nie ruszać mnie z miejsca. (Uważał, że Helena jest osobą zbyt wytworną, by mogła dokonywać wszelkich niezbędnych zabiegów pielęgnacyjnych). Zamknąłem oczy i czekałem na ten

przekonujący władczy głos. Doczekałem się. - Petroniu-szu Longusie, poradzę sobie! Nie jestem małą dziewczynką b a w i ą c ą się domkiem dla lalek.

- Znalazłeś się w poważnych tarapatach, Falko! - oświadczył lakonicznie mój przyjaciel. Miał na myśli za równo to, co zrobili ze mną ludzie Pryscyla, jak i to, co mnie czeka ze strony tego drugiego tyrana, który podnosi głos na moich przyjaciół.

Mogłem tylko tam leżeć i pozwolić Helenie toczyć walkę. A ona już niewątpliwie postawi na swoim. Czy będzie umiała zająć się mną? Petroniusz uważał, że nie. A co ja o tym myślałem? To Helena doskonale wiedziała.

- Lucjuszu Petroniuszu... Marek chce, bym zabrała go do domu!

Mój druh rzucił pod nosem jakieś przekleństwo, po czym zrobił, co mu kazała.

Podróż minęła szybko, ale tragarze odmówili wniesienia lektyki po schodach. Pokonałem je sam. Całe trzy piętra. Nie było innego wyjścia.

Kiedy wróciła mi pełna świadomość, byłem oparty o ścianę swojej sypialni. Helena zerkając ciągle w moją stronę, przygotowywała łóżko; Sylwia dała jej stare prześcieradło, żebym nie zakrwawił swojego nowego. Kobiety są takie praktyczne.

Patrzyłem na uwijającą się Helenę, która w mig wykonała swoją robotę. Jednak nie dość szybko.

- Zaraz się przewrócę... - wymamrotałem.
- Złapię cię... - zapewniła mnie.

Mogłem polegać na obietnicach Heleny. Jeden długi krok i była przy mnie. Dzięki bogom za małe pokoje.

Nawet nie wiedziałem, w jaki sposób znalazłem się na posłaniu. Czułem woń tych kwiatowych pachnideł, jakich teraz używają we wszystkich łaźniach dla kobiet. Miałem świadomość, że odwija mnie z płaszcza, którym opatulił mnie na drogę Petroniusz. Pod nim miałem na sobie tylko bandaże.

Helena wstrzymała oddech.

- No tak! Będzie ci trzeba czegoś więcej niż miska gorącej zupy i papka z fasoli na zewnątrz... Już wcześniej widziałam twoje męskie atrybuty, ale jeśli się wstydzisz, mogę cię czymś okryć.

- Nie ciebie - wymamrotałem. We własnym domu poczułem się na tyle lepiej, że udało mi się wymówić kilka niewyraźnych słów. - Wiesz o mnie wszystko, ja wiem wszystko o tobie...

-Tak ci się tylko wydaje! - mruknęła pod nosem, ale mnie już mieszało się w głowie i ogarniał bezrozumny śmiech.

Kiedy nachyliła się, żeby poprawić mi posłanie, objąłem ją. Prychnęła. Wyrywała się, dla zasady, ale tak bardzo się starała, żeby nie zrobić mi krzywdy, że straciła szansę uwolnienia. Niewiele więcej mogłem zrobić, ale przynajmniej jej nie puszczałem. Zrezygnowała, coraz mniej się wykręcaia, aż w końcu usłyszałem, jak je) sandały spadają na podłogę, potem zdjęła i odłożyła kolczyki. Nie wypuszczając jej z ramion, odpływałem w niebyt. Leżała spokojnie obok; wciąż tam była, kiedy się obudziłem. Gdybym wcześniej wiedział, że tylko tyle trzeba, żeby ją zaciągnąć do łóżka, już dawno bym gdzieś pobiegł i dał się obić jakimś oprychom.

LII

Była tam. Siedziała przy łóżku w czystej szarej szacie z upiętymi świeżo włosami. Zamyślona popijała coś z kubka.

Zmiana w oświetleniu powiedziała mi, że jest już następny ranek. Każdy opuchnięty fragment mojego ciała dzisiaj był w dodatku sztywny. Helena nie spytała, czy lepiej się czuję; widziała, że gorzej.

Pielęgnowała mnie na ten swój rozsądny sposób. Petroniusz dostarczył jej uśmierzający ból kordiał, a także balsamy i tampony z jagnięcej wełny; zdążyła już opanować medyczne procedury. Każdy, kto kiedyś opiekował się niemowlęciem, był w stanie zorientować się w moich pozostałych potrzebach.

Kiedy leżałem bez ruchu, dochodząc do siebie po umyciu i zaaplikowaniu medykamentów, przysiadła na łóżku i znów ujęła mnie za rękę. Nasze spojrzenia się spotkały. Czułem, jak bardzo jest mi bliska.

- Do czego się uśmiechasz? - zapytała.

- Och, każdy mężczyzna odczuwa szczególne przywiązanie do dziewczyny, która myje mu uszy i opróżnia nocnik.

- Widzę, że nie powstrzymuje cię to od wygadywania bzdur - oznajmiła surowo Helena.

Następnym razem obudziła mnie papuga, która miała akurat jeden ze swoich napadów wrzasku. Wygląda na to, że głośne skrzeczenie kilka razy dziennie to jej sposób na ćwiczenia fizyczne. Gardło Chloe ma zapewne najlepiej wytrenowane mięśnie w całym Rzymie.

Kiedy ten antyspołeczny bandzior zamknął wreszcie dziób, przyszła Helena.

- Uduszę to pudło rezonansowe! - odgrażałem się. Wcześniej nie miałem okazji wysłuchać całego jej występu. Byłem przerażony. - Starsza pani piętro wyżej będzie narzekać...

- Już nie omieszkała się poskarżyć - obwieściła Helena. - Wpadłam do niej odnieść miski, które twoja siostra pożyczyła do ryby. Świetnie nam się rozmawiało, ale ptaszysko położyło temu kres. Żal mi staruszki. Ma zatarg z gospodarzem; gość próbuje ją stąd wykurzyć. Wyrzekanie na ciebie to jej jedyna rozrywka... podejrzewam, że kiedyś też taka będę...

Musiało minąć kilka godzin od mojego ostatniego przebudzenia. Helena miała teraz inny kubek; napój z gorącym miodem, którym się ze mną podzieliła. Kiedy dochodziłem do siebie po wysiłku włożonym w to, żeby usiąść i wypić parę łyków, ktoś zapukał do drzwi.

Pojawił się Hiacynt. Przyprowadził ze sobą pomywacz-kę, którą zapamiętałem z kuchni Hortensjuszy. Spojrzałem rozpaczliwie na Helenę; nie byłem w stanie z nimi rozmawiać.

Nic nie mogło wyprowadzić Heleny z równowagi, kiedy tylko przyjęła na siebie odpowiedzialność za sytuację. Poklepała mnie po bandażach.

- Dydiusz Falko, jak widzicie, miał mały wypadek - zakomunikowała. Bogowie wiedzą, jak musiałem wyglądać.

Goście utknęli przy drzwiach, zupełnie zdezorientowani. -Nie ma powodu, byście odbywali całą tę drogę na próżno. Przyniesiemy sobie tu stołki i możecie porozmawiać ze mną. Marek będzie sobie spokojnie leżał i słuchał.

- Co mu się stało? - wyszeptał Hiacynt.

- Potknął się o stopień! - odparła szybko Helena. Pomoc kuchenna miała na imię Antea. Była drobna,

o wyglądzie dwunastolatki, choć potem doszliśmy do wniosku z Heleną, że jej drugim zajęciem było zapewne ogrzewanie łoża kuchmistrzowi. Nędzne życie odbiło się na jej cerze, miała przygnębioną twarz, smutne oczy i zapewne obolałe stopy. Wyświechtana tunika ledwie sięgała czerwonych kolan.

Leżałem i słuchałem jak we śnie głosu Heleny, która starała się wycisnąć jak najwięcej szczegółów z tego małego biedactwa.

- Chcę, byś opowiedziała mi wszystko o tym dniu, w którym odbyło się przyjęcie. Byłaś w kuchni przez cały czas? Domyślam się, że miałaś mnóstwo garnków i chochli do umycia, i to już wtedy, kiedy Wirydowyks zabrał się do przygotowywania potraw? - zaczęła. Antea przytaknęła, dumna, że jej rola została zauważona. - Czy wydarzyło się coś, co według c i e b i e było dziwne? - zapytała Helena.

Tym razem dziewczę pokręciło przecząco głową. Jej bezbarwne włosy irytująco nieustannie opadały na oczy.

Helena najwyraźniej doskonale pamiętała, co podano podczas tamtej uczty, bo wspomniała większość dań. Chciała, na przykład, wiedzieć, kto mieszał sos szafranowy do homarów, kto rozbierał zająca, kto zawijał naleśniki z halibutem, nawet kto wieszał te cholerne owoce na złotym drzewku. Wysłuchiwanie tego wywoływało u mnie takie mdłości, że z trudem wytrzymywałem.

- A czy pani, którą zwą Seweryna, pojawiła się kiedyś w kuchni?

- Gdzieś w połowie przygotowań do przyjęcia.

- Rozmawiała z Wirydowyksem? -Tak.

- Pomagała mu w czymś?

- Przeważnie siedziała na brzegu stołu. Wirydowyks bardzo się przejmował, kiedy pracował, i był zgrzany. Jej obecność go uspokajała. Chyba spróbowała któregoś sosu.

- Czy mieliście wtedy dużo pracy? Tak, że nie mogłaś za bardzo obserwować tego, co się dzieje?

- Owszem, ale widziałam, jak ona ubija białka na pianę.

Pomywaczka pociągała od czasu do czasu nosem. Nie wyrażała tym smutku ani nie powstrzymywała kapania z nosa; robiła to, żeby sobie urozmaicić życie.

- Czasami takie ubijanie trwa bardzo długo, prawda? - Helena zaszczebiotała; miała dużo więcej cierpliwości, niż ja bym miał przy tej rozmowie. - Najlepiej jest przekazywać miskę co chwilę komu innemu... do czego potrzebna była ta piana?

- Do glazury.

- Glazury?

- To jej pomysł.

- Seweryny?

- Tak. Nie wypadało się spierać, ale Wirydowyks uważał, że to się nie uda.

- Dlaczego? Czy posmarowano tą glazurą coś, co **ludzie** mieli jeść? - spytała Helena, mrużąc ciemne oczy.

- Nie, tylko paterę.

- Paterę?

-To nie było do jedzenia. Miało udekorować paterę.

Dziewczyna zaczęła się denerwować i gubić. Miałem już dać sygnał Helenie, ale brnęła dalej.

-Anteo, czy możesz powiedzieć, jak długo Seweryna siedziała z wami i co się wydarzyło, kiedy już poszła?

- Siedziała przez cały czas.

- Co... podczas kolacji?

- Och nie, nie tak długo. Do początku przyjęcia. Aż do samego początku przyjęcia - powtórzyła, ponownie odgarniając włosy z czoła, a ja zacisnąłem w garści brzeg narzuty.

- Co było potem? - spytała Helena łagodnym głosem. Chyba wiedziała, że zaczynam mieć tego dosyć.

- Seweryna powzdychała, powiedziała, że kiepsko się czuje i że wróci do domu.

- A więc tylko spróbowała kilku potraw, pogadała z kucharzem i udekorowała paterę?

- Zanim odeszła, obejrzała dania.

- Coś poprawiła, zmieniła?

- Nic. Powiedziała, że wszystko ślicznie wygląda i że Wirydowyks może być z siebie dumny.

Jeśli Helena odczuwała napięcie związane z tą rozmową, to nie było po niej tego widać.

- Zatem Seweryna wyszła, a Wirydowyks udał się do tryklinium, by nadzorować krojenie mięs. Czy po tym wszystkim wchodził do kuchni ktoś inny poza służbą domową?

-Nie.

- Czy ty sama widziałaś któregoś z gości?

- Być może przechodzili obok kuchni w drodze do latryny. Ale ja wtedy byłam zajęta.

- Nikt nie zajrzał do kuchni, żeby na przykład po-

dziękować za wspaniałą kolację? - dopytywała się Helena. Parsknąłem śmiechem, zawtórował mi Hiacynt. Helena nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. - Anteo, gdzie w twoim domu trzyma się gotowe potrawy, zanim usługujący zabiorą je do jadalni?

- Na stole przy drzwiach kuchennych.

- Wewnątrz kuchni? -

Tak.

- Czy ktoś się mógł do nich dobrać tak, by nikt go nie widział?

- Nie. Przy tym stole przez cały czas stoi chłopiec, który odgania muchy.

- O tak! Domyślam się, że w tym domu roi się od much. - Helena pozwoliła sobie na sarkastyczną uwagę. Przez chwilę zabrakło jej pytań.

- Było jeszcze coś - odezwała się znienacka Antea, tonem niemalże oskarżycielskim. - Seweryna i Wirydowyks chichotali nad ciastkami.

Helena zachowała całkowity spokój.

- Chodzi o te ciastka kupowane u Minniusza?

- Jedno było szczególnie duże.

- Specjalne! - wykrzyknęła Helena.

-Tak, ale ono nie mogło otruć pana... - Pierwszy raz Antea dała się ponieść temu, co miała do przekazania. - Ja wiem coś o tym ciastku, czego nikt inny nie wie! Seweryna uważała, że się o nie pokłócą, bo każdy będzie miał na nie ochotę. Powiedziała, że je zabierze i zachowa dla Horten-sjusza Nowusa, żeby potem mógł sobie je zjeść w swoim pokoju...

Helena odwróciła gwałtownie głowę w moją stronę. Oboje wstrzymaliśmy oddech, nawet posłaniec, najwyraźniej rozumiał implikacje tej opowieści i wyglądał na

przejętego. Tymczasem pomywaczka, doprowadziwszy do tego pełnego dramatyzmu punktu, rozczarowała nas wszystkich.

- Ale on nie ruszył tego ciastka.

Siedziała, zadowolona z efektu, jaki wywołała.

- Skąd wiesz? - spytała cicho Helena.

- Znalazłam je! Po kolacji, kiedy zrzucałam resztki z wielkich złotych talerzy. Zobaczyłam ciastko w kuble. Pamiętam, bo chciałam je wyjąć i zjeść, ale było całe oblepione rozmiękłymi łupinami cebuli. Nie lubię cebuli -dodała Antea, dając nam do zrozumienia, że tylko to ją powstrzymywało.

- Zastanawiam się - odezwała się Helena - kto mógł je wyrzucić?

- Nikt nie wiedział. Byłam wściekła, wykrzyknęłam nawet, jaki to łajdak wrzucił tu to dobre ciastko. Przyłożyłabym tej osobie... ale nikt nie wiedział, kto to zrobił.

Uniosłem się na łóżku.

- Anteo, czy wszystkie inne ciastka były zjedzone, kiedy przyniesiono z powrotem paterę?

- No pewnie. W naszym domu słodycze nigdy nie wracają do kuchni!

- Jak je podawano... na liściach winorośli, tak jak zawija je Minniusz?

- Nie, bezpośrednio na paterze. Myłam ją - dodała gorzko. - Nie został ani okruszek, ani jeden okruszek! Prawie nie było co zmywać.

Opadłem z powrotem na posłanie. Te ciastka okazały się fałszywym tropem. Większość obecnych musiała zjeść jedno, a przecież żaden z pozostałych biesiadników nie ucierpiał.

- Falko jest zmęczony - powiedziała cicho Helena. -

Musicie już iść... ale bardzo nam pomogliście. Wirydo-wyks zostanie pomszczony, obiecuję.

Wyprowadzała tych dwoje, ale ani na chwilę nie przestawała myśleć, bo zdążyła jeszcze zapytać Anteę, czy patera, na której podano ciastka, to właśnie ta ozdobiona glazurą z białek.

Hiacynt zawołał do mnie, że zobaczymy się w czwartek, jeśli będę w stanie przyjść na pogrzeb, po czym odszedł razem z miniaturową pomocą kuchenną. (Potem doszliśmy z Heleną do wniosku, że jeśli mieliśmy rację w sprawie stosunków pomywaczki z Wirydowyksem, to teraz prawdopodobnie przejął ją po nim Hiacynt).

Kiedy byli przy drzwiach zewnętrznych, usłyszałem, jak Hiacynt mówi Helenie, że na dole dwóch mężczyzn zupełnie jawnie obserwuje naszą kamienicę. Jacyś brutale, oświadczył.

Helena wróciła do dużego pokoju. Na pewno zastanawiała się nad tym, co przed chwilą powiedział Hiacynt, i nie chciała mnie martwić. Słyszałem, jak miesza coś w miseczce, najwyraźniej żeby zająć czymś myśli.

W końcu pojawiła się znowu koło mnie.

- Zjesz omlet - oświadczyła.

- A to co? - zdziwiłem się. Trzymała w rękach naczynie pokryte wewnątrz cienką warstewką białej pianki.

- Białko. Jak je zostawię, to obklei ścianki. Nie wygląda imponująco. Myślę jednak, że jeśli Seweryna wpadła na ten pomysł, to widocznie uważała, że będzie to przypominać śnieżny puch.

- Szczególnie na srebrze. Helena

wyglądała na zaskoczoną.

- Przecież zastawa była złota!

- Niecała. Antea powiedziała, że niewiele brakowało,

żeby nie umyła tej patery po ciastkach. Widziałem ją. Była to ta wielka srebrna patera, którą Seweryna podarowała Nowusowi.

- I tak uważam, że marnowała jajka - mruknęła Helena, zaglądając z powątpiewaniem do naczynia.

- No dobrze. Powiedz mi raczej, o co chodzi z tymi mężczyznami obserwującymi dom - zmieniłem temat. Helena nadal koncentrowała się na białku; nie uważała za stosowne dzielić się swoimi kłopotami z osobą nie w pełni sprawną. - Uważam, że jesteśmy bezpieczni - powiedziałem jej, bo wiedziałem, kim są ci ludzie.

- Marku... - zaczęła z oburzeniem w głosie.

-Kiedy wyjdziesz, podejdź do nich i spytaj, kto ich przysłał.

- A ty to wiesz?

- Petroniusz. Zapewnił nam widoczną na odległość ochronę.

- Skoro Petroniusz uważa to za konieczne, to jeszcze bardziej mnie to przeraża! - oznajmiła. Wpatrywaliśmy się w siebie. W końcu Helena najwidoczniej doszła do wniosku, że nie warto robić o to hałasu. - Czy zadawałam właściwe pytania?

- Zawsze zadajesz właściwe pytania!

- Te ciastka są ważne, Marku. W i e m, że są. Ciastka można zatruwać pojedynczo. Natomiast upewnienie się, by ofiara sięgnęła po to właściwe... Myślałam, że musiało to być tamto największe.

- Wiem. - Uśmiechnąłem się do niej.

-To byłoby idealne rozwiązanie, Marku! Hortensjusz Nowus był gospodarzem. Założę się, że w takim wulgarnym domu półmiski podsuwa się najpierw gospodarzowi; Nowus na pewno złapałby to, co najlepsze!

Posłałem jej kolejny uśmiech.

- Ale Seweryna zdjęła je z patery!

- To bardzo zagadkowe!

- Niekoniecznie. Możliwe, że Seweryna jest niewinna. Może się tam wybrała mimo złego samopoczucia, ponieważ uświadomiła sobie, że to przyjęcie zagraża jej narzeczonemu. Może rzeczywiście chciała sprawdzić, czy nie ma nic podejrzanego w potrawach.

-Tak ci powiedziała? - spytała Helena. Prawdę mówiąc, tego jeszcze wobec mnie nie próbowała. - Może -dywagowała ponuro Helena - ona chce, byś właśnie tak myślał. Czy sądzisz, że kucharz wiedział, że Seweryna pilnuje, by ktoś nie dorwał się do jego potraw?

- Wirydowyks nie był głupi.

- A może chodziło o to - mruknęła - żebyś odkrył całą tę sprawę z tym wielkim ciastkiem; mogło to być sprytne skierowanie na fałszywy trop, podczas gdy trucizna była zupełnie gdzie indziej...

- Och, ona rzeczywiście była gdzie indziej!-przyznałem. Zamilkliśmy. - Jeśli został otruty podczas kolacji - odezwałem się po chwili - nie ma to żadnego związku z tym Pryscylem. Konkurentowi w interesach niełatwo byłoby wykończyć Nowusa w jego własnym domu.

- Czy Pryscyl nie mógł przekupić któregoś z niewolni ków Hortensjusza?

-To ryzykowne. Podejrzenie zawsze pada najpierw na służbę. Trzeba byłoby przekupić go dużą sumą... ale wtedy istnieje ryzyko, że niewolnik z dużą ilością pieniędzy zwróci na siebie uwagę.

- Nie, gdyby tym niewolnikiem był Wirydowyks, który nie żyje!

- Nie uwierzę, że to ten Gal.

- Pewnie masz rację - zgodziła się. - Miałeś okazję go poznać. - Zauważyła, że jestem zbyt zmęczony, byśmy mogli to dalej ciągnąć. - Czy poczyniliśmy jakieś postępy? - spytała, wygładzając moje przykrycie.

Zranionym palcem dotknąłem czule jej policzka.

- Och, tak sądzę! - oświadczyłem, spoglądając na nią pożądliwie i zuchwale.

Helena włożyła moją rękę pod nakrycie.

- Pora nakarmić papugę, prześpij się.

- Papuga jest wystarczająco dorosła, żeby jeść samodzielnie.

Nie ruszyła się ode mnie.

-Twój głos brzmi znacznie lepiej, to dobry znak.

- Nie mogę się tylko poruszać. - Wyraźnie widziałem, *te* coś ją nurtuje. - O co chodzi, wisienko?

- O nic.

- Przecież cię znam!

- Marku, jak radzisz sobie z bólem?

- Kiedy człowiekowi dają w skórę, jest zbyt zajęty, by go czuć. Potem trzeba temu stawić czoło... - zacząłem. Przyglądałem się jej. Często to zacięte podejście do życia powodowało, że Helena zamykała się w sobie. Wtedy każdemu trudno było do niej dotrzeć, choć czasami zwracała się do mnie. - Skarbie... kiedy straciłaś dziecko, to bolało?

- Uhm. - Pomimo tej zwięzłej odpowiedzi była gotowa rozmawiać. Taka sposobność może się już nigdy nie powtórzyć.

- Czy dlatego przeraża cię myśl o kolejnym?

- Przeraża mnie wszystko, Marku. To, że nie wiem, co się wydarzy, że nie jestem w stanie nic na to poradzić. Bezradność... Nieporadne akuszerki, prostaccy medycy

z okropnymi narzędziami... boję się, że umrę. Boję się, że po tym całym wysiłku umrze d z i e c k o i jak ja to zniosę... Tak bardzo cię kocham! - dodała nagle. Wydawało mi się to bardzo stosowną uwagą.

- Będę przy tobie - obiecałem.

Uśmiechnęła się smutno.

- Znajdziesz sobie jakieś pilne zajęcie!

- Nie - odparłem stanowczo.

Helena otarła łzy, a ja leżałem i starałem się wyglądać jak ktoś, na kim można polegać.

- Pójdę i nakarmię papugę - powiedziała.

Kiedy już odchodziła, popełniła błąd, odwracając się.

- Wykorzystujesz tylko tę papugę jako użyteczny l^ykręt! - jęknąłem błagalnie.

- Popatrz tylko, w jakim jesteś stanie! - zadrwiła. - Na co tu komu wykręty?

Po czym, nim zdążyłem wyciągnąć ramię, by ją pochwycić, ruszyła do drzwi, bo zgrzyty, jakie usłyszeliśmy, świadczyły o tym, że przeklęta papuga zaczęła się już uczyć rozginać pręty klatki.

- Och, przestań wreszcie być taki niegodziwy i powiedz mi, kto cię tak urządził! - krzyknęła na koniec Helena.

Odpowiedziała jej swoim wrzaskiem Chloe: „Marek był niegrzeczny!"

No cóż, to akurat nie było prawdą.

LIII

Helena zdecydowała, że lepiej będzie, jak ona odwiedzi swoich rodziców, zanim senator z pałką wybierze się w odwiedziny do mnie.

Właśnie drzemałem, kiedy wydało mi się, że słyszę jak wraca. Leżałem cicho, dopóki nie weszła do sypialni, i zawołałem:

-To ty?

-Na Junonę! Tak, to ja... ależ mnie przestraszyłeś! - usłyszałem, ale to nie był j e j głos!

Seweryna Zotyka.

Natychmiast usiadłem. Miała na ramieniu papugę, co oznaczało, że zwiedziła już biuro, gdzie trzymaliśmy klatkę z ptakiem. Zastanawiałem się, czy te małe stopki zdążyły już ją ponieść do pokoju Heleny. Zmysł powonienia powinien był ją przywieść od razu do mnie, bo Helena była zagorzałą zwolenniczką nieustannego stosowania okładów z kozieradki (w przeciwieństwie do Petroniusza, który oczyściwszy rany i przyłożywszy swoje balsamy, w zasadzie przestawał się nimi interesować).

Zotyka stanęła jak wryta na widok mojej pokiereszowanej twarzy.

- Och nie! Falkonie, co ci się stało?
- Appiusz Pryscyl.

Przejęta natychmiast znalazła się przy **łóżku.**

- Ależ tobie potrzebna jest opieka...

- Nie brak mi opieki.

Omiotła wzrokiem moją postać. Od razu dotarło do niej, że pomimo tygodniowego zarostu jestem czysty, uczesany oraz obłożony poduszkami i obstawiony miseczkami z figami niczym jakiś orientalny władca. Moje zadrapania i opuchlizna wciąż robiły wrażenie, choć ich stan już się nie pogarszał; bandaże miałem zdjęte, żeby dopuścić powietrze, i nałożoną świeżą tunikę... nie ze względu na przyzwoitość, ale żebym przestał co chwila obmacywać sobie guzy i strupy, sprawdzając postępy gojenia.

- Matka? - spytała ostrym głosem Seweryna.

- Przyjaciółka - oznajmiłem, nie chcąc, by wiedziała, o kogo chodzi.

Wydawało mi się, że skóra na twarzy Seweryny się nagle napięła. W tym momencie papuga zaszczebiotała cichutko, więc pogłaskała ją po szarych piórach szyi.

- Okłamałeś mnie, Falkonie... w sprawie tej papugi... i w sprawie swojej przyjaciółki też.

- Bynajmniej.

- Powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem. W tamtym momencie była to prawda. Chloe jest rzeczywiście świetną towarzyszką dla mojej przyjaciółki. Obie mają wybuchowy temperament. Sądzę, że się wzajemnie poskramiają... - mówiłem. Zauważyłem, że moje żarty nie robią na niej szczególnego wrażenia. - Przepraszam, że się nie kontaktowałem, ale nie wychodziłem ostatnio z domu. Czym mogę ci służyć?

-Jeden z moich niewolników usłyszał plotki, że Ap-piusz Pryscyl kazał cię pobić, więc oczywiście przybiegłam tutaj... nie miałam pojęcia, że będzie aż tak źle!

-Jest już lepiej. Nie ma się co przejmować.

Wyplatany fotelik Heleny stał przy łóżku, więc gestem wskazałem, by usiadła.

- Miło mi mieć gościa - oświadczyłem uprzejmie. At mosfera była napięta i chciałem ją nieco rozluźnić.

-Więc gdzie jest twoja opiekunka? - spytała z nachmurzoną miną.

- Helena? - rzuciłem. Irytowała mnie ta dociekliwość, ale rozciągnięty wygodnie na własnym łożu nie miałem najmniejszej ochoty na kłótnie. Rudowłosa miała najwyraźniej silnie rozwinięty instynkt posiadania i zachowywała się jak dziecko, które nie wie jeszcze, co to samokontrola, i automatycznie wyciąga rękę po zabawkę innego dziecka. - Helena Justyna udała się do swojego ojca, który przypadkiem jest senatorem, by mu wyjaśnić, dlaczego jeszczę nie pojawiłem się przed jego obliczem z przeprosinami za porwanie mu szlachetnie urodzonego dziecka.

- Wprost brak mi słów, ty hipokryto... przecież ty czyhasz na jej pieniądze!

- Och, już raczej ona na moje. Mam wielki problem, żeby utrzymać ją z dala od moich rachunków!

Ludzie jakoś nigdy nie wierzą, kiedy mówisz im prawdę.

Zapadło milczenie. Czułem się jeszcze zbyt kiepsko, by mogła obchodzić mnie drażliwość innych.

- Co tam masz, Falko? - zainteresowała się. Zobaczyła na łóżku tabliczkę.

- Dzisiejszy dzień miał być nudny. Zostałem tu z zadaniem napisania wiersza. Pomyślałem sobie, że naskrobię satyrę o tym, jak nienawidzę papug.

- Cóż to za nieuprzejmy człowiek! - mruknęła Seweryna do papugi.

- Cóż to za nieuprzejmy człowiek! — **odpowiedziała jej** natychmiast Chloe.

- Szybko się uczy! - zauważyłem.

Ani trochę nie speszona Seweryna **ponownie zwróciła** się do mnie.

- Czy to oznacza, że śledztwo utknęło w miejscu?

-Ach! Śledztwo... - zażartowałem, drażniąco lekceważącym tonem. Mogłem jej zadać kilka pytań, choćby o glazurę z białka czy wyrzucone ciastko. Postanowiłem jednak dać sobie spokój, zanim Seweryna zagmatwa sprawę za pomocą kolejnej porcji szybkich i łatwych odpowiedzi. Przyjąłem swój twardy, zawodowy ton. - Powinienem poleżeć w łóżku z tydzień - powiedziałem - ale będą mi musiały wystarczyć trzy dni. Jutro rano jest pogrzeb kuchmistrza Hortensjuszy, w którym chcę uczestniczyć.

Seweryna miała zakłopotaną minę.

- Co się stało Wirydowyksowi? - spytała. - Słyszałam, że zmarł, dość nagle. Czy ma to jakiś związek z tym, co się przydarzyło Nowusowi?

Uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Kucharz umarł we śnie.

- To dlaczego idziesz na jego pogrzeb?

- Po pierwsze dlatego, że go lubiłem. A także dlatego, że w ten sposób znajdę się blisko tego domu.

- Szukając tropów?

- Możliwe.

- Falkonie, czasami cię nie rozumiem! Przecież jestem twoją klientką. Po co ta tajemniczość?

- Nie ma w tym żadnych zawiłości. No dobrze. Uważam, że przydałoby się pokazać Hortensjuszom i prawdopodobnie za ich pośrednictwem ostrzec tego drania Pryscyla, że wbrew pogłoskom wciąż jestem zdolny do

działania - wyjaśniłem. Obejrzała sobie mnie, jakby miała niejakie wątpliwości. - Powiedz mi, czy spotkałaś kiedyś tego Pryscyla?

Zmarszczyła podejrzliwie brwi, choć tak naprawdę pytanie było niewinne i wynikało z mojej czystej ciekawości.

- Kiedy byłam żoną aptekarza, mieszkaliśmy na Eskwilinie niedaleko jego domu. A ostatnio, kiedy sprawy między nim i Nowusem mocno się pogorszyły, udałam się do niego osobiście. Odgrywałam rolę pośredniczki i zaniosłam mu zaproszenie na tę kolację...

- Nowus się na to zgodził?

- Oczywiście. Przecież inaczej bym tam nie poszła - żachnęła się. Skinąłem z powagą głową, rozbawiony jej zdecydowaną reakcją; jest rzeczą oczywistą, że żadna szacowna kobieta nie odwiedza mężczyzn. Ba, ale czy w ogóle takie są? -Jeśli to Pryscyl zabił mojego narzeczonego, to ja mu pomogłam! - stwierdziła. Miała dziwną skłonność do niedostrzegania ironii losu.

- Uspokój się - rzuciłem. - Wojna o nieruchomości już się szykowała na długo przedtem, nim ty się do tego wszystkiego włączyłaś. A teraz to ja stałem się celem Pryscyla, kiedy poczuł się zawiedziony. Sądzę, że Hortensjusz Nowus trafiłby do Hadesu niezależnie od tego, co ty byś uczyniła.

- Myślisz, że to Pryscyl? Czy zaatakował cię dlatego, że miałeś jakieś dowody?

- Pryscyl zapewne zabiłby Nowusa, gdyby wiedział, że ujdzie mu to na sucho. Jeszcze nie jestem tego pewien. W tej chwili stawiam na Pollię i Atylię... - snułem przypuszczenia.

Wyglądała na zadowoloną z takiej możliwości, jak zresztą byłaby każda kobieta.

Zaczynałem się już martwić, dlaczego Helena tak długo nie wraca. Tęskniłem, kiedy wychodziła z domu. Powiedziałem Sewerynie, że może poczekać i ją poznać.

- Nie, właśnie byłam w drodze do łaźni... - wyjaśniła. A niby wybrała się specjalnie po to, żeby mnie zobaczyć! Nakłoniła papugę, żeby wskoczyła na słupek w nogach łóżka. - Wybierasz się na pogrzeb kucharza. Tak naprawdę, to ciągle nie wiem dlaczego... - Zamilkła, jakby tak do końca nie bardzo mi ufała. Popatrzyłem na nią spode łba, a ona nie takiej reakcji się spodziewała. - Przyjdziesz potem do mnie? - zapytała.

- Jeśli życzysz sobie tego, pani.

Przed odejściem powiedziała, żebym o siebie dbał (chociaż ustaliliśmy już wcześniej, że robi to ktoś inny), po czym, w ostatniej chwili, nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

Głowę dam, że chciała, bym wciągnął ją do łóżka. Niektórzy nie mają najmniejszego szacunku dla niepełnosprawnego.

- Nareszcie sami! - westchnąłem do papugi.

- Dekolt większy od plaży w Bajach! - odparła Chloe, podtrzymując konwersację.

h Wziąłem się do pisania poezji.

Potem zabrałem się do myślenia.

Każdy, kogo by zbito na kwaśne jabłko z polecenia Appiusza Pryscyla, doszedłby do wniosku, że to już zupełnie wystarczy, by oskarżyć go o wszystkie nie rozwiązane przypadki śmierci w tym miesiącu. Ja nie byłem tego

taki pewien. Kolejność wydarzeń wydawała mi się nielogiczna. Hortensjusz Nowus zaprosił Pryscyla na kolację, obiecując mu pakt; aż do końca tamtego wieczoru gość nie mógł wiedzieć, że Nowus ostatecznie odrzuci fuzję. Po co mordować go, kiedy sprawy rysują się różowo?

To rzucające się w oczy ciastko pasowało do sposobu myślenia kobiety. Takie oczywiste i wulgarne. Mnie wydawało się aż nazbyt oczywiste... jednak zbrodnie często są popełniane w beznadziejnie niedorzeczny sposób. Zakładamy, że przestępcy są bystrzy i przebiegli. Rzeczywiście, czasami głupcom się upiecze, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogliby wpaść na tak kretyński pomysł. Ze mną było inaczej. Po pięciu latach doświadczeń w rzemiośle detektywa byłem gotów uwierzyć we wszystko.

Za długo rozmyślałem.

- Powiedz wreszcie, kto to zrobił! - wrzasnęła Chloe.

Cisnąłem w nią butem, akurat gdy weszła Helena. Chichocząc, natychmiast wybiegła.

- Jak się miewa twój ojciec? - krzyknąłem za nią.
- Chce z tobą porozmawiać.
- Tak też myślałem!

Zajrzała przez zasłonę w drzwiach i obdarzyła mnie uśmiechem, który powinien był mnie ostrzec, że mam się przygotować na coś jeszcze gorszego.

- Mówiąc ściśle, matka też...

Helena Justyna oceniła, że Fałkowa Satyra 1,1 *{Pozwól, Lucjuszu, że podam ci sto powodów, dla których nienawidzę tej papugi...)* to jak dotąd mój najlepszy utwór.

Takie to już moje szczęście.

LIV

Przestrzegam zasady, by nigdy nie chodzić na pogrzeby ludzi, których sam zabiłem. Wydawało mi się jednak rzeczą uczciwą uczynić wyjątek dla kogoś, kogo uśmierciłem przypadkiem.

Helena wciąż sypiała w drugim pokoju, na sofie do czytania, pod kiepskim pretekstem, że dzięki temu szybciej dojdę do siebie. Musiałem coś zrobić w tej sprawie. Już się cieszyłem, obmyślając różne sposoby na zmianę tego stanu rzeczy.

Wstałem, nie robiąc hałasu. Już poprzedniego dnia ubrałem się i kręciłem po domu, żeby sprawdzić swoją kondycję, jednak wyjście na dwór było czymś poważniejszym. Pierwszy raz od czasu, kiedy odniosłem obrażenia, zrobiłem sobie sam poranny napój; dałem wodę zaspanej papudze i znowu rozejrzałem się gospodarskim okiem (zauważyłem, że szczelina w ścianie się powiększa). Zaniosłem kubek Helenie. Kryjąc niepokój, udawała, że jeszcze nie całkiem się obudziła, choć wystawiła spod nakrycia kawałeczek policzka, bym mógł ją pocałować na do widzenia...

- Uważaj na siebie... - wyszeptała.

- Ty też.

Na uginających się nogach zszedłem po schodach, po czym zobaczyłem, że nosiwoda zagapił się na moje siniaki,

więc wdrapałem się na górę po kapelusz. Na wypadek gdyby Helena usłyszała kroki i się przestraszyła, wsadziłem do jej pokoju głowę, by wiedziała, że to ja.

Pokój był pusty.

Zdziwiony zacząłem się rozglądać po mieszkaniu. Panowała kompletna cisza, nawet papuga się nastroszyła i spała dalej.

Odsunąłem zasłonę do swojej sypialni. Jej kubek z gorącym napojem miodowym stał obok wezgłowia, pośród rozrzuconych przeze mnie piór, monet i grzebieni, a Helena leżała w moim łożu. Musiała pobiec tam i zwinąć się w miejscu, w którym wcześniej leżałem, natychmiast po moim wyjściu.

Spoglądała na mnie swoimi brązowymi oczyma niczym bezczelne psisko, które wpakowało się do łoża pana natychmiast po jego wyjściu.

Nawet nie drgnęła. Pomachałem wyjaśniająco kapeluszem, zawahałem się, w końcu jednak podszedłem, żeby raz jeszcze pocałować ją na do widzenia. Odnalazłem ten sam policzek... kiedy już się odsuwałem, otoczyła ramionami moją szyję i nasze usta się spotkały. Zesztywniałem. I wtedy ta krótkotrwała niewiadoma przeobraziła się w pewność: to było tamto dawne, zdecydowane zaproszenie ze strony Heleny... moja upragniona kobieta dawała mi do zrozumienia, że pragnie mnie...

Oderwałem się od niej.

- P r a c a ! - jęknąłem. Nikt nie poczeka z pogrzebem kucharza ze względu na mnie.

Helena uśmiechnęła się, nie cofając ramion, podczas kiedy ja bez przekonania usiłowałem się uwolnić, a moje ręce jednocześnie z coraz większym zapałem zaczynały błądzić po jej ciele. W jej oczach dostrzegłem tyle mi-

łości i obietnicy, że gotów byłem zapomnieć **o całym** świecie.

- Praca, Marku... - przypomniała mi.

Pocałowałem ją raz jeszcze.

- Myślę, że już czas - szepnąłem z ustami przy jej ustach - bym zaczął wracać do domu na posiłek, jak przystało na porządnego rzymskiego obywatela...

Tym razem ona zamknęła mi usta pocałunkiem.

- Zostań tu - powiedziałem po chwili. - Nie ruszaj się z tego miejsca... i czekaj na mnie!

LV

Tym razem, kiedy dotarłem na parter, robotnicy budowlani wyładowywali właśnie narzędzia z ręcznego wózka. Napawający nadzieją widok. Jeśli gospodarz sprowadził wreszcie ekipę wykończeniową, to może niedługo pojawią się też nowi lokatorzy. I wtedy wreszcie to miejsce pozbędzie się atmosfery mauzoleum. A kiedyś - choć pewnie nie dzisiaj! - może nawet uda mi się namówić tych majstrów, żeby wcisnęli trochę włosia i tynku w szczelinę w naszym mieszkaniu.

Czułem się dobrze. Mimo że szedłem na czyjś pogrzeb, moje własne życie nabierało rumieńców.

Mieliśmy wrześniowe kalendy. W Rzymie dni były wciąż upalne do samego wieczora, choć w północnych prowincjach cesarstwa - na przykład w Brytanii, gdzie służyłem w armii, a potem poznałem Helenę - rankiem o tej porze roku panuje już przenikliwy chłód, a późnym popołudniem już zapada wróżący nadejście długiej zimy mrok. Nawet tutaj nastąpiła jakaś zmiana atmosfery. Czułem się jak obcy. Ogarnął mnie ten niepokojący nastrój, jakiemu ulegają ludzie wychodzący po raz pierwszy z domu po chorobie. Wydawało mi się, jakby przez te kilka dni mojej nieobecności na ulicach miasto przeżyło całe stulecia.

Czułem, że jeszcze nie jestem w formie. Powietrze

okazało się dokuczliwe dla mojej wydelikaconej skóry. Dezorientował mnie zgiełk miasta. Dźwięki i kolory wysyłały ostrzegawcze sygnały do mózgu. Jednak pierwszy prawdziwy wstrząs tego dnia przeżyłem, kiedy wynajęty przeze mnie osiołek wdrapał się na zbocze wzgórza, a moim oczom nie ukazał się stragan Minniusza.

Nie pozostało po nim ani śladu. Kramik, daszek, łakocie, wszystko zniknęło. Nawet piec rozebrano. Ktoś zmiótł z powierzchni ziemi stanowisko pracy ulicznego sprzedawcy.

W rozległej posiadłości Hortensjuszy dym z przenośnego ołtarza wskazał mi kierunek prowadzący do miejsca ceremonii pogrzebowej. Z rezydencji ciągnął jeszcze pochód domowników; stanąłem z boku, kiedy zbierali się pośród pinii. Wirydowyks miał się znaleźć w doborowym towarzystwie. Wzgórze Pincius chlubiło się bowiem zaskakująco gustownym pomnikiem cesarza Nerona.

Ceremonia przebiegła bardzo spokojnie. Sensacje przy marach to tandetny chwyt epickich poetów. Byłem teraz satyrykiem, więc nie oczekiwałem niespodzianek; my, satyrycy, jesteśmy realistami.

W swoim greckim kapeluszu o szerokim rondzie i w czarnym płaszczu, który wkładam przy takich okazjach, przemykałem się między żałobnikami. Może nie pozostałem niezauważony, ponieważ powszechnie wiadomo, że podczas pogrzebów połowa rozgląda się w poszukiwaniu należących do rodziny znakomitości. Ci bystroocy, wypatrujący dawno nie widzianych braci przyrodnich, już dawno by odkryli, że jestem nieznaną osobą, której obecność będzie potem można przez parę godzin roztrząsać.

Krepito, Feliks i ich żony pokazali się na krótko, kiedy lojalnego sługę odsyłano bez zbędnego zamieszania w zaświaty. Woń słodkich olejków była miła, ale nie przytłaczająca. Zamówiono tabliczkę, by ją wmurować w otaczający posiadłość wysoki mur. Zauważyłem, że zakupili ją i poświęcili pamięci zmarłego nie jego panowie, tylko służba.

Złożywszy krótko wyrazy szacunku przy płonącym ogniu, Hortensjusze udali się do swoich zajęć; prawdopodobnie popędzili na targ niewolników, żeby kupić sobie nowego kucharza.

Zsunąłem kapelusz na tył głowy, pozwalając się rozpoznać Hiacyntowi, stojącemu obok zarządcy. Kiedy płomienie strzeliły w górę, zamieniliśmy parę zdań.

- Falko, wciąż wyglądasz tak, jakby twoje miejsce było tam na stosie razem z nim!

- Po czterech dniach, jakie przeżyłem na galaretce z winogron polanej mlekiem może mnie porwać silniejszy powiew wiatru. Miałem nadzieję poprawić sobie humor jakimś ponczowym ciastkiem... co się stało z Minniuszem?

- Jakieś kłopoty z dzierżawą miejsca pod stragan. Feliks unieważnił umowę i go stąd wykopał.

- Dokąd Minniusz się przeniósł?

- Kto wie?

Teraz, kiedy właściciele się ulotnili, zauważyłem, że wśród niewolników panuje zła atmosfera. Śmierć kucharza wywołała pogłoski, mimo że Hortensjusze uznali sprawę za wyciszoną.

- Złe wrażenie zrobiło pochowanie Nowusa w daw nym podniosłym stylu... podczas gdy biedny poczciwy Wirydowyks musiał czekać na balsamistów wiele dni, a te raz ceremonię pogrzebową skrócono do minimum. Był

niewolnikiem... ale oni też kiedyś nimi **byli! - narzekał** Hiacynt.

- Taka z nich rodzinka! - zauważyłem.

Hiacynt przedstawił mi zarządcę domu, nerwowego typka ze spiczastymi uszami, który już wcześniej zerkał na mnie z zaciekawieniem.

- Witam! Jestem Falko. Tamtego wieczoru, kiedy zmarł, popijałem z Wirydowyksem wino i prowadziłem ciekawą rozmowę, dlatego tu jestem. Czy mogę cię o coś zapy tać? - rzuciłem. Robił wrażenie nieśmiałego, ale mnie słuchał. - Rozmawiałem z nim o przyjęciu. Powiedział, że wszystko poszło gładko... - ciągnąłem. - Nie mając po zwolenia rodziny, musiałem działać szybko i ostrożnie. - Czy wiesz, co się działo po kolacji?

Powiedział, że pozostał wtedy na stanowisku, gotów na wezwanie, kiedy reszty służby już się pozbyto. Miał dość klasy, by wiedzieć, że powinien zachować dyskrecję, ale przecież był tylko człowiekiem i korciło go, żeby podzielić się tym, co wie.

- Doszło do kłótni - wykrztusił.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu Nowusa!

- Czyli co... dał reszcie towarzystwa do zrozumienia, że nie dojdzie do tego połączenia, na które mieli nadzieję?

- Zgadza się. Odmówił udziału w grze. Mogli sobie wrzucić kości z powrotem do woreczka...

A więc to tak. Wciągnąłem z sykiem powietrze przez zęby.

- Kiedy potem Nowus wyszedł, zostawiając Feliksa i Krepitona z Pryscylem, czy ci trzej nie zaczęli się naradzać? Nie poklepywali się potem przyjacielsko, kiedy żegnali Pryscyla? - drążyłem.

- Gdyby kto pytał... - zniżył głos - ...to Krepito i Feliks już dawno zawarli układ z Pryscylem.

- Bez wiedzy Nowusa - zauważyłem. Potem mnie olśniło. - Nie... nie, wcale nie tak! Nowus w i e d z i a ł !

To wyjaśniało wszystko... jego partnerzy oraz Pryscyl sądzili, że zaprosił ich na kolację, żeby się dogadać i usunąć różnice... jednak w rzeczywistości Nowus przygotował mściwą niespodziankę: kiedy zamknięto drzwi i rozmowa stała się poufna, przyznał, że wie o wcześniejszych konszachtach... i że zamierza poślubić Zotykę i wycofać się z wieloletniej spółki, prawdopodobnie wyprowadzić po ślubie... i poprowadzić dalej interes samodzielnie. Musiało to przerazić Feliksa i Krepitona... bo nie tylko straciliby własny udział w imperium Hortensjuszy, ale przestaliby być interesującymi partnerami dla Appiusza Pryscyla. A nie był to człowiek, który wziąłby sobie jakieś niedołęgi na wspólników. Stali się zupełnie zbędni!

- Feliks i Krepito musieli nieźle trząść tyłkami... jak przyjął to Pryscyl? - indagowałem.

- Zaskakująco spokojnie - oświadczył zarządca.

Do tego momentu jakoś trzymałem się na nogach, ale nagle organizm dotkliwie mi przypomniał, że jest to mój pierwszy dzień poza domem. Podekscytowanie i żar bijący od stosu dały mi się we znaki i poczułem, że za chwilę zwalę się na ziemię. Zamilkłem. Musiałem się skoncentrować na pokonaniu nagłego przypływu słabości.

Zarządca uznał, że już dość zrobił tego dnia dla prawdy i sprawiedliwości; czułem, że zaczyna się przede mną zamykać.

Nasza niewielka grupka żałobników obserwowała ostat-

ni wybuch pachnących płomieni, kiedy Wirydowyks odchodził, zgodnie z rzymskim obrządkiem, do swoich dalekich bogów.

- Był księciem! - wyszeptałem. - A jednocześnie odda nym swej pracy kucharzem. Prawdziwym kuchmistrzem. Spędziliśmy razem ostatni wieczór jego życia, tak jakby mógł to sobie wymarzyć każdy kucharz... przy dobrym trun ku podebranym państwu. - Westchnąłem na wspomnienie tamtego smaku. - Gdybym wiedział, co to było za wino, kupiłbym sobie amforę i wypił za pamięć Wirydowyksa...

-No to możesz zapytać tego tutaj... - Mężczyzna zatrzymał jakiegoś młodzieniaszka, który podchodził do stosu, by złożyć płynną ofiarę. Jego zapuchnięte oczy wskazywały na to, że nie jest rannym ptaszkiem. - Galenus zawiaduje piwniczką...

- Dzięki! Galenusie, czy możesz mi powiedzieć, jaką odmianę falerna pili Krepito i Feliks... czy przypadkiem nie Faustianum?

- Falerneńskie? - Wyprostował się. - W żadnym razie nie u nas! Musisz mieć na myśli Setinum, uważają je za najlepsze... to jedna z ich fanaberii.

Rzeczywiście, właśnie to wino Wirydowyks umieścił na swojej liście.

- Czy jesteś pewien, że nie zrobiłeś wyjątku na tę niezwykłą okazję? Było tam pewne wyborne wino tej nocy, kiedy zmarł twój pan. W błękitnej flaszce ze srebrnym połyskiem...

- Na pewno takiej nie wystawiałem - oświadczył zdecydowanym tonem młodzieniec.

- Mieliśmy polecenie, by wszystko wyglądało efektownie - potwierdził zarządca. - Złote dzbany, naczynia wysadzane klejnotami i takie tam.

- Nie ma takiej butelki, o której mówisz - zapewnił mnie Galenus. - Nawet chyba nigdy takiej nie widziałem.

- Nie wróciła do ciebie, do spiżarni?

- Nie, jestem tego pewien. Mam oko na wymyślne szkło, bo panie życzą sobie, by popołudniowe trunki podawać im elegancko.

- To bardzo ciekawe! - powiedziałem. - Zastanawiam się, czy ktoś może przyniósł taki prezent.

- Pryscyl - wtrącił się inny młody człowiek, z pucołowatą, rumianą twarzą, który pilnie przysłuchiwał się naszej rozmowie. - To Pryscyl przyniósł tę połyskującą błękitną butelkę. Widziałem, bo zajmowałem się zdejmowaniem im sandałów przed samą ucztą - wyjaśnił.

Uśmiechnąłem się do rudzielca.

-1 była tam do kompletu miseczka z takiego samego szkła?

Nie wahał się ani chwili.

- Och, ta była w torbie, odłożonej na bok razem z je go płaszczem. Kiedy odchodził, przypomniał sobie nagle o niej i popędził z powrotem, żeby postawić tę miseczkę na stoliku obok butelki. Przyniósł nawet trochę mirry w małym woreczku, którą wsypał do miseczki, żeby pre zent był pełny...

Cóż za wzruszająca skrupulatność. Z trudem kryłem podziw: prawdziwie modelowy gość!

LVI

Rozejrzałem się za pomywaczką Anteą. Dopiero płonący stos uzmysłowił jej, że kuchmistrz na dobre rozstał się z tym światem i dziewczyna o ziemistej twarzy łkała w objęciach dwóch przyjaciółek, jak to jest u nastolatek w zwyczaju. Miałem ochotę zadać jej kilka pytań, ale dałem sobie spokój.

Na krótko przed ostatecznym rozwianiem się dymu zobaczyłem znajomą postać, zbliżającą się od stróżówki przy bramie. Był to jeden z niewolników Seweryny.

- Ona chce, żebyś przyszedł na obiad - oznajmił ciołek bez najmniejszych wstępów.

- Dzięki, ale jestem zajęty.

- Jej się to nie spodoba! - burknął.

Miałem dość zachcianek jego pani, jednak żeby się go pozbyć, powiedziałem, że jeśli będę mógł, to odwołam inne, umówione wcześniej spotkanie (czego nie miałem najmniejszego zamiaru robić). Potem zarzuciłem na ramię połę czarnego płaszcza i wbiłem wzrok w stos niczym żałobnik pogrążony w melancholijnych rozmyślaniach nad przemijaniem życia, nieuchronnością śmierci, sposobem unikania Furii, ułagodzenia Parek (i nad tym, w jaki sposób taktownie się stamtąd ulotnić...).

Kiedy niewolnik się wyniósł, rzuciłem swoją girlandę i wylałem olejek, powiedziałem kilka słów do duszy kuch-

mistrza, po **czym zabrałem wynajętego** osiołka i oddaliłem się stamtąd.

W miejscu, w którym stał przedtem stragan ze słodyczami, zwolniłem, zastanawiając się, co robić. Pracowałem dla Seweryny po to, by móc ją obserwować jako osobę podejrzaną. Czas było zdecydować, na czym tak naprawdę stoję.

A przecież zaczynało to wyglądać tak, jakby teorie Seweryny na temat śmierci Hortensjusza Nowusa były trafne. Próbował tego Pryscyl, po tym jak Nowus zajął tak nieprzejednane stanowisko. I najwyraźniej albo Pollia, albo Atylia odpowiedzialne były za inną próbę, tę z zatrutym ciastkiem.

Jak dotąd tylko jedno było oczywiste: Pryscyl podrzucił zatrute przyprawy, które zabiły Wirydowyksa. To morderstwo usunęło kluczowego świadka wszystkiego, co działo się tego dnia w kuchni... ale przecież do tego morderstwa doszło przypadkiem. Gdybym tego wieczoru z powodów profesjonalnych nie zawędrował do jadalni, Wirydowyks też by tam nie poszedł. Tego nikt nie mógł zaplanować. Nieszczęsny Gal padł ofiarą zbiegu okoliczności.

Z oczywistych i istotnych powodów chciałem pomścić śmierć kucharza. Z równie istotnych społecznych powodów dokonanie tego było mało prawdopodobne.

To prawda, miałem dość dowodów, by poprosić sędziego o postawienie Pryscyla w stan oskarżenia. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: Wirydowyks był niewolnikiem. Gdybym wykazał, że Pryscyl go zabił - zresztą niechcący -i sprawa dotarłaby do sądu, nie byłby to proces o morderstwo, ale co najwyżej oskarżenie cywilne, wniesione przez

Hortensjuszy w związku ze stratą własności. Żaden sąd nie oceniłby wysoko galijskiego jeńca wojennego; kucharza, i to nawet nie Aleksandryjczyka! W najlepszym razie dwieście sestercji.

Pozostała mi tylko możliwość pomszczenia Wirydowyk-sa pośrednio, poprzez udowodnienie, jaką śmiercią umarł jego pan, tak by t a m t e n winowajca za to odpowiadał. Niestety, wiedziałem jedynie, co się nie wydarzyło. Mogłem wskazać osoby, które miały powody do zabójstwa, jednak same motywy, w tych naszych oświeconych czasach, nie były wystarczającą podstawą, by kogokolwiek oficjalnie oskarżyć. Ich próby zabójstwa okazały się bezskuteczne. Nie było podstaw do oskarżenia.

Została mi jeszcze Seweryna Zotyka. Seweryna, która miała oczywisty motyw, kiedy Nowus zdecydował się ją poślubić... ale motyw stracił rację bytu, gdy narzeczony zmarł, zanim jeszcze zawarto kontrakt ślubny.

Może miała jakiś inny motyw. Jeśli tak, to nie potrafiłem go odkryć.

Dlaczego pogrzeby wywołują w nas taki wilczy apetyt? Przestałem myśleć o życiu, śmierci i karze. Jedyne, co mi się kołatało po głowie, to nieodżałowanej pamięci smakowite ciastka.

Cóż to za niedorzeczność pozbywać się dobrodziejstwa, jakim był ten kramik dla miejscowej społeczności. Min-niusz pozostałby skarbem dla okolicy niezależnie od tego, jaki by płacił czynsz. Usuwając go, Hortensjusz Feliks rozsławił zapewne swoje imię w całej okolicy jako synonim bezmyślnego zniszczenia. Cóż, właściciele nieruchomości są do tego przyzwyczajeni. Kto wie, co się kłębi w zwy-

rodniałym mózgu człowieka wynajmującego komuś kawałek terenu? Choć akurat w tym wypadku odpowiedź była oczywista: Minniusz za dużo wiedział. Wiedział, kto kupił ciastka na przyjęcie.

Była to wiedza niebezpieczna. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby sprzedawca słodkich rarytasów pożegnał się już ze światem żywych. Być może pewnej ciemnej nocy po otruciu Hortensjusza Nowusa złowrogie postaci zbiegły cichaczem po zboczu od strony rezydencji wyzwoleńców, zatłukły nieszczęsnego króla łakoci podczas snu i zakopały ciało w płytkim grobie, w miejscu, w którym stał wcześniej jego już zrównany z ziemią piecyk i stragan... Nie. Chyba jeszcze nie całkiem wyzdrowiałem i majaczyłem. Jeden rzut oka wystarczył, by się przekonać, że ziemia pozostała tutaj nienaruszona. (Byłem wnukiem ogrodnika... co więcej, służyłem w armii; armia nauczy człowieka wszystkiego, co trzeba wiedzieć o skopanej ziemi na wrogim terenie). Po upalnym rzymskim sierpniu rzucałoby się w oczy, gdyby ktoś spróbował poskrobać ten wysmażony słońcem stok. Tylko słońce potrafiło rozewrzeć ogromne szczeliny, w których mrówki uwijały się jak szalone z jakimiś drobinami, podczas gdy rozsądne jaszczurki leniwie wygrzewały się w słońcu. Jedynie koła i kopyta dotknęły powierzchni tej drogi.

Możliwe, że Minniusz nie żyje, ale jeśli nawet, to i tak nigdzie tu nie leży. A jeśli go tutaj nie ma, to przy braku innych dowodów równie dobrze mogę mieć nadzieję, że wciąż żyje.

Zatem dokąd mógł się udać? Przypominałem sobie rozmowy z nim i pomyślałem, że być może sam udzieli mi odpowiedzi na to pytanie: „...W tych czasach sprzedawałem w magazynach portowych nadTybrem pistacje prosto z tacy..."

Skierowałem osiołka w **dół stoku i ruszyłem w drogę** przez Rzym.

Odnalezienie go zajęło mi godzinę, ale skoro mi się to udało, nie była to godzina zmarnowana.

Słynne magazyny, Emporium, leżą po miejskiej stronie Tybru, w cieniu Awentynu. Jest to najważniejsze miejsce wymiany handlowej towarów zwożonych do Italii drogą morską, najprościej mówiąc, największe, najbardziej fascynujące targowisko w cesarstwie... centrum światowego handlu. Można tutaj kupić wszystko, od fenickiego szkła do galijskiej dziczyzny, indyjskie rubiny, brytańską skórę, arabski pieprz, chiński jedwab, papirus, marynowane ryby, porfir, oliwki, bursztyn, sztaby cyny i miedzi albo bele wełny w kolorze miodu; a z samej Italii wszystkie rodzaje cegieł, dachówek, ceramicznych naczyń, oliwę, owoce i wino, jakie tylko można sobie wymarzyć... pod warunkiem że jest się przygotowanym na zakup hurtowy. Nie ma sensu prosić sprzedawcy, by wybrał dla nas ładną gałkę muszkatołową; trzeba wziąć od razu dwadzieścia baryłek albo szybko się wycofać, by nie podkreślił sarkastycznej uwagi kopniakiem. Na zewnątrz stoją kramy dla tych, którzy marnują czas, wybierając coś smakowitego na posiłek dla rodziny.

Znałem to przepaściste wnętrze magazynów, znałem nabrzeża, przy których lekkie łodzie czekały na swoją kolejkę, oraz stanowiska wyładunkowe dla skrzypiących wozów, które przybywały lądem z Ostii, odkąd byłem berbeciem sięgającym Macedończykowi, lokatorowi mojej matki, do kolan. Znałem tam więcej ludzi niż mój szwagier, Gajusz Bebiusz, choć to on pracował w urzędzie

celnym (gdyby nie katastrofa, jaką było poślubienie go przez moją siostrę, to czy ktoś miałby w ogóle ochotę znać Gajusza Bebiusza?). Wiedziałem nawet, że chociaż miejsce zawsze było zapchane towarem i zawsze prosperowało, to gdy zawijały do portu te właściwe statki, działo się jeszcze lepiej. Obowiązywały tam te same zwyczajne zasady regulujące ludzkie życie: jeśli akurat wpadłeś po ten marmur o szczególnym różanym odcieniu, poleconym przez architekta do twojego odnawianego atrium, mogło się zdarzyć, że ostatnie płyty sprzedano dzień wcześniej jakiemuś piekarzowi, który budował sobie szpetne mauzoleum, a kiedy należy oczekiwać kolejnej dostawy, legacie... zależeć będzie od kamieniołomu i transportu, i wiatrów, i szczerze mówiąc, któż to może wiedzieć? A jak kupisz sobie na pociechę flakonik syryjskich pachnideł... to upuścisz go na progu domu.

Zostawmy to jednak. M o j a wyprawa zakończyła się sukcesem.

Główny budynek magazynów jak zwykle roił się od tragarzy i panował w nim niemiłosierny harmider. Przepychanie się przez ten hałaśliwy bazar nie było najlepszym zajęciem dla rekonwalescenta. A mimo to go znalazłem. Spadł poniżej statusu właściciela straganu, ale nie aż na poziom tej dawnej tacy; teraz sprzedawał zza kamiennej lady, choć, jak mi się przyznał, musiał wypiekać swoje wyroby w publicznej piekarni.

- Więc dlaczego Feliks się ciebie pozbył?

- To Nowus przepadał za słodyczami - odparł ostrożnie Minniusz.

- Och, dobrze to wiem! Pracuję nad teorią, że to właśnie apetyt na słodkie przysmaki go wykończył... - Zamilkłem. Lepiej nie dawać mu do zrozumienia, że to on sprzedał

ciastka, które spowodowały otrucie... nawet jeśli ktoś inny umieścił w nich truciznę. - Jak ci tu idzie?

- Och, czuję się jak u siebie. Już dawno należało tu wrócić. Powtarzałem sobie, że nie powinienem stamtąd odchodzić, bo stworzyłem sobie niezły interes, ze stałą klientelą, ale przecież klientów równie szybko można zdobyć tutaj.

- Lubisz ten tumult. Na wzgórzu Pincius nawet pchły zadzierają nosa - zażartowałem. Minniusz sprzedawał właśnie tragarzowi ogromny kawał ponczowego ciasta. - Zatem... mam trzy pytania, mój przyjacielu, potem dam ci spokój! - obiecałem. Skinął głową. Ludzie lubią wiedzieć, ile czasu im się zabiera. - Pierwsze: powiedz mi o tej partii ciastek, którą wysłałeś do rezydencji Hortensjuszy tamtego wieczoru, kiedy zmarł Nowus. Dostałeś jakieś konkretne instrukcje czy wybór pozostawiono tobie?

Twarz mu nieco stężała. Domyślałem się, że ktoś kazał mu milczeć, ale on mimo to postanowił mi powiedzieć.

- Dzień wcześniej przyszedł posłaniec i złożył zamówienie na siedem luksusowych ciastek... na mieszankę mojego wyboru. Jednak po południu przyszedł ktoś inny i dobrał jeszcze jedno.

- O wiele większe od tych przygotowanych przez ciebie - powiedziałem cicho. - Miało się znaleźć pośrodku tacy, dla lepszego efektu. Rzeczywiście wywołałoby efekt! - oświadczyłem, pozwalając Minniuszowi domyślić się dlaczego. - Stąd pytanie drugie: kto wybrał to dodatkowe ciastko, Minniuszu?

W myślach stawiałem na dwie osoby. Okazało się, że w obu wypadkach bym przegrał. Nie mrugnąwszy okiem, Minniusz odparł:

- Hortensja Atylia.

Ta potulna. To zupełnie nieoczekiwany prezencik. Zastanowiłem się nad implikacjami.

- Dzięki - powiedziałem.

- A trzecie pytanie? - poganiał mnie. Za **moimi** plecami zdążyła się już uformować kolejka.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Trzecie pytanie brzmi: ile zapłacę za te dwa nadziewane rodzynkami ciastka w kształcie gołąbków dla mnie i dla mojej wyjątkowej damy?

- Jak wyjątkowej?

- Bardzo.

- To muszę zaoferować ci wyjątkową cenę. - Zawinął dwa największe w liście winorośli i dał mi je gratis.

Włożyłem ciastka do kapelusza i wyruszyłem do domu, do tej wyjątkowej damy, która na mnie czekała.

Zostawiłem osiołka w stajni, z której go wziąłem, bo spodziewałem się spędzić jakiś czas w domu; nie chciałem pozbawiać zwierzę cienia, siana i towarzystwa. Poza tym nie znoszę płacić za przestoje.

Stajnie mieściły się tuż za rogiem ulicy, przy której mieszkaliśmy. Z tego rogu widać było całą moją kamienicę. Zachowywałem się niczym młodzieniec uszczęśliwiony swoją pierwszą miłością, rozglądający się z zachwytem po świecie. Spojrzałem nawet w górę, czego normalnie nigdy się nie robi przed swoim domem, bo człowiek myśli raczej o tym miejscu, z którego wraca, i szuka w zanadrzu pręta do podnoszenia zasuwki.

Słońce miałem nad sobą; oślepiało mi lewe oko. Zmrużyłem powieki i odwróciłem wzrok od swojej kamienicy. Potem jednak coś mi kazało znowu na nią spojrzeć.

To, co zobaczyłem, było dziwne. Osłoniłem oczy dłonią. Przez chwilę budynek zdawał się migotać, ale nie z powodu oświetlenia. Stałem niezbyt daleko, na ulicy panował spory ruch, ale nikt inny niczego nie zauważył.

Cały front mojej kamienicy zaczął się marszczyć, jak twarz człowieka, który wybucha płaczem. Budynek się zakołysał, po czym chwilę wisiał w powietrzu. Wszystkie siły, które utrzymują konstrukcję w pozycji pionowej, utraciły moc i przez chwilę każda poszczególna część utrzymywała się sama, dom zachowywał jeszcze swój kształt... a potem kamienica elegancko się złożyła, dziwnie oszczędnym ruchem zwinęła w sobie.

A wtedy ulicę wypełnił huk.

Niemal natychmiast spowił nas ogromny obłok kłującego i duszącego pyłu.

LVII

Najpierw zapanowała niewiarygodna cisza. Potem ludzie zaczęli krzyczeć.

Pierwsze, co człowiek musi zrobić, to zetrzeć z oczu pył. Otrząsanie go z siebie tylko pogarsza sprawę. Nie możesz się poruszać, dopóki nie będziesz widzieć. Twoje zmysły starają się zorientować w sytuacji.

Pierwsze słyszalne krzyki wydają ludzie na ulicy. Są przestraszeni i wstrząśnięci, ale odczuwają ulgę, że przynajmniej mają powietrze i mogą krzyczeć. Mogą też krzyczeć inni, spod gruzu, ale ich nie słychać, dopóki trwa panika i ktoś nie zacznie organizować pomocy. Zawsze taka osoba się znajdzie.

W Rzymie budynki zawalają się dość często, są więc z dawna ustalone procedury.

Wieść błyskawicznie rozchodzi się po okolicy; hałas jest jednoznaczny. Niemal natychmiast zbiegają się ludzie ze szpadlami i żerdziami do stemplowania. Za nimi pojawiają się inni, z wózkami, bosakami, taczkami wprost z budów, prowizorycznymi noszami, a czasem nawet z krążkiem i liną do podnoszenia ciężarów. Przybywają natychmiast, ale jednak nie dość szybko. Jeśli budynek był zamieszkany, ci, którzy są na miejscu, nie czekają. Zanim przybiegną ludzie z łopatami, zaczynają pracować gołymi rękoma. Z niewielkim skutkiem. Ale czy można stać i się przyglądać?

Moim jedynym zmartwieniem były dwa ciastka w kapeluszu, zasypane pyłem. Położyłem kapelusz na progu i przykryłem płaszczem. Ten czczy gest miał mi pomóc poradzić sobie z sytuacją.

Z o s t a ń t u... Nie ruszaj się z tego miejsca i czekaj na mnie!

Miałem wrażenie, że dotarcie do tego, co było naszym mieszkaniem, trwa cały rok. Inni szli ze mną. Nawet jeśli jesteś osobą obcą, robisz co w twojej mocy.

Chciało mi się krzyczeć; chciałem wyć. Nie śmiałem wymówić jej imienia. Ktoś jednak coś zawołał; po prostu dał znak, że tam jesteśmy. Potem się zatrzymaliśmy, słuchając, jak gruz osiada. Taka jest procedura; wołasz albo w coś stukasz; potem nasłuchujesz; potem kopiesz. Jeśli masz szczęście, dokopujesz się do kogoś. Słyszysz kogoś czy nie - i tak kopiesz. Wyrywasz całe belki, jakby były tylko polanami, odwalasz zasypane drzwi wciąż trzymające się framugi, naginasz najeżone drzazgami bierwiona, grzebiesz po omacku pośród zwałów gruzu, który już niczym nie przypomina materiałów, jakich użyto do budowy domu. Powietrze przesycone jest pyłem. Widać tylko poruszające się ludzkie sylwetki. Rumowisko pod twoimi stopami zapada się raptownie, z tak złowieszczym dźwiękiem, że serce podchodzi ci do gardła, w górę szybują kłęby dławiącego kurzu. Nagim kolanem zawadzasz o długi gwóźdź, skórę na wierzchu dłoni masz zdartą od ocierania o cegły i beton. Pot z trudem przesiąka przez grubą warstwę bladego pyłu, który cię obkleja, tak że ubranie jest kompletnie sztywne. Rzemyki butów nasiąkają krwią poranionych stóp. Płuca masz pełne pyłu.

Co jakiś czas ludzie zatrzymują się i wołają o ciszę; potem ktoś, kto czuje się jeszcze na siłach, krzyczy. A ty słyszysz, jak luźna zaprawa osypuje się pomiędzy pokruszonymi cegłami i połamanymi listwami cienkich jak papier ścian, które kiedyś tworzyły twój dom.

Jeśli budynek był wysoki, to zanim zaczniesz nasłuchiwać, już wiesz, że jest mało prawdopodobne, by ktoś na twoje wołanie odpowiedział.

Przeszukiwałem gruzowisko w milczeniu. Inni musieli zauważyć, że znam to miejsce. Kiedy dotarły do nas pierwsze łopaty, natychmiast wyciągnąłem rękę po jedną z nich, powodowany silnie odczuwanym prawem własności. W pewnym momencie rozległ się odgłos osiadania, więc wszyscy odskoczyliśmy do tyłu. Wtedy objąłem przywództwo, nadzorując pracę przy ustawianiu stempli. Służyłem w armii. Nauczono mnie, jak zapanować nad chaotycznie działającymi cywilami. W sytuacji katastrofalnej trzeba zawsze zachować rozsądek. Nawet jeśli ją straciłem, tego by właśnie się po mnie spodziewała. Ta dziewczyna życzyłaby sobie, bym do końca robił co w mojej mocy, żeby uratować kogokolwiek. Jeśli była tutaj, to przynajmniej znajdowałem się blisko niej. Nie ruszę się stąd, dopóki jej nie odnajdę.

To, co czułem, dotrze do mnie w pełni później. Im później, tym lepiej. Nie byłem pewien, czy będę w stanie udźwignąć to, co mózg mi już teraz uzmysławiał.

Kiedy znaleźli ciało kobiety, zapadła cisza.

Nie wiem, kto wymówił moje imię. Ludzie się rozstąpili,

żeby mnie przepuścić. Zmusiłem się, żeby podejść; wszyscy inni czekali i patrzyli na mnie. Czyjeś dłonie dotknęły moich pleców.

Była cała szara. Szara szata, szara skóra, szare potargane włosy, obsypane rozpylonym tynkiem i okruchami materiałów budowlanych. Martwe ciało, całe uformowane z pyłu. Mogła być kimkolwiek.

Nie zauważyłem kolczyków. Ucho miało inny kształt i nie było w nim złota... nie było nawet dziurki, przez którą można by przełożyć haczyk.

Pokręciłem głową.

- Moja była wysoka - oświadczyłem.

Kiedy już miałem pewność, że to nie ona, i mogłem się odważyć przyjrzeć bliżej, odkryłem, że włosy tej kobiety pod warstwą pyłu i tak są szare. Były rzadkie... zaplecione w cienki mysi warkocz, strzępiasto zakończony. Moja kobieta miała gruby na całej długości, sięgający do pasa warkocz.

Ktoś zakrył chustą jej twarz.

- To musi być ta staruszka z wyższego piętra - powiedział ktoś inny.

To ona na mnie często wyrzekała. Wróciłem

do przeszukiwania gruzów.

Znalezienie staruszki wyprowadziło mnie z równowagi. Zacząłem sobie wyobrażać, jaki widok mnie czeka.

Zatrzymałem się i otarłem pot z brudnego czoła. Ktoś, kto miał akurat w tym momencie więcej siły woli ode mnie, wyjął mi z ręki szpadel i energicznie zabrał do odgruzowywania. Kiedy tkwiłem tam chwilę, niczym nie zajęty, moje oko padło na rączkę koszyka. Rozpoznałem

połyskującą czarną rafię, którą moja matka owinęła miejsce, gdzie wiklina zaczęła się rozchodzić. Wyciągnąłem go na wierzch. Miałem w rękach coś mojego, własnego. Wisiał przy drzwiach, w głównym pokoju.

Odszedłem na bok. Przechodnie w milczeniu podawali pracującym napoje, żeby mogli przepłukać sobie gardła. Ktoś wcisnął mi do ręki kubek. Przysiadłem na piętach, przełknąłem napój, odstawiłem kubek, strząsnąłem kurz z koszyka i zajrzałem do środka. Niewiele w nim było. Wszystko, co mi pozostało. Duma naszego domu: dziesięć łyżek z brązu, które kiedyś podarowała mi Helena. Nie zgodziła się, bym je trzymał w materacu, skoro przeznaczyliśmy je do codziennego użytku. Naczynie, które należało do matki, odłożone, żeby jej oddać. Moje najlepsze buty, schowane przed papugą... I tarka do sera.

Nie miałem pojęcia, dlaczego ta tarka została w ten sposób wyróżniona. Nigdy nie będę miał okazji zapytać. Tyle niedokończonych spraw... to ten najgorszy rezultat nagłej śmierci.

Umieściłem wszystko z powrotem i założyłem sobie koszyk na ramię. I wtedy moja wytrzymałość raptownie się załamała. Wszystko straciło sens. Ukryłem twarz w zgięciu ramienia, odgradzając się od świata.

Ktoś szarpał mnie za ramię. Ktoś, kto musiał znać mnie albo ją, a może nas oboje. Wściekły podniosłem wzrok. I wtedy zobaczyłem, że mężczyzna wskazuje coś ręką.

Zza rogu wyszła kobieta, w tym samym miejscu co ja pół godziny wcześniej. Niosła wielki okrągły bochen chleba. Najwyraźniej wracała z zakupów do domu, tyle że domu już tu nie było. Zatrzymała się, jakby pomyślała, że źle skręciła. Potem dotarła do niej straszna prawda.

Zamierzała puścić się biegiem. Dostrzegłem ją, nim

ruszyła, ale bez trudu odgadłem jej zamiar. Przedtem myślała, że mogłem już wrócić do domu; teraz pomyślała, że leżę martwy pod gruzem.

Zagwizdałem. Po swojemu. Stanęła.

Podniosłem się. Usłyszała mnie, ale w pierwszej chwili nie mogła odnaleźć wzrokiem. Kiedy mnie zobaczyła, nie było już potrzeby krzyczeć, ale musiałem to zrobić. Nareszcie mogłem wymówić jej imię.

- H e l e n o !

-Moja dziewczyna, moja ukochana... jestem przy tobie! - powtarzałem. Chleb kruszył się pomiędzy nami. Trzymałem ją w ramionach. Miękką... ciepłą... żywą... Helenę. Objąłem jej głowę obiema dłońmi, jakbym ściskał skarb. - Heleno, Heleno, Heleno... - Jej włosy czepiały się pozdzieranej skóry moich palców. Ona tymczasem była czysta, cała i zdrowa i wypłakiwała sobie oczy, bo przez okamgnienie myślała, że mnie utraciła. - Heleno, Heleno! Kiedy zobaczyłem, jak dom się osuwa, myślałem, że ty...

- Wiem, co myślałeś.

- Powiedziałem, że masz na mnie czekać...

- Och, Dydiuszu Falkonie - zaszlochała Helena - przecież ja n i g d y nie zwracam uwagi na to, co mówisz!

LVIII

Ludzie klepali nas po plecach, kobiety całowały Helenę. Wróciłbym do kopania, ale tłum był innego zdania. Zaprowadzono nas do tawerny, gdzie postawiono przed nami butelkę, której bardzo potrzebowałem, a po niej gorące zapiekanki w cieście, bez których mógłbym się obejść. Przyniesiono mój kapelusz i płaszcz. Po czym, z delikatnością, jaką ludzie wykazują, kiedy zdarzy się katastrofa, pozostawiono nas samych.

Siedzieliśmy z Heleną blisko siebie, głowa przy głowie. Słowa były zbyteczne. W milczeniu doświadczaliśmy tych samych uczuć i wiedzieliśmy, że już nigdy nic nie będzie takie samo.

Niemal nic do mnie nie docierało, ale w pewnej chwili usłyszałem jakiś znajomy głos. Odwróciłem się. Jeden z gapiów o sennym spojrzeniu, w tunice w brązowo-zielo-ne pasy, zamówił trunek i schowany pod płóciennym daszkiem zerkał na zewnątrz. Pośrednik wynajmu mieszkań, Kossus, oceniał zakres szkód.

Znalazłem się przy nim, zanim zdążył odebrać to, co zamówił. Pojawiając się tak raptownie, wciąż okryty pyłem, musiałem wyglądać niczym jakiś duch z zaświatów. Był tak zaskoczony, że nie zdołał umknąć.

- Oto człowiek, o którego mi chodzi! - Szturchnąłem go łokciem i wciągnąłem do środka. -Jeśli chcesz się napić, Kossusie, zapraszamy do nas...

Helena siedziała na najbliższej nam ławie, pchnąłem więc mężczyznę w stronę drugiej. Drogę zagradzał mu stół, więc podniosłem drania, obróciłem bokiem i przerzuciłem na drugą stronę. Sam przeskoczyłem stół, opierając się na jednej ręce, i wylądowałem okrakiem na ławie obok Kos-susa, którego zatchnęło z wrażenia.

- Heleno, to jest Kossus. To ten wspaniały facet, dzięki któremu wynajęliśmy nasze mieszkanie! Rozgość się, pro szę... - gadałem. Usiłował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem. - Napij się. - Złapałem go za włosy, nachyliłem mu głowę i wylałem na nią resztę zawartości dzbana.

Helena nawet nie drgnęła. Dobrze wiedziała, że to było bardzo kiepskie wino.

- No to już się napiłeś. A teraz - oświadczyłem tym sa mym wesołym towarzyskim tonem - zamierzam cię zabić, Kossusie!

Helena wyciągnęła rękę przez stół.

- Marku... - zaczęła. Kossus zerknął na nią z ukosa, z wielką (jak na pośrednika handlu nieruchomościami) wdzięcznością. - Jeśli to jest człowiek odpowiedzialny za wynajem naszego mieszkania - oświadczyła Helena Justy na swoim najbardziej wytwornym tonem - to pozwól, że ja go własnoręcznie zabiję!

Kossus zapiszczał. Ten spokojny głos patrycjuszki przeraził go bardziej niż moje plebejskie zgrzytliwe pokrzykiwanie. Puściłem go. Wyprostował się, pocierając kark. Rozejrzał się po tawernie w poszukiwaniu pomocy. Zobaczył same plecy. Ludzie znają takich jak on. Gdybym

zechciał go ukatrupić, nikt by nie stanął w jego obronie; ludzie mieli wręcz nadzieję, że to zrobię. Zdążyli polubić Helenę. Gdyby to o n a chciała go zabić, prawdopodobnie by jej pomogli.

Obszedłem stół i usiadłem przy swojej dziewczynie.

- Wybrałeś zły dzień, Kossusie - powiedziałem ponurym tonem. - Wrześniowe kalendy to w kalendarzu dzień biały, natomiast jutrzejszy ludzie zaznaczają sobie na czarno, jako pechowy. Nie masz klasy, człowieku! Jak twoi lokatorzy mogą sobie cokolwiek planować? - łajałem go. Zaczął coś mamrotać pod nosem. Kazałem mu się przymknąć. - Zauważyłem, że rano zjawili się robotnicy budowlani, żeby wykonać jakieś prace na parterze. Czy byli tam jeszcze, kiedy wychodziłaś? - zwróciłem się do Heleny.

- Właśnie kończyli - odparła. - Rozbierali to rusztowanie, które cały czas stało w wejściu.

- Zaszła pewna pomyłka - mamrotał Kossus, wciąż kretyńsko chachmęcąc. - Musieli coś poruszyć...

- Na przykład mnie!

- Przykro mi, Falkonie - wymamrotał niechętnie, z obawy, że zaraz mu przyłożę w łeb.

- Mnie też.

- Właściciel wystąpi z odszkodowaniem...

- Nie wątpię, Kossusie! Byłoby to bardzo rozsądne!

-Jakim sposobem - zapytała Helena spokojnym głosem - wypłaci odszkodowanie tej starszej pani z czwartego piętra, skoro ona już nie żyje?

- Nieprzewidywalny błąd budowniczego w oblicze niach - oświadczył, próbując tym razem usprawiedliwie nia, które mieli przygotowane na wypadek rozprawy przed sądem.

- Radykalnie rozwiązujący twój problem z jej dzierżawą! - oświadczyłem. Kossus westchnął. Pojął wreszcie, że żadne krętactwa mu nie pomogą, bo za dobrze orientuję się w sytuacji. Był leniwy; nie znosił kłopotów. Moja ingerencja wprowadziła go w stan takiego przygnębienia, że odechciało mu się odzywać, wobec czego ciągnąłem: -Właściciel próbował zerwać umowę dzierżawy ze staruszką, bo chciał rozebrać budynek i postawić na jego miejscu bardziej szykowną kamienicę. Kiedy odmówiła, ten hojny i miłosierny człowiek oszczędził kobiecie wydatków na prawników, burząc budynek!

- Dlaczego jej po prostu nie wymówił? - zapytała Helena.

- Zrobiliśmy to. To znaczy, powinniśmy byli zrobić - przyznał łajdak. - Staruszka mieszkała tam już tak długo, że w ogóle zapomniałem o jej istnieniu. Mamy tylu klientów. Nie mogę pamiętać wszystkich. W czerwcu przyszła do biura i zapłaciła, mamrocząc coś pod nosem, jak oni wszyscy, więc pozbyłem się jej jak najszybciej, a adres zauważyłem dopiero po tym, jak się wyniosła, miotając przekleństwa. Właściciel tak naprawdę nigdy nie wydał mi zdecydowanego polecenia co do tej kamienicy, więc zostawiłem sprawy swojemu biegowi. W lipcu nagle postanowił dokonać przebudowy, a tymczasem przez cały kolejny rok mieliśmy tę staruchę na karku.

- Dlaczego zatem - odezwała się Helena - wynająłeś nam tutaj mieszkanie?

Zmusił się do przybrania zawstydzonej miny. Nie miałem do niego więcej zaufania niż do oślego zadu w środku nocy; Helena wyraziłaby to być może bardziej elegancko, ale myślała to samo.

- Żeby to lepiej wyglądało - odpowiedziałem za nie-

go. - Kiedy kamienica się zawala, nie można właściciela oskarżać o celowe wyburzenie, bo przecież wynajmował puste mieszkania. To był tylko nieszczęśliwy wypadek podczas remontu. Lokatorzy mieli zwyczajnego pecha, a jeżeli przeżyli, dostaną zwrot części czynszu i mają się ulotnić z pocałowaniem ręki!

- Powiedziałem ci, że to krótkotrwała dzierżawa -burknął Kossus z pełnym przekonaniem o swojej racji.

- Proszę o wybaczenie! Najwyraźniej źle odczytałem umowę. Nie zauważyłem, że jest w niej napisane „na sześć miesięcy... albo do zawalenia się domu".

-Możemy zwrócić ci część wpłaconych pieniędzy... -zaczął Kossus. Jego gęba była niczym wrota świątyni Janusa: nigdy się nie zamykała.

-1 tu się mylisz! - rzuciła ostro Helena. - Zwrócicie Dydiuszowi Falkonowi całą wpłaconą sumę oraz zapłacicie mu za utracone rzeczy osobiste i meble!

- Tak, pani!

Moja ukochana dobrze się znała na mężczyznach chętnie składających obietnice, a potem zmieniających zdanie.

- Tutaj i teraz wystawisz nam weksel na bank - zażądała stanowczym tonem.

-Tak, pani. Jeśli pilnie potrzebujecie dachu nad głową, być może będę mógł coś znaleźć... - wystękał. Był prawdziwym pośrednikiem właściciela nieruchomości; kompletnym głupcem.

- Kolejna tymczasowa dzierżawa? - spytałem szyderczo.

Helena ujęła moją dłoń. Oboje wbiliśmy w niego wzrok.

Po chwili Helena pomaszerowała do miejscowego handlarza materiałami piśmiennymi, a ja i Kossus omówiliśmy

sprawę odszkodowania za moje stracone meble. Dopilnowałem, żeby uzgodniona suma przewyższyła wartość sprzętów.

Po powrocie Helena podyktowała treść weksla.

- Wypisz go na tę panią - poleciłem mu. - Nazywa się Helena Justyna i prowadzi moje księgi rachunkowe.

Kossus zrobił zdziwioną minę. Nie wiem, jaką miała Helena, bo unikałem jej wzroku.

Teraz już należało go puścić albo kazać aresztować.

-A teraz chciałabym poznać imię tego nieostrożnego właściciela kamienicy - powiedziała spokojnie Helena.

Kossus poruszył się niespokojnie. Potwierdziłem jego obawy.

- Odzyskanie naszych pieniędzy to dopiero początek - oświadczyłem.

-Trzeba tego człowieka oddać w ręce sprawiedliwości - dodała Helena.

Kossus zaczął się rzucać, ale natychmiast mu przerwałem.

-Twoi pracodawcy popełnili drobny błąd. Ta pani, która mogła stracić życie w waszym tak zwanym wypadku, jest córką senatora. Kiedy ojciec usłyszy, co groziło jego ukochanemu dziecku, z całą pewnością podniesie w Kurii sprawę zaniedbań ze strony właścicieli kamienic... i na tym nie poprzestanie! - oznajmiłem mu. Uświadomienie ojcu, jak niebezpieczne może być życie ze mną, było ostatnią rzeczą, której życzyła sobie Helena. Jednak wcześniej czy później musiał się o tym dowiedzieć, a Kamil Werus był jednym z tych niewielu członków senatu, którzy gotowi byli zająć się taką sprawą. - Zresztą i tak ja sam chcę to wiedzieć - ciągnąłem. - Powiedz mi więc, Kossusie żebym mógł spać dzisiaj z czystym sumieniem... powiedz, czy nie

powierzyłem przypadkiem swojego życia i bezcennego życia obecnej tu damy tej kreaturze, Pryscylowi? Wyglądał, jakby poczuł ulgę.

- Ależ skądże, Falko!

- A zatem?

- Pracuję dla Hortensjuszy. Kamienica należała do Nowusa i to od niego wynająłeś mieszkanie - wychrypiał, odsuwając się na wszelki wypadek ode mnie.

LIX

Brudnymi łapami chwyciłem za przód jego workowatej tuniki i potrząsnąłem nim tak, jakbym chciał obluzować mu zęby.

- Nie wiń mnie - błagał Kossus. - Myślałem, że to oczywiste! - Czekał, aż go puszczę, ale wciąż trzymałem.

- Nowus nie żyje! Nowus umarł w zeszłym tygodniu! - wykrzykiwałem.

- Więc o co ten rejwach?

- Z czyjego polecenia dokonano wyburzenia?

- Nowus kazał mi je zamówić już wiele tygodni temu...

- A kiedy on umarł, nie przyszło ci do głowy, żeby sprawdzić u jego spadkobierców, czy to zamówienie jest aktualne?

- Sprawdziłem. - Ta szybka bezceremonialna odpowiedź zabrzmiała fałszywie.

- U Feliksa czy u Krepitona? - Przestałem nim potrząsać, ale trzymałem tunikę jeszcze ciaśniej. Byłem pewien, że nie chciało mu się wybrać do rezydencji i spytać.

- Ona była w biurze - wymamrotał. - Często przekazywała mi instrukcje od Nowusa, więc spytałem ją. Powiedziała mi, żebym nie zawracał Hortensj uszom głowy w okresie żałoby i działał tak, jak zaplanował to Nowus...

- Kto, Kossusie?
- Seweryna Zotyka.

-Ta kobieta nie miała żadnych uprawnień ani pełnomocnictw. - Powiedziałem to spokojnie, choć chciałem, by od razu zrozumiał, co to dla niego oznacza. - Kossusie, ona uczyniła z ciebie wspólnika morderstwa... - dodałem. Przestał mnie obchodzić, kiedy w pełni zrozumiałem znaczenie jego słów: Seweryna nakazała zburzenie domu, w którym mieszkałem. Tego rana usiłowała mnie od niego odciągnąć; nawet nie próbując mnie ostrzec, że Helenie zagraża niebezpieczeństwo...

Z odrazą odepchnąłem Kossusa. Ludzie stojący przy kontuarze popychali go coraz dalej. Kiedy dotarł do ulicy, potknął się. Ktoś tam musiał go rozpoznać. Usłyszałem czyjś krzyk i zobaczyłem, jak pośrednik handlu nieruchomościami rzuca się do ucieczki. Kiedy znalazłem się przy wejściu, wiedziałem, że nie ma już najmniejszej szansy na przeżycie, nawet gdybym chciał mu pomóc.

Rozjuszony widokiem odkopywanych ciał tłum dopadł Kossusa i zatłukł narzędziami, których używano do kopania. Potem z wyciągniętych z gruzu belek zrobiono krzyż i powieszono go na nim. Sądzę, że już nie żył, kiedy go do niego przywiązywali.

Wróciłem i przygarnąłem do siebie Helenę. Ona oplotła mnie ramionami.

Jakiś czas przemawiałem szeptem, nie tyle do niej, ile w ogóle do świata, nie mogąc się pogodzić z całą tą obrzydliwą kategorią właścicieli nieruchomości. Byli wredni, niedbali, pazerni; jedni działali z nikczemną przemocą jak Pryscyl; inni, tacy jak Nowus, polegali na gnuśnych,

nie znających się na rzeczy pośrednikach, by nie brudzić sobie rąk zbrodniczymi działaniami.

Helena pozwoliła mi dokończyć, po czym pocałowała moją umorusaną twarz. Ból nieco złagodniał.

Odchyliłem się, żeby dobrze ją widzieć.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

- Czy nie powinniśmy się pobrać?

-Teraz? Bez pieniędzy? - zdziwiła się. Skinąłem głową. - Po co? - spytała. -Jestem zadowolona z tego, co jest. Komu potrzebne ceremonie i umowy, i idioci rzucający orzeszki? Jeśli żyjemy razem w zaufaniu i miłości...

- I to ci wystarcza?

-Tak - odpowiedziała po prostu. Silna, tak często sarkastyczna, pani mojego serca miała skłonność do kierowania się sercem. Poza tym raz już przeżyła tę dziwną ceremonię i wiedziała, że nie gwarantuje niczego. -A tobie nie wystarcza?

- Nie - odpowiedziałem. Ja chciałem złożyć publicznie to pełne oświadczenie.

Helena Justyna roześmiała się cicho, jakby uważała, że to właśnie j a mam takie poetyczne usposobienie.

Opuściliśmy tawernę. Miałem wiele rzeczy do załatwienia. Złych rzeczy. Nie miałem pojęcia, jak powiedzieć Helenie, że muszę ją teraz opuścić.

Szliśmy powoli w stronę rumowiska, które tak niedawno było naszym domem. Teraz zrozumiałem, dlaczego ludzie, którzy pochwycili Kossusa, byli tak mściwi. Zobaczyłem leżące w smutnym rządku ciała innych mieszkańców -całej rodziny, włącznie z trojgiem dzieci i niemowlęciem.

Kolejni „tymczasowi" lokatorzy; nie mieliśmy pojęcia, że ci nieszczęśnicy mieszkali w tej samej kamienicy.

Ludzie wciąż kopali. Tylko kilkoro gapiów pozostało na miejscu. Z nadejściem ciemności pojawią się rabusie. Jutro rano Hortensjusze, z minami ludzi sumiennych i gorliwych, przyślą wozy, które na pewno już wcześniej dostały zlecenie na oczyszczenie tego terenu.

- Przynajmniej jesteśmy razem - szepnęła Helena.

- Będziemy. Heleno, muszę... -

Wiem.

Była cudowna. Przytuliłem ją mocno i powiedziałem jej to.

- Wciąż chcesz mieszkać ze mną? - upewniałem się.

- Naszym przeznaczeniem jest być razem.

- Och, skarbie, ale w miejscu lepszym od tego! - zawołałem. Jak zwykle mnie uspokajała. - Znajdziemy je gdzie indziej, ale przyjrzę mu się dokładniej niż temu! -obiecywałem. - Możliwe, że dzisiaj nie uda mi się niczego załatwić... najlepiej będzie, jak pójdziesz do domu ojca i tam się później spotkamy...

- Wracać chyłkiem z podwiniętym ogonem? - spytała, pociągając nosem. - Nie mam na to najmniejszej ochoty!

- Chcę, by ci było wygodnie...

- Chcę być z tobą.

- Ja też! Wierz mi, nie chcę rozstawać się teraz z tobą. Jedyne, czego pragnę, to trzymać cię w ramionach tak długo, aż poczujesz się bezpiecznie, a ja nie poczuję się lepiej...

- Och, Marku, spójrz! - przerwała mi Helena. -To nasza papuga!

Siedziała na stosie gruzu. Brudna, z piórami w nieładzie, ale ani trochę nie wystraszona.

- Chloe, Chloe! - zawołała Helena. - Chodź tutaj...

Możliwe, że uratowała ją klatka. Jakimś cudem udało się ptaszysku ujść z życiem, a teraz siedziało sobie i łypało z typową dla siebie wyższością.

Jacyś chłopcy skradali się, żeby ją złapać (za co rodzice na pewno by im nie podziękowali). Chloe nie przepadała za mężczyznami. Pozwoliła im podejść na wyciągnięcie ramienia, po czym nastroszyła się, odskoczyła w przeciwnym kierunku i wystartowała. Kiedy się wznosiła, jej ogon rozbłysnął szkarłatem.

- Należałoby ostrzec przed nią miejscowe szpaki! - zażartowałem.

Helena starała się śledzić lot ptaka. Tymczasem Chloe bezczelnie zatoczyła krąg tuż przy jej głowie.

- Marku, czy ona przeżyje na wolności? - zaniepokoiła się moja dziewczyna.

- Och, ten ptak jest wybrańcem bogów.

Papuga przysiadła na moment.

- Chloe! Chloe! - wołała znów Helena.

Chłopcy, teraz bardziej zdeterminowani, kiedy zobaczyli zainteresowanie innych, rzucili się do przodu. Chloe wymknęła się im i wylądowała na dachu.

- Wracaj tu natychmiast i powiedz mi, kto to zrobił! - wrzasnęła ze złością Helena.

- Och, Ceryntus! Ceryntus! Ceryntus! - zaskrzeczała uprzejmie papuga.

Patrzyliśmy, jak się wzbija w błękitne rzymskie niebo, oddalając się od nas coraz bardziej malejącymi parabolami.

LX

Nie było już na co czekać.

- Najdroższa! Moja praca jest do niczego. Obijają człowieka na kwaśne jabłko, dom mu się wali, najcudow niejsza kobieta, z jaką kiedykolwiek znalazł się w łóżku, mówi, że go potrzebuje, a on musi dopaść zabójców... tuż po tym, jak się dowiedział, że człowieka, którego zamor dowali, chciałby mieć żywego tylko po to, by zamordować go własnoręcznie!

Wstrząsnął mną dreszcz, więc otuliłem się szczelniej czarnym płaszczem. Przypomniało mi się, że w kapeluszu wciąż mam te dwa ciastka od Minniusza, owinięte w liście winorośli, zatem nie całkiem oblepione kurzem.

- Weź je i zjemy sobie wieczorem w domu twojego oj ca - powiedziałem, starając się nie myśleć o tym, jak bolesna będzie dla niej nawet krótkotrwała rozłąka. - Obiecuję!

Westchnęła.

- I tak ojciec chciałby się z tobą zobaczyć, skoro już jesteś na nogach.

- Ucieszę go, jeśli się okaże, że muszę mu ciebie oddać!

- Porozmawiamy o tym - powiedziała Helena, dając mi do zrozumienia, że nie ma o czym dyskutować.

Otrzepałem kapelusz z pyłu i wcisnąłem go sobie na głowę.

- Wyglądasz na zwiastuna zemsty! **Każdy na twój widok** będzie miał ochotę dać nogę...

- To dobrze! - oświadczyłem.

Nieznośnie doskwierał mi brud na skórze i we włosach, tak więc obmyślając sobie dalsze posunięcia, wpadłem do łaźni.

Było wczesne popołudnie. Mozaika zaczynała się układać we wzór w mojej głowie i czułem, że kiedy zacznę odpowiednio przesuwać jej kostki, to przy odrobinie szczęścia odgadnę resztę. Musiałem się spotkać z Pryscylem, kobietami Hortensjuszy i Seweryną Zotyką. Ceryntus mógł być tropem fałszywym. Jeśli jednak udałoby mi się dowiedzieć, gdzie się podziewa, to z nim też należałoby się spotkać.

Postanowiłem zacząć od Appiusza Pryscyla i udałem się do jego domu na Janikulum. Okazało się, że kierowany świeżą motywacją wybrałem właściwą rezydencję.

Poczułem ściskanie w dołku na myśl o spotkaniu z jego frygijskimi chłopakami, ale najwyraźniej mieli wolne podczas sjesty. Stojąca w westybulu obrzydliwa brązowa lektyka świadczyła o tym, że jej właściciel jest właśnie tutaj.

Odźwierny popełnił omyłkę, wpuszczając mnie do środka. Drugi błąd zrobił, kiedy ruszył powiadomić swojego pana, że ma gościa, nie zauważywszy, że podążam jego śladem.

- Dzięki! - wyszczerzyłem się do niego, odsuwając go na bok. - Nie ma potrzeby nas sobie przedstawiać... Appiusz Pryscyl i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Czułem do Pryscyla urazę, która - gdy wszedłem przez duże ozdobione płycinami drzwi - została jeszcze wzmocniona szczerą zazdrością.

Był to przestronny gabinet, skąd roztaczał się niesamowity widok na Tyber i Rzym po drugiej stronie rzeki. Tutaj dobry projektant osiągnąłby niezwykle spektakularny efekt. Pryscyl zapewne kupił tę posiadłość ze względu na jej wspaniałe położenie, po czym zupełnie tego nie wykorzystał. Dom co prawda wypełniało naturalne światło, ale umeblowanie składało się głównie z solidnie zabezpieczonych przed otwarciem skrzyń. Prawdziwych sprzętów, poza zupełnie podstawowymi, nie było. Spłowiała farba i obskurne elementy wyposażenia świadczyły o tym, że właścicielowi udało się doszczętnie zmarnować idealnie usytuowaną posiadłość. Powinno istnieć prawo zabraniające niweczenia możliwości, jakie oferują takie miejsca.

Zmarszczyłem nos. Dzięki wspaniałemu położeniu ten dom był znośniejszy od tamtego z biurami na Eskwilinie; czuło się tu jednak odrażający zapach zaniedbania.

- Gra się skończyła, Pryscylu. Czas, byś opuścił Rzym!

- Nie marnuj mojego czasu, Falko! - wysyczał jadowicie pokurcz ze szczurzą twarzą, w tej samej, jak mi się wydawało, zatęchłej tunice co poprzednio.

-A ty mojego! Chcę, żebyś odpowiedział za morderstwo Nowusa.

- Nic na mnie nie masz!

- Czyżby? A ten podarunek z okazji przyjęcia... to wyśmienite falerneńskie wino!

- To wino było w porządku - zapewnił mnie odrobinę zbyt zadowolony z siebie.

- Mogę się z tym zgodzić! - Uśmiechnąłem się. - Spróbowałem krzynkę. Koneser mógłby rzec, że się przegrzało, stojąc w jadalni... było jednak wyjątkowo gładkie. Najlepiej smakuje bez dodatków! Przyprawy, z nim przyniesione, stanowiły dość dziwną mieszankę... - oświadczyłem.

Rzucił mi szybkie spojrzenie. - Osobiście - ciągnąłem -nigdy nie używam mirry i cynamonu do wina z charakterem. Za dużo goryczki. Choć przyznaję, że w wypadku wina gorszego gatunku mirra zamaskuje wiele...

Dość' zostało powiedziane. Zrobiłem parę kroków w głąb pokoju.

Pryscyl zaczął czyścić paznokcie zaostrzonym końcem rylca do pisania.

- Czego chcesz, Falko?

- Prawdę mówiąc, zemsty.

- Możesz się rozczarować!

- Nie sądzę - oznajmiłem. Moja pewność siebie zbiła go z tropu. Był zbyt zdziwiony, by wezwać pomoc. To mi odpowiadało. Musiał się obawiać, że trzymam coś w zanadrzu, więc wystarczyło dać mu do zrozumienia, że owszem, trzymam. - Pryscylu, wiem, jak został zamordowany Hortensjusz Nowus. Jeśli dojdzie do procesu przed sądem, zostanę powołany na świadka...

- Nie dojdzie - przerwał mi. Wciąż wydłubywał brud spod paznokci. Część tego brudu musiała się tam dostać, kiedy miał jeszcze mleczne zęby.

- Mylisz się. To, co wiem, za bardzo obciąża Krepito-na i Feliksa, żeby mogli przekupić prowadzącego śledztwo pretora, nieważne jak bardzo zadłużony jest u Krepitona.

- Ciekawe, skąd wiesz to wszystko? - spytał drwiąco Pryscyl.

- Dowiedziałem się, kiedy mnie wynajęto, bym odstraszył tę małą naciągaczkę...

- To jej robota! - spróbował, bez specjalnego przekonania. - Kiedy przyniosła zaproszenie, usiadła w tym pokoju i praktycznie przyznała, że gdyby chciała się pozbyć niechcianego męża, toby go otruła!

- Nowus nie zdążył być jej mężem - zauważyłem logicznie. - Ale i tak ta sytuacja była wygodna. Obecność Seweryny stanowiła idealną przykrywkę dla was wszystkich, którzy chcieliście śmierci Nowusa. Nie myśl, że ona nie była tego świadoma! Sądzę, że jej udział ograniczył się do przyjścia tutaj i podrzucenia ci pomysłu. Wrobiła cię! Miałeś się go pozbyć po jej ślubie... ale tak się dla niej pechowo złożyło, że nie mogłeś się tego doczekać.

- Masz jakieś dowody? - spytał posępnym tonem.

-Tamtego wieczoru poszedłem do tej rezydencji służbowo. Byłem świadkiem, jak w kielichu wymieszano wino z twoimi korzennymi przyprawami. Widziałem, jak wypito tę truciznę. No cóż! - wykrzyknąłem, jakbym ciągle jeszcze znajdował się pod wrażeniem tego wspomnienia -nie wiem, czego się spodziewałeś, ale ten nieszczęsny Nowus musiał zgiąć się we dwoje ze zdumienia! Po chwili leżał jak długi na posadzce latryny!

Ta dziwaczna mieszanka szczegółów i mających solidne podstawy domysłów zaczęła odnosić zamierzony skutek.

- Ile? - spytał Pryscyl znużonym tonem.

- Och, nie przyszedłem po pieniądze!

-Ile?- powtórzył. Najwyraźniej do tej pory miał do czynienia ze wstydliwymi szantażystami. Pokręciłem głową.

- Mnie nie możesz kupić. Sprawy zaszły już za daleko. Po pierwsze, sam sobie jesteś winien, bo każąc mnie obić, doprowadziłeś do tego, że rozdrażniony obrażeniami powiedziałem Hortensj uszom to i owo o tobie!

- Skończ z tą gadką, Falko - warknął Pryscyl, choć widziałem wyraźnie, że zastanawia się nad moimi słowami.

Wyprostowałem się.

- Moja teoria wygląda tak: Krepito i Feliks omówili z tobą możliwość pozbycia się Nowusa, jeśli będzie za bar dzo wierzgał. Wierzgał, więc zostawiłeś mu ten szczególny prezencik. Kiedy trafił do Hadesu, tamci dwaj z początku postępowali zgodnie z umową - mówiłem. Pryscyl ni czego nie potwierdzał i niczemu nie zaprzeczał. - Byli wstrząśnięci, kiedy im uświadomiłem, że zatruwając wino, którego sam nie spróbowałeś, miałeś nadzieję pozbyć się nie tylko Nowusa, ale także Hortensjuszy.

Był opanowany. Tak opanowany, że aż groźny.

- Dlaczego - zapytał mnie spokojnym głosem - Feliks i Krepito mieliby sądzić, że chciałem coś takiego zrobić?

- A ostrzegłeś ich, żeby nie użyli tej przyprawy? - zapytałem z uśmiechem. Milczał. To był błąd. W ten sposób sam wpadał mi w ręce. - Feliks i Krepito nie są może najmądrzejsi przy drodze Flamińskiej, ale nawet do nich w końcu dotarło, że chciałeś mieć wolne pole. Tylko przypadkiem uszli cało. Nowus nigdy nie czekał i od razu dobierał się do wina. Zanim Feliks się dowiedział, że Nowus nie żyje, wyniósł butelkę do innego pokoju... ich komnaty egipskiej - dodałem, by bardziej rzecz uwiarygodnić. - Miseczkę z korzeniami zostawił. Z początku Feliks i Krepito sądzili, że dokonałeś zabójstwa Nowusa jakąś genialną i niemożliwą do wykrycia metodą...

-Ty jednak uznałeś za stosowne ich poinformować, że jest inaczej! - oświadczył chłodno, a w jego głosie pobrzmiewała groźba.

- Zgadza się - odparłem. -1 teraz Pollia i Atylia są prze konane, że chciałeś też otruć ich mężów. Wysłały Feliksa i Krepitona do przedstawicieli prawa.

Pryscyl się skrzywił. Jego ciasny umysł i skryta natura kazały mu walczyć ze mną do końca.

-Jesteś głupi, że tu przyszedłeś... wykończę cię, Falko!

-To bez sensu. Sprawa już nie jest w moich rękach. Zostaniesz oskarżony przez Hortensjuszy. Ich służący widzieli, jak przekazywałeś tę butelkę. Widzieli, jak po kłótni z Nowusem wracasz, niosąc miseczkę z korzeniami. Może nawet Feliks i Krepito przyznają, że wcześniej doszło do zmowy.

- Rzeczywiście są takimi głupcami, że mogą to zrobić! O co ci chodzi? - spytał swoim chrapliwym głosem, w któ rym usłyszałem nutkę pogardy.

Opuściłem ręce.

- Nienawidzę was wszystkich. Nie znosiłem Nowusa i zostałem lokatorem jego kamienicy. Mieszkanie, któ re mi wynajął, było drogie, a dom źle utrzymany... dzi siaj właśnie się zawalił. Mogła zginąć moja dziewczyna, mogłem zginąć ja...

Pryscyl miał taki wredny charakter, że ten rodzaj gniewu był w stanie zrozumieć.

- Zakapujesz ich?

-Jakżeby inaczej? - warknąłem. - Gdybym mógł jeszcze wrobić tych drani w otrucie, to też bym to zrobił! A teraz, kiedy oni właśnie skamlą sędziemu, który zresztą jest ich dłużnikiem, obciążając ciebie i wybielając siebie, przybiegłem tutaj. Chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy ci powiem, że widziałem, jak przedstawiciele prawa wypytują wszystkich w twoim domu na Eskwilinie, i że zapewne teraz przyjdzie kolej na to tutaj miejsce... -zmyślałem. Z jego szczurzej twarzy mogłem odczytać, jak sobie kombinuje, że ten dom leży poza granicami miasta i że wobec tego nie zjawią się tutaj tak szybko. - Czas się ruszyć, jeśli chcesz zdążyć spakować kilka worków z pieniędzmi! - powiedziałem z naciskiem. - Rzym jest za mały,

byś mógł się w nim ukryć. Twoją jedyną nadzieją na przetrwanie jest prysnąć i przez kilka lat pozwiedzać co ciekawsze miejsca w cesarstwie...

- Wynoś się! - rzucił. Zbyt zaabsorbowany myślą o konieczności natychmiastowej ucieczki, zapomniał wezwać swoich Frygijczyków, żeby się mną zajęli.

Nachmurzyłem twarz, jakby nie podobało mi się to polecenie, zsunąłem kapelusz na kark, zamaszystym gestem owinąłem się płaszczem i odszedłem.

Wkrótce obskurna brązowa lektyka ruszyła stamtąd pospiesznie.

Leżąc wśród ogrodowych krzewów, obserwowałem, jak za lektyką podążają spoceni Frygijczycy, dźwigając na ramionach ciężkie skrzynie. I słyszałem, jak Pryscyl, niesiony w dół zbocza Janikulum w stronę drogi Aureliańskiej i mostu Sublicius, wrzaskiem ponagla tragarzy.

Na drodze do portu w Ostii stało jakieś trzydzieści słupów milowych. Miałem nadzieję, że każe swoim Frygij-czykom biec przez całą drogę.

LXI

Cóż za łatwizna.

Wystarczyła garść beznadziejnych sugestii i kilka kłamstw. Dranie są tacy wrażliwi. Można ich wykołować byle historyjką, jeśli tylko zagraża ich dotychczasowemu stylowi życia.

Co dalej?

Szczerze mówiąc, żeby móc się zająć rywalkami Pry-scyla, tymi podstępnymi kobietami ze wzgórza Pincius, potrzebowałem najpierw odpoczynku. Znalazłem go, a nawet coś więcej, niż się spodziewałem, podczas spokojnego spaceru brzegiem rzeki po stronie Zatybrza.

Poszedłem na północ. I tak zresztą musiałem tam iść. Nic nie traciłem, wędrując zboczem Janikulum, by rzucić jeszcze raz okiem na miejsce dawnej zbrodni.

Cyrk Kaliguli i Nerona - tych dwóch nieprzyjemnych osobników nie różniących się od postaci, jakie można napotkać na zapleczu łaźni - leży naprzeciwko wielkiego zakola rzeki obejmującego Pole Marsowe. Przypadkowo tego tygodnia nie odbywały się tam wyścigi, za to wystawiono klatki z dzikimi zwierzętami. Otaczali je nerwowi chłopcy w wieku szkolnym, rozważający sposoby rozdrażnienia bestii; widziałem małą dziewczynkę, która

chciała pogłaskać tygrysa, oraz tresera, kiedy od czasu do czasu wybiegał na dwór, żeby bez przekonania odpędzać ludzi stojących zbyt blisko krat. Wystawiono hipopotama, słonia oczywiście, dwa strusie i galijskiego rysia. Obok leżało kilka bel mokrej, brudnej słomy, a w powietrzu unosił się przykry zapach.

W cieniu wozowni ludzie od popisów ze zwierzętami mieli budki z brezentu; kiedy przechodziłem obok nich, żeby wejść do cyrku, usłyszałem znajomy głos. Kobieta opowiadała jakąś żałosną historyjkę.

- Myślałam, że poszedł się wysiusiać, a on nie wracał i nie wracał. Zdążyłam już o nim zapomnieć... bo i po co zawracać sobie głowę?... ale kiedy poszłam nakarmić py tona, znalazłam go. Musiał właśnie zabierać się do rzeczy, kiedy zobaczył węża... kulił się na daszku, zbyt przerażony, by krzyknąć... widziałam tylko gruzłowate kolana i to jego nędzne wyposażenie bujające się jak trzyczęściowy zestaw do manikiuru...

Odsunąłem wymięte płótno i wyszczerzyłem się radośnie.

- Okropna historia! Talio! Jak twoje występy z wężem?

- Falko! Wciąż chcesz uciec z domu, żeby przeżyć jakąś przygodę? Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Och... spotkałem papugę, którą kiedyś musiałaś znać...

- Okropne ptaszysko! - rzuciła.

Towarzysząca Talii chuda kobieta obdarzyła mnie afektowanym uśmiechem i wymknęła się z budki.

Talia spoważniała.

-Wyglądasz jak posłaniec niosący złe wieści - powiedziała.

- Złoczyńcom, mam nadzieję. Tamta rozmowa z tobą bardzo mi pomogła. Masz wolną chwilkę?

- Wyjdźmy się przewietrzyć - zaproponowała, zapewne z obawy, że ktoś nas podsłucha.

Wyprowadziła mnie na zewnątrz i weszliśmy do cyrku. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy bramach startowych, gdzie kiedyś pantera zrobiła sobie ucztę z Frontona, męża Seweryny. W milczeniu wspięliśmy się kilka rzędów i usiedliśmy na marmurowej ławie.

- Mam pewną teorię na temat śmierci Frontona. Powiedziałaś, że nigdy nie spotkałaś jego żony. Przypuszczam więc, że nie mogłabyś wiedzieć, czy Seweryna ma gacha?

- Rzeczywiście nie wiedziałam. Fronto jednak uważał, że ma.

- Podejrzewał kogoś?

- Nigdy nie usłyszałam konkretnego imienia. Ale Fronto był przekonany, że to ktoś, kogo ona zna od bardzo dawna i kto trzyma się na uboczu.

-To by się zgadzało - przyznałem. - Wspomniała niewolnika u swojego pierwszego pana. Nosi pierścień, który jej dał. A medyk, wezwany do innego z jej mężów, powiedział mi, że przyszedł ją pocieszyć „przyjaciel". Jednak wszelki ślad po nim zaginął - stwierdziłem. Prawdę mówiąc, kiedy się razem upijaliśmy, powiedziała, że przeniósł się w zaświaty. - Powiedz mi, Fronto i Seweryna byli ze sobą zaledwie przez kilka tygodni. Wydaje się, że ona ma o nim złą opinię. Bił ją?

- Zapewne.

- Brutal? Sama słodycz przed ślubem, a potem wyszła z niego prawdziwa natura?

- Znasz mężczyzn! - Uśmiechnęła się. - Fronto nie lubił, żeby robić z niego głupca - dodała.

- I uważał, że Seweryna wystrychnęła go na dudka?

- A nie wystrychnęła? - rzuciła. Przez chwilę siedzieliśmy zadumani. - Czy muszę się zjawić przed sądem, Falkonie?

- Nie jestem pewien.

- Kto by się zajął moim wężem?

- Postaram się trzymać cię od tego z daleka... Znam jednak dziewczynę, która jest miła dla zwierząt, gdyby przyszło co do czego.

- Myślałam o tym opiekunie zwierząt - powiedziała Talia, wyjaśniając, dlaczego martwiło ją, że sprawy mogą mieć dalszy ciąg. - Jestem pewna, że zaczął dla nas pracować mniej więcej w tym czasie, kiedy Fronto się ożenił... tego nie mogę być pewna, ale wydaje mi się, że to ona namówiła Frontona, żeby go przyjął.

Uśmiechnąłem się.

- Właśnie taka była moja teoria.

- Rzecz w tym - powiedziała, rozciągając słowa - że chyba przypomniałam sobie jego imię...

-Tajemniczego Gajusza? - Aż się wyprostowałem. -Tego, który wypuścił panterę, a którego potem przywaliła ściana? - Kolejny element wskoczył na swoje miejsce, kiedy spokojnie tam sobie siedzieliśmy. Przypomniałem sobie słowa Petroniusza: „Troje dzieci zginęło, kiedy zarwała się podłoga... Hortensjusze są podawani do sądu przeciętnie raz na miesiąc... osunęła się cała ściana i zabiła mężczyznę, gdzieś na Eskwilinie..." - Czy przypadkiem nie brzmiało ono Ceryntus? - rzuciłem.

-Ty przebrzydły robalu... - zaśmiała się Talia. - Wiedziałeś to cały czas!

Wiedziałem coś więcej. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego umarł Hortensjusz Nowus.

LXII

Czas uciekał. Dopiero zaczynało zmierzchać, kiedy dotarłem do rezydencji Hortensjuszy, ale jej właściciele, przyzwyczajeni do chełpienia się swoim bogactwem, zdążyli już zapalić całe rzędy pochodni i dziesiątki migoczących lampek. Jak zwykle wylądowałem w kolejnej nieznanej mi sali, sam.

Wyzwoleńcy dzielnie otrząsnęli się z żalu po Nowusie i podejmowali przyjaciół. W powietrzu unosiła się delikatna woń spryskanych pachnidłami wieńców, a od czasu do czasu, kiedy otwierano drzwi, docierały do mnie wybuchy śmiechu i dźwięki tamburynu. Wiadomość, jaką przesłałem, sformułowałem tak, by była intrygująca, a jednocześnie zawierała ostrzeżenie. Wrócił niewolnik od Sabiny Pollii z prośbą, bym poczekał. Żeby czas mi się nie dłużył, kiedy oni będą się tam opychać, przysłała mi kilka przekąsek, które wyglądały na prawdziwą ucztę, podane elegancko na srebrnych tacach, którym towarzyszyła butelka długo leżakowanego Setinum. Odkryłem, że jest świetnej jakości, bo nie będąc w nastroju na smakowanie potraw, uważałem, że będzie grzecznie z mojej strony, jeśli przynajmniej uraczę się ich winem.

Na tacy z trunkiem znajdowały się dwa tworzące komplet dzbany z gorącą i zimną wodą, mały podgrzewacz na węgiel drzewny, miseczka z przyprawami, ostro zakończone

sitko i piękne, kształtne puchary z zielonego syryjskiego szkła. Zabawiałem się tym wszystkim przez pół godziny, po czym osunąłem się na sofę wspartą na srebrnych lwach i błądziłem zamyślonym wzrokiem po urządzonym z jaskrawym przepychem pokoju. Był zbyt wspaniały, by nęcić wygodami, jednakże osiągnąłem już to stadium, w którym wylegiwanie się pośród karygodnego bezguścia pasowało do mojego gorzkiego nastroju.

Zjawiła się Sabina Pollia. Lekko się chwiała na nogach i była gotowa dolać mi wina swoimi pięknymi dłońmi. Zażyczyłem sobie pełen kielich bez wody, rezygnując przy okazji z przypraw. Zaśmiała się, nalała nam obojgu, usiadła obok mnie i zaczęliśmy ostro pociągać Setinum, nie rozcieńczone.

Byłem wydelikacony po kilku dniach diety rekonwalescenta i wino wydawało mi się zbyt mocne. Wypiłem jednakże do dna, wstałem i nalałem sobie kolejną porcję. Wróciłem i usiadłem obok Pollii. Położyła łokieć na oparciu łoża, tuż za moją głową, a ja spojrzałem w jej piękną twarz.. Biło od niej jakieś senne odurzające pachnidło wyciśnięte ze zwierzęcych gruczołów. Była lekko zarumieniona i przyglądała mi się dojrzałym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek.

- Masz mi coś do powiedzenia, Falkonie?

Uśmiechałem się leniwie, podziwiając z bliska jej urodę, podczas gdy ona od niechcenia łaskotała mnie w ucho. Doskonałe wino przyjemnie piekło mnie w gardle.

- Mógłbym ci wiele powiedzieć, Sabino Pollio... wiek szość z tego nie miałaby najmniejszego związku z powo dem, dla którego tutaj przyszedłem! - Przesunąłem palcem po nieskazitelnej linii jej policzka. Udawała, że tego nie dostrzega. - Czy ty i Atylia - spytałem cicho - zdajecie so-

bie sprawę, że są świadkowie **tego, co próbowaliście zrobić** z tym zatrutym ciastkiem? Znieruchomiała.

- Może Atylia powinna być tutaj z nami? - zapytała bez najmniejszego zażenowania i bez cienia emocji.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem obojętnie. Nie wykonała żadnego ruchu, żeby posłać po swoją przyjaciółecz-kę, wobec czego mówiłem dalej: - Hortensja Atylia ma przynajmniej wymówkę, że chciała zabezpieczyć finansowo swoje nieletnie dziecko. A ty? - spytałem. Pollia tylko wzruszyła ramionami. - Nie masz dzieci?

- Nie - powiedziała. Zastanawiałem się, czy był to świadomy wybór, mający na celu zachowanie wspaniałej figury. Wtedy dodała: - Przyszedłeś, żeby nam grozić, Falkonie?

- W zasadzie jestem w drodze do pretora, żeby przekazać mu to, co wiem. Zdaję sobie sprawę z tego - wtrąciłem, kiedy próbowała mi przerwać - że pretor dzielnicy Pin-cius ma poważne zobowiązania wobec waszej rodziny. Przypomnę mu jednak, że pod rządami Wespazjana, jeśli pragnie zdobyć konsulat, w jego interesie będzie zademonstrowanie bezstronności. Przykro mi... bezstronność bywa nieprzyjemna dla osobistych przyjaciół pretora!

- Czemu miałby cię w ogóle wysłuchać?

- Jak dobrze wiesz, mam pewne wpływy w Pałacu.

Pollia wykonała pierwszy ruch.

-Atylia powinna cię usłyszeć. Jest w to zamieszana, Falkonie. Ona kupiła to ciastko... - Ucichła. Domyśliłem się, że przez całą noc dużo piła.

Trzymałem je osobno wystarczająco długo, by zakłócić ich pewność siebie; skinąłem głową. Zaklaskała w dłonie na niewolnika i niedługo potem do pokoju wpadła Hor-

tensja Atylia. Pollia przemówiła do niej cichym głosem, na boku, podczas gdy ja zabawiałem się akcesoriami do wina.

- Cóż takiego chciałeś nam powiedzieć? - spytała Atylia, podchodząc do mnie i biorąc na siebie rolę tej rzutkiej.

- Pomyślałem sobie, by was zawiadomić, że Appiusz Pryscyl opuścił miasto - oznajmiłem. Atylia zrobiła marsową minę, jej bardziej pijana towarzyszka przybrała ten sam wyraz twarzy. - Za moją radą. Poinformowałem go bowiem - oświadczyłem, udając wielce pomocnego - że Krepito i Feliks wiedzą, jak Pryscyl otruł Nowusa, przynosząc butelkę wina. Uświadomili więc sobie, że ich również zamierzał uśmiercić. Pryscyl uznał, że to odkrycie może ich nieco wzburzyć. Jest przekonany, że właśnie na niego donoszą. - Wróciłem na sofę % lwami, odchyliłem głowę i uśmiechnąłem się do obu kobiet. - Czy mogę wiedzieć, moje panie, co zrobiłyście z tą butelką?

-Wylałyśmy wino na stos jako ofiarę... - Pollia za-chichotała. Musiała mówić o pogrzebie Nowusa. - A potem - dodała pod wpływem głupiego impulsu - butelkę też wrzuciłyśmy do ognia!

- Niszcząc dowód rzeczowy! Nieważne, to bez znaczenia.

- Bez znaczenia? - odezwała się Atylia. Jak na matkę przyszłego senatora była nietypowo bystra.

- Wino było niegroźne. Pryscyl zatruł przyprawy, które zostawił, by je z nim wymieszać. To Wirydowyks skorzystał z przypraw, biedaczysko. Więc, jak widzicie, Pryscyl zabił jedynie waszego kucharza.

- To co się stało Nowusowi? - zapytała ostrym tonem Atylia.

- Hortensjusz Nowus zatruł się czymś, co zjadł - powiedziałem. Obie skupiły na mnie uwagę. - Na pewno zauważyłyście, że kiedy podano na stół paterę z ciastka mi, waszego specjału na niej nie było? - ciągnąłem. Atylia zesztywniała; Pollia zrobiłaby to samo, gdyby nie była tak pijana. Musiały się szykować do otrucia Nowusa, a potem odetchnęły z ulgą, uznając, że ktoś je ubiegł. Teraz, kiedy już uważały sprawę za zamkniętą i nie były przygotowane na jej roztrząsanie, pojawiam się i mówię im, że są mor derczyniami. - Niestety, ciastko to zostało usunięte przez Sewerynę Zotykę, która sądziła, że Nowus uraczy się nim sam po kolacji... Na pewno dobrze wiecie - oświadczy łem z pełną powagą - że jeśli dojdzie do rozprawy, sąd wymierzy karę, jaką jest rzucenie mordercy lwom na po żarcie.

Poczucie winy oślepiło moje słuchaczki do tego stopnia, że nie potrafiły dostrzec żadnych nieścisłości w tej opowieści. Podeszły i usiadły po moich obu stronach.

- Co ty mówisz? - szepnęła Pollia. -Jeśli dojdzie do rozprawy przed sądem?

- No cóż, musiałem złożyć opis szczegółów wydarzeń w miejscu, w którym trzymam ważne dokumenty... na wypadek, gdyby mi się coś przytrafiło, no wiecie... Na razie jednak, poza Zotyką, jestem jedyną osobą, która wie.

- Czy ty i ona zamierzacie coś z tym zrobić? - spytała Atylia.

Podrapałem się po brodzie.

- Myślałem o tym, kiedy tu szedłem - wyznałem. Wyraźnie poweselały. - Rudowłosa da wam spokój. Musi się w porę wycofać, mam bowiem dowody dotyczące

śmierci jej byłych mężów, których ujawnienie byłoby jej bardzo nie na rękę.

- A ty? - zaszczebiotała słodko Atylia.

- To mogłoby przynieść mi znaczną premię.

- Od kogo? - wypaliła natychmiast Atylia, zupełnie innym tonem.

- Od każdego oskarżyciela, któremu marzy się jakaś pikantna sprawa. Niejeden z nich kupi ode mnie informację, by przydać blasku swojej karierze. Wasza historia gwarantuje pełne sale sądowe, a prawnikom sławę z dnia na dzień. Mogę nieźle się obłowić, jeśli was wydam.

- Możesz nieźle się obłowić, jeśli tego nie zrobisz! -rzuciła otwarcie Pollia.

Zasługiwała na imperium Nowusa; doprawdy kobieta z głową do interesów, pełną praktycznych pomysłów! Przyjrzałem się obu paniom po kolei. Wykorzystując podłą reputację, jaką się cieszą niektórzy detektywi, mogłem przekonać je do wszystkiego. Im gorszego, tym lepiej.

- Jestem otwarty na propozycje - oznajmiłem. - Opracowałem ze swoją dziewczyną pewną procedurę niezwykle upraszczającą przekazywanie wielkich sum pieniędzy -dodałem od niechcenia. Naganne propozycje świetnie do nich trafiały. - Prawdę mówiąc, miałyście okazję poznać tę damę. Przysłałem ją tutaj, by uzyskać drugą opinię, kiedy chciałyście mnie wynająć... mówię o Helenie Justynie.

- Córce senatora?

-Tak wam powiedziała? - roześmiałem się. - Ona jest ze mną! Ta szkoła, o której mówiła, że chce ją założyć... cóż, w taki właśnie sposób działamy. Jeśli chcecie, możecie dokonać darowizny na jej szkołę.

- Ile? - rzuciła Atylia. Wziąłem z sufitu ogromną sumę. - Ależ, Falkonie, to wystarczyłoby na grecki uniwersytet!

- Musimy zrobić to prawidłowo - zapewniłefn ją. - Musimy wybudować prawdziwą szkołę, bo w przeciwnym razie kamuflaż będzie do bani. Na szczęście wiem, gdzie jest ten kawałek ziemi, który możecie nam udostępnić... jedna z waszych kamienic zawaliła się dzisiaj w Piscina Publica... Z moim m i e s z k a n i e m ! - zagrzfniałem, kiedy Pollia zamierzała zaprotestować.

Po krótkiej chwili ciszy przeszedłem do naprawdę poważnych spraw.

- Zginęli ludzie. Zbyt wielu ludzi. W senacie padną pytania. Lepiej ostrzeżcie Feliksa i Krepitona, że tego ich niefrasobliwego pośrednika ukrzyżowano na ulicy i że będą mieli do czynienia z żywym publicznym zainteresowaniem ich sprawami. Nie da się ukryć, moje panie, musicie zmienić metody, jakimi Nowus działał w intefesach... i to szybko. Proponuję przyspieszony program robót publicznych: zacznijcie od opłacenia budowy fontann. Postawcie kilka pomników. Zapracujcie sobie na lepsze imię, bo w chwili obecnej macie zszarganą opinię. Na przykład - podsunąłem - moglibyśmy nadać nowej szkole imię Hortensjuszy. Chodzi o przyzwoity i godzien szacunku projekt, który zrobi wrażenie na społeczności!

Nikt się nie roześmiał, choć jedno z nas miało wielką ochotę.

Pollia wstała z trudem. Było jej niedobrze. Podniosłem puchar, kiedy wybiegała z pokoju. Było cicho jak makiem zasiał, kiedy dopijałem wino i zbierałem się do odejścia.

Atylia odwróciła głowę; była tak blisko, że jej oddech łaskotał mój policzek. Zacząłem się pocić. Pozostało jedy-

nie czekać, aż Hortensja Atylia uniesie swoją piękną twarz do pocałunku.

- Przykro mi - odezwałem się szorstkim głosem. - Wieczór jest jeszcze wczesny, mam dużo do zrobienia... a poza tym grzeczny ze mnie chłopiec!

LXIII

Na wzgórzu Pincius woń pinii koiła mój znużony umysł. Przede mną leżał spowity w mrok Rzym, jego topografia możliwa do odgadnięcia jedynie dzięki wątłym światłom na Siedmiu Wzgórzach; byłem w stanie rozróżnić Kapitol i bliźniacze szczyty Awentynu; w kierunku przeciwnym musi więc leżeć Celimontium. Miło byłoby zjeść ciastko, by przyspieszyć marsz. Musiałem się jednak obejść smakiem i skierować w dół, podążyć pełnymi życia ulicami, by przejść ostatnią ciężką próbę.

Zanim się rozprawiłem z Seweryną, załatwiłem jeszcze jedną ważną sprawę; złożyłem wizytę w pracowni kamieniarza. Była otwarta, rozświetlona tylko paroma świeczkami. Mężczyzna szedł pomiędzy rzędami upiornych *kamiennych* bloków; jego niezwykłe *uszy sterczały* półkoliście po obu stronach łysej głowy. Patrzył na mnie z niepokojem, kiedy stałem na końcu tej trawertynowej uliczki, wciąż otulony obszernym czarnym płaszczem, z twarzą ukrytą pod szerokim rondem kapelusza.

- Skaurusie! Czy Seweryna była tutaj w związku ze swoim zamówieniem? Powiedziałeś, że musi skonsultować je z innymi osobami.

- Jej przyjaciele się wycofali. Sama zapłaciła za pomnik.

- Stać ją na to, żeby od czasu do czasu złożyć hołd zmarłym! Skaurusie, ja nigdy nie zapominam danej obietnicy. Powiedziałem, że wrócę, kiedy ona się zdecyduje...

- Tego kamienia już nie ma - burknął.

- Dokąd go zabrali?

- Na grobowiec przy drodze Appijskiej.

- Nie dla kogoś z rodziny Hortensjuszy?

- Jeśli pamiętam, to imię brzmiało Moskus.

Kamieniarz był w błędzie, jeśli sądził, że to mi wystarczy; tego wieczora zamierzałam doprowadzić wszystko do końca.

- Nie zamierzam kręcić się tam pomiędzy duchami o tak późnej porze. - Uśmiechnąłem się do niego. - Daruj sobie, Skaurusie. Mógłbym tam pójść kiedy indziej, wiem jednak, że nie jest to konieczne... Jedyne, czego chcę, to tekst. Pokaż mi tylko tabliczkę, na której zapisałeś...

Wiedział, że zauważyłem te zwisające mu u pasa, pokryte woskiem tabliczki. Pominął więc kilka z najnowszymi zamówieniami i sięgnął po tę właściwą.

Kiedy pierwszy raz go wypytywałem, nie brałem pod uwagę czegoś takiego. Teraz jednak wiedziałem, czego się spodziewać.

D + M
C + CERINTHO
LIB + C + SEVER +
MOSC + VIXIT +
XXVI + ANN + SEV
ERINA + ZOTICA
+ LIB + SEVERI +
FECIT

Odczytałem to na głos, powoli odcyfrowując skrót tego nagrobnego tekstu:

- „Duchowi zmarłego Gajusza Ceryntusa, wyzwoleńcowi Gajusza Sewerusa Moskusa; żył dwadzieścia sześć lat. Seweryna Zotyka, wyzwolenica Sewerusa, wzniosła"... Bardzo powściągliwe. Na twoim schemacie jest wolne miejsce. Co wymazałeś tutaj na końcu?

- Och, nie mogła się zdecydować, czy dodać „wielce mu wdzięczna". Ostatecznie, z jakiegoś powodu, to opuściła.

Dość niewinna fraza... często stosowana na nagrobkach stawianych przez żony albo jakieś mniej formalne towarzyszki życia. Czasami, bez wątpienia, taki hołd miał ironiczny charakter. Jednak każdy, kto to czytał, mógł się domyślać jakiegoś bliskiego związku.

Mogłem powiedzieć kamieniarzowi, z jakiego powodu Seweryna opuściła te słowa; niezależnie od tego, jak dobrze myślała o tym wyzwoleńcu, postępowała zbyt profesjonalnie, by pozostawić najmniejszy ślad przywiązania.

LXIV

Miałem wrażenie, że minęło całe stulecie od ostatniej mojej wizyty przy vicus Abacus. Była już noc, dom jednak był rzęsiście oświetlony. Ostatecznie odziedziczyła trzy spadki, mogła więc płacić za oliwę do swoich kandelabrów. W większości domów o rej porze praca zamierała. Seweryna natomiast robiła tę jedyną rzecz, jaka pozostaje doma-torce, dziewczęciu, które w tym tygodniu nie ma na oku potencjalnego kandydata na męża; siedziała przy swoim krośnie, planując, jak takiego znaleźć.

Przyglądałem się jej uważnie, mając w pamięci, o co pytała mnie moja siostra Maja, kiedy podejrzewała, że całą pracę wykonują za Sewerynę niewolnice. Uznałem, że Zotyka jest rzeczywiście świetną tkaczką. Nawet jeśli nie można było mieć zaufania do niczego innego, co jej dotyczyło, to zdecydowanie pracowała pewną ręką. Kiedy wszedłem, nie zatrzymała czółenka, mimo że podniosła na mnie rozgniewany wzrok.

- Sprzątnięto już ze stołu, Falkonie!

- Szkoda. - Podszedłem do sofy, więc musiała się do mnie odwrócić. Ukryłem twarz w dłoniach jak człowiek bardzo zmęczony. - Och, Zotyko! Dziś przechodziłem ciężkie próby, jedną za drugą. Bogowie, ależ jestem zmęczony...

- Możemy cię czymś poczęstować? - uważała za stosowne zapytać.

- Nie. Potrzebne mi tylko przyzwoite towarzystwo i przyjacielska rozmowa! - Wziąłem głęboki wdech, po czym energicznie wypuściłem powietrze z płuc. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że oderwała się od pracy i nerwowo spoglądała na mnie. - Właśnie wracam z posiadłości Hortensjuszy. Przedtem odwiedziłem Pryscyla.

- Co się stało? - Teraz już była zachwycona, pewna, że czeka ją coś wspaniałego. Wiedziała, że przyszedłem zakończyć sprawę. Ekscytacja była jej żywiołem; widziałem, że muszę ją złapać w potrzask znienacka, w przeciwnym razie bezpowrotnie mi się wymknie.

- Głównie kiepskie gry i kłamstwa! Tak czy owak, sprawę dla ciebie zakończyłem... te kobiety wlały we mnie mnóstwo wina, nie jestem sobą... - Zmusiłem się do uśmiechu, po czym uniosłem ręce. - Czuję się zbru-kany, Zotyko! Nie lubię, jak się mną bawią. Szczególnie nie znoszę niezbyt subtelnych aluzji, jakobym był jeszcze jednym dziełem sztuki, które każda wyzwoienica, mająca więcej gotówki niż dobrego smaku, może sobie kupić! -zacząłem pleść trzy po trzy. - Lubię się uważać za cenne znalezisko. Zycie zadało mi wiele ciosów, po których zostały ślady nie do wymazania, jednakże moja osobowość została tak wypolerowana, że stanowi najlepszą inwestycję dla konesera...

- O co chodzi, Falko? - Seweryna zachichotała.

- O nic. Szczerze mówiąc, uważam, że wszystko jest jak trzeba. Myślę, że nie mając nawet odrobiny konkretnych dowodów, nieźle ich wszystkich wystraszyłem!

- Powiedz mi wreszcie!

Odliczałem na palcach.

- K r e p i t o i F e l i k s wiedzą, że Pryscyl z radością by ich otruł... zatem groźny pomysł o spółce wyparował.

Teraz, kiedy już nie ma Nowusa, osłabła nieco ich kontrola nad imperium Hortensjuszy... zwłaszcza, kiedy im powiedziałem, że staną się celem senackiego dochodzenia. Powinni szybko zmienić zwyczaje i zamiast interesami zająć się organizacją robót publicznych... P r y s c y 1 wierzy, że ci dwaj chcą oddać go wymiarowi sprawiedliwości. Udał się więc pospiesznie w długi rejs. To powinno być dobrą nowiną dla jego lokatorów. Może zdąży utonąć, zanim ośmieli się powrócić do Rzymu.

- Jak ci się udało to wszystko osiągnąć?

- Drobiazg! Umiejętność perswazji i urok osobisty. Z kolei P o 11 i a i A t y 1 i a są przerażone, że jeśli wykonają niewłaściwy krok, wyślę je na arenę za usiłowanie otrucia Nowusa. W zamian za moje milczenie podejmują się szlachetnych zadań, oczywiście w charakterystycznym dla nich rozrzutnym stylu. Nakłoniłem je, by wykorzystały swoją energię dla dobra instytucji dla osieroconych dziewcząt. Ty *jesteś* sierotą, prawda? Mógłbym ci tam załatwić miejsce, jeśli chcesz...

- Ile dały ci tego wina?

- Za mało... był *to* bardzo dobry rocznik!

Seweryna wybuchnęła śmiechem. Ja promieniałem.

Nagle zorientowała się, że moja wesołość jest udawana, a ja jestem zupełnie trzeźwy.

- Mój dom się dzisiaj zawalił - powiedziałem. Uśmiech zniknął z mojej twarzy. - Ale przecież ty o tym doskonale wiesz.

LXV

Obserwowałem, jak wreszcie zaczyna ją dręczyć niepewność.

- Cóż to byłaby za ironia, gdybym postawił cię przed sądem nie za pozbycie się któregoś z twoich małżonków czy Nowusa, ale za zamordowanie tych ludzi z kamienicy! Starszej pani, którą słyszałem, kiedy waliła w ściany, i całej rodziny, o której nawet nie wiedziałem, że tam mieszka.

Siedzieliśmy bez ruchu.

- I co, nie zapytasz? - spytałem szyderczo.

- Czy twojej przyjaciółce nic się nie stało? - wydusiła w końcu.

- A co ty masz do tego? - żachnąłem się. Spokojne niebieskie oczy zdążyły już dostrzec grozę sytuacji, w jakiej się znalazła, ale niemożliwością było odgadnąć, co ona naprawdę myśli. - Znałaś ją, prawda? - ciągnąłem. Mój głos był wystarczająco twardy, by mogła podejrzewać, że Helena nie żyje. - Chodziła do tej samej łaźni co ty.

- Myślałam, że ją wysłałeś...

-Tak, wiem. Myliłaś się. To był jej własny pomysł. Na pewno chciała wiedzieć, z czym mam do czynienia. Nie powiedziała mi, zabroniłbym jej tego... przynajmniej spróbowałbym. Niezgoda Heleny na to, by ktokolwiek

nią dyrygował, była jedną z pierwszych rzeczy, jakie mnie w niej urzekły.

- Co się z nią stało? - Seweryna zdobyła się na zadanie tego pytania.

- Kamienica runęła. Wszyscy, którzy tam byli, zginęli. - Zamilkłem na chwilę. - Och, nie masz co rozważać, czy się przyznać, czy nie! Ja i tak wiem, kogo winić. Kossus mi powiedział. Wiedziałaś. Wydałaś polecenie. A potem to żałosne ostrzeżenie poprzez próbę zwabienia mnie tutaj... nieważna cała reszta ludzi!

Wyraz twarzy Seweryny zmienił się nieznacznie. Nie, żeby mi na tym zależało. Nawet jeśli odczuwała żal, byłem niewzruszony.

- Nie robię sobie nadziei na postawienie cię przed sądem. Straciłem świadka w chwili śmierci Kossusa. Dał się rozpoznać i miejscowi się nim zajęli. W każdym razie to Hortensjusze byli właścicielami kamienicy. Ich pośrednik nie miał prawa przyjmować instrukcji od ciebie. Dlaczego to zrobiłaś? Żeby się mnie pozbyć, bo stałem się dla ciebie zagrożeniem? Co spowodowało, że się rozmyśliłaś? Nadzieja, że jednak mogę ci się do czegoś przydać?

- Powinieneś być wdzięczny, że próbowałam odciągnąć cię od tego domu! - odezwała się wreszcie.

- Podczas gdy ty pozbywałaś się Heleny? - Była bystra, zdawała sobie sprawę, że nie mógłbym o tym mówić, gdyby to była prawda. - Heleny nie było w budynku, w przeciwnym razie już byś nie żyła. Miałaś jakiś powód, by zrobić to, co dzisiaj zrobiłaś. Nie udawaj, że kiedykolwiek mnie chciałaś. Nawet gdyby tak było, czy naprawdę uważasz, że zwróciłbym się ku tobie... czy ku jakiejkolwiek kobiecie... gdybym w taki sposób stracił Helenę? Twoja motywacja była o wiele bardziej skomplikowana. Wiedziałem, że

jesteś zazdrosna... to była zazdrość o nas oboje. Nie mogłaś ścierpieć, że inni mają to, co ty straciłaś... - Pochyliłem się do przodu i moja twarz znalazła się na wysokości twarzy skulonej na stołku kobiety. - Opowiedz mi o Gajuszu Ce-ryntusie, Zotyko.

Pierwszy raz miałem absolutną pewność, że ją zaskoczyłem. Mimo to wciąż nie zamierzała mi niczego wyjawić.

- Przecież już wiesz!

-Wiem, że oboje byliście domownikami Moskusa. Wiem, że Ceryntus zabił Grycjusza Frontona. Mógłbym to udowodnić, był świadek. Ale Parki zdecydowały za mnie, że Ceryntus nie stanie przed sądem. Wiem, że ściana zawaliła się na niego. Wiem też, że właścicielem tej ściany był Hortensjusz Nowus.

Zamknęła oczy, potwierdzając moje słowa.

- Ceryntus był jak ty niewolnikiem - domyślałem się. -Co się stało... zaczęłaś darzyć go uczuciem? Po ślubie z Seweruse Moskusem czy przed?

- Po - odparła spokojnym głosem.

- Kiedy Moskus zmarł, byłaś kobietą wolną i dysponowałaś znacznym spadkiem. Mogliście się pobrać z Ce-ryntusem i żyć sobie wygodnie. Skąd taka zachłanność? Czy gromadzenie tak ogromnego majątku to jego pomysł czy twój?

- Obojga.

- Cóż za smykałka do interesów! Jak długo zamierzaliście to ciągnąć?

- Po Frontonie już nie.

- Zatem najpierw był Moskus... czy to Ceryntus wybrał

odpowiednie miejsce dla swojego pana w tym rozprażonym amfiteatrze?

- Kupił bilet, nie możesz winić go za słońce!

- Mogę winić go za to, że nie ochronił starego człowieka przed tym żarem. Potem aptekarz Epriusz. Z nim poradziłaś sobie sama. I wreszcie ten człowiek od dzikich zwierząt. Tu zdarzyły się dwie rzeczy...nie wiedziałaś, że Fronto ma bratanka, który będzie się spodziewał spadku, a poza tym mąż cię bił. Ceryntus najwyraźniej potrafił znieść to, że sypiasz z innymi mężczyznami, ale nie godził się na brutalność. Skorzystał z najbardziej krwawego rozwiązania, jakie mógł wymyślić, miał jednak pecha, przechodząc obok typowego dla działalności Nowusa domu o chwiejnych ścianach. Zostałaś z podejrzaną reputacją, martwym ukochanym, pieniędzmi, na które zapewne straciłaś ochotę... i niczym, co zajęłoby twoje myśli, oprócz żądzy zemsty.

Jej skóra miała kolor pożółkłego papirusu, ale wewnętrzna twardość pozostała.

- Możesz sobie mówić, co tylko chcesz, Falkonie.

- A ty się nie ugniesz. Nie byłbym taki pewny. Musiałaś zaciekle szukać drogi do Nowusa, jednak tej nocy, kiedy powiedziałem ci, że nie żyje, byłaś wstrząśnięta, Zotyko. Nie udawaj, że było inaczej! Myślę, że uświadomiłaś sobie tę prawdę: nienawiść to jałowa motywacja. Nowus nie żył, ale to nie mogło wskrzesić twojego ukochanego. Ceryntus nigdy się nie dowie, że go pomściłaś. Tym razem nie miałaś z kim dzielić swojego triumfu. Byłaś sama. Po co, jak powiedziałaś do mnie, to wszystko? Zabicie Nowusa było niczym w porównaniu z radością planowania przyszłości z osobą, którą kochałaś, prawda? - drążyłem. Seweryna kręciła głową, nie zgadzając się z moimi słowami. - Wiem, Zotyko! Wiem dobrze, co czułaś, kiedy go straciłaś, i co

wciąż jeszcze czujesz. Kiedy człowiek w taki sposób się sobą podzieli z drugą osobą, ona już na zawsze staje się jego częścią - orzekłem. Tym razem wydała niezbyt głośny okrzyk protestu. Było już za późno; świadomość, że zmuszam ją, by przyznała się do tego rodzaju uczucia, jakim ja darzyłem Helenę, była niezwykle przykra. - Nie rozumiem tylko, jak ktoś, kogo dotknęła prawdziwa strata, mógł celowo sprowadzić takie samo nieszczęście na inną osobę! Na bogów, jak mogłaś po śmierci Ceryntusa patrzeć obojętnie, jak osuwa się kolejna ściana! - zżymałem się. Coś drgnęło w jej twarzy; nie miałem ochoty na to patrzeć. - Jestem pewien, że zabiłaś Nowusa - powiedziałem już spokojnie.

- Nie wiesz jak.

- Mam pewne przypuszczenia.

- To za mało.

- Wiem, że podsunęłaś Pryscylowi pomysł z trucizną, a prawdopodobnie również obydwu kobietom Hortensju-szy...

- One nie potrzebowały zachęty!

- Wiem, że udaremniłaś ich nieudolną próbę i że zapewne powstrzymałabyś też Pryscyla, gdybyś nie wyszła stamtąd przed kolacją. Czyżby nerwy zawiodły... kiedy brakło wsparcia Ceryntusa? Ale po co wmanewrowywać w to innych, a potem niwelować te plany? Po co ryzykować dekonspirację, wynajmując mnie? Och, uwielbiasz igrać z niebezpieczeństwem, ale tym razem podjęłaś wielkie ryzyko. Nie jestem taki zupełnie bezużyteczny. Oczyściłem ich, nawet jeśli nie mogę doprowadzić do skazania ciebie. Ale dlaczego nie posłużyłaś się nimi do końca i nie pozwoliłaś, by dokonali tego czynu za ciebie? - zapytałem. Milczała, ale i tak znałem odpowiedź. - Nienawidziłaś Nowusa tak obsesyjnie, że musiałaś wykończyć go osobiście!

- Nie masz dowodów, Falko!

- Nie mam - przyznałem spokojnie. Nie było sensu udawać, że jest inaczej. -Jeszcze nie mam. Jednak dowody na pewno są i znajdę je. Pogrążyłaś się tym, co próbowałaś zrobić dziś Helenie. - Ona jest bezpieczna... ale ja nigdy ci nie wybaczę. Potrafię być równie cierpliwy jak ty w wypadku Nowusa i równie przebiegły. Już nigdy nie zaznasz spokoju, Zotyko. Jeden fałszywy ruch, a dopadnę cię...

Wstała. Ruszyła do ataku.

- Helena nigdy z tobą nie zostanie! Prowadziła nader wygodne życie i wie, że stać ją na więcej. Poza tym jest zbyt inteligentna!

Popatrzyłem na nią dobrodusznie.

- Ależ zostanie.

- Trzymaj się równych sobie, Falko.

- Właśnie to robię! - Wyprostowałem się. - Pójdę już.

- Zatem mogę ci podziękować i zapłacić.

- Nie chcę od ciebie ani jednego, ani drugiego.

Seweryna zaśmiała się z politowaniem.

-W takim razie jesteś głupcem! Jeśli chcesz żyć z senatorską córką, potrzebujesz pieniędzy jeszcze bardziej niż ja i Ceryntus.

Jej drwiny nie robiły na mnie najmniejszego wrażenia.

- Rzeczywiście potrzebuję pieniędzy. Mówiąc ściśle, potrzebne mi jest czterysta tysięcy sestercji.

- By zakwalifikować się do grona ekwitów? Nigdy ci się to nie uda!

- Uda. I nie sprzeniewierzę się swoim zasadom.

Moja pozycja społeczna wzbudzała w niej nadzieję, że mnie w końcu jakoś przekupi.

- Powinieneś zostać ze mną, Falko. Ty i ja moglibyśmy nieźle działać w tym mieście. Myślimy podobnie, obo-

je mamy ambicje, nigdy się nie poddajemy. Razem moglibyśmy stworzyć spółkę w każdej dziedzinie, jaką byśmy sobie wybrali...

- Nie mamy ze sobą nic wspólnego, już ci to mó wiłem.

Podała mi rękę w dziwnie poważnym, oficjalnym geście. Wiedziałem, że prawie ją złamałem. Wiedziałem też, że teraz już tego nie osiągnę.

Przycisnąłem kciuk do miedzianego pierścienia, znaku miłości od Ceryntusa.

-Więc to wszystko było sprytną akcją, mającą na celu zemstę, hę? To wszystko dla Wenus? Wszystko dla miłości?

Twarz jej pojaśniała w nagłym uśmiechu.

- Nigdy nie przestajesz próbować, prawda? -Nie.
- Ani przegrywać, Falkonie!

To było jej charakterystyczne pożegnanie w mściwym **stylu.**

Kiedy opuszczałem jej dom, ktoś inny właśnie przybył. Elegant co się zowie: jasna tunika, opalenizna, porządne buty ze skóry bawołu, połyskujące włosy... lecz nie był to tylko blichtr. Wyglądał na bystrzaka. Choć dawno go nie widziałem, nie miałem wątpliwości, kto to taki.

- Luzjuszu! - wykrzyknąłem.

Miałem przed sobą urzędnika pretora Eskwilinu.

LXVI

Kiedy go zauważyłem, serce mi załomotało; domyśliłem się, że musiały zajść jakieś nowe okoliczności. Zakręciliśmy się wokół siebie na progu.

- Właśnie wychodzę - oświadczyłem, uśmiechając **się** do niego.

- Korwin dowiedział się, że jest kolejna sprawa do rozpatrzenia... - Nie przestaliśmy robić uników i zerkaliśmy na siebie niczym konkurenci. - Jak ci poszło? - spytał wreszcie Luzjusz.

- Znowu jej się udało. Ustaliłem co prawda, kto zabił dostawcę zwierząt... tyle że sprawca nie żyje. Był jej kochankiem, ale bez niego nie ma dowodów, by postawić ją przed sądem. Przyznała, że do niedawna miała wspólnika, ale to wszystko, co z niej wyciągnąłem.

- Żadnych innych dowodów? - spytał.

- Nic - stwierdziłem. Odniosłem wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Chwyciłem go za łokieć i zaciągnąłem w krąg światła padającego ze spiżowej latarni na portyku Seweryny. Nie opierał się. - O co chodzi, Luzjuszu? Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego!

Uśmiechnął się.

- Ta sprawa jest moja, Falkonie! Uniosłem

obie dłonie, dając za wygraną.

- Skoro udało ci się coś odkryć... Umowa **stoi, Luzjuszu.**

- Mam ją w sprawie aptekarza - wyszeptał.

Byłem pewien, że przypadek aptekarza rozpracowaliśmy już w każdym szczególe.

- Jak to możliwe? Czy lekarz, który go badał, złożył w końcu raport?

- Nie. Powiedział ci, że nigdy wcześniej nie zajmował się Epriuszem?

Skinąłem głową.

- Najwyraźniej kiedy Epriusz się dławił, wezwano właśnie jego, bo mieszkał po drugiej stronie ulicy - powiedziałem.

- I zapewne dlatego, że Seweryna wiedziała, jakim jest durniem... Odkryłem natomiast, że Epriusz miał własnego medyka.

- Od tego sławetnego kaszlu, który go uśmiercił?

- On nie miał żadnego kaszlu.

- Rozumiem, że rozmawiałeś z tym człowiekiem?

- Owszem. I dowiedziałem się, że przez całe lata leczył go na hemoroidy. Powiedział mi, że Epriusz był próżny i tak zażenowany swoim problemem, że nigdy nie przyznał się Sewerynie.

- Czy ma to jakiś związek z naszym śledztwem?

- No cóż! - Luzjusz najwyraźniej miał powody do zadowolenia. - Pokazałem temu medykowi resztki pigułki na kaszel, którą rzekomo zakrztusił się Epriusz... choć nie powiedziałem mu, co to za lek. Była rozgnieciona i częściowo rozpuszczona, ale gość był pewien, że wyszła spod jego ręki.

-I co?

- Kiedy mu powiedziałem, z którego końca jego pa cjenta wyciągnęliśmy tę pigułkę, był bardzo zaskoczony! - odrzekł. Zacząłem się domyślać. - Zgadza się - oświadczył

urzędnik radośnie. - Musiała wiedzieć, że Epriusz ma pudełeczko magicznych pastylek... tyle że on skłamał jej na temat ich zastosowania. „Pigułka na kaszel", którą według Seweryny się zakrztusił, była w rzeczywistości czopkiem na hemoroidy!

- To dopiero będzie sensacja w sądzie! - powiedziałem, starając się nie śmiać zbyt głośno.

Mój rozmówca spojrzał na mnie czujnym wzrokiem.

- Powiedziałem ci, że sprawa jest moja, Falkonie.

- Co z tego? - zdziwiłem się. Milczał. Przypomniało mi **się,** że lubi rude. - Jesteś szalony, Luzjuszu!

-Jeszcze się nie zdecydowałem.

-Jeśli tam wejdziesz i się z nią zobaczysz, to już ona zdecyduje za ciebie... Co ty w niej widzisz?

- Poza spokojnym sposobem bycia, ciekawym wyglądem... i tym, że w każdym momencie z nią spędzonym będę żył na krawędzi niebezpieczeństwa? - spytał urzędnik, a w jego smętnym głosie słychać było, że nie ma żadnych złudzeń.

- Cóż, wiesz dokładnie, w co się pakujesz... to i tak więcej niż w wypadku większości ludzi! Ona powiada, że nie zamierza powtórnie wychodzić za mąż... czyli że energicznie poluje na kolejnego małżonka. Bierz się do dzieła, mój chłopcze, ale nie oszukuj się, że potrafisz ją okiełznać...

- Spokojna głowa. Dokonają tego resztki tej pigułki.

- Gdzie się znajduje ten obrzydliwy dowód?

- W bezpiecznym miejscu. -

G d z i e , Luzjuszu?

- Nie jestem idiotą. Nikt **do niego** nie **dotrze.**

-Jeśli kiedykolwiek się przed **nią** wygadasz, **będziesz trupem!**

Poklepał mnie po ramieniu. Miał w sobie tę spokojną pewność siebie, która była niemal zatrważająca.

- Załatwiłem sobie idealne zabezpieczenie, Falkonie. Jeśli umrę przed czasem, wykonawcy mojego testamentu odnajdą ten dowód, razem z zaprzysiężonym zeznaniem medyka i wyjaśniającą wszystko notką.

Prawdziwy urzędnik i sekretarz prawnika.

- No to idę - powiedział. - Życz mi powodzenia!

- Nie wierzę w powodzenie.

- Tak naprawdę, ja też nie - przyznał Luzjusz.

- Zdradzę ci coś: pewna wróżka powiedziała mi, że kolejny mąż Seweryny dożyje sędziwego wieku... więc pewnie wszystko zależy od tego, czy wierzysz wróżkom. Masz jakąś sumkę na czarną godzinę?

- Niewykluczone - odpowiedział ostrożnie Luzjusz.

- Nie mów jej o tym.

- Nie zamierzałem! - roześmiał się.

- Mimo wszystko uważam, że powinieneś mi powiedzieć, gdzie ukryłeś tę zgubną kapsułkę - nie dałem za wygraną.

Uznał, że ktoś jeszcze powinien o tym wiedzieć.

- Niedawno Korwin złożył swój testament u westa lek - zaczął. Standardowa procedura w wypadku senato rów. - Pozwolił, bym umieścił tam też swój. Jeśli cokol wiek mi się przydarzy, wykonawcy mojego testamentu odkryją dość intrygującą pieczęć...

Miał rację; nie był idiotą. Jeśli testament znalazł się u westalek, nikt, nawet cesarz, nie miał do niego dostępu bez specjalnych, szczegółowych procedur.

- Zadowolony? - spytał z uśmiechem.

Było to genialne posunięcie. Ogromnie mi się podobało. Gdyby nie jego okropny gust, jeśli chodzi o kobiety, Lu-zjusz i ja moglibyśmy zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Pomyślałem nawet, z odrobiną zazdrości, że być może Seweryna Zotyka trafiła w końcu na godnego siebie przeciwnika.

LXVII

Senator i jego żona odpoczywali w ogrodzie i rozmawiali. Robili wrażenie ludzi znużonych omawianiem w kółko tego samego tematu. Prawdopodobnie chodziło o mnie. Kamil Werus trzymał w ręku kiść winogron i niespiesznie odrywał kolejne owoce; nie przestał nawet wtedy, kiedy mnie zobaczył, podczas gdy Julia Justa - której ciemne włosy w tym świetle zmierzchu czyniły ją zaskakująco podobną do Heleny - nie wykonywała najmniejszego ruchu, który mógłby zakłócić ten spokój.

- Dobry wieczór, panie... Julio Justo! Miałem nadzieję, że zastanę tu waszą córkę.

-Wpada tutaj - zaczął jej ojciec. - Pożycza sobie moje książki, zużywa całą gorącą wodę, robi najazd na piwniczkę z winem! Jej matce na ogół udaje się zamienić z nią parę słów. Ja uważam się za szczęściarza, jeśli dostrzegę znikającą za framugą piętę - gderał. Zacząłem się uśmiechać. Siedział sobie w ogrodzie pośród fruwających ciem i roztaczających przyjemną woń kwiatów i korzystał z przywileju wygłaszania tyrad na temat swojego potomstwa. - ... Ja ją wychowałem, więc to moja wina... jest przecież moją...

- To prawda! - oświadczyła jego małżonka.

- Była tu dziś wieczorem? - zwróciłem się z uśmiechem do matki Heleny.

- A owszem! - odparł senator. - Podobno twój dom się zawalił?

- Zdarza się, panie! Na szczęście nie było nas...

Zamaszystym gestem wskazał mi kamienną ławkę.

- Twój dom się zawalił, zatem Helena Justyna musiała mnie zapytać, w jaki sposób wykorzystać akty własności ze spadku po ciotce galerii. Szukała szat w swoim dawnym pokoju i kazała *d* powiedzieć, że spotka się z tobą później...

- Nic jej nie jest? - zdołałem zapytać, ponownie zwracając się do jej matki w nadziei, że usłyszę wreszcie coś sensownego.

- Och, zachowywała się jak zawsze - rzuciła od niechcenia Julia Justa.

Senatorowi zabrakło dowcipów; zapadło milczenie. Zebrałem siły.

- Powinienem był przyjść wcześniej - przyznałem.

Rodzice Heleny wymienili spojrzenia.

- Po co zawracać sobie głowę? - Kamil wzruszył ramionami. -Jest całkiem jasne, co się dzieje...

- Powinienem był wyjaśnić.

- Czy to przeprosiny?

- Kocham ją. Za to nie będę przepraszał - oznajmiłem. Julia Justa najwyraźniej poruszyła się gwałtownie, bo usłyszałem, jak zadzwoniły jej kolczyki.

Milczenie znowu się przedłużało. Wstałem.

- Lepiej już sobie pójdę... i ją znajdę.

- Czy mogę założyć, że wiesz, gdzie jej szukać, czy mamy może zorganizować grupę poszukiwawczą? - zapytał jeszcze senator.

- Domyślam się, gdzie jest.

Pomimo zmęczenia wybrałem się na piechotę. Zbliżałem się do swojej dawnej nory po wysokim grzbiecie wzgórza awentyńskiego; dotarłem tam, powłócząc nogami, myśląc o pięknych domach, jakie posiadają ludzie zamożni, i o tych okropnych dziurach, które, według nich, należą się biedakom.

Znalazłem się w trzynastej dzielnicy. Uderzyły mnie w nozdrza znajome zapachy. Zaczepny gwizd bez żadnych następstw, podążał za mną, kiedy skręciłem w wąską uliczkę.

Dziedziniec Fontanny.

Spośród wszystkich nędznych kamienic czynszowych, we wszystkich obskurnych zaułkach tego miasta, domy przy Dziedzińcu Fontanny na pewno są najpodlejsze...

Przed zakładem golibrody Rodan i Azjakus unieśli potężne cielska z ławki, na której sobie gwarzyli, po czym z powrotem na nią opadli. Zdążą mnie obić innego dnia. Z pralni dochodziły wesołe odgłosy; najwyraźniej Lenia zabawiała swojego przebrzydłego narzeczonego. Rzym roił się od kobiet planujących, jak oskubać swoich mężczyzn. Ciekawe, czy już udało jej się namówić go do wyznaczenia daty ślubu, pomyślałem sobie.

Otworzyły się drzwi. Na tle światła ukazał się zarys pokracznej postaci Smaraktusa.

Miałem wszystko opłacone aż do listopada; nie było sensu obrażać go. To mogło zaczekać. Poćwiczę sobie retorykę innego dnia. Udając, że go nie zauważyłem, owinąłem się szczelniej płaszczem, opuściłem kapelusz na oczy, tak że mogłem przemknąć obok niego niczym jakaś złowieszcza, spowita w czerń zjawa. Wiedział, że to ja, ale się cofnął.

Przygotowałem się i ożywiony wspomnieniem tego przykrego doświadczenia zacząłem pokonywać stromizny tych przygnębiających sześciu pięter.

LXVIII

Mieszkanie wyglądało jak śmietnisko.

Amfora, zabrana z rezydencji senatora, stała oparta o to, co miało uchodzić za stół. Zatyczkę wyjęto. Więc takie rzeczy się tutaj działy, kiedy ja byłem gdzie indziej, zmagając się z kolejną sprawą... Dwa ciastka w kształcie gołąbków, ociekające sokiem z rodzynek, tkwiły w starej, obtłuczonej misie, dzióbek w dzióbek, niczym dwie poturbowane papużki nierozłączki. Jeden wyglądał jeszcze jakoś, ale drugi był zupełnie zmaltretowany... jak ja.

Reprezentacyjna dziewczyna, która udawała, że zajmuje się przyjmowaniem wiadomości, siedziała sobie na balkonie z kubkiem wina w ręku i czytała jedną z moich prywatnych woskowanych tabliczek. Pewnie tę, którą zakazałbym jej czytać. Poezję.

Drugi kubek zostawiła na stole, na wypadek gdyby zjawił się ktoś, kto ceni przyzwoite wino. Nalałem sobie. Potem oparłem się o framugę drzwi balkonowych i zastukałem w nią sygnetem. Wyglądało na to, że nie usłyszała, jednak jej rzęsy zadrgały, więc domyśliłem się, że moja obecność została zauważona.

- Tu mieszka Falko? - rzuciłem.
- Kiedy mu się zechce.
- Mam wiadomość.
- To mi ją przekaż.

- Jesteś piękna.

Podniosła wzrok.

-Witaj, Marku.

Obdarzyłem ją władczym uśmiechem. -Witaj, wisienko! Już po wszystkim. Zrobiłem, **co** mogłem.

- Wniesiesz oskarżenie?

-Nie.

Helena odłożyła tabliczkę. Na ławce obok niej leżał niewielki stos publikowanych dzieł. Helena miała na sobie jedną z moich najnędzniejszych tunik, a na stopach parę starych zmiętych kapci, też moich.

-Wiadomo, że ja muszę wybrać sobie dziewczynę, która podbiera mi ciuchy i grzebie w mojej bibliotece! -zauważyłem zrzędliwie.

- Te są od stryja Publiusza... - Gestem wskazała na zwoje. Senator miał brata, który zmarł na początku tego roku, „zaginął na morzu" (inaczej mówiąc, popełnił poważny polityczny błąd). - Jego dom mieścił zbieraninę różnych rzeczy, jeszcze z czasów, kiedy służył jako młody człowiek w pewnej prowincji...

- Przeczytałaś je wszystkie dziś wieczorem? - spytałem z niepokojem, domyślając się, ile może kosztować dostarczanie lektury takiej żarliwej czytelniczce.

- -Przejrzałam.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Czytałam o królu Jubie. Poślubił Kleopatrę Selenę, córkę Marka Antoniusza. Wydaje się całkiem ciekawą osobą... jak na króla. Był jednym z tych ekscentrycznych uczonych, którzy pisywali szczegółowo na różne dziwne tematy... zostawił po sobie, na przykład, cały traktat o wilczomleczu.

- Dobry stary Juba!

- Czy wilczomlecz jest ci znany?

- Ależ oczywiście. - Powiedziałem to takim tonem, jakbym się zastanawiał: A czymże, na Hades, jest wilczomlecz? Uśmiechnąłem się. - Wilczomlecz to taka nijaka w kolorach roślina, z lancetowatymi listkami i drobnymi kwiatkami...

Helena Justyna ściągnęła mocno zarysowane brwi, po czym popatrzyła na mnie w sposób mający oznaczać: Skąd ten idiota może coś wiedzieć o wilczomleczu? Usłyszałem ten jej ciepły, radosny śmiech z głębi gardła, śmiech przeznaczony dla drażnienia się ze mną.

- Och, przecież jesteś wnukiem ogrodnika!

- I człowiekiem pełnym niespodzianek! - uzupełniłem, chcąc podkreślić swoją wartość.

- Bystry jesteś - odparła Helena, spoglądając na mnie czule.

- Lubię się interesować różnymi rzeczami. Umiem czytać. Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce. Jeśli zostawisz tu gdzieś te zwoje, pod koniec tygodnia będę specjalistą od króla Juby - plotłem. Czułem się rozżalony; może z powodu porażki w prowadzonej sprawie. - Nie jestem jakimś awentyńskim prostakiem. Jeśli gdzieś idę, to zauważam różne rzeczy. Przykładam wagę do wiadomości z Forum. Kiedy ludzie rozmawiają, uważnie ich słucham... - Mógłbym tak ciągnąć bez końca, ale cierpliwość, z jaką Helena wysłuchiwała mojej gorzkiej, burzliwej tyrady, kazała mi przestać. - Wiem na przykład, że ty, mój skarbie, masz mi coś szczególnego do powiedzenia o wilczomleczu - dodałem na koniec.

Uśmiechnęła się. Uwielbiałem ten uśmiech.

- Można go stosować w medycynie. Król Juba nazwał jedną z jego odmian Euforbią, od imienia swojego me-

dyka. Euforbus używał jej jako środka przeczyszczającego. Oświadczam ci jednak - powiedziała z naciskiem moja ukochana - że nie pozwoliłabym Euforbusowi podać sobie nawet jednej małej porcyjki!

- Czemu nie?

- Dawka musi być bardzo precyzyjnie odmierzona. Wilczomlecz ma jeszcze jedno zastosowanie.

- Słucham - wymamrotałem, nachylając się ku niej niecierpliwie na widok tego znajomego błysku w jej pięknych oczach.

- W prowincji króla Juby łucznicy smarowali jego sokiem groty strzał. Ten sok jest trujący.

- Zatrute strzały zazwyczaj powodują natychmiastowy paraliż... Więc gdzie - spytałem, by dać jej przyjemność opowiedzenia mi tego, co już i tak wiedziałem - leży ta prowincja, w której służył twój stryj, a której królem był ów sławny i uczony człowiek?

- To Mauretania - odrzekła Helena.

Zamknąłem oczy.

Helena wstała i otoczyła mnie ramionami. Zaczęła przemawiać w ten spokojny, rozsądny sposób, jakiego używała, kiedy rozwiązywaliśmy jakąś sprawę.

- Oczywiście, to jeszcze niczego nie dowodzi. Prawnik zaprzeczyłby, że jest to w ogóle jakiś dowód. Gdyby jed nak przedstawiciel oskarżenia odczytał fragment traktatu króla Juby, a potem ty byś powiedział sądowi o tym zwoju, który widziałeś w domu Seweryny, wówczas... jeśli praw nik byłby przekonujący, a tobie udało się wyglądać bar dziej rozsądnie niż zazwyczaj... mogłoby się to okazać tym barwnym drobiazgiem, który prowadzi do skazania.

Otworzyłem oczy.

- Rośliny te mają mleczny sok. Pamiętam to z czasów, gdy pieliłem chwasty. Prawdopodobnie mają też gorz ki smak. Mogła wymieszać ten sok z miodem, a Nowus łykałby to chciwie... - mówiłem.

Helena znalazła sposób, żeby przytulić mnie jeszcze mocniej; zarumieniłem się, ale spotkałem się z nią, jak to ujmują, w pół drogi.

- Wymyśliłeś, w jaki sposób to zastosowała?

- Od jakiegoś czasu wiemy to oboje... - powiedziałem. Helena skinęła głową. - Rozsmarowała truciznę na tej srebrnej paterze, na której podczas przyjęcia podano ciastka. Potem pokryła to polewą z białka, tak żeby trucizna nie zetknęła się z ciastkami. Minniusz posłał ich siedem, kiedy więc Seweryna nie przyszła na kolację i wszyscy wykazali się uprzejmością... a powiedziano mi, że tak właśnie było... jedno ciastko musiało zostać nietknięte. Podczas rozmowy o interesach Hortensjusz Nowus musiał na nie łakomie łypać. Kiedy wszyscy się rozeszli, popędził z powrotem do jadalni. Tam pożarł to pozostałe ciastko. Potem...

Zamilkłem.

- Potem - dokończyła za mnie Helena - Hortensjusz Nowus wylizał paterę!

Czy to wystarczy do oskarżenia i skazania? Same poszlaki. Ale przecież wszelkie dowody są w jakimś sensie poszlakowe. Bystry prawnik nie omieszkałby tego podkreślić.

Czy był jakiś sens iść dalej z tą sprawą? Naciągaczka zdobyła majątek. Teraz może się zmienić; Luzjusz może ją zmienić. Miałem osobisty powód zdemaskowania Seweryny, ale jeszcze silniejszy motyw, żeby zaatakować moje-

go byłego gospodarza, Nowusa. Gdyby Seweryna go nie zamordowała, dzisiejszego wieczoru pewnie sam bym to zrobił.

- Marku, jesteś wykończony, żałuję, że ci powiedziałam. Już dość zrobiłeś, teraz daj sobie spokój!

- Nie mam klientów - poskarżyłem się. - Nie mam powodu, by cokolwiek robić... Sprawiedliwość nie istnieje! - wykrzyknąłem.

Sprawiedliwość jest dla ludzi, których na nią stać. Byłem biedakiem, miałem na utrzymaniu siebie i porządną kobietę, a moje dochody nie pozwalały na głębszy oddech, a co dopiero na odkładanie pieniędzy.

Sprawiedliwością nie da się regulować rachunków biedaka.

Uwolniłem się z jej ramion i podszedłem na skraj balkonu, spojrzałem w stronę głębokich cieni Janikuium. To było miejsce do zamieszkania; solidne domy ze wspaniałymi ogrodami na stoku i cudownymi widokami. Blisko Tybru, a jednocześnie odgrodzone rzeką od zatłoczonego miasta. Kiedyś, kiedy już będę miał pieniądze, Janikuium będzie jednym z tych miejsc, w którym rozejrzę się za domem.

Helena podeszła od tyłu i przywarła do moich pleców.

-Widziałem dziś dom, który ci kupię, jeśli kiedyś dorobię się pieniędzy - oznajmiłem.

-Jaki był?

-Wart czekania...

Położyliśmy się spać. Łóżko było tak samo niewygodne jak kiedyś, ale z Heleną w ramionach mogłem to znieść. Kalendy września jeszcze trwały; tego właśnie ranka obiecałem poświęcić swojej pani więcej uwagi. Ju-

tro obudzimy się obok siebie i nie będziemy mieli nic do roboty, tylko cieszyć się sobą. Teraz, kiedy sprawa została zakończona, mogłem nie opuszczać łóżka przez cały tydzień.

Leżałem, wciąż myśląc o wydarzeniach mijającego dnia. Kiedy Helena doszła do wniosku, że zasnąłem, pogłaskała mnie po włosach. Udając, że robię to przez sen, przesunąłem ręką po jej ciele.

Postanowiliśmy nie czekać do jutra.